

MARTA OBUCH




Replika

**KOPATA
DO SERCA**

lesiojot

MARTA OBUCH

**ŁOPATA
DO SERCA**



Replika

Mojej przyjaciółce Anecie

Prima Aprilis.

Tak, zrobienie bliźniego w konia staje się tego dnia dla niektórych wręcz narodowym obowiązkiem, o czym można się przekonać, nie tylko oglądając Teleexpress, ale nawet robiąc zakupy w Castoramie.

A jakże.

Michalina zakończyła właśnie pogawędkę z przemiłym panem z działu *Narzędzia* i westchnęła z głębi swych zmaltretowanych trzewi. Nie żeby kolejna rewelacja, jaką usłyszała, była traumatyczna (młotki zostały ustawowo wycofane ze sprzedaży), bo żyjąc w kraju od trzydziestu lat, przyzwyczaiła się do nieoczekiwanych zwrotów akcji, ale naprawdę nie miała dziś nastroju do żartów.

Pokłóciła się śmiertelnie z mężem.

„Śmiertelnie” należało odczytywać jak najbardziej poważnie - Henryk wyszedł wczoraj wieczorem z domu, a tynk z rozłupanej futryny zawirował za nim wymownie i ułożył się w napis:

DUMNY I BLADY ODCHODZĘ, A TY SIĘ ZOŁZO W SAMOTNOŚCI WIJ.

Od tamtej chwili małżonek nie dawał znaku życia. Owszem, Misia pomolestowała trochę telefonicznie bliższych i dalszych znajomych (na szczęście Henryk nie miał ich zbyt wielu), ale niczego się nie dowiedziała. Auto stało w garażu, a komórka małżonka popychała ordynarne kawałki o abonencie poza zasięgiem. Chociaż chyba należało się do tego wreszcie przyznać.

Henryk już od jakiegoś czasu znajdował się poza zasięgiem... uczuciowym Misi.

Coraz częściej robił pod jej adresem nieprzyjemne uwagi, coraz częściej wymagał posłuszeństwa, zupełnie nie przyjmując do wiadomości, że jego połówka posiada własne zdanie,

którego z przyzwoitości należałoby przynajmniej wysłuchać. Nie zapominajmy także o innych symptomach. O wiele bardziej znaczących. Otóż Henryk nie rozbierał już Misi pożądliwie wzrokiem i nie głupiał na widok jej smukłej kibici, która dzięki regularnym ćwiczeniom ostatnio wyszlachetniała. Ba! Im bardziej Misia o sobie dbała, co za idiotyzm, tym czuła się dla małżonka mniej atrakcyjna. Kiedy usiłowała dowiedzieć się, w czym rzecz (delikatnie, bo Henryk był dość wybuchowy), słyszała uwagi o zrzedliwych żonach.

Oczywiście zniknięcie było karą.

Jej małżonek nie po raz pierwszy wymierzał w ten sposób sprawiedliwość. I za co?

Do białego prania zaplątały się Misi przez pomyłkę jej bordowe majteczki. W efekcie wszystkie koszule Henryka nabrały rumieńców niczym ciepły, letni zmierzch. Jak dla niej kolorek wyszedł pysznie i prezentował się dużo bardziej pozytywnie od bieli, w której mąż wyglądał wyniośle i zimno. Jednak sam zainteresowany był w tej kwestii rażąco odmiennego zdania. Wygłosił nieprzyjemnym tonem: „Nawet podczas prania trzeba używać mózgu! O ile się go ma!” i, zdaje się, że był to początek końca, bo na myśl o mężu Misia nie doznawała już żadnego ciepła. A na dodatek przed chwilą, kiedy szukała przy kasie drobnych, jej zdradziecki umysł poskładał wszystkie te chaotyczne myśli w jedną: miała ona kształt konduktu żalobnego. I Misia bynajmniej nie kroczyła na czele tego pochodu jako zrozpaczona wdowa.

Koszule, co za bzdura.

Henryk zarabiał doskonale. Prowadził własną firmę, a że był błyskotliwy i konsekwentny (jej przyjaciółka Zuza wołała używać określenia „zimny gad”), wiodło się im doskonale. Żeby nie było: Misia również pracowała - razem z Zuzą otworzyła salon kosmetyczny, który ostatnio zaczął przynosić nawet niezły dochód. Nabycie kilku nowych koszul nie uszczupliłoby zbyt wiele domowego budżetu, a już na pewno nie doprowadziłoby ich na skraj bankructwa. Tylko że Henryk miał finansową obsesję. Pochodził z biednej, górniczej rodziny i wciąż drżał na myśl, że któregoś dnia mógłby wrócić do punktu

wyjścia. Nieustannie inwestował, oszczędzał i swoimi lękami terroryzował otoczenie. Tak, terroryzował. Misia była zobowiązana do zapisywania każdego wydatku w specjalnym zeszycie. Henryk życzył sobie również, żeby trafiały tam wszystkie paragony. Czy dorosła kobieta może czuć się komfortowo, uwieczniając w księdze buchalterskiej doniosły fakt, że w środę kupiła srajtaśmę i proszek do prania?

Dorosłą czy nie - w końcu każdą kobietę musi ogarnąć niesmak.

Michalina poczuła się więc nagle zniesmaczona i zniechęcona do prastarej instytucji małżeństwa tak bardzo, że ni stąd ni zowąd ogarnęła ją przemożna potrzeba splunięcia. Gdyby w ten sposób pozbyła się idiotycznego przeczucia, że sama jest sobie winna, zapłułaby wszystko dookoła, łącznie z własnymi pantoflami. Chciała pluć tu, w biały dzień, na parkingu przed marketem. Ona - dama, ostoja spokoju, wdziękliwa sarenka i matka Teresa w jednej osobie.

Żeby tylko splunąć.

Stała oto przed własnym autem, dzierżąc w dłoni łopatę ogrodniczą zakupioną z myślą zbliżających się urodzinach przyjaciółki (Zuza miała przy domu mikroskopijny ogródeczek i banalna w przekazie łopata była dla niej dużo bardziej pożądanym przedmiotem niż bransoletka z kryształkami Swarovskiego) i...

I co?

I musiała się powstrzymać, żeby tą łopatą nie przydzwonić na oślepa w co popadnie. Ze złości. Żeby nie zdemolować parkingu, swojego auta, cudzych pojazdów, budki na wózki i czego tylko. Cztery lata schodzenia Henrykowi z drogi, cztery lata potulności, cztery lata damskiego frajerstwa made in Silesia.

Ponura prawda dotarła do niej naraz z niewiarygodną jasnością.

Jeśli człowiek sam siebie nie szanuje, nikt nie uszanuje jego.

I nie łudźmy się: włożenie ukochanemu do czterech liter kończy się jedynie tym, że oblubieniec zaczyna puszczać bąki.

Koniec z tym!

*

Po aresztowaniu szefa dla Igły stało się oczywiste, że musi porozmawiać z jego żoną i objaśnić kobiecie co i jak, zanim dorwą ją gliny.

Lepiej, żeby zeznania małżonków były podobne. Podjechali więc pod blok, w którym mieszkał Hardy, ale trafili akurat na moment, kiedy małżonka wsiadała do auta. Trudno, trzeba było jechać za nią. Jak się okazało, wybierała się do Castoramy. Na szczęście nie była zakupoholiczką - przynajmniej jeśli chodziło o artykuły budowlane. Czekali przed sklepem zaledwie pół godziny, i tak niezły wynik jak na płęć piękną.

W tym czasie Igła mógł ochłonąć i przeanalizować sytuację. Kiedy jeden z policjantów (dostawał regularnie dolę za takie przysługi) zadzwonił o poranku z nowiną, że Hardego zwinął patrol, chłopaki przybiegli z tym od razu do niego. Nie było pasowania, wolnej elekcji czy innych szopek z przekazywaniem berła. Wystarczyły ich wyczekujące spojrzenia. Zresztą Hardy ostatnio sam nazwał Iglę swoją prawą ręką, najlepszy dowód, że wreszcie mu zaufał. Opłaciły się wysiłki, lata wyrzeczeń. Był bliżej osiągnięcia zamierzonego celu niż kiedykolwiek przedtem. I nikt się nie domyślał, że...

- Ty, a ta jego żona - zagadał siedzący obok niego Gutek, najmłodszy w firmie, i wskazał na blondynkę, która pojawiła się w drzwiach wyjściowych - to kumata jakaś?

Igła zastanawiał się właśnie nad tym samym.

Żona Hardego...

Szef oddzielał życie prywatne od zawodowego, był na tym punkcie nadzwyczaj czuły. Znali więc panią Michalinę jedynie z widzenia. I to z ukrytego widzenia - Hardy nie życzył sobie, żeby jego małżonka знаła twarze ludzi, którzy go otaczali. Kwestia bezpieczeństwa, jak mawiał. Ciekawe więc, jak wyobrażał sobie wykonanie swojego polecenia? Chociaż trzeba przyznać, rozkaz Hardego był teraz Igle bardzo na rękę, mimo że babka w ogóle mu się nie podobala.

Nie podobala mu się i już. Blondynka. W dodatku z tych wyfiokowanych. W falbankach, na szpileczkach, niu niu. Zgrabna, owszem, i nawet niebrzydka, ale z forszą Hardego

trudno być intelektualistką rozmyślającą o egzystencjalizmie. O egzystencji, owszem. O egzystencję by ją w porywach podejrzewał - wszak dylemat, czy kupić żakiet od Prady czy Gucciego dotyczy jak najbardziej przyziemnych kwestii. Ale to wszystko. Na pewno była rozpuszczona całym tym dostatkiem jak dziadowski bicz. Poza tym, powiedzmy sobie szczerze, czy kobieta, która związała się z takim bucem jak Hardy, mogła być ciekawą osobowością?

Igła szczerze w to wątpił.

I świetnie, tym lepiej dla niego.

Zachowa dystans.

Spokój i opanowanie będą mu teraz bardzo potrzebne.

- No, ja mam nadzieję, że kumata - stwierdził z lekkim wahaniem.

- Chyba jeszcze nie wie? Chociaż zła jak osa - ocenił Gutek i zadumał się, bo przywołał w myślach obraz swojej małżonki, która w ataku złości podobnie zaciskała usta. - Jak to się dzieje? Każda wścieknięta baba normalnie wygląda tak samo... Yhhh... Trzeba było zostać kawalerem - sapnął i spojrzął na Iglę z zazdrością, ale zaraz mu przeszło.

Z tą laleczką czekała kumpla nie lada przeprawa. Już chyba lepsze małżeństwo.

- Czego? - Igła wyczuł jego współczujący wzrok.

- Eee... Tak se rozmyślam.

- Se nie rozmyślaj, tylko się zajmij pracą - uciał.

- Wścieknięta, normalnie wścieknięta - mruczał pod nosem Gutek.

Igła przywarł spojrzeniem do żony Hardego i musiał przyznać koledze rację.

Pani Harda zachowywała się dzisiaj inaczej niż zwykle. Od razu było widać, że nie miała najlepszego dnia. Poruszała się niby energicznie, ale najwyraźniej myślała o czymś ponurym. Usta ściągnęła w ciup, zmarszczyła posepnie czoło, a nawet odniósł wrażenie, że coś do siebie mówiła, choć mogło mu się wydawać. Zdziwiło go też, że taszczy przed sobą sporych rozmiarów łopatę, ale zaraz wiatr zaplątał się w jej spódnicę i odciągnął uwagę Igły w nieco inne rejony. Hm, nogi miała

wystrzałowe, musiał przyznać. Czemu wcześniej tego nie zauważył? No tak, zazwyczaj spokojna, wyważona, dreptała potulnie za Hardym jak jego wyblakły cień. A teraz proszę. Pani Michalina przestała przypominać bezwolną kukłę, wyglądała wreszcie jak kobieta, która, nie licząc się z otoczeniem, pokazywała, co jej w duszy gra.

I nie była to melodyjka w stylu *Widziałam orła cień*.

- Ja bym tam odpuścił - nauczony doświadczeniem Gutek próbował sugerować. - Chociaż na godzinkę. Lepiej się do niej teraz nie zbliżać.

Igła najchętniej by posłuchał, tylko że... musiał się zbliżyć.

Nie dysponował megafonem, zresztą wieść o przymknięciu Hardego nie powinna roznieść się na cztery strony świata. Tak, podejść bliżej, przeprosić i kulturalnie się przedstawić. Potem krótka wymiana zdań, instrukcja co do zeznań, informacja, że się do niej wprowadza i myk. Z powrotem do auta, gdzie będzie bezpieczny. Bezpieczny?

Co też mu przyszło do głowy.

Ta cała Michalina to ciepłe kluchy, żadnych trudności nie przewidywał.

Rzucił Gutkowi uspokajające spojrzenie i wysiadł z auta. Przez chwilę zbierał się w sobie, bo jednak baba zbiła go z tropu tym swoim nabzdyczeniem. Co innego rozmawiać z osobą zrównoważoną i konkretną, a co innego podchodzić do kobiety, przez którą przetacza się burza uczuć.

Uczucia, zwłaszcza wezbrane, wyolbrzymione i ckiwe to grząski teren.

Coś jak łąka pełna krowich kup.

Nie dość, że śmierdzi, to i tak wiadomo, że w coś się wdepnie.

*

Bywa, że z pozycji królowej w gronostajach spada się do roli zwykłego popychadła. Proces detronizacji rozwleka się zwykle w czasie, dlatego kiedy odczuwa się dyskomfort, zwykle jest już za późno. Gronostaje na grzbiecie niby nadal te same, ale król gania człowieka w te i nazad, pokrzykuje, a dobre słowo staje się taką rzadkością, że kiedy pada, w podzięcie chce się panu i

władcy lizać stopy.

Zuza od dawna sugerowała, że w małżeństwie Misi realizuje się ten ponury scenariusz, ale pewnych bolesnych prawd nie chce się słyszeć, a już na pewno nie chce się ich przyjąć do wiadomości. Więc Misia zatykała uszy, wierząc, że im więcej z siebie da, tym więcej otrzyma.

Niestety, zrobiony podczas bezsennej nocy bilans wykazał absolutne manko.

Dobrze więc. Skoro jest tak, że otoczenie traktuje cię tak, jak ty siebie, spróbujesz inaczej. Zachowujesz się jak dumna królowa, ludzie przynoszą ci dary. Gniesz się na podłodze na czworakach, rzucają ci ścierę do zmywania. Taaak... Misia najchętniej wzięłaby tę ścierę i zdefasonowała nią Henrykowi...

Tylko spokojnie. Henryk wróci. Zawsze wracał. Pewnie zaszył się w jakimś klubie, a nad ranem ściągnie do domu wymięty i słaby. Potem pójdzie spać, potem zażąda rosołka (najlepszy na kaca) i okaże żonie łaskę, dając się jej zaprosić, jak gdyby nigdy nic, do miłej pogawędki. Tylko czemu na taką ewentualność przykładowa żona aż ścierpła w środku z oburzenia?

- Dzień dobry - padło nagle nonszalancko z boku i Misia odwróciła się zaskoczona. Przed nią stał jakiś drałgal.

Nie była niska, ale ten tutaj miał chyba ze dwa metry, i żeby mu się przyjrzeć, musiała zadrzeć głowę. No, no, z niedbale zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami i przyciętym wzdłuż podbródka zarostem wyglądał jakby go ktoś żywcem wyjął z TVN-u. Marcin Prokop po prostu. Do tego ten zapach. Ciężki, korzenny, mroczny. Zajęta własnymi myślami nawet nie zauważyła, kiedy podszedł, a teraz nie potrafiła wydusić z siebie choćby słowa. Na dodatek w długim skórzanym płaszczu i ciemnych okularach facet przypominał tajnego agenta. Prawie można było się przestraszyć. Misia rozejrzała się więc spłoszona po parkingu, ściskając nerwowo łopatę. Niby wszystko w porządku. Wokół dreptali zaafierowani przedświątecznymi zakupami ludzie, słońko wyglądało zza deszczowych chmur i słało na ziemski padół porządną dawkę energii - ale Misi powoli robiło się słabo. A nawet duszno, kiedy kątem oka zobaczyła zaparkowaną w niewielkiej odległości czarną

limuzynę. Drzwi do środka były otwarte, wyglądał stamtąd wyczekująco jakiś mężczyzna. Z obrzydliwie zakutą gębą. Na pewno kumpel tego tu...

- Dzień dobry - odpowiedziała wreszcie z pewną rezerwą, nie przestając popatrywać na boki, tym bardziej że drażał w płaszczu zablokował przejście pomiędzy autami, a odwrót uniemożliwiała ich podejrzana kolumbryna. Czyżby znalazła się w potrzasku?

- Mógłby się pan trochę przesunąć? - Wykonała dość gwałtowny krok w jego stronę, ale facet ani drgnął. Splótł przed sobą ręce i nie przestawał świdrować jej wzrokiem. Misię oblał zimny pot.

A jeśli to złodziej samochodów?!

- Pani Michalina Skoczylas? - ogromnie zdziwił ją pytaniem.

Czy takie typki znają nazwiska swoich ofiar? A czemu by nie. Jeśli złodziej jest profesjonalistą, a ten na takiego wyglądał, najpierw robi rozeznanie. Ustala dane, starannie planuje akcję...

- Pomyłka, żadna Skoczylas - postanowiła iść w zaparte, ale wielkolud nie zwrócił na to zbytnej uwagi. Zaczął wygadywać jakieś niestworzone historie.

- Hardy został aresztowany - palnął i obserwował jej reakcję.

Wbrew oczekiwaniom nie osunęła się z wrażenia zemdlona po masce samochodu wprost na parkingowy bruk. Nawet nie uniosła brwi, co przyjął, zdaje się, z niejakim zawodem.

- Hm, bardzo mi przykro, ale nie wiem, o czym pan mówi - ścisnęła łopatę, aż pobieleły jej dłonie i gorączkowo myślała właśnie, co powinna zrobić, jeśli facet wykona jakiś fałszywy ruch. Jeśli na przykład spróbuje ją udusić albo wyciągnie z kurtki maczetę ociekającą krwią. Zdaje się, że powinna wyć, wrzeszczeć i w ogóle dać taki popis, żeby usłyszeli ją nawet w dziale *Glazura*.

Popis?

Misia zaraz się skrzywiła. Problem polegał na tym, że nie cierpiała tłumy. Wszelkie masy ludzkie bez względu na

charakter zbiegowiska: festyny, koncerty czy kolejki w mięsnym, napawały ją takim lękiem, że nawet jadąc na zakupy, wołała je odstawić o poranku, kiedy markety świeciły pustkami. Publiczne awantury nie leżały w jej charakterze i tyle. Nic nie mogła na to poradzić.

- Proszę odsunąć się od mojego samochodu, chcę wsiąść - powiedziała tym razem nieco bardziej stanowczo.

- Hardego zamknęli za rozbój, powtarzam - facet znowu nadawał swoje, ale teraz w jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Napadł wczoraj na sprzedawcę w monopolowym, bo ten odmówił mu sprzedania wódki. A potem zdemolował sklep.

- Rozumiem - Misia wstrzymała oddech i zaraz przyszła jej do głowy absurdalna myśl. - Pan sobie ze mnie żartuje, tak? To jakiś kawał? Prima Aprilis? A tam czeka pana kolega i ma niezły ubaw? - skinęła na limuzynę. - Tylko że to miałoby sens, gdybyśmy się znali.

- Znam Hardego, to wystarczy - rzucił.

- Wie pan co, panie nieudolny złodzieju? - Misia zaśmiała się nagle, bo wpadła na genialnie proste rozwiązanie.

Jaki popis, jakie prymitywne przedstawienia? Wyciągnęła z torebki kluczyki i zadyndała nimi drągalowi przed nosem.

- Proszę uprzejmie. Są pana, proszę się moim samochodem cieszyć, ile wlezie. Tylko najpierw zabiorę swoje rzeczy. Mam tam kosmetyczkę. Chyba że potrzebne panu serum?

Musiała mu zabić gwoździa, bo choć nie widziała jego oczu, w wyrazie twarzy mężczyzny dostrzegła coś na kształt zaskoczenia pomieszanego z rozpaczą. Postanowiła wykorzystać tę chwilę przewagi i sięgnęła do drzwi. Niestety, zbyt raptownie. A że miała tylko jedną rękę wolną, kluczyki wraz z torebką wylądowały na ziemi. Tamten tylko na to czekał.

Rzucił się do torebki i tu już Misi puściły nerwy. Auto, proszę bardzo, i tak wybierał Henryk, poza tym było wielkie; zawsze miała problemy z parkowaniem. Ale torebka z zielonej skórki? Arcydzieło kaletnicze, po które pojechała aż do Krakowa? Nigdy!

- O nie! Mało ci, zbóju, zdemoralizowany mutancie jeden?

Torebki nie oddam! Po moim trupie!

Dalej wydarzenia potoczyły się same.

Naprawdę Misia nie podejrzewała, że potrafi zdzielić łopata ogrodniczą człowieka, i to przy świadkach. Ale to nie był człowiek. To była nędzna pijawka, która nie szanowała kobiecej własności. Na swoje usprawiedliwienie mogła jednak podać, że ostatnią myślą, jaka zaświtała jej w głowie, była ta, żeby jednak nie uszkodzić draniowi płata czołowego.

Łopata zaświszczała w powietrzu w zgrabnym zamachu i...

*

Niezły pasztet.

Komisarz Piotrek Marchewka był właśnie w trakcie rozmowy z prokuratorem, który oznajmił, że decyzja zapadła. Potrzymają Hardego w areszcie niby za rozbój, a dopiero potem dobiorą mu się do skóry. Potrzebowali miesiąca, może dwóch. Gdyby teraz oskarżono go o kierowanie organizacją przestępczą, dowody rozmyłyby się jak nic. A przecież Hardy nie mógł dostać kilku latek za drobne wymuszenia.

- Odwiedzisz jego żonę. Jeszcze dzisiaj - oznajmił prokurator, podkreślając wąsa. - Ktoś musi ją przecież zawiadomić. Powiesz, że mąż został aresztowany i...

- I?

- I wybadasz, jakie tam panują między nimi układy. Może się kłóć? Może nie żyją ze sobą dobrze? Wtedy wiesz...

- Namówić do współpracy? - upewnił się Marchewka.

- Jakie namówić? Nakłonić. I to skutecznie! - prokurator chrząknął. - Postaraj się, Marchewka. Ona na pewno coś wie, a my potrzebujemy tych informacji. Tylko z wycuciem, wiesz, co mam na myśli... Trzeba im się dobrać do dupy z rozmysłem. I to kiedy sami opuszczą gacie. Delikatnie z tą jego żoną, powiadam. Delikatnie!

Jasne.

Jeśli prokurator używał słowa „delikatnie”, pozwalał tym samym na użycie środków nadzwyczajnych, łącznie z szantażem, zastraszaniem i czym tylko, byle zastosowane metody były nie do udowodnienia, gdyby dziwnym trafem

wyszło na jaw, że funkcjonariusz nakłaniał do współpracy rozżarzoną pręcikiem. Wszyscy wiedzieli, że stary to niezła szuja, drżał przed nim cały wydział. A teraz uparł się na Hardego i Piotrek również zaczynał drzeć, bo środki nadzwyczajne jakoś do niego nie przemawiały. Niedobrze. Jeśli zawiedzie przełożonego, może pożegnać się z awansem.

- Tak, oczywiście - sapnął i wstał z miejsca, ale usiadł z powrotem, bo prokurator miał mu do powiedzenia coś jeszcze.

- A, widzisz, zapomniałbym o najważniejszym. Kradzież diamentów w Gdańsku. Pamiętasz sprawę? Było o tym głośno parę lat temu.

- Oczywiście, że pamiętam. Kradzież stulecia, targi gdańskie, rok dwa tysiące siódmy.

Prokurator posłał swojemu podwładnemu spojrzenie, w którym można było odczytać

ślad uznania, ale zaraz przywołał obojętny wyraz twarzy.

- Zgadza się. Teraz uważaj. Trzy z tamtych brylantów trafiły do nas, do Katowic. Dwa tygodnie temu przyniesiono je na Kościuszki, do jubilera.

- U nas? - komisarz prawie się ucieszył, ale nie widząc entuzjazmu po drugiej stronie biurka, przystopował. - A skąd wiadomo, że to te same?

- Jubiler zaczął się zastanawiać i do nas przekreślił. Wysłaliśmy je do Holandii, do wystawcy. Podobno identyczne szlify.

- I? - Marchewce z trudem przychodziło maskowanie podniecenia.

- I dokładnie to zbadasz. Posłałem ci na skrzynkę kopię aktu własności i certyfikaty. Tu masz dane baby, która to sprzedała - rzucił na biurko kartkę, do której Marchewka przywarł prawie całym swoim kruchym ciałem.

Czy on dobrze słyszał?

Diamenty?

Będzie się zajmował diamentami, a nie kanaliami takimi jak Hardy i reszta jego świty? Co za wieść cudna, błyszcząca... Nagle gęba prokuratora wydała się Marchewce mniej wredna

niż zwykle, a deszcz za oknem przestał napażać w parapet - stał się wesoło siąpiącym kapuśniaczkiem. Niestety, radość trwała krótko. Imię i nazwisko kobiety było komisarzowi dokładnie znane. Ryszarda Kociołek, sekretarka Hardego.

- Zaskoczyłem cię? - tym razem to prokurator wydawał się zadowolony.

- Raczej tak.

- Nie muszę chyba mówić, że jeśli Hardy ma z tym coś wspólnego, to jesteście w domu?

- Tak jest. - Komisarz wyprężył się na krześle jak struna. - Zajmę się tym. Z przyjemnością.

- I o to chodzi, Marchewka, o to chodzi. Zanim wtrąci się Warszawa, trochę powęszysz.

Tu masz nakaz, przeszukasz tej Kociołek dom. Jak znajdziecie resztę kamieni, aresztować. Jeśli nie, postawić zarzut kradzieży albo paserstwa, może się przestraszy i zacznie sypać. W końcu jej szef siedzi. No i szykuje ci się, Marchewka, podróż do Gdańska. Przyjrzyś się dokładnie tamtemu śledztwu, zrozumiano? Wypisz sobie na piątek delegację. A z żoną Hardego... - prokurator na zakończenie podniósł palec, jakby chciał coś szczególnie zaakcentować.

- Delikatnie - powtórzył komisarz i energicznie zasalutował.

Nawet jeśli diamenty miały związek z aktualną sprawą, dobrze się składało. W końcu to jakaś odmiana - ulewało mu się już narkotykami, prostytutkami i handlem paliwem, a od tego się w biografii Hardego aż roilo. Brylanty skubańca pogrzebią.

Ha!

Uśmiech nie schodził więc Marchewce z ust. Z finezją pokonał wszystkie skrzyżowania aż do ulicy Zawiszy Czarnego i dopiero na miejscu ochłonął. Jeśli chciał zdobyć zaufanie pani Hardej, wypadałoby przekazać informację o zapuszkowaniu jej małżonka w odpowiednim tonie. I raczej nie powinien to być ton jarmarcznej uciechy.

Odruchowo sprawdził adres. Zgadzało się. Pośród osiedla Tysiąclecia eksplodowało z ziemi kilka bloków nazywanych

powszechnie kukurydzami - używano tego określenia, mając na względzie architekturę, która rzeczywiście nasuwała takie skojarzenia, bo mieszkania oblepiały okrągłe budynki niczym ziarna kolbę.

Marchewka starannie zaparkował swoją machinę pod blokiem oznaczonym numerem dziewięć i popatrując wesoło na betonowego kolosa, skierował się do jego wnętrza.

Nie wiedział, że tym samym wyrusza na spotkanie z przeznaczeniem.

*

No coś z tą kobietą było nie tak.

O pomyłce nie mogło być mowy, a siostry bliźniaczki przecież nie posiadała.

Czemu więc wyparła się własnego nazwiska?

Igła widział tylko jedną ewentualność. Zadziera nosa i tyle. Może spojrzalaby na niego inaczej, gdyby stanął odlansowany w jakimś garniaku i błysnął od niechcienia Rolexem? A tak, potraktowała go protekcyjnie i chłodno, jak zwykłego parkingowego.

Mutant!

Takie infantylne przytyki słyszał ostatnio w liceum. Bynajmniej nie robiły na nim wrażenia - to znaczy dzisiaj, ale wtedy, owszem, przeżywał. W szkole mało kto pamiętał, jak ma na imię, wszyscy mówili o nim „ten wielki”. Sam o sobie też tak myślał, bo kiedy patrzył na własne stopy, ze zdziwieniem widział w dole dwa kajaki gotowe do spływu Drwęcą. Ale to już przeszłość. Dziś zrobił ze swojego wzrostu atut i żadna wyfiokowana panienka nie wejdzie mu na ambicję. Szeft ochrony Polski południowej, ot co. Wzrost plus masa plus inteligencja (nie krygujemy się, nie był przecież tępowym mięśniakiem) robiły z niego co najmniej człowieka niebezpiecznego. A nadętych księżniczek nie znosił.

Księżniczka Michalina.

Z daleka wydawała mu się starsza, teraz nie dałby jej nawet trzydziestki. Miała w sobie coś dziewczęcego, gdyby ją tak ubrać w zwykłe dzinsy i jakąś fikuśną koszulkę, wyglądałaby

całkiem znośnie. Po co kobiety dodają sobie lat makijażami i innymi takimi bzdetami? To się nazywa zamach na wdzięk. A potem ze słodką minką pytają: „Na ile wyglądam?”.

Wzięła go za złodzieja?

Igła zaśmiał się w duchu, kiedy zobaczył tuż przed swoim nosem kluczyki.

Nie udawała, chyba faktycznie doszło do nieporozumienia, pewnie dlatego że użył w rozmowie pseudonimu szefa, zamiast jego imienia. Zaraz, zaraz, ale skoro nie wiedziała, kim był Hardy, czy to by znaczyło, że nie miała o niczym pojęcia? Niemożliwe.

Zapowiadała się niezła zabawa, niech to szlag! Chrząknął i już miał blondynie wyjaśnić, co i jak, kiedy zaczęła wygadywać bzdury o jakimś serze, a następnie rzuciła się do auta. Upuściła przy tym torebkę, bo w drugiej ręce dzierżyła łopatę (po co jej łopata?) i tu dał za wygraną. Nadęta księżniczka czy nie - wypadło wyjść z gentlemenką inicjatywą i nie pozwolić kobiecie tarzać się po gruncie.

Schylił się więc i w jednej chwili jakby go zmroczyło.

Wokół wirowała zieleń, łopata, falbanki, coś piszczało... Chyba oberwał, ale od kogo, do diabła, nie miał pojęcia. Chwilę ta niemoc potrwała. W końcu jednak otrząsnął się i otworzył oczy.

Pierwsze, co ujrzał, to nogi. Długie i opalone. Kończyły się tam, gdzie rajstopy zbijały się w malowniczy klin. Obecnie daleko im było jednak do niepokalanej czystości, bo ich właścicielka wiała się z zapamiętaniem po asfalcie, nie bacząc przy tym na kałuże po niedawnym deszczu. Wierzganiu towarzyszyły rozpaczliwe jęki. To przez Gutka. Siedział właśnie na Michalinie okrakiem i brutalnie zakrywał jej usta swoją wielką owłosioną łapą. I zdaje się, że ten akt męskiej dominacji nadzwyczaj mu się podobał.

- W porządku? - zapytał Iglę, jak tylko zobaczył, że jego kumpel zdradza oznaki życia.

- Tak. Co ty wyprawiasz? - Iglę poderwał się na nogi, choć przyszło mu to z trudem. Głowa bolała. - Zostaw ją!

- Przecież dała ci w łeb! Łopatą! Jak ją zostawię, będzie się

drzeć. To jakaś wariatka.

Igła rozejrzał się z niedowierzaniem po okolicy. Żona Hardego jęczała przygwożdżona do ziemi Gutkiem, ale nie ustawała w próbach oswobodzenia. Wykonywała przedziwne wyrzuty tułowiem, które wyglądały na przedśmiertne konwulsje, a Gutek miał coraz bardziej zaciętą minę i po spojrzeniach słanych w kierunku bagażnika można się było domyślić, że rozważa związanie delikwentki linką holowniczą. Na domiar złego niedaleko przechodziła jakaś staruszka i zamieszanie pomiędzy autami najwyraźniej zwróciło jej uwagę, bo wyciągała głowę, usiłując dojrzeć, co dzieje się w dole.

- Zabieramy się stąd - zarządził Igła, masując miejsce po uderzeniu.

- A z tą co? - Gutek posłał żonie Hardego ostrzegawcze spojrzenie, ale nie podziałało, bo aktualnie próbowała ugryźć go w rękę. - Może lewarkiem ją?

*

Misia bardzo rzadko nie odbierała telefonów.

A jeśli już się to zdarzało, jako osoba obowiązkowa po jakimś czasie oddzwaniała. Zawsze. Były z Zużą przyjaciółkami, a od dwóch lat - współwłaścicielkami Studia Urody i Naturalnego Piękną „Femina” i traktowały się z troską i wzajemnym szacunkiem. Trwający kilka godzin brak kontaktu oznaczał tylko jedno.

Kłopoty.

Inwazję rybików, pękniętą rurę, ewentualnie masakrę małżeńską (czyt. kłótnię), z której Misia uszłaby z życiem, ale dobijano by ją właśnie w jednym ze szpitali. Zuza zaczynała więc poważnie się denerwować. Ostatnio rozmawiały w nocy, kiedy to Henryk wykonał swój popisowy numer z wpędzaniem żony w poczucie winy. Było już późno, dlatego darowały sobie spotkanie, mimo że mieszkaly w bliskim sąsiedztwie. Misia w kukurydzy, Zuza niecały kilometr dalej na obrzeżach osiedla w dość magicznym budynku opatrzonym tabliczką: ul. Zielony Zaulek 3.

Tam właśnie miały się zobaczyć dziś rano, co zresztą było ich

stałym zwyczajem. Misia zajeżdżała po przyjaciółkę przed pracą, a po malutkiej kawce - która często przyjemnie się przeciągała - rozpoczynały kolejny dzień. Celebrowanie poranków było o tyle możliwe, że nie musiały już stać z kluczami przed budynkiem punkt dziesiąta, obecnie zajmowali się tym pracownicy. I dziś Misia po raz pierwszy nie stawiała się na posterunku. Nie odpowiadała również na telefony, a w „Feminie” powiedziano Zuzie, że pani Michalina jeszcze nie dotarła.

Czy aby Henryk nie...?

Może wrócił w nocy pijany, może wszczął burdę, która skończyła się, nie daj Boże, pobiciem? Zuza wcale by się nie zdziwiła. Odkąd poznała Misię (a było to jeszcze na studiach), zachodziła w głowę, co przyjaciółka widziała w swoim wybranku. Opalony szatyn, owszem, Henrykowi nie można było odmówić urody, ale ta podlizna, która wyczerała z gęby rasowego podrywacza, była aż nadto czytelna. Uświadomienie powyższego faktu Misi nie miało jednak większego sensu. Przynajmniej do niedawna, choć rysy na pomniku, który przyjaciółka wniosła Henrykowi, zaczęły powstawać jeszcze przed złożeniem przysięgi małżeńskiej. Matoł zażądał intercyzy!

Niestety, zamiast wykopać go z całą tą jego intercyzą w kosmos, Misia wybrała inną opcję. Uniosła się honorem i wyraziła na szaleństwo zgodę. Tym samym podpisała na siebie wyrok. Założenie przez nią na palec obrączki spokojnie można było porównać do otrzymania posady w domowym biurze rachunkowo-rozliczeniowym. Rzecz jasna, jego właściciel dbał, żeby wycyckać pracownicę z każdej złotówki. Do „Feminy” też się nie dołożył. Misia musiała wziąć kredyt. W sumie bardzo dobrze, żaden palant nie będzie się teraz obłudnie podpisywał pod ich sukcesem. Miśka, do cholery, gdzie jesteś?! Dlaczego nie dzwonisz?

Zuza naprawdę się martwiła. Nie tracąc czasu na przygotowanie śniadania, chwyciła w locie parę produktów z lodówki i zapakowała je do torebki. Zje w pracy. Najważniejsze to odnaleźć przyjaciółkę.

Pod dziewiątkę dotarła z szybkością trąby powietrznej. I z taką samą energią wpadła na faceta, który z nabożeństwem przyciskał guzik windy. Ciasne te korytarze.

- Pardonik - wydukała nieuważnie i również przypuściła atak na przycisk, wsłuchując się z napięciem we wnętrze budynku. - Jedziesz, franco, czy nie?! - Z trudem opanowała się, żeby nie przygrzmocić pięścią w drzwi.

Pomimo wdzięcznej perswazji winda ani drgnęła.

Drgnął za to przycupnięty przy ścianie facecik, który jakby się w sobie zapadł i lustrował właśnie Zużę bacznym spojrzeniem. Zdaje się, że był lekko zszokowany. A może zafascynowany? Całkiem prawdopodobne, nie on pierwszy i nie ostatni. Ale co tam facecik, czas galopował jak oszalały. A jeśli Misia kona na ósmym piętrze, a Henryk usuwa właśnie Cifem krew z paneli?

- Kij ci w oko! - Zuza rzuciła pod nosem i już chciała biec do schodów, ale widocznie coś się tam u góry przełamało, bo rozległ się znajomy rzęgot i winda ruszyła.

Facecik zakaszłał i również ożył. Podszedł bliżej.

- Pani cały czas mówi do...? - zawiesił znacząco głos i rozbawiony popatrzył w sufit.

- No, raczej nie do pana.

- Aha. Tak tylko chciałem się upewnić - dodał i chyba się uśmiechnął, ale Zuza już zdążyła odwrócić od niego wzrok. Chłopak był wzrostu kija od szczotki, a ona szczerze nie przepadała za Pigmejami. Umówmy się: mężczyznę musi być jednak widać. I to nie pod mikroskopem.

Ale zachować się potrafił. Otworzył jej drzwi i puścił przodem. Potem jednak zrobiło się gorzej. Jednocześnie sięgnęli do guzika z ósemką i na chwilę ich dłonie się zetknęły, co na Zuzie wywarło spore wrażenie. A dokładniej mówiąc, nadspodziewanie krępujące wrażenie, bo dotyk facecika był zdecydowanie miły. I ciepły. I jednak przebywanie sam na sam na tak małej powierzchni, choćby z kurduplem, również nie pozostaje bez znaczenia. Cholera, przez moment zrobiło się nawet irytująco intymnie!

- O, przepraszam - tamten dał susa w narożnik windy

(mały robaczek, ale skoczny), co zaraz odczuli, bo podłoga zakołysała się pod ich stopami.

- Nic nie szkodzi - Zuza zdawkowo przyjęła przeprosiny i nerwowo poprawiła włosy. - Ale ze skokami wzwyż proponuję się jednak wstrzymać - dodała chłodno. - Przynajmniej dopóki nie wysiądę.

- ...dziemy - facecik sprostował z kąta i chyba wypowiedział to w złą godzinę.

W tej samej bowiem chwili nad ich głowami coś odrażająco zazgrzytało. Winda z jakimś ociąganiem pokonała jeszcze parę pięter, ale zaraz potem rozkołysała się tak gwałtownie, jak gdyby rwała się na długo oczekiwaną wolność.

Po czym stanęła.

- I co? - Zuza zadarła głowę i przez chwilę kontemplanowała sytuację, ale bynajmniej nie zamierzała robić za rozdygotaną lady w opalach. A tak by pewnie było, gdyby utknęła tu z roslym osiłkiem i jego delikatnym ego. Na szczęście przy takim okruszku mogła być sobą, czyli kobietą zaradną, której nie przerazi wypróżniająca się w locie mucha, a co dopiero popsuta winda.

- Dobra, najpierw zrobimy sobie kanapkę - oznajmiła, wyciągając z torebki kawałek kielbasy, którym wymownie zagibała w powietrzu. Stres zawsze objawiał się u niej napadem głodu. Całe szczęście, że była na taką ewentualność przygotowana. - A potem pomyślimy, z czego można by wykombinować drabinę. Bo chyba wyłazimy stąd przez sufit?

*

W Misie wpatrywały się dwie pary oczu.

Oprawca, który wciskał ją w asfalt na parkingu, kontemplanował jej dekolt wyblakłymi jak ślaski nieboskłon oczkami. Te należące do wielkiego bruneta miały z kolei kolor psiej karmy, oczywiście podlejszego sortu. Ściągnął wreszcie okulary i Misia mogła mu się przyjrzeć. Na oprycha wyglądał teraz znacznie mniej, a nawet musiała przyznać, że gdyby spotkali się na ulicy, posądziłaby go o przyzwoitość. Niestety, do tego był diabelsko przystojny, a w spojrzeniu pod zaczesaną

do tyłu grzywą zalatywało inteligencją. Choć wyraz twarzy miał wyraźnie zde gustowany.

Igła.

Tak mówił do niego ten drugi.

- Przestanie pani wreszcie odstawiać szopki? - powiedział znużonym głosem, bo znowu usiłowała szarpać za plecami kłamek.

Zatrzymali się na stacji benzynowej i właśnie pojawiła się możliwość oswobodzenia, z której Misia postanowiła za wszelką cenę skorzystać. Drzwi oczywiście były nadal zablokowane, ale może uda się stłuc szybę? Łopatę zostawili razem z jej autem pod Castoramą, jedyne co miała pod ręką, to buty. Musi spróbować.

- Nikt nie chce pani skrzywdzić. Gutek, wytłumacz jej, bo mi już nerwy puszczają - dodał brunet, ale zaraz zmarszczył brwi i złapał się za głowę, po której dopiero co oberwał. Zaklął pod nosem tak ordynarnie, że Misia aż przełknęła ślinę. Jak dla niej na tej pięknej gębie odmalowała się właśnie tłumiona żądza krwi.

Uciekać!

- A nawet jakby tu szanownej pani poderznąć gardelko... - dołożył z uciechą oprych nazwany Gutkiem, po chwili jednak poprawił się pod ostrzegawczym spojrzeniem kumpla. - Nie, oczywiście, że nie, szkoda tapicerki... No i żona szefa... Ale jakby... To szanownej pani i tak nikt nie usłyszy. Szybki mamy kuloodporne. I dźwiękoszczelne. Nawet jakby użyć... - uchylił kurtkę i zaprezentował Misi zatknięty za pasek pistolet - takiego tam złomu, to też ni hu hu... Bezszerowo.

- Chcemy tylko porozmawiać - zapewnił niemrawo brunet, ale Misia była już zdecydowana walczyć do końca.

Pistolet? A niech ją zastrzelą. Nie będzie potulnie siedzieć i czekać na śmierć. Tapicerka? Już ona zadba, żeby ślady przelanej w nieuczciwej walce krwi - jej krwi - ułożyły się na tych szmatach w wykwintny wzorek.

Teraz!

Szybkim ruchem ściągnęła z nogi szpilkę i z całej siły walnęła nią w szybę. O dziwo, nikt nie usiłował jej powstrzymać. Nikt

nie wyrwał jej z rąk niebezpiecznego narzędzia, nikt nie mrugnął nawet powieką. Znaczący się, porwania i próby ucieczki niewinnych niewiast są w tym towarzystwie na porządku dziennym. Panowie patrzyli na jej wysiłki z rosnącym zaciekawieniem, ale raczej bez emocji. Tylko ten podlec, Gutek, zarechotał.

- A nie mówiłem? - skomentował, kiedy na szybie nie powstała nawet rysa. - Nie mówiłem? Ale nie, baba zawsze musi sprawdzić. Z moją to samo. Tysiąc razy powtarzaj jej...

- Gutek, daruj sobie szczegóły, ja cię proszę. I bez tego łeb mi pęka - brunetowi zdziwiło się już słuchanie osobistych wynurzeń personelu. - Usiłuję się z panią porozumieć. Kulturalnie! Jak nie umiesz pomóc, lepiej się zamknij. A pani już skończyła? - ostatnie słowa były najwyraźniej skierowane do niej.

- Kulturalnie?! - Misia krzyknęła na to z rozpaczą i nie myśląc wiele, zamachnęła się na Gutka (siedział bliżej) trzymanym w rękę butem. Niestety, obrzydliwcowi udało się uchylić, a szpilka wylądowała gdzieś w okolicy skrzyni biegów. Wtedy ją olśniło.

Korale!

Przecież ma jeszcze korale, gdyby tak podduśił bruneta od tyłu, kiedy prowadzi... Wypadek samochodowy jest raczej w ruchu ulicznym nie do przeoczenia, czy się jedzie furmanką, czy wypasionym kuloodpornym czołgiem. O własnym poturbowaniu nie pomyślała, i tak nie miała wiele do stracenia. Najważniejsze, że po wszystkim będą musieli otworzyć drzwi, choćby policji. Uspokoila się więc nieco, ale nadal wypadało okazywać zdenerwowanie.

- A to porwanie, pistolet?! - wyliczała. - A tarzanie po ziemi, zatykanie ust?

- No, jak się ustami kłapie, że aż...

- Gutek! Dobra, pani się relaksuje, Gutek zamyka twarz. Spokój ma być! - brunet zdenerwował się nie na żarty. - Próbowałem na parkingu wyjaśnić sytuację, a pani spanikowała. Dlatego nas trochę poniosło - zaczął się niechętnie tłumaczyć, ale Misia rozumiała coraz mniej.

- Spa...nikowała?! To wyjaśnijcie mi sytuację i mnie puście!

- Oczywiście nie zamierzamy pani przetrzymywać - zapewnił pospiesznie i po raz pierwszy prawie mu uwierzyła, bo minę miał taką, jakby właśnie odkrył, że zaraził się pryszczycą. Pragnienia zacieśnienia więzi w tym zdecydowanie nie było. Wręcz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten kompletnie obcy facet czuje do niej... obrzydzenie? Co za nonsens. - Chcieliśmy tylko, żeby rozmowa przebiegała w atmosferze wzajemnego zrozumienia.

- Tak? Poderżnięcie gardelka! - Misia wykrzyczała w stronę Gutka. - Kuloodporne szyby? I dźwiękoszczelne?! To ma być atmosfera? Kim wy, do cholery, jesteście?

- Pracownikami pani męża - odparł spokojnie brunet, i jego kumpel pokiwał zgodnie głową i zrobił usta w ciup, jakby co najmniej wypłacono mu właśnie premię kwartalną.

- Jakiego męża?!

- Pani męża. Hardy to ksywa. Henryk Skoczyła, mówi to pani coś?

- Ksywa? - powtórzyła Misia w kompletnym ogłupieniu. - To jakaś potworna pomyłka, mój mąż jest biznesmenem. Ksywy to mają recydywiści!

- No, na recydywę szanse są, fakt - mruknął Gutek, niby do siebie. - Już raz siedział.

- Pomocy! - Misia ponownie rzuciła się do klamki, bo w ostatnim akcie rozpaczy uznała, że ma do czynienia z osobnikami niepoczytalnymi. Nie mogło być inaczej. Chyba że to jacyś narkomani. Też fatalnie.

- Milczeć i wysłuchać mnie do końca - brunet miał już dość. W jego głosie zabrzmiało coś takiego, że Misia usiadła potulnie w fotelu i siorbnęła nosem.

- Ale puście mnie? - zapytała cichutko, a po twarzy wielkoluda przemknął jakiś cień. Czyżby przejaw ludzkich uczuć?

- Puściecie - przytaknął. - Sprawa wygląda tak...

Piotrek Marchewka wpatrywał się w siedzącą obok kobietę z jawnym oczarowaniem.

Nie potrafił już tego dłużej ukrywać. A zachwycić było go trudno. W końcu był weteranem portalu Darling.pl i z kobietami spotykał się aż nadto regularnie, poza tym miał do perfekcji opanowane techniki rozpracowywania przeciwnika z racji wykonywanego zawodu.

Wgryzająca się w kielbasę ślicznotka była absolutnie wyjątkowa. Burza ciemnych loków, olbrzymie niebieskie oczy i słodkie usta, które kształtem przypominały serce. Już on umiał to ocenić, była pełna naturalnego wdzięku. Do tego błyskotliwa i wrażliwa.

- Jaja sobie, oczywiście, robię z tym uciekaniem przez sufit - popatrzyła w górę i po- gmerała w torebce. - Na MacGyvera pan przecież nie wygląda, hi hi. Potrzymano pan? - władczo obdzieliła go zalatującą czosnkiem myśliwską, żeby po chwili wydobyć na świat kolejny artykuł spożywczy. - Ogóreczka? Mam dwa.

- Bardzo pani miła, naprawdę. Ogóreczka to może bym i skosztował - przełamał się komisarz, bo zaczęło go dziwnie smyrać w brzuchu. Jednak niektóre panie nie powinny publicznie wkładać ogórków do ust.

- Zasięg tu zdycha. Wiem, bo raz już się zatrzasnęłam - trajkotała - więc nigdzie się nie dodzwonimy. Jedyne, co nam pozostaje, to narobić rumoru. Ale przedtem to ja muszę nabrać sił. Śniadania nie jadłam przez przyjaciółkę. Która zaginęła.

- O! - Marchewka zainteresował się odruchowo, bo oczami wyobraźni ujrzał siebie prowadzącego poszukiwania, które byłyby przecież okazją do częstego widywania tej czarującej istoty.

- To znaczy, chyba zaginęła. Mogła jej się też rozładować komórka.

- Tak, to się zdarza.

- No właśnie jednak średnio, bo Misia wszystko kontroluje i jest na bieżąco. Także się denerwuję. Nie mam z nią kontaktu od rana.

- Może śpi? W sumie jest dopiero około jedenastej.

- Śpi? Wykluczone - nimfa skosztowała kielbaski i lekko czknęła. - Nie zna pan Misi. Dziesiąta to dla niej środek dnia. Ona już o ósmej pichci obiadek, żeby nie musiała gotować po pracy. Maszyna nie kobieta. Nie żebym sama nie lubiła mieszać w garze, ale nie skoro świt! Bez przesady jednak.

- Ja zagotowaniem wręcz przepadam - zapewnił gorliwie komisarz, odnotowując doniosły fakt, że słowo „gar” w tych wiśniowym ustach brzmi jak najśłodsza obietnica.

- Serio? - Piękność dostała już regularnej czkawki i do usłyszanego właśnie zwierzenia nie przyłożyła zbytnej wagi. - Żeż cholera! A miałam zabrać colę - dodała tęsknie.

Czkanie bezbronnej niewiasty podziało na komisarza wręcz piorunująco. Nie będzie przecież tu tak siedział jak niedojda jakaś! Trzeba działać, podbijać świat i w ogóle usuwać przeszkody. Poza tym walenie w blaszane wrota ile sił w pięściach to świetny sposób na rozładowanie emocji. A tych się w Marchewce jakoś nazbierało. Zostały więc wyrażone pokazowo i to z taką mocą, że zjawisko przestało czekać, bo uznanie sparaliżowało jej przeponę. Jednakże prezentowała się rozkosznie nawet z opadniętą szczęką.

- Ale dał pan popis, no, no - cmoknęła z uznaniem.

Wokół wszystko nadal drgało, łącznie z komisarzem, który dla odmiany poczuł, że rośnie. Dla takiego spojrzenia warto było zdemolować nawet Drzwi Gnieźnieńskie.

- Piotrek Marchewka - zasalutował ochoczo, stając na baczność, od czego na nowo rozhuštała się podłoga. - Komisarz policji.

Bóstwo od razu się zainteresowało. Wytarło po posiłku usta spódnicą i też dźwignęło się do pionu.

- Komisarz? Niemożliwe. Z nieba mi pan spadł! - krzyknęła uradowana. - Będzie pan świadkiem.

- Że na przykład... o co chodzi? - nie nadażał, ale prosił bardzo. Może być świadkiem, przestępcą... Zaraz, zaraz. Ta kobieta działała na niego stanowczo zbyt silnie.

- Jak to o co? O moją przyjaciółkę. Właśnie do niej jadę, na ósme - zerknęła ponuro na tablicę z przyciskami. - Ja to

myślę, że coś jej się stało. Ona ma męża...

- A pani?

- Co: ja?

- Czy pani ma męża?

Kobieta aż zachłysnęła się od nagłego śmiechu. Ciekawe, przecież nie powiedział nic zabawnego.

- Ja, męża? W życiu. Jeszcze mnie nie pogięło!

Błyskotliwość, co za niespotykana błyskotliwość.

- A to coś złego mieć męża? - pozwolił sobie zadać pytanie, nie wiedzieć czemu, ścisząc potulnie głos.

- Złego? Chorego raczej. Pan sobie wyobraża z jedną babą do końca życia... ten tego?

- Ten tego? - powtórzył i analizował w duchu usłyszane właśnie słowa.

- Mam się wyrazić wulgarnie? „Ten tego” nie przemawia?

- A, ten tego! - Polितowanie w jej głosie było jak policzek. - Rozumiem, ten tego, oczywiście. Nooo... Wyobrażam sobie - potwierdził, wspominając z rozczuleniem pewnego chrupkiego ogóreczka.

- To pan jest hipokryta - usłyszał i szczerze się obruszył.

- Ale dlaczego? Jak to hipokryta, dlaczego hipokryta?!

- Bo popędu, proszę pana, nie da się zaobrączkować. Zuzia jestem. Dlatego. - Wyciągnęła przed siebie energicznie dłoń i komisarz ogłupiał doszczętnie. Wszystko mu się już mieszało. Zuzia? Zuzia, Zuzanna, Zuzka. Cudownie!

- Zaraz, bardzo mi miło, Piotrek Marchewka...

- No, i widzi pan? Już się pan przedstawiał. Chłopom to się wszystko pieprzy. Dosłownie i w przenośni. I dlatego ja z jednym bym nie mogła. To jest absolutna manipulacja społeczna to całe małżeństwo. Ja się tam wolę w życiu pie... z wieloma. Pietruszka?

- Marchewka. Piotrek.

- Właśnie, z wieloma. Kobietom też się należy!

- Nie mówię, że nie - słabo zaprotestował komisarz i osunął się na podłogę. Tempo wymiany zdań zwyczajnie go oszołomiło.

- No, ja myślę! Bo trzeba mieć, proszę pana Piotrka

Marchewki, odwagę. Jak kobieta w Polsce otwarcie wyraża swoje niepopularne wśród mężczyzn poglądy, to się zaraz z niej robi nawiedzona wariatkę. Albo feministkę.

- O tak, ja wierzę. Pani jest odważna - zapewnił cokolwiek niemrawo.

- Niestety, z tym bywa różnie - pani Zuza nieoczekiwanie spuściła z tonu i usiadła obok. Na szczęście cały ten drapieżny entuzjazm już z niej wyparował. Komisarz nie był pewien, czy zniósłby go więcej. - Raczej się staram, niż jestem. Ale męża za cholere mieć nie chcę!

- A ja chcę mieć cholere za żonę. To znaczy... Za cholere chcę mieć...

- I na tym to właśnie polega. Jeden lubi ogórki, drugi i ogrodnika córki.

- Ogórki? - Piotruś zbystrzał.

- Takie powiedzenie jest. Dobra, dobra, a pan komisarz co robi w tej windzie? I w tym bloku, bo chyba pan tutaj nie mieszka? Widzę pana pierwszy raz.

- Ale chyba nie ostatni? - wyrwało mu się, ale zaraz pożałował swojej szczerości, bo u pani Zuzy nie dostrzegł chęci kontaktu. Zawodowo się nim jednak interesowała, a jakże. Może więc pociągnąć ten wątek?

- Jestem na służbie - wyjaśnił.

- Przyszedł pan kogoś aresztować? - zachichotała.

- Raczej nakłonić do współpracy. Żonę mafijnego bossa. Takie tam...

Oczy pani Zuzy pociemniały.

- Ludzie to doświadczają atrakcji. W pracy - uściśliła i nagle się zasmuciła, ale emocje zmieniały się u niej z prędkością światła. W oczach Zuzy pojawiły się zaraz ciekawskie błyski, najwyraźniej myślała już o czym innym. - No, niech pan opowiada!

- Ale o czym?

- O tej żonie. Żoną mafijnego bossa to bym mogła być - powiedziała z rozmarzeniem. - Strzelanina we wtorek, buty z cementu w piątek...

- Ale przecież mówiła pani...

- Panie Pietruszka, doskonale wiem, co mówiłam. Co pan tak literalnie wszystko odbiera? Pomarzyć nie wolno?

- Literalnie? Nie, jasne...

- I co z tą żoną? Wie pan już, jak będzie nakłaniał? Szantażyk, przekupstwo? I co na to mąż, bo bossi bywają nieobliczalni?

- Boss na szczęście już jest obliczalny - komisarz przełknął ślinę, bo zaczął się zastanawiać, czy on aby nie za bardzo kłapie jęzorem. I czy ktoś tu nie zadaje za dużo pytań. Jakby nie było, obowiązywała go tajemnica służbowa. Chociaż, bez przesady. Jaki ta urocza istota mogła mieć związek z Hardym? - Obliczyliśmy, że parę lat posiedzi. Albo kilkanaście, jeśli dobrze pójdzie. Mamy go już w areszcie.

- A, i chcecie, żeby bossowa zaczęła sypać, bo potrzebujecie na niego haka?

- Haki to mamy, i to nawet sporo, ale przydałaby się pomoc w rzucaniu przynęty.

- I ona się zgodzi? Wyda wam własnego męża...? - pani Zuza pokręciła sceptycznie głową. - Nie wierzę.

- Oj, bossowie to mają paskudne charaktery, wie pani? I rzadko się zdarza, że bywają dobrymi mężami. Pieniądze bardzo człowieka psują, a jeszcze takie pieniądze... Więc nie zdziwiłbym się, gdyby żona wołała, żeby jej mąż cieszył się fortuną, ale zza krat. Tym bardziej, kiedy dowie się, że jest zdradzana.

- A jest, czy to jakaś wasza sztuczka?

- Ależ skąd - komisarz szczerze się oburzył. - Jest, jest. Facet od dawna ma kochankę.

Razem „pracują” - dodał z przekąsem. - Uwili sobie gniazdko na Nikiszowcu, mamy fotografie, nagrania, SMS-y.

- To jak gad prowadzi podwójne życie, to bardzo dobrze - pani Zuza, zdaje się, była za stałością związków. Dobrze i to. - Niech gnije w więzieniu, a kobiecie powiedzcie prawdę.

- Taki mam właśnie zamiar. Oczywiście.

- Tylko że jak śmierdziel się dowie, że ona z wami współpracuje...

- Nie dowie się. Anonimowość jest w pakiecie, ma się

rozumieć.

- Taaak - zakpiło bóstwo. - Jak on jest prawdziwym bossem, to ma w policji wtyczkę. I ta jego żona raz dwa będzie sztywna. Zaśnie w kąpeli, czy coś... Ale boss mafijny? Tutaj? - pani Zuza rozejrzała się po windzie z powątpiewaniem. - Na Tysiącleciu? Tacy gangsterzy to mają wypasione chaty pod miastem.

- A, nie wszyscy - zaproponował komisarz. - Są też tacy, którzy nie chcą się afiszować. W takim blokowisku można sobie całkiem przyjemnie żyć. I nie rzucać się w oczy.

Tak miło rozpoczętą pogawędkę przerwał naraz jakiś łomot. Zdaje się, że ktoś naśladował komisarza i okładał pięściami drzwi, z tym że parę piętér niżej. Oboje jak na komendę rzucili się, żeby odpowiedzieć. Krzyczeli przy tym tak, że Zuza zaczęła się obawiać o swoje gardło. Ale w końcu zobaczyli, a raczej usłyszeli efekty swoich działań. Ktoś musiał zawiadomić obsługę dźwigu, bo u góry znajomo zazgrzytało, po czym winda drgnęła i bardzo powoli zaczęła zjeżdżać w dół. Nareszcie wolni!

- To co? - komisarz z każdym pokonywanym metrem czuł się coraz gorzej. Za chwilę się rozstana, a potem straci ją z oczu. Chociaż nie, chciała, żeby poszli razem do mieszkania przyjaciółki. Może tam faktycznie coś się stało, trzeba to sprawdzić, koniecznie. - Wracamy na ósme?

Pani Zuza już chciała wcisnąć przycisk, kiedy rozdzwoniła się jej komórka.

- O, jest zasięg! Działa od drugiego piętra, skubany - skwitowała i wyciągnęła telefon. - Michalina, nareszcie! - krzyknęła z ulgą do słuchawki. - Co się stało? Poczekaj... - Omiotła Marchewkę uprzejmym, ale nieuważnym spojrzeniem i rzuciła mu na pożegnanie: - Dzięki wielkie za windę, miło się rozmawiało. Przyjaciółka już się znalazła, więc proszę się nie krępować i ścigać żonę bossa. Bye bye.

*

Kiedy tylko odwieźli żonę Hardego pod Castoramę, Gutek nie wytrzymał i wyrzucił to, co mu leżało na wątrobie.

- Jak można latami wciskać babie, że się jest biznesmenem?

- Widocznie można - Igła westchnął i pogрузzył się w niewesołych rozmyślaniach.

Takich komplikacji nie przewidział. Kiedy do żony Hardego dotarło, że jej małżonek,

owszem, prowadzi firmę leasingową, ale przy okazji trzęsie całym przestępczym półświatkiem na Śląsku, rozegrał się drugi akt tragedii. Od jej płaczu autem huštało tak, że resory ledwo wytrzymały. A co dopiero on. Czuł się zupełnie bezsilny. Gdyby można było komuś na- trzaskać po ryju albo chociaż zwichnąć nóżkę, to co innego. Ale przez kwadrans słuchać rozpaczliwego zawodzenia? Masakra. A już całkiem głupio zrobiło mu się, kiedy pomyślał, że Hardy ukrywa przed swoją żoną jeszcze jedną wstydliwą sprawę. I nie tylko przed żoną. O kochance szefa, oprócz Igły, nie wiedział w firmie nikt. Mimo że wszyscy razem pracowali i widywali się niemal codziennie. Szczwany lis. Co jak co, ale Hardy miał nieprawdopodobny talent do tworzenia zasłon dymnych. Ciekawe, czym jeszcze ich zaskoczy. Bo tego był Igła pewien.

- Nie, nie o to mi chodzi - głowy Gutka bynajmniej nie zajmowały dylematy moralne, ale techniczna strona przedsięwzięcia. - Móc to można, ale jak można się nie wsypać? To jest pytanie.

- Ucz się, młody, ucz. Od mistrza.

- Hardy mi zaimponował - zdecydował Gutek i zapatrzył się w szybę.

- Może to z troski o żonę?

- Z czego? - hipoteza Igły spotkała się z krytyką. - Hardy troszczy się tylko o swój tyłek. Tak jakbyś go nie znał.

- Fakt, im mniej żona wie, tym lepiej - przyznał, ale z niezbyt wielkim przekonaniem. - Przynajmniej nie trzeba się tłumaczyć.

- Oczywiście oczywistość. Ty - Gutek naraz zbystrzał - czemu ty jej nie powiedziałaś, że się do niej wprowadzasz, i to jeszcze dzisiaj wieczorem?

Iglę gryzło dokładnie to samo.

- Jak?! A wyobrażasz sobie, co by było, gdybym w takiej chwili dołożył jeszcze i to? Zasmarkałaby nawet skrzynię biegów.

- To co teraz będzie?

- Niespodzianka - rzucił ponuro Igå i wrócił myślami do swojej umowy z Hardyem, która brzmiała bardzo jednoznacznie.

Musiał obiecać, że gdyby szefa aresztowano, zaopiekuje się jego żoną. Z tym, że opieka miała polegać na wspólnym dzieleniu mieszkania. Jaki był w tym sens, wiedział tylko Hardy, który nie miał w zwyczaju nikomu się zwierzać.

- Masz u mnie zamieszkać i koniec. - Do dziś słyszał w głowie jego słowa. - Choćby w kiblu, jeśli Michalina nie da ci wolnego pokoju. I masz tego mieszkania, to znaczy mojej żony, strzec jak oka w głowie. A jak nie, to ja ci to oko wydłubię. Kraty mnie nie powstrzymają.

W to Igå nie wątpił. Minął zaledwie kwadrans po tym, jak ich zawiadomiono, że Hardy siedzi, a otrzymał kolejny telefon. Rozmówca bynajmniej się nie przedstawił.

- Igå?

- Zależy dla kogo - odpowiedział ostrożnie.

- Dla pana Hardego.

- Dla Hardego Igå.

- To pan Hardy przypomina o umowie. Obowiązuje od dzisiaj.

- O jakiej umowie? - próbował grać na zwłokę, ale ten po drugiej stronie ani myślał wdawać się w dyskusje.

- Umowa. Dzisiaj.

Niespodzianka? Gutek nie bardzo rozumiał. Nie był szczególnie bystry, pewne treści dochodziły do niego zazwyczaj z pewnym opóźnieniem.

- Jak to: niespodzianka?

- Normalnie - Igå uciął i zapalił silnik. - Komu w drogę, temu walizka. Jedziemy, muszę się spakować.

*

Misia nie chciała niczego tłumaczyć przez telefon, a jej głos

brzmiał tak grobowo, że Zuza się przeraziła.

- Przecież słyszę, że płakałaś. Co się dzieje? - usiłowała wydusić z przyjaciółki chociaż kilka słów wyjaśnienia.

Bezskutecznie.

- Zuza, zaraz ci wszystko opowiem, nie męcz mnie. Gdzie jesteś?

- U ciebie. To znaczy pod twoim blokiem.

- Ja do siebie nie mogę. W ogóle nie wiem, czy tam wrócę. Jedź na Zaulek, będę za dziesięć minut.

Zuza przeczuwała, że stało się coś strasznego, a kiedy przyjaciółka stanęła w drzwiach jej mieszkania, prawie Misi nie poznała. Wyglądała jak upiór. Nie dość, że cała była wymięta i brudna, to w oczach miała coś tak przeraźliwie smutnego i bezbronnego, że Zuzie prawie pękło serce. Objęła ją mocno. Dopiero po paru minutach Misia wychrypiła jej w szyję:

- Jestem żoną bandziora.

- No! - Zuza krzyknęła ochoczo. Czyli jednak małżeńska sprzeczka. Ale chyba miała dość burzliwy przebieg. - Cieszę się, że w końcu to pojęłaś.

- Nie, nie rozumiesz. Jestem żoną bandziora. Prawdziwego bandziora.

- Ale co? Popenił jakieś przestępstwo? Nie wysłał PIT-a na czas, potrącił na pasach staruszkę? Nie trzymaj mnie w niepewności!

Misia popatrzyła jej bardzo poważnie w oczy i już bez jednej łzy powiedziała:

- Henryk, mój... były Henryk... to Hardy.

- Przecież zawsze ci powtarzam: hardy, gnuśny, chamski patafian.

- Zuza, Hardy to ksywa. On jest szefem mafii. Śląskiej. Cały czas mnie oszukiwał. Nie jest żadnym biznesmenem, to bandzior. Handluje węglem, paliwami i jeszcze nie wiadomo czym, wszystkie szemrane interesy. Mafijny boss cholerny! *Capo di tutti capi*.

Zuzie zrobiło się zimno w okolicy żołądka. Przeleciała jej przez głowę cała niewinna rozmowa ze skocznym policjancikiem z windy. Czy to możliwe? Zwykła, normalna

kobieta okazuje się żoną mafiosa? Jej Misia? Musiała się opanować, żeby nie parsknąć śmiechem. Bo przecież nie będzie płakać. Chociaż, jeśli policjancik mówił o Misi, to przyjaciółkę czekała kolejna rewelacja.

Kochanka.

- Ja pierdykam! - Zuza z wrażenia złapała się za głowę i dopiero teraz rzuciła się zamykać drzwi. Sąsiedzi nie muszą przecież wiedzieć, że niektórym właśnie wali się świat. Na łeb na szyję. - Misia!

- Miałaś co do niego rację. Od samego początku. To wredna świnka. Czemu cię nie posłuchałam...

- Nie przypuszczałam, że to powiem, ale chciałabym, żeby to wszystko była pomyłka - Zuzie było niewypowiedzianie przykro.

- A ja bym już nie chciała się mylić. Nie stać mnie teraz na pomyłki. Muszę wszystko przemyśleć. Zdecydować. Na szczęście mam czas, on siedzi...

- W areszcie, wiem - Zuza z rozpędu weszła jej w słowo i już nie było wyjścia. Może to lepiej? Misia dowie się całej prawdy za jednym zamachem. Bo przecież kochanki nie da się przemilczeć. Jeśli Zuza nie puści pary z ust, sygnie się policjancik. Trudno, niech się dzieje wola nieba.

- Skąd wiesz? - Misia zrobiła wielkie oczy.

- Rozmawiałam przed chwilą w windzie z jednym takim warzywem - zawahała się. - Pietruszka albo Marchewka. Cholera, zapomniałam.

- Zuza...

- O nazwisko mi chodzi. Zanim zadzwoniłaś, poznałam policjanta. Zatrzasnęliśmy się razem w windzie. Piotrek jakiś tam... Malutki był, bledziutki, to może Pietruszka? Nieistotne. I wyobraź sobie, on jechał do ciebie!

- Jak to? Powiedział, że do mnie? - przeraziła się Misia.

- Nazwiskami nie rzucał, ale wymysknęło mu się, że jedzie nakłonić żonę mafijnego bossa do współpracy. To chyba jesteś w bloku jedyna? Rany, czy ja to mówię naprawdę? - Zuza naraz zamarła i popatrzyła na przyjaciółkę z wielkim znakiem zapytania w swoich błękitnych oczach. - Ty słyszysz,

o czym my rozmawiamy?

Misia nie odpowiedziała, klapnęła na stołku w kuchni i ukryła twarz w dłoniach. Niedobrze. Wzniosłe pytania retoryczne raczej jej nie pomogą, trzeba wymyślić coś innego.

- Nie wiem, jak ty, ale ja tych rewelacji na trzeźwo do organizmu nie przyjmę - zapowiedziała Zuza energicznie i ruszyła do szafki, gdzie trzymała kieliszki. - Ściągaj buty i wskakuj do wanny. Zaraz ci zrobię bąbelki, a potem zadzwonię do „Feminy” i powiem, że bierzemy wolne. Poalkoholizujesz się w pianie, to ci dobrze zrobi. A dziada olej. W sensie: męża. Już, już!

Pociągnęła zmaltretowaną Misię do łazienki i przygotowała kąpiel. Potem wróciła do kuchni, wykonała telefon i sama lekko się znieczuliła. Jeszcze nigdy nie obracała niczyjego życia uczuciowego w perzynę. Sama miała do zdrady dość specyficzny stosunek, ale Misia brała takie rzeczy do siebie. I po co? Owszem, podwójne życie to ewidentne świństwo, ale mała odmiana... Ludzie nie są przecież robotami, coś tam w sercu zawsze piknie.

- I jak? - zastukała do łazienki i uchyliła nieśmiało drzwi. - Gotowa na wzniesienie toastu?

I proszę, piana czyni cuda. Spowita w niej Misia minę miała może nieuradowaną, ale na pewno już nie tak zboląłą jak przed kwadransem.

- Jakiego toastu? - wyraziła umiarkowane zaciekawienie.

- Za wolność i niepodległość. Będziesz teraz autonomiczna jak przedwojenny Śląsk.

Ole!

- Żebym była autonomiczna, to najpierw muszę poszukać jakiegoś mieszkania - ponuro wymamrotała, ale chwyciła za kieliszek, w którym połyskiwał malinowo wściekły pies, ulubiony drink Zuzy. Na tacy w równym rzędku stało ich jeszcze dziesięć sztuk. - Nie przesadzasz trochę?

- Z tym? - Zuza wskazała na tacę. - A ile razy w życiu dowiedziałas się, że masz męża mafijnego świniaka? Pij, za swoje zdrowie. Z tym mieszkaniem to nie jest dobry pomysł - dodała na koniec z przekonaniem, kiedy sama sobie

chlapnęła. - Przecież je uwielbiasz, poza tym jakaś rekompensata ci się należy. I nawet mnie nie denerwuj z dumą i uprzedzeniem.

W ścianie łazienki zadudniło coś przejmująco, a Misia stwierdziła właśnie, że być może do tej pory źle rozumiała dumę. Być może na pewno źle rozumiała.

- Absolutnie i bezwzględnie - perorowała dalej Zuza. - Mieszkanie jest twoje. Jemu już kwaterę na Mikołowskiej przygotowali. A ty zmieniasz zamki, pakujesz graty i zawozisz mu je do firmy. Wynajmujesz adwokata i żegnaj Genia, świat się zmienia.

Misia westchnęła i sięgnęła po drugi kieliszek. Zamyśliła się głęboko, ale niedawna rozpacz, która niemal ją paraliżowała, już zaczynała topnieć. W łazience Zuzy było przytulnie i ciepło. Woda pachniała lawendą, sok malinowy w połączeniu z wódką grzał ją przyjemnie w żołądku, a z kuchni dolatywały kojące dźwięki Ackera Bilka.

- A wiesz... że to nie jest taki głupi pomysł? Perspektywa zupełnej zmiany życia wydała się naraz Misi całkiem pociągająca.

Oczywiście nie miała powodów do narzekania, żyło się jej dobrze, ale co stało na przeszkodzie, żeby troszeczkę zaszaleć? Codziennosc bez Henryka, bez obiadów, bez pucowania mieszkania... To mogło być nawet ciekawe.

- Powiem ci, że ja dzisiaj chodzę i myślę o tym od rana. Zanim mnie porwali...

Tu Zuza niemal spadła z klozetu, na którym dopiero co wygodnie się umościła.

- Jaja sobie robisz?

Misia opowiedziała więc przyjaciółce historię, która jej się przytrafiła, po czym została zasypana gradem pytań. Wszystkie, nie wiedzieć czemu, dotyczyły wyrosniętego bruneta.

- Ty nie szukaj drugiego dna - próbowała tłumaczyć, ale Zuzę nie tak łatwo było zbić z tropu. - Ja uprzejmie dziękuję za kolejnego przestępcę.

- Dno? Jakie dno? Ja tu przeczuwam szczytowanie, a nie dno. Przecież widzę, jak o nim mówisz. Znam cię nie od dziś.

Zdrówko! - zarządziła uradowana Zuza, z rozmachem podnosząc kieliszek. - A tym, że ten twój mężulek ma kochankę, to się w ogóle nie przejmuj. W ogóle. Sama też idź w tango. Z wielkoludem. Przestępca przestępcy nierówny. Da-dam!

Nieco już oklapła piana roztańczyła się nagle w wannie, bo Misia z wrażenia się osunęła i właśnie usiłowała nie utonąć.

- Kochankę?

Zuza jęknęła w duchu. Ależ z niej słon w składzie porcelany. A nawet słonica. Potężna, niezgrabna...

- Misia, ty wiesz, że słon zżera dziennie trzysta kilo trawy?

- Jaką kochankę, pytam.

Nie tak to chciała rozegrać. Powinna była Misię jakoś przygotować, nastawić psychicznie, a nie brutalnie wywalić kawę na ławę. Ale z drugiej strony, sens komunikatu i tak byłby ten sam, więc w sumie po co bawić się w słowne gierki.

- Yyy... - nabrała więc powietrza i wyrzuciła z siebie najszybciej, jak tylko potrafiła: - Henryk ma kochankę. Ten Pietruszka, policjant, się wygadał. Mówił, że ma argumenty, żeby cię przeciągnąć na ich stronę. Ta baba podobno z Heńkiem pracuje. I... Pietruszka mówił coś o wspólnym gniazdku na Nikiszowcu.

Misia jak do tej pory zachowała kamienną twarz. Wpatrywała się przez chwilę we wzorek na kafelkach, po czym wyciągnęła przed siebie pusty kieliszek.

- Jak mi znowu nie polejesz psa, to rozniosę ten cholerny areszt w pył. Pojadę tam... - Próbowwała się podnieść, co spowodowało małą powódź i zmusiło Zuzę do działania.

Zdaje się, że Misię wzięło. Za dużo emocji naraz.

- Nigdzie nie pojedziesz. Ja wytrę podłogę, a ty wskakuj w szlafrok. Trzeba zrobić naradę. Za bardzo się wszystko popieprzyło, sama tego nie ogarniesz.

*

Piotrek Marchewka trwał w umysłowym odrętwieniu równo kwadrans.

Kiedy okazało się, że pani Skoczyła nie ma w domu, zjechał windą na dół (morze wspomnień!) i okrążył kilkakrotnie blok,

po czym usiadł na ławce przy pobliskim placu zabaw. Tam powoli wracał do zwywych.

Był przecież w posiadaniu zasadniczej informacji. Pani Zuza nie miała męża i z telefonu, jaki odebrała, wynikało, że jest przyjaciółką Hardej (Michalina to dość rzadkie imię). A to znaczyło, że ma punkt zaczepienia i wcześniej czy później ustali na przykład numer jej komórki. Miał stały dostęp do billingów państwa Skoczylasów, więc żaden problem. Bynajmniej nie zamierzał się narzucać, ale nie zaproponować tak fascynującej kobiecie kawy byłoby plamą na męskim honorze. Kto nie próbuje, ten nic nie ma. A Piotrek Marchewka był może i niewielki wzrostem, ale za to wielki duchem i jeśli coś sobie postanowił, konsekwentnie do tego dążył.

Nieco już spokojniejszy wszedł do auta i pojechał do centrum. Sprawami osobistymi zajmie się później, teraz miał na głowie prokuratora i diamenty. Wyciągnął telefon i umówił ekipę na jutrzejsze poszukiwania u Ryszardy Kociołek, po czym dodał gazu. Mały rekonesans u jubilera nie zawadzi.

Znał ten salon. Niewielki, przycupnięty przy tylnym wejściu na dworzec PKP. Z zewnątrz mienił się nieskazitelnie czystymi szybami, a jeśli zwykły śmiertelnik chciał dostąpić bram raju, musiał przycisnąć dzwonek domofonu (dla bezpieczeństwa klientów!). Swoją drogą, ciekawe, czemu sekretarka Hardego wybrała akurat ten jubilerski przybytek. Co najmniej onieśmiała, a ona na osobę odważną nie wyglądała.

Komisarz usłyszał brzęczyk i pchnął drzwi. Przywitała go elegancka blondynka w średnim wieku, która okazała się właścicielką. Ledwo dostrzegalnie staksowała go wzrokiem od stóp do głów, po czym grzecznie się uśmiechnęła. Na dźwięk słowa „policja” bynajmniej nie straciła rezonu.

- Słucham pana, w czym mogę pomóc. Chodzi o tamte diamenty?

- Tak, a raczej o osobę, która je przyniosła.

- Czyli jednak były kradzione? - zniżyła głos do konfidencyjnego szeptu.

- Przykro mi, ale na takie pytania może pani odpowiedzieć jedynie rzecznik prasowy policji - rzucił starą formułkę, ale

uśmiechnął się przy tym przeproszająco. Najważniejsze to nie zniechęcać do siebie ludzi. Blondynka na szczęście rozumiała. Odwzajemniła uśmiech, a wtedy komisarz uświadomił sobie, że w towarzystwie pani Zuzy śpiewał inaczej. Z poczucia winy dźgnęło go pod żebrem. - Ale mogę powiedzieć, że bardzo dobrze państwo zrobiliście, że to zgłosiliście - dodał i mrugnął porozumiewawczo.

To wystarczyło. Blondynka obdzielona zaufaniem władzy wręcz rozkwitła.

- Zapraszam na zaplecze, może napije się pan herbaty? - zaproponowała ochoczo.

- Niestety, muszę zaraz pędzić dalej, ale kto wie, może następnym razem? - zagruchał przymilnie. - Pani... Basiu dodał, zerkając na identyfikator wbity w pełną pierś - czy to pani przyjmowała te kamienie?

Skromnie skinęła głową.

- A pamięta pani coś z tamtego dnia?

Pani Basia zaśmiała się na samo wspomnienie.

- Pewnie, że pamiętam. Ta pani, która je przyniosła, była dosyć... charakterystyczna.

Komisarz znał Ryszardę Kociołek jedynie z widzenia, ale to wystarczyło, choć w temacie wizyty i innych imidży nie był ekspertem. Charakterystyczna? Delikatnie powiedziane. Ten, kto poznał sekretarkę Hardego, doznawał głębokiego wstrząsu estetycznego i w tym wstrząsie dożywał późnej starości. Ryszarda Kociołek była jedyna w swoim rodzaju. Nie do podrobienia, a już na pewno nie do zapomnienia.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć.

- Ta pani przyszła do nas dwa tygodnie temu. We włosy miała powpinane czerwone piórka, pod płaszczem widziałam bluzkę, taką... No, wyglądała jak kimono, jakaś taka była a la gejsza czy coś. Do tego białe sportowe spodnie i zielone adidasy.

- Faktycznie, nietypowe zestawienie, a ta pani przyszła sama czy ktoś jej towarzyszył? - komisarza interesowały zgoła inne szczegóły.

- Chyba sama, nikogo nie widziałam. Pokazała diamenty i

powiem, że szlif doskonały - blondynka z uznaniem pokiwała głową. - A troszkę się na tym znam, należę do Polskiego Towarzystwa Gemmologicznego.

- Gemmologicznego? - powtórzył zachwycony komisarz, co blondynkę wyraźnie polechtało.

- I powiem, że jak te diamenty zobaczyłam, to od razu coś mnie tknęło. Jeden miał równo dwa karaty, a to duża rzadkość. W ogóle wszystkie trzy były za doskonałe. Pomimo certyfikatów i dowodów zakupu, bo pani miała dokumenty na każdy z kamieni. Ale mój mąż się uparł. W tydzień zgromadził środki i kupiliśmy. A potem, dla świętego spokoju, zadzwoniłam na policję.

- Certyfikaty, powiada pani? Zwykła makulatura, a nie certyfikaty - mruknął do siebie komisarz, tak żeby sprzedawczyni nie mogła go usłyszeć.

- Wyglądały wiarygodnie. Ale zdaje się, że wyjdziemy na tej transakcji jak Zabłocki na mydle, bo kamienie zatrzymaliście, a pieniądze...

- Rozumiem pani zdenerwowanie - Marchewka uniósł ręce w obronnym geście, chcąc uprzedzić zarzuty - ale sprawa jest w toku. Będziecie państwo na bieżąco powiadamiani. Ja zajmuję się tylko zbieraniem informacji, nie ich przekazywaniem.

- Tak, u was każdy jest zapracowany. Ale jak przyjdzie co do czego, to każdy rozkłada ręce. Tak jak pan. Taka jest ta nasza policja. W zupełnym rozkładzie.

*

Ulica Zielony Zaulek sąsiadowała bezpośrednio z osiedlem Tysiąclecia, ale dziwnym planistycznym trafem należała do miasta Chorzów. Mimo że biegła dokładnie wzdłuż najruchliwszej trasy w Katowicach, była absolutnie wyjątkowa i Zuza nie zamieniłaby jej na żadną inną.

Stało przy niej zaledwie kilka budynków użyteczności publicznej i dwie kamienice. Tą z numerem trzecim od frontu wstrząsały przejeżdżające tramwaje, z tyłu zaś bombardowały wrzaski dzieciaków, bo tuż za płotem

znajdował się teren Śląskiego Wesołego Miasteczka. Zaledwie po pierwszym sezonie Zuza odróżniała już odgłosy wymiotów na twisterze od sensacji żołądkowych na *enterprise*, co bynajmniej nie zniechęcało jej do lokalizacji. No bo jeśli dwupokojowe mieszkanie odremontowało się na tip-top, a na podwórku rozkwita absolutnie bajeczny ogródeczek z prowansalską ławeczką, to czy do szczęścia potrzeba czegoś więcej? A niech sobie za oknem rzyga choćby całe przedszkole. Park pod nosem, do centrum dwa rzuty beretem, a nielegalne nocne spacerki po wesołym miasteczku to dopiero rarytas. Na Zielonym Zaułku żyło się Zuzie jak w raju.

Niestety, raj od godziny przypominał raczej piekło. Misia na zmianę to płakała, to domagała się kolejnych drinków. Zuza zносиła te histerie mężnie, ale powoli zaczynała się niecierpliwic. Gdyby jeszcze Henryk był wzorem męskich cnót, tudzież wygimnastykowanym kochankiem, tę bezdenną rozpacz można by jeszcze zrozumieć, ale taki świński ryj... I proszę, gad siedzi za kratkami, a nadal człowieka irytuje.

- Miśka, ja cię za chwileczkę skrzywdzę. Fizycznie - zapowiedziała, opierając się o wielki drewniany stół, który oddzielał pokój od otwartej kuchni. - Stulże wreszcie dziób i przestań się rozklejać. Dobrze ci szło.

- Kiedy mi szło?

- Nie pamiętasz? Chciałaś jechać do aresztu.

Misia wyteżyła umysł, ale niestety, z chwil spędzonych w łazience utkwiała jej w pamięci tylko jedna. Ta najstraszliwsza. Zaraz, co to było? A, kochanka Henryka.

- Tak? A po co chciałam?

- Też się zastanawiam. Żadnych odwiedzin, chyba że z adwokatem i wyposażona w paralizator do poganiania bydła... I co, widzę, że ci lepiej?

Misia pociągnęła nosem, bo od paru chwil po mieszkaniu unosił się aromatyczny zapach smażonego mięsiwa. Wygramoliła się więc spod koca, pod którym do niedawna biadoliła, i poczłapała do Zuzy. Ta walczyła w kuchni z sosem, bo uważała, że na nieszczęście nie mając porządnego obiad. Jej

zawsze pomagało.

- Ależ jestem głodna - wymruczała Misia, pochylając się nad patelnię. Złociły się na niej kawałki schabu i cebulki.

- Zaraz coś przekąsimy, bo sos będzie dopiero za dwie godziny. Z kaszą gryczaną i smażonymi buraczkami. Wstawiaj herbatę, musimy wszystko obgadać.

- Dwie godziny? Nie wiem, czy wytrzymam. Jesteś okrutna.

- Wytrzymasz, wytrzymasz. Wczoraj upiekłam kocie kupki - zakomunikowała zadowolona Zuza i już trzaskała talerzykami.

Misia nie mogła wyjść z podziwu. Przyjaciółka nie wyglądała na przykładną kuchareczkę, wszystkie czynności wykonywała zawsze z tą samą nonszalancją, żeby nie powiedzieć: niedbałością, ale jej potrawy były w smaku obłędne. Ona natomiast działała w kuchni metodycznie, niestety przy dużo mniej zadowalających efektach. A już kocie kupki - ciasteczka wypełnione płynną czekoladą i zawdzięczające swoją nazwę wyglądowni - rujnowały kulinarny spokój Misi. Zuza nie chciała się podzielić przepisem i już. Wykręcała się tajemnicą rodzinną.

- Cieszę się, że ta woda już z ciebie wyparowała. Z alkoholem na dzisiaj koniec - zakomunikowała stanowczo Zuza i szybko uwinęła się z nakryciem stołu.

Jednocześnie zza chmur wyjrzało słońce i zalało pokój ostrym światłem. Zrobiło się ślicznie. Ściana w salonie pomalowana na cytrynowo błyszczała migotliwie, meble pachniały drewnem, a kwiaty w doniczkach pobierały dwutlenek węgla, aż trzeszczało. Misia poczuła się w końcu tak, jakby ktoś zdjął z jej pleców potworny ciężar.

- Czy ja będę jeszcze w życiu szczęśliwa? - zakwiliła, ale bynajmniej już nie łzawo, i z zapalem wgrzyła się w czekoladową kupkę.

- Czemu ludzie myślą, że w życiu czeka ich tylko jedno szczęście, to ja nie pojmuję - Zuza energicznie postawiła na stole cukiernicę i podparła się rękami. - He?

- A ile ich czeka?

- Tyle, ile będą chcieli. I wierzyli.

- Dobra, to ja chcę wierzyć.

- Chociaż tyle.

- Ale póki co... to ja bym sobie najpierw obejrzała to szczęście, w które uwierzył Henryk - Misia dodała cichutko i zabrała się jak gdyby nigdy nic za herbatkę.

Zuza ze złości aż zatrzęsło.

- Ty normalnie jesteś tuman. Po co ci to?

- A ty byś nie chciała?!

- Jest tak... Jeśli wielbiłabym faceta i on by mnie zdradził jednorazowo, to bym patałachowi darowała - Zuza nabrała w płuca powietrza. - A potem dyskretna i bezlitosna obserwacja. Szpiedzy wszystkich krajów łączcie się. Gdyby był replay, to wiadomo. Żegnaj miły, będą inni. Gdybym natomiast odkryła, że moje kochanie to pospolity dupolaz, sprawy obrałyby bardziej dramatyczny obrót - zakończyła i wpakowała sobie do ust resztkę ciastka.

- A mój jest... dupolazem?

- Już nie twój. No, grotolazem to on nie jest na pewno. A już na pewno jest mafiosem.

- Mów, co chcesz, ale ja tę babę chcę zobaczyć - Misia uparła się na swój cichy sposób i Zuza wiedziała już, że postanowione.

- Jesteś pewna?

- Pewna. Jutro deratyzacja. Spakuję klamoty Henryka i zawiozę do firmy. Jedziesz ze mną? Spróbujemy ją namierzyć.

Zuza zachichotała.

- Namierzyć? Mówisz jak Pietruszka.

- Zaczynam mówić inaczej - powiedziała z zacięciem Misia - bo zaczynam myśleć inaczej. A z tą mafią to Henrykowi jeszcze pokażę. Przed rozwodem.

- A co...?

- Najpierw muszę zrobić biznesplan - rzuciła tajemniczo i Zuzie ulżyło. Z Misią było już wszystko w porządku. A nawet lepiej niż w porządku. Rzadko widywała ją tak pełną energii.

- Jak tam chcesz - zgodziła się niby obojętnie. - A co zrobimy z policjantem? On cię w końcu złapie.

- A niech mnie łapie! Jaka współpraca? Przecież ja nic nie wiem - Misia wzruszyła ramionami. - Chyba że przeszukam mieszkanie - rzuciła poruszona nagłą myślą. - Może coś na niego znajdę. I wtedy, proszę bardzo, mogę współpracować, nawet bardzo chętnie. Im dłużej Henryk posiedzi, tym lepiej.

- Nie boisz się? - Zuza zasugerowała ostrożnie. - On niby siedzi, ale kumple pomykają po wolności. Spędziłaś w ich towarzystwie upojny poranek, chyba nie marzysz o kolejnym?

- Masz rację. W sumie to ja niczego nie muszę przeszukiwać - po dłuższym zastanowieniu stwierdziła Misia. - Od tego jest policja.

- Tak jest, Pietruszka na pewno da radę.

- Tak jest!

*

Kiedy komisarz Piotrek Marchewka prowadził dochodzenie, lubił być przygotowany. Może dlatego w swojej karierze znacznie częściej odnotowywał sukcesy niż porażki. Składało się na to mnóstwo ciężkiej pracy, drugie tyle konsekwencji plus łut szczęścia. I jeszcze coś. Coś, czego nie można było się nauczyć. Albo się to miało, albo nie.

Trop w nozdrzach.

Szósty śledczy zmysł.

Właśnie dzięki intuicji komisarz wielokrotnie wychodził cało z rozmaitych opresji i wpadał na nietuzinkowe rozwiązania, z których był już znany. I właśnie dzisiaj znowu go tknęło. Coś mu podpowiadało, żeby przed wizytą u sekretarki Hardego sprawdzić nazwisko człowieka, który sprzedał jej kamienie. Różycki. Facet figurował w rejestrze Polskiego Towarzystwa Gemmologicznego i z informacji, które Marchewka właśnie zdobył, wynikało, że był nie tylko rzeczoznawcą diamentów, ale i lokalnym kolekcjonerem. Mieszkał w Poraju, miasteczku oddalonym od Katowic około sześćdziesiąt kilometrów, a że nie odpowiadał na telefony, komisarz po prostu wsiadł w samochód i po niecałej godzinie był na miejscu.

Dom znalazł z trudem.

Zaniedbana piętrowa willa stała tuż pod lasem, w dodatku była zamaskowana rozrastającym się wszędzie głogiem. Budynek wyglądał na opuszczony. Góry nikt nie używał - okna ziały pustką, a jeden z pokoi zastawiono dyktą. Ogrodzenie posiadłości prezentowało się równie śliczne. W pomalowanej na żółto siatce widniały nieregularne dziury, co nasuwało skojarzenie z mocno sponiewieranym plasterkiem żółtego sera. Śmierdzącego, rzecz jasna. W głębi komisarz zobaczył drzwi garażu: obdrapane, zamknięte głucho na kłódkę. Podobnie było z furtką. Na świdrujący głos dzwonka nikt nie odpowiedział, a szarpanie za zardzewiałą klamkę również niewiele dało.

Komisarz sprawdzał właśnie skrzynkę na listy (pełna!), kiedy od strony lasu wyszła jakaś babina z psem. Pies rozszczękał się okropnie, a jego właścicielka zainteresowała się obcym.

- Rambo, do nogi! Dzień dobry - zakrzyknęła, łapiąc psa za obrozę i pozostając w niewielkim oddaleniu. Widać było jednak, że zżerają ciekawość.

- A dzień dobry, ja do pana Różyckiego - komisarz wskazał na dom. - Ale chyba go nie ma?

- A cholera go wie! - Babcia raczej nie pałała miłością do sąsiada, bo wyraz jej twarzy zmienił się diametralnie. Teraz był pełen niechęci. - Panie... To szumowina najgorsza! Jedź pan stąd lepiej, bo ten cham nikogo nie uszanuje. Chyba że da mu pan flaszkę.

Komisarz pojął w lot, że upiecze na tym ruszcie własną pieczeń.

- Tak właśnie słyszałem, że ten pan to niezbyt towarzyski...

- Towarzyski! - kobieta powtórzyła z kpina i spojrzała na swojego psa, jakby był najlepszym audytorium. - Towarzyski to on może był lata temu, jak kazał do siebie mówić „towarzyszu”. Panie, on na całą wieś donosił.

Komisarz westchnął i pokiwał współczująco głową.

- Pan myśli, że ta chata to z czego postawiona? - pokazała palcem na cudo urbanistyczne, które lata świetności miało już za sobą. - Z krwi ludzkiej i nieszczęścia! Ale my pamiętamy - pogroziła ręką.

- Z krwi? A nie z diamentów?

Babcia nie zrozumiała. Poprawiła na głowie chustkę i pogłaskała uspokajająco psa.

- Z jakich diamentów?

- Ten pan to przecież rzeczoznawca kamieni szlachetnych.

- Jaki on tam rzeczoznawca. Pijus pospolity i moczymorda!

- Problemy z alkoholem?

- A nie, problemu z alkoholem to on nie ma. Łoi do nieprzytomności.

Komisarz stłumił uśmiech.

- A w domu jest? Bo nikt nie otwiera.

- On nikomu nie otwiera, żyje jak odludek. Szarp pan dowoli, nie otworzy - babcia nie miała złudzeń.

- To co robić? - komisarz zapytał tak przejmującym tonem, jakby był turystą zbłąkanym na czarnym szlaku.

- Ano, jak chce się pan natrąbić, najszybciej będzie w barze w miasteczku. Tu szkoda czasu.

- A ten pan to nigdzie nie wychodzi? - komisarzowi nie chciało się wierzyć. - Musi przecież robić jakieś zakupy, chodzić do lekarza...

- Do Częstochowy jeździ. Ale dawno już nie jeździł, bo chyba wyjechał. Z dwa miesiące nikomu nie ubliżył, czyli wyjechał - kobiecina kierowała się jakąś swoją tajemniczą logiką, ale komisarz otrzymał wreszcie informację, na której mu zależało.

- Wyjechał? Jak wyjechał, skoro się ze mną umówił?

- Ja tam nie wiem - babcia pociągnęła nosem, ale bynajmniej nie zbierała się do odejścia. Stała i otwarcie mu się przyglądała. Rambo również nie spuszczał z niego wzroku.

Nie było innego wyjścia. Komisarz uprzejmie podziękował i wsiadł do samochodu. Zamierzał pokręcić się po okolicy i wrócić tu za kwadrans. Jeśli tak wygląda dom kolekcjonera i rzeczoznawcy kamieni szlachetnych, to on bardzo chętnie zobaczy salon. Oj, bardzo chętnie. I nie będzie sobie zawracał głowy nakazami. Zrobi tak, żeby po jego wizycie nie było śladu.

Chyba że...

Chyba że wizyta przybierze nieoczekiwany przebieg.

A tego się obawiał.

*

Za wiele tego nie było. Najpotrzebniejsze rzeczy Igå zmieścił w jednej torbie, ale przecież występów w garniturach nie przewidywał. Spakował jedynie kilka koszul, marynarkę, laptopa i najważniejsze: *Szkolę wina* Jefforda, w którym ostatnio się zaczytywał. Gdyby potrzebował czegoś więcej, zawsze może skoczyć do siebie. Wynajmował kawalerkę na Mariackiej, dwa dni konno do niej nie miał, więc przewożenie całej szafy mijало się z celem.

Jak to było?

Niespodzianka.

Zrobi żonie Hardego niespodziankę.

Może już się uspokoiła i nie będzie tak źle. Kiedy widywał ją z szefem, pani Łopatologiczna wyglądała na osobę zrównoważoną. Ale ten jej dzisiejszy popis... Owszem, Gutek trochę za bardzo wczuł się w rolę i mogła się przestraszyć, ale do porozumienia doszłoby o wiele szybciej, gdyby ich po prostu wysłuchała, a nie waliła łopatą na odlew jak histeryczka. I to za co! Za to, że chciał być, psiakrew, uprzejmy. Jak to mówią, każdy dobry uczynek zostanie ukarany. Może i tak. W takim razie, jeśli chodzi o tę panią, on ma dobroczynność w odwłoku. Wykona swoje oficjalne i nieoficjalne zadanie i tyle. Najważniejsze to dostać się do tego mieszkania. Nawet gdyby miał spać na wycieraczce.

Z tą wycieraczką wykrakał, bo kiedy zadzwonił do mieszkania państwa Skoczylasów, okazało się, że nikogo nie zastał. Oczywiście nie zamierzał kursować pomiędzy Tysiącleciem a centrum jak jakiś wolny elektron. Hardy dał mu klucze, więc najzwyczajniej w świecie otworzył sobie drzwi i wszedł do środka.

Już w progu stanął jak wryty. Domyślał się, że szef odstawił sobie chatę, ale to, co zobaczył... Przede wszystkim czuło się tu przestrzeń. Hardy połączył pewnie dwa mieszkania, musiał też

powyburzać jakieś ściany, bo takie hektary mają w akcie własności rolnicy uprawiający rzepak, a nie przeciętni niewolnicy spółdzielni. Igła obejrzał sobie więc wszystko bez pośpiechu, za to przy regularnych piknięciach zazdrości.

Do mieszkania wchodziło się od razu do salonu, który oddzielał od przedpokoju niewysoki murek. Wielkie okna, dużo światła, zestawione z wyczuciem meble. Dużo bieli połączonej z pastelową zielenią i różem. Półeczki, wikliny, pusiate dywany; długo by wymieniać. Harda niewątpliwie miała gust i pojęcie o dekoracji wnętrza, co w zestawieniu z budżetem, jakim dysponowała, dało porażający efekt. Podsumowując: niestety, chciało się tu zostać na zawsze. Usiąść w miękkich poduszkach, posłuchać muzyki. Jeśli w jakimś kącie dawał o sobie znać snobizm, kwilił cichutko i ze smakiem.

- Nie ma to jak być burzujem - powiedział do siebie Igła i wspomniawszy swoją kawalerkę.

Tak źle, żeby nie mógł zapraszać gości, to jeszcze nie było, ale jego garsoniery w *Moim mieszkaniu* raczej by nie opisali. Chyba że w dziale *Metamorfozy*. Zwyczajnie nie miał czasu na łażenie po sklepach i szukanie zlewu w kształcie kwiatu lotosu czy innego dziadostwa.

Zdjął grzecznie buty, a nawet schował je do szafy, bo na lśniących panelach prezentowały się raczej swojsko niż elegancko i widząc ich rozmiar, Harda mogła dostać zawału już na wejściu. Potem obejrzał sobie inne pokoje (sztuk trzy), dwie łazienki, a na koniec zajrzał do kuchni. I tu znowu westchnął. Takie wyposażenie widywał, owszem, w katalogach, ale na żywo, u normalnych ludzi, nigdy. Szafki, szafeczki, przyrządy i sprzęty. Lodówka z dystrybutorem wody, ekspres do kawy z mnóstwem srebrnych kraników i pokręteł, a pod oknem... Igła aż usiadł na posadzce, unosząc z pokorą głowę jak przed najświętszym ołtarzem.

Stojak na wino!

I to nie ozdoba atrapa. Leżało w nim co prawda tylko sześć butelek, ale dobranych po prostu genialnie.

Wino to była jego największa pasja. Jego miłość i wytchnienie. Mógł strzelać, napadać, zażywać (nie, nie, aż tak

się nie rozpędzajmy), ale jeśli po wszystkim siadał w fotelu z kieliszkiem wina, świat przestawał być pełen czarnych nietoperzy. I oto w kuchni na Tysiącleciu siedzi sobie na podłodze i trzyma w objęciach chilijskie Los Vascos. Grandę Reserve 2009. Beczkowane w dębnie o doskonale poskładanych szczepach. Nuta maliny, czereśni i lukrecji. Nie umiał się powstrzymać.

Poszukał korkociągu.

A że delektując się wybornym trunkiem, siedział w pobliżu otwartej właśnie szuflady, schylił się i dostrzegł coś, co zapewne miało pozostać w ukryciu, ale jego bystre oko go nie zawiodło. Jakiś pakunek przymocowany od spodu do deski.

Odstawił kieliszek i zaintrygowany zajął się znaleziskiem.

Co my tu mamy...

Kartoteka pacjenta Kliniki Chirurgii Plastycznej w Polanicy Zdroju.

Niejaki Jarosław Maziarz.

Niestety, z lekarskich bazgrołów nie dało się niczego odczytać, ale to Igły bynajmniej nie zniechęciło. Skoro te dokumenty były ukryte, na pewno miały swoją wartość. Czas pokaże jaką.

A jutro i tak zacznie metodycznie przeszukiwać całe mieszkanie.

Zdrówko!

*

Piotrek Marchewka miał w aucie mnóstwo przeróżnych kłopotów, bo wychodził z założenia, że wszystko może się kiedyś przydać. Zwłaszcza jeśli jest się oficerem śledczym i to z kreatywnym podejściem do sztuki pozyskiwania informacji. Na uparte znalazłby i w bagażniku łom, ale bardziej przydatne wydały mu się teraz gumowe rękawiczki oraz wytrych - skonstruowany przez pewnego utalentowanego złodziejzaka, który zawdzięczał komisarzowi między innymi zwolnienie warunkowe. Projekt autorski, doskonały zresztą, nigdy jeszcze Marchewki nie zawiódł, a działał jak marzenie.

Komisarz najpierw obszedł dokładnie cały dom i próbował

dojrzyć coś przez okna. Niewiele to dało, zerknął więc na drogę i upewniwszy się, że okolica jest pusta, zabrał się za zamek. Z ustrojstwem poradził sobie w parę minut. Potem bezszelestnie otworzył drzwi, bo jednak ktoś mógł być w środku i... W nozdrza uderzył go fetor rozkładu. Znał ten zapach aż za dobrze, nie mógł się mylić.

Trup.

I masz babo placek.

Będzie musiał zawiadomić prokuratora, za godzinę rozpęta się tu niezłe piekło.

Ale z drugiej strony, skoro ma godzinę, a denata i tak nie wskrzesi, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się troszeczkę rozejrzeć. Technik był jego dobrym kumplem, ewentualne ślady po wytrychu przemilczy. Najwyżej uchylił się jedno z okien, musi przecież zeznać, któredy tu wszedł.

Komisarz nabrał powietrza i ruszył kiszkwatym korytarzem prosto do kuchni. Od razu zobaczył ciało - wisiało podwieszona na pasku pod rurą centralnego ogrzewania. Było w całkiem dobrym stanie, choć pojawiły się już na nim brązowe wykwitki. Marchewka poczuł zimno i zrozumiał. Kuchnia wychodziła na północ, w pomieszczeniu było wręcz lodowato, co musiało spowodować proces gnicia.

Starał się nie oddychać nosem, ale doskonale wiedział, że upiorny zapach będzie go prześladował jeszcze przez kilka dni. Normalka. Chociaż miał ochotę jak najszybciej wyjść z tego ponurego domiszcza, najpierw przeszukał je dokładnie od góry do dołu, a potem wykonał służbowy telefon i wrócił do kuchni.

Teraz mógł przeanalizować pewne szczegóły.

Drzwi były zamknięte, to raz. Oczywiście Różycki mógł je zamknąć przed planowanym samobójstwem, ale gdzie w takim razie był klucz? Komisarz usiłował go znaleźć, ale poddał się po kwadransie. Nie chciał narobić bałaganu. A propos. Taka na przykład czysta szklanka - jedna jedyna w całym stosie brudnych naczyń - to również znaczące. I strój wisielca. Piżama. Czy dokonuje się zamachu na swoje życie w piżamie? Niby można, ale człowiek zdesperowany, może nawet pogrążony w depresji, rzuca się do łóżka w byle czym. A tu

proszę, gustowny nocny strój, guziki równiutko zapięte aż po naszyjnik z paska. Ciekawe...

Pamiętając, że jest w domu kolekcjonera i rzeczoznawcy klejnotów, komisarz rozejrzał się za czymś, co mogłoby być ewentualnym motywem morderstwa, bo to już sobie założył. Nie wierzył w żadne samobójstwo. Po paru podejściach znalazł dokładnie to, czego szukał.

Szafa.

Jedna z szuflad była pełna stuzłotowych banknotów.

Tym oto sposobem motyw rabunkowy wziął się i poszedł solić.

Natomiast było wielce zastanawiające, że człowiek, który sprzedał sekretarce Hardego diamenty, został zamordowany.

*

Smażone buraczki były perfidnie smaczne.

Zuza zdradziła, że tajemnica tkwiła w maśle. Należało je na samym początku rozpuścić i lekko przypalić. Żeby buraczki nie były zbyt kwaśne, przyjaciółka dodawała do nich sok z cytryny zamiast zwykłego octu. No i na zakończenie mąka - Zuza przesiewała ją przez sitko bezpośrednio do potrawy i mieszała. Sól, cukier, pieprz i maggi. Niby niewiele, ale efekt końcowy porażał do tego stopnia, że Misia jechała do domu wyposażona w słoik i gramoląc się z auta, myślała tylko o tym, że kiedy wróci do domu, zasiądzie do uczyty. Prawie zapomniała przy tym o łopacie, i przecież należało ją zabrać na górę i jakoś opakować. Niedługo urodziny Zuzy. Zawróciła więc i zabrała prezent z bagażnika.

Dochodziła dwudziesta trzecia i Misia poczuła, że po całym dniu pada z nóg. Dawno nie była tak zmęczona. Dzisiejsze wydarzenia nieźle dały jej po kościach, ale o ile fizycznie czuła się wypompowana, w duszy coś jej śpiewało i darło się nieprzytomnie.

Wolność!

Mieszkanie do własnej dyspozycji. Nikt nie będzie jej zaglądał w kąty i wymagał porządku. Nikt do późnej nocy nie będzie okupował kanapy i telewizora, nikt nie będzie przerabiał

łazienki w Titanica. Czy to nie jest piękne?

Nucąc pod nosem, otworzyła drzwi i...

Już na progu poczuła jakiś obcy zapach!

Wyczuła go od razu, jej dom tak nie pachniał. Ale tę korzenną nutę skądś знаła, nie potrafiła sobie tylko przypomnieć skąd. Zamarła, wsłuchując się w odgłosy pośród ciemności, które wcale jej się nie podobały. Wcale. Przez chwilę rozważała nawet, żeby uciec i zadzwonić na policję, ale zaniepokoiło ją, że Pyza, jej osobista kotka, szara radość jej życia, nie wskoczyła jak zwykle na murek, żeby ją przywitać.

Czy coś się jej stało?

Z bijącym sercem zrobiła kilka kroków i jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy. Pyza z kwikiem wyprysnęła spod krzesła, a w tym samym czasie, nie wiedząc czemu, nagle włączył się telewizor. Sam z siebie. Głos był poprzednio ustawiony niemal na cały regulator, bo Misia oglądała coś podczas odkurzenia, także teraz omal nie zemdląła z przerażenia. Zaczęła krzyczeć, a wtedy w salonie zmaterializował się on. Potwór!

Obcy w jej mieszkaniu.

Wyskoczył z małego pokoju i miotał się jak oszalały. Misia zareagowała więc odruchowo, a że w rękach miała buraczki i łopatę, z obu tych rzeczy zrobiła właściwy użytek. Najpierw zamachnęła się słoikiem, który w zderzeniu ze ścianą roztrzaskał się w drobny mak i zapewne przyozdobił swoją zawartością wszystko wokół, a następnie zaczęła dziko okładać powietrze łopatą.

- Stój, kobieto, stój! - usłyszała, ale wcale jej to nie powstrzymało.

- Na pomoc! - zaczęła wrzeszczeć w kierunku drzwi w nadziei, że usłyszą ją sąsiedzi, co było tylko kwestią czasu. Już samo wycie telewizora zaalarmowało pewnie pół bloku. - Pomocy!

Tamten doskoczył i usiłował zatkać jej usta, ale Misia nie po to intensywnie ćwiczyła na siłowni przez całą zimę, żeby sobie nie poradzić. Łopatę już straciła, ale spacyfikować się nie dała. Wyślizgnęła się zwinnie z miażdżącego uścisku i pobiegła do

kuchni, myśląc o komplecie noży Fiskars, twardość 56 HRC, cokolwiek to miało znaczyć. Przed oczami widziała tylko jeden z nich i tylko jego pragnęła - nóż do siekania Santoku. Podręczny tasaczek z perforowanymi wgłębieniami. Cudownie ostry i doskonale układający się w dłoni.

Nada się!

Niestety, nie odkryła jego nowego zastosowania, bo u drzwi rozległ się dzwonek. Zebrała więc w sobie tyle siły, ile trzeba było, żeby usłyszano ją w przedpokoju, i po raz kolejny rozpaczliwie wykrzyczała:

- Na pomoooc!

Zaledwie po chwili drzwi wejściowe łupnęły o murek i do mieszkania wpadł mężczyzna. Włączył światło i wszystko stało się jasne.

- Policja! Co tu się dzieje?!

*

Technicy pracowali na miejscu zdarzenia do dwudziestej drugiej. Tak jak komisarz przypuszczał, klucze się nie znalazły, co jednoznacznie przesądziło o postawionej hipotezie, i to zanim otrzymali wyniki sekcji.

Morderstwo.

Prokurator również nie miał wątpliwości. Po oględzinach wydał polecenia i wrócił do Katowic, Marchewka został jednak do końca, żeby wszystkiego dopilnować. A tak naprawdę, spokoju nie dawał mu telefon. Lub raczej jego brak. Z rozmowy z operatorem wynikało, że kolekcjoner posiadał komórkę, za którą ostatni raz zapłacił dwa miesiące temu.

Gdzie się w takim razie podziewała?

Marchewka nie pojmował. Przecież wiadomo, że policja nie musiała fizycznie dysponować telefonem, żeby uzyskać choćby informacje o połączeniach, a jeśli komórka zawierała coś kompromitującego, na przykład zdjęcia, morderca mógł po prostu zniszczyć kartę. Ekipa podzieliła więc dom na sektory i przeszukała dokładnie każdy kąt. Nadaremnie.

Ustalono za to, że do morderstwa doszło w godzinach nocnych lub wieczornych. Denat wpuścił gościa, kiedy

udawał się na spoczynek, musiał zatem go dobrze znać. Rozstrzygnęła o tym nie tylko pizama, ale i szklanka przy łóżku (pełna), w której rozpuszczono środek nasenny - widocznie kolekcjoner miał problemy z zasypianiem. Opakowanie leżało na nocnym stoliku.

W międzyczasie Marchewka wybrał się do miasteczka, żeby zebrać wywiad. W zasadzie niczego nowego się nie dowiedział. Bywalcy okolicznego baru potwierdzili wersję babci z psem. Różycki był osobą wręcz patologicznie unikającą ludzi. Kontaktował się jedynie z siostrą, więcej rodziny nie posiadał. Komisarz pożałował, że nie zabrał zdjęcia Hardego, ale nic straconego, i tak będzie musiał tu wrócić. Natomiast na wzmiankę o diamentach wszyscy bardzo się zdziwili. Nic o tej intratnej działalności swojego sąsiada nie wiedzieli.

O Hardej Marchewka przypomniał sobie dopiero koło Spodka, kiedy wrócił już do Katowic, i pomimo późnej pory skręcił prosto w Chorzowską. Jeśli kobieta nie zdobyła informacji o aresztowaniu męża, z pewnością nie spała.

I nie pomylił się.

Kiedy stanął pod jej drzwiami, usłyszał z mieszkania wręcz przerażający hałas. Tak mógł dudnić jedynie telewizor. Na korytarz zaczęli wychylać się zaniepokojeni sąsiedzi, więc śmiało zadzwonił. Bynajmniej nie usłyszał „proszę”, zamiast tego gdzieś z wnętrza budynku dobiegło go coś, co na upartego można było wziąć za próbę wzywania pomocy. Nacisnął więc klamkę i wparował do środka.

Pierwsze, co zrobił, to włączył światło i sięgnął po pistolet.

- Policja! Co tu się dzieje?! - zakrzyknął, ale jego pytanie zabrzmiało raczej retorycznie.

Sam mógł już ocenić sytuację i ta nieco go zdziwiła. Zaczął jednak od wyłączenia telewizora. Potem przyjrzał się dokładnie obrazkowi, jaki tu zastał.

A było co podziwiać.

W przedpokoju poniewierały się wszędzie kawałki szkła i czerwone strzępy jakiegoś czegoś. Buraczki albo czerwona kapusta. Upačkane były tym nie tylko ściany, ale i stojący w przedpokoju olbrzymi facet, który przycupnął grzecznie pod

szafą i ścisnął w obronnym geście łopate. Ubrany był jedynie w bokserki ozdobione wydatnymi czerwonymi kropkami, a jego zszokowany wyraz twarzy upodabniał go do przedszkolaka z grupy Muchomorki, któremu ktoś właśnie wytłumaczył znaczenie słowa „moszna”.

Zaraz, czy on już nie widział tej gęby? Że też zwykłe bokserki tak odmieniają człowieka, przecież to Igła! Szeef ochrony, prawa ręka Hardego. Arcyciekawa postać. Na niego dziwnym trafem również nic nie mieli. Po prostu wcielona niewinność, wręcz przeor klasztoru pod wezwaniem świętego Jakuba Apostoła.

On tutaj?

- Komisarz Piotrek Marchewka - zasalutował niedbale. - Pan się przedstawi - zarządził dla zasady, popatrując na tamtego wilkiem.

- Igła - padło nonszalancko spod szafy.

- Dowód poproszę - zażądał bezlitośnie komisarz, zerkając na żonę Hardego, która najpierw ucieszyła się z interwencji przedstawiciela władzy, a teraz zaczynała coś kombinować.

Mina jej się wydłużyła, zaczęła przestępować z nogi na nogę jak uczennica. Włosy miała rozczochrane, ubranie wisiało na niej fatalnie wymiętoszone. Wyglądała nie lepiej niż dryblas pod szafą, na którego co chwilę niepewnie popatrywała.

Facet podreptał ostrożnie do pokoju obok, przyniósł dokumenty i grzecznie się wylegitymował. Wszystko było w porządku. Tylko co w takim razie szef ochrony robi w prywatnym mieszkaniu Skoczyłasów, gdy tymczasem jego boss grzeje celę na Mikołowskiej?

- Pyza włączyła telewizor - bąknęła wyjaśniająco Harda, zaglądając do salonu. - Musiałam zostawić pilota na podłodze i chyba na niego skoczyła.

- Słucham? - zdziwił się Marchewka.

- Pyza to moja kotka.

- Aha - mruknął i ogarnął pytającym spojrzeniem przedpokój. - A to? Czy dobrze słyszałem, że wzywała pani pomocy?

- Ja? Pomocy? - Harda przewróciła w zdziwieniu oczami. - Krzyczałam do... Igły.

- Yhm. Do Igły... A mogę zapytać, co pan Igła tutaj robi?
- Pan Igła sprząta buraczki, które stłukła... Pyza, po tym jak przestraszyła się telewizora
- wystękała z wysiłkiem Harda, jakby starając się w tym wszystkim samej nie pogubić. - Sprząta... łopata, bo tak jest szybciej.
- Łopata... Kotka Pyza... - powtórzył niby zgodnie komisarz, ale nie przestawał się przyglądać tej dziwnej parze.
- A pan Igła to dla pani kto, jeśli wolno spytać?
Harda chrząknęła i wysunęła dumnie podbródek.
- Nie będę kłamać, bo pewnie pan komisarz już się i tak domyślił. Igła to mój... kochanek.

*

Misia uzmysłowiła sobie jedno.

Ten cały Pietruszka, czy jak mu tam, na pewno nie uwierzy, że przez te wszystkie lata nie wiedziała, że żyje z przestępcą. Nikt by nie uwierzył. Ale jeśli wykorzysta osobę dryblasa, będzie oczywiste, że państwo Skoczylasowie nie tworzą szczęśliwego stadła i, co najistotniejsze, Misia ma w związku z tym prawo nie znać tajemnic swojego małżonka. Gdyby było inaczej, nie szukaliby jednocześnie okazji do skoku w bok.

- Kochanek? - komisarz wydawał się dość zaskoczony. - Czy w takim razie moglibyśmy porozmawiać na osobności? Mam pani coś do przekazania na temat męża.

Misia wahała się tymczasem rozdartą pomiędzy ratowaniem własnej skóry a bieli ścian w przedpokoju. Tapeta była co prawda zmywalna, ale jeśli za chwilę nie usunie tego świństwa, jak nic będzie musiała zrobić remont. Zresztą pewnie już było za późno. Smażone buraczki, tyle dobrego zmarnowało się przez tego mutanta.

Jak się tu znalazł?

I skąd miał klucze?

Pytań zebrało się tak wiele, że nie mogła się doczekać, żeby Igłę przesłuchać. I ktoś tu będzie cienko śpiewał. Niech tylko skończy rozmowę z komisarzem.

- Idź, kochanie - brunet wreszcie oprzytomniał i wyszedł z

inicjatywą. W jego „kochaniu” Misia usłyszała jednak tyle fałszywej słodyczy, że aż ją zemdliło. - Ja tu posprzątam... łopata. To zresztą moja ulubiona, prawda?

Komisarz wyglądał na lekko oszołomionego obrotem sytuacji, ale nie protestował. Dał się zaprosić na spacer. W windzie był dziwnie zamyślony, ale kiedy tylko wyszli z bloku, zakomunikował:

- Pani mąż, Henryk Skoczylas, został wczorajszej nocy aresztowany za rozbój i pobicie. Przebywa w areszcie.

- Nareszcie! - Misia postanowiła podczas swoich występów aktorskich iść na całość. - Tak podejrzewałam, bo długo nie wracał, ale bałam się zadzwonić na policję, żeby nie zapeszyć.

- Proszę?

- Wie pan jakie z niego jest skąpiradło? - Misia poczuła ulgę, że wreszcie mogła przemycić w tym kłamstwie odrobinę prawdy. - Bardzo się cieszę, że siedzi. Bardzo!

- W takim razie ja również się cieszę, że pani się cieszy, bo będziemy potrzebować pomocy. Pani mąż, oczywiście do spółki z innymi... biznesmenami, wyprowadził ze skarbu państwa setki milionów złotych i jako jedyny nie został skazany. Nikt na niego nie doniósł, wszyscy się boją, a dowodów brak. Co pani wie o jego interesach paliwowych?

Do Misi jakby nie dotarło. Setki milionów? Nawet nie wiedziała, że takie sumy w realnym świecie istnieją.

- Coś mi się obilo o uszy, że handlował paliwem - zaczęła ostrożnie. - Igła mi powiedział. Ale szczegółów nie znam. Mam swoje pieniądze, mąż zażądał przed ślubem intercyzy.

O jego interesach nie rozmawialiśmy.

Tu Misia zapiała w duchu z uciechy. Intercyza! Jest uratowana. A Zuza tak jej dokuczała, że zgodziła się ją podpisać.

- Tak, o intercyzie wiemy, oczywiście. Dobrze, skoro paliwa nie, to może coś innego. Narkotyki? Handel bronią, nieruchomości, domy publiczne, automaty do gry? - beznamiętnie wyliczał komisarz, a Misi robiło się z chwili na chwilę coraz bardziej słabo.

Czy ona dobrze słyszy?

Pod wpływem słów policjanta po raz pierwszy tego dnia postanowiła zdobyć się na szczerość. Owszem, oficjalnie nie wiedziała, że jej mąż to gangster. Ale od jakiegoś czasu nie mogła pozbyć się przeczucia, że interesy Henryka nie są kryształowo czyste. Łączyła fakty, nie była przecież kretynką, ale zapytanie męża wprost o pewne sprawy równało się wypowiedzeniu wojny, więc lepiej było udawać, że wszystko jest w porządku - nawet przed samą sobą. I chyba dlatego pomimo szoku, jakiego doznała, piknęło jej wreszcie w sercu coś na kształt ulgi. Mafia? Niech będzie i mafia; nie przypuszczała jednak, że to wszystko mogło przybrać takie rozmiary. Iglą mówił jej o całej sprawie ogólnikami, usłyszane właśnie szczegóły były wstrząsające.

I co ona ma teraz myśleć? Henryk opchnął Ruskim czołg, a potem wracał do domu i jadł z nią przy jednym stole schabowego? To było nie do pojęcia. Jednak za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Misia stwierdziła nagle, że musi się znaleźć w łóżku i o wszystkim zapomnieć.

Domy publiczne?!

- Proszę porozmawiać z Iglą - powiedziała słabo, ale z premedytacją. Teraz należało się pozbyć ze swojego życia kolejnego bandziora, który swoją rolę już odegrał. Niestety komisarz nie podjął wątku.

- Czy w związku z prowadzonym dochodzeniem ma pani coś przeciwko przeszukaniu mieszkania? - zapytał. - Na przykład jutro rano?

- A szukajcie sobie, czego chcecie. Mnie tam wszystko jedno, nie mam nic do ukrycia.

- Tylko... zależy mi, żeby pan Iglą o tym nie wiedział. Proszę go gdzieś oddelegować.

- Czemu?

- Jest pani przyjaciółką Zuzy, prawda? - komisarz zadał pytanie pozornie niezwiązane z tematem, ale kiedy usłyszał odpowiedź twierdzącą, zatrzymał się i uważnie spojrzął jej w oczy. - Dam pani dobrą radę. Proszę nie powtarzać tej rozmowy panu... Igle. Dla własnego bezpieczeństwa. Ani słowa. Hardy ma w swoim najbliższym otoczeniu kreta. Za nim stoi ktoś

potężny i mam ambicje odkryć, kto to. Oficjalnie przyszedłem panią poinformować o aresztowaniu męża. I tylko o tym. Proszę mi zaufać.

*

Wachlarz przestępczych dokonań Henryka tak Misię przytłoczył, że kiedy weszła do mieszkania, nie zrobiła brunetowi karczemnej awantury, tak jak to sobie zamierzyła. Po prostu nie miała siły. No i cały przedpokój był wyczyszczony na błysk, co również w dużej mierze ostudziło jej zapał. Ścian niestety nie dało się zupełnie zmyć, ale trudno. Jutro się nad tym zastanowi.

- Co robisz w moim domu? - zapytała zmęczonym głosem i wbiła w intruza spojrzenie, nawet nie rejestrując, że porzuciła oficjalną formę i zwraca się do niego per „ty”.

Brunet na szczęście miał teraz na sobie nieco więcej garderoby, niż przed przybyciem komisarza. Włożył sportowe spodnie i koszulkę i Misia z pewnym niezadowoleniem musiała stwierdzić, że wyglądał sztywnie nawet w domowych ciuchach, farciarz. Na dodatek ośmielona jej obecnością Pyza przestała się wreszcie ukrywać i weszła do kuchni. Zawahała się w progu, ale już po chwili ocierała się łobuzowi o nogi.

- Zawarliśmy z Hardym umowę. W razie aresztowania obiecałem z tobą zamieszkać. Żeby cię chronić.

Misia miała mętlik w głowie. Zamiast domagać się wyjaśnień i poinformować, że nie ma pięciu lat, rzuciła tylko z pretensją:

- A nie można mnie było rano uprzedzić? Bo zdaje się, że się już dzisiaj widzieliśmy...

Igła westchnął przejmująco.

- Powiedzmy, że obawiałem się twojej reakcji. I słusznie. Przed chwilą znowu omal nie dostałem repety. Łopata. W ogóle chyba powinienem sobie kupić dla bezpieczeństwa kask, nie uważasz?

Czy on próbuje z niej żartować? To już chyba lekka przesada. Żeby nie powiedzieć: tupet.

- Co ty sobie wyobrażasz?! - Misi udało się w końcu zdenerwować, a kiedy jeszcze uzmysłowiła sobie, jak

malownicze awantury potrafi urządzać Zuza (raz była świadkiem takiej sceny i zapamiętają do końca życia), zerwała się od stołu i zaczęła krążyć po kuchni, szukając czegoś, czym mogłaby efektownie gruchnąć o ścianę. Dziwnym trafem z każdym ze sprzętów czuła silną więź i szkoda jej było nawet malusiej filiżanki. - Myślisz, że możesz tak po prostu wejść do cudzego domu? I biegać po nim w gaciach?

- Klucze dostałem od Hardego. Zrobiło się późno, a ciebie nie było. W gaciach nie biegałem, tylko zasnąłem. Miałem ciężki dzień. Hardy...

- Pocałuj się w nos z rym twoim Hardym! A ja jestem kto? Mnie nie trzeba pytać o zdanie? Mieszkanie jest moje, jestem współwłaścicielką. Nie życzę tu sobie gołych...

- Mutantów? - wszedł jej niby uprzejmie w słowo, ale zaczęła mu niebezpiecznie drgać szczęka.

- A choćby i mutantów, to co?

- Słuchaj no, ty rozpieszczona babo - uniósł się z miejsca. - Czy ci się to podoba, czy nie, od dzisiaj jesteś skazana na moje towarzystwo. Rozkaz to rozkaz. Mam pilnować ciebie i mieszkania, dopóki Hardy nie powie „dość”. Uwielbiać mnie nie musisz, ja ciebie też nie. Przygotuj mi pokój i tyle. Obowiązku łożenia za tobą nie mam. Ty się zajmiesz swoim życiem, ja swoim.

Rozpieszczonej baby Misia by mu nie darowała, ale podczas całego tego przemówienia zahaczyła przypadkowo wzrokiem o stojak, gdzie trzymała wino.

Jednej butelki brakowało!

Los Vascos, jej ulubione.

Czy ten świniak...?

Misia błysnęła złowrogo oczami i rzuciła się do kosza, gdzie bez trudu odnalazła dowód zbrodni wieńczący górę śmieci. Z furią wyciągnęła butelkę i mierząc nią oskarżycielsko w rabusia, stanęła tuż przed jego nosem. Nie powiedziała już ani słowa, ale jeśli facet miał choć odrobinę honoru, od jej pogardliwego spojrzenia powinien zapaść się pod ziemię.

A otóż i się nie zapadł.

Uśmiechnął się za to cierpko i mrużąc te swoje czarne ślepie, beczelnie powiedział:

- A w temacie win, unikaj proszę jednego, nadzwyczaj oklepanego zdania. „To twoja wina”. Jako moja kochanka, a cenię sobie kobiety oryginalne, wymyśl coś bardziej intrygującego.

*

Misia prawie nie zmrużyła tej nocy oka.

W poszukiwaniu rozwiązania usiłowała zmobilizować do pracy wszystkie swoje szare komórki. Poza tym naprawdę trudno zasnąć, mając świadomość, że kilka ścian dalej jakiś bandzior rozwala na kanapie swoje dwumetrowe cielsko, a jego kończynki w postaci monstrualnych pedałów wystają poza jej łóżko. Igła (doskonale pseudo: był długi i jakiś taki kłujący) spełnił swoją rolę; dzięki niemu komisarz naocznie przekonał się, że państwo Skoczylasowie mieli ze sobą niewiele wspólnego.

Ale na tym koniec.

Mutanta należało się jak najszybciej pozbyć.

Żadne wspólne mieszkanie nie wchodziło w grę. Nie ma takiej opcji. Nikt nie będzie jej wlaził buciorami w życie. W poszukiwaniu najlepszego rozwiązania przeanalizowała wszystkie możliwe scenariusze, ale stwierdziła, że najlepszy będzie chyba ten najprostszy. Żadne wielkie mecyje, po prostu spakuje dryblasę, zawiezie jego rzeczy razem z walizkami Henryka do firmy i zmieni zamki. Potem na wszelki wypadek zatrzyma się na parę dni u Zuzy i załatwione.

Rankiem wstała więc wcześniej niż zwykle, umalowała się i wypila kawę (Igła chrapał, aż telepało rurami centralnego ogrzewania), po czym w ciszy zabrała się za porządki. Henryk trzymał wszystkie swoje ubrania w sypialni, poukładanie ich do walizek zabrało Misi godzinę. Gorzej było z papierami. Większość z nich znajdowała się w firmie, jednak całkiem niezły zapas makulatury został w szafkach w salonie. Ciężkie to było piekielnie, ale jak już pozbywać się niewiernego męża z życiorysu to z każdą, nawet najmniejszą karteczką, won!

O, jedna taka karteczka wzbudziła zainteresowanie Pyzy, która zawdzięczała swoje imię szarej sierści i tuszy związanej z niepohamowanym apetytem. Mimo że papier nie nadawał się do konsumpcji, lizała teraz kartkę z prawdziwym zamiłowaniem, a kiedy Misia odebrała jej łup, miauknęła z pretensją.

- Daj, Pyzulku, jeszcze zwymiotujesz. To jest parszywa pozostałość po twoim panu.

Papier był stronicą z jakiegoś artykułu, rozłożyła go i przeczytała:

- „Wielka kradzież brylantów na Międzynarodowych Targach Gdańskich. Kamienie szlachetne, ludzie niekoniecznie”. Święta prawda, ludzie niekoniecznie - stwierdziła z przekonaniem, zerknęła nieuważnie na numer telefonu zapisany na brzegu przez Henryka i dołączyła papier do Któregoś ze stosów.

W tej samej chwili do salonu wkroczył Igła. Wesoły jak skowronek.

- Witam panią - obciążając bokserki, uklonił się szarmancko i pomaszerował do łazienki. Czuł się na tyle swobodnie, że nie omieszkał się przedtem podrapać po... wiadomo czym. Ten zupełny brak krępacji całkiem wprowadził Misie z równowagi.

- Coś swędzi z rana? - rzuciła cierpko. - Może jakieś grzybki?

- Za grzybki dziękuję - doleciało ją pokrzykiwanie z łazienki i zastanowiła się, czy nie słyszy w tym uciechy. - Ale jajeczniczki nie odmówię!

Misia pominęła sugestię wyniosłym milczeniem, zacisnęła zęby i zapełniła ostatnią walizkę papierami. W sumie, jeśli dryblas już tu jest, może by go tak wykorzystać? Auto posiada, mięśnie też ma nie byle jakie, jemu z walizkami Henryka pójdzie znacznie lepiej. A kochankę Misia sobie i tak obejrzy. Jak tylko załatwi sprawę ze ślusarzem, będzie musiała pojechać do firmy z kłopotami bruneta, bo przecież nie wystawi mu ich już teraz na korytarz. Coś jej podpowiadało, że mogłaby tak kategorycznej decyzji pożałować. Zapowiadał się więc pra-

cowity poranek. Czy ona w ogóle zdąży do pracy?

- O jajecznicze zapomnij. Jedyne, na co możesz liczyć, to suchy chleb - oznajmiła Igle, który zakończył ablucje i kierował się właśnie do kuchni.

Czy ten beklivy odgłos to było burczenie w jego brzuchu? Obrzydliwość.

- Szczodra jak małżonek, doprawdy - zakpił i zaczął trzaskać garnkami.

- Czego tam szukasz? - Misia pobiegła za nim wściekła jak osa. I pomyśleć, że jeszcze niedawno miała się za osobę łagodnego usposobienia. Tymczasem ten facet wydobywał z niej same najgorsze cechy.

Nie znosiła go. Nie znosiła!

- Przecież ktoś musi w tym domu zrobić śniadanie. A nie chcę się chwalić, ale takiej jajecznicy jak moja jeszcze nie jadłaś.

Czy on mówił poważnie?

Najwyraźniej. Przygotował sobie patelnię i właśnie buszował w lodówce, z której wyciągnął cebulę, cukinię, paprykę i pomidory w puszcze. Wszystko ładnie, pięknie, ale czy on musiał to wszystko robić na wpół goły? Nie żeby męska nagość płonila jej lico rumieńcem, ale akurat ta nagość wyjątkowo mocno na nią działała. Misia usiadła więc bezwolnie przy stole i tylko patrzyła.

W jej kuchni szarogęsił się olbrzymi facet. Z tych co to „tylko mnie gnieć”. Niby gruby nie był, ale uda miał tak umięśnione, że jedną taką nogą najadłaby się cała rodzina kanibali. A drugą by sobie ususzili i byłby zapas na zimę. Do tego lekko odstający tyłeczek...

- Jaj nie wyciągnąłem! - zakrzyknął naraz, a Misia jęknęła i odruchowo zamknęła oczy.

- Co? - odwrócił się i przyłapał ją na gorącym uczynku. - Aaa... Świntuszka!

- Żadna świntuszka. Jestem śpiąca. Nie spałam przez ciebie pół nocy.

- Śpiąca? W takim razie ciekawe, ile potrafisz spakować walizek, kiedy jesteś wyspana. Wybierasz się gdzieś? -

zapytał lekko, krojąc cebulę. Po chwili po jego policzkach zaczęły spływać łzy i Misia poczuła coś na kształt satysfakcji.

- Mój mąż się wybiera. Do więzienia. Spakowałam mu więc trochę najpotrzebniejszych rzeczy - wyjaśniła po krótkim zastanowieniu. Informację, że chce się rozwieść, póki co postanowiła zatrzymać dla siebie. Najpierw rozprawi się z Henrykiem. - A właśnie, mógłbyś zabrać te walizki do firmy?

- A do aresztu mu nie zawieziesz? Przecież możesz się starać o widzenie. Wątpię, co prawda, czy zgodzą się na cztery kufry, ale...

- Okłamał mnie, na razie nie chcę go oglądać - ucieła. - Ani jego, ani jego gratów. Graty do firmy. Pomożesz?

- Pomogę, jasne - zgodził się nadspodziewanie szybko i wrzucił warzywa na patelnię. Zaskwierczało.

- Poza tym... nie umiem mu wybaczyć zdrady - powiedziała szybko Misia i bacznie obserwowała reakcję dryblasa. - Mam na myśli kochankę.

Doczekała się, Igła był naprawdę zaskoczony. Zamarł nad patelnią w pół gestu, a mięśnie na nogach napięły mu się jak sznurki do prania.

- To ty wiesz?!

- Pewnie, że wiem.

- Nie wiedziałaś, że żyjesz z bossem, a wiesz o kochance? - nie mógł pojąć.

- Kobięca intuicja.

Popatrzył na nią dziwnie.

- Ja na to nie wpadłem. W firmie tak samo, oprócz mnie nikt nie wie. Hardy potrafi się maskować... Zresztą ja też dowiedziałem się przypadkiem. Na początku nawet nie przypuszczałem, że to możliwe.

- Że co możliwe? - Misia niby lekko zapytała.

- No, że ona i on. Ja bym nie mógł.

- Czego byś nie mógł? Zdradzić? Nie rozśmieszaj mnie. Wszyscy jesteście tacy sami.

- A baby to co? Święte niepokalane Franciszki?

Misia z pewnym rozczarowaniem co do siebie samej stwierdziła, że kłóciłyby się dalej, ale niebezpiecznie oddalali

się od tematu.

- Niepokalane to są Marie, młotku.

- Te, pani Łopata...

I jak tu się dogadać z takim baranem? Dobrze, spróbuj z innej beczki.

- Igła... - po raz pierwszy zwróciła się do niego tak bezpośrednio, co zabrzmiało wręcz jak czułe zdrobnienie. - Tak sobie pomyślałam... Bardzo chciałabym poznać tę panią. To znaczy ko... kochankę Henryka. Naprawdę mi zależy. Przedstawisz mnie? - zaryzykowała szczere pytanie.

Igła nie był zachwycony.

- Ja, tępy młotek, między dwie samice pchać się nie zamierzam. Jak chcecie sobie dać po makijażu, to nie w towarzystwie szefa ochrony. Nie ma mowy.

I taki był finał tej rozmowy.

Misia nie wyciągnęła z niego niczego więcej. A jajecznicą była pyszna, to musiała przyznać. Więc przyznała, nawet nie szczędziła słów pochwały, pocieszając się w duchu, że to pierwsze i ostatnie ich wspólne śniadanie.

Z domu wyszli razem, z tym że Igła obracał dwa razy ze względu na walizki. Potem Misia grzecznie się pożegnała, wsiadła do auta i pojechała do Zuzy. Dryblas popędził do centrum, a kiedy sylwetka jego czarnego BMW złała się z innymi mknącymi po Chorzowskiej autami, Misia zadzwoniła po Zużę.

- Złaż!

- Ale czemu nie wchodzisz na górę?

- Wywalam z domu Henryka i Igłę... to znaczy tego porywacza, o którym ci wczoraj mówiłam. W nocy wpakował mi się na dziko do mieszkania. Tak, wiem, nie rozumiesz. Ja podobnie. Trochę to skomplikowane, opowiem ci wszystko po drodze. W każdym razie muszę wymienić zamki i jechać do firmy. Aha. I dzisiaj się do ciebie wprowadzam.

Zużę od nadmiaru rewelacji jakby zatkało. Jednak nie na długo.

- Chwila i momenty. Przeprowadzaj się, tylko co ty do mnie opowiadasz skoro świt? - padło po chwili jej rzeczowe pytanie. - Że co? Igła? A jakieś imię ten twój przestępca

posiada?

- Pewnie posiada, ale to mnie nie interesuje. Zuza, ubieraj się, potrzebuję ślusarza!

Po takim argumente Zuza pojawiła się na dole zaledwie po dziesięciu minutach i z obłędem w oczach zażądała wyjaśnień. Misia skończyła swoją opowieść dopiero kiedy znalazły się w jej mieszkaniu.

- Co to za arcydzieło? - przyjaciółka wskazała na smugi w przedpokoju.

- Twoje buraczki, mówiłam ci przecież, że musiałam się czymś obronić.

- Ale buraczkami? Wręcz marzę, żeby poznać pana Iglę, musi mieć nerwy ze stali.

- Ze stali to on ma raczej mięśnie - zachichotała Misia.

- Tym bardziej! To może się go nie pozbywaj. Masz jakieś foto? - zapytała Zuza, starając się ukryć ożywienie. Słowo „wielki” (a tak przedstawiała Iglę w opowieściach Misia) działało na nią stanowczo zbyt elektryzująco.

- Czyje?

- A o kim niby rozmawiamy? Igły czy masz zdjęcie, zazdrosna krowo.

- Tak, cyknęłam mu tuż po tym, jak oberwał słoikiem - prychnęła Misia. - I już wstawiłam na Facebooka. Zuza, opamiętaj się!

- Nie bądź taka nerwowa. Żartuję przecież.

- Yhm, pewnie. Ale za to poznałam twoją Pietruszkę. Komisarza z windy.

- Właśnie - Zuza mruknęła i zrezygnowana rzuciła się na narożnik. - Ja to spotykam same pietruszki, szczypiorki i inne cieniasy. A gdyby chociaż raz trafił mi się por - zakwiliła żałośnie. - Albo bakłażan. O dorodnym kabaczku nie wspomnę.

- Jasny gwint! - Misia weszła Zuzie w słowo. - Przecież tu ma być jakieś przeszukanie, na śmierć zapomniałam.

- Jakie przeszukanie?

- Komisarz umawiał się ze mną, że rano zrobi przeszukanie mieszkania. Będą szukać czegoś na Henryka, a ja kazałam

zawieźć jego rzeczy do firmy. Chyba nabroiłam - zatroskała się, bo z organami władzy wołała żyć w zgodzie. Jeszcze ją oskarżą, że utrudnia śledztwo.

- To może niech sprawdzą firmę? - zasugerowała przytomnie Zuza.

- Poczekaj - Misia skoczyła do przedpokoju i wyciągnęła z płaszcza wizytówkę, którą otrzymała wczoraj od komisarza na pożegnanie. - To jednak marchew. Piotr Marchewka - przeczytała.

- Pietruszka, marchewka... jeden pies - rzuciła pogardliwie Zuza i pogłaskała Pyżę, która usadowiła się bezceremonialnie na jej kolanach. - Tylko zanim do niego zadzwonisz, to może najpierw załatw ślusarza i znieś rzeczy szefa ochrony do samochodu. Tylko wcześniej trzeba by im zrobić rentgen - dodała przezornie.

- Rentgen?

- Przejrzymy to i owo. A co, tylko policji wolno?

Misia poszła więc potulnie do pokoju, w którym ulokowała bruneta i przytaczała do salonu sporych rozmiarów torbę sportową.

- I zobacz - Zuza miała do pewnych spraw oko. Od razu dostrzegła na torbie logo. - Znaczek BMW. A wiesz, co na torbie miałyby napisane Pietruszka? Nie wiesz? To ja ci powiem. CCC. I właśnie takich facetów należy unikać.

- Jesteś szurnięta - Misia zachichotała rozbawiona. - Czego właściwie szukamy?

Zuza nie przeżywała podobnych rozterek. Zdaje się, że myskowanie w cudzych rzeczach przychodziło jej całkiem naturalnie. Zmarszczyła zabawnie nos, potrząsnęła lokami i zabrała się do pracy. Wyjmowała każdą sztukę odzieży, dokładnie ją oglądała i układała w rzędzie jedną obok drugiej.

- Musimy powkładać wszystko w takiej samej kolejności - wyjaśniła. - Jak to „czego szukamy”? Rzeczy osobiste to kopalnia wiedzy o człowieku.

- Ja tam już swoje wiem i bez grzebania w cudzych majątkach.

- Masz, nadrabiają, skoro na żywo nie miałaś okazji - Zuza

podchwyciła.

Zacząła się z nią przekomarzać i wymachiwać najbardziej intymną częścią garderoby, która wpadła jej właśnie w ręce. - Wiem, że chcesz. No co, przecież nie każę ci wahać - zaśmiała się demonicznie.

- Fu!

- Jakie fu, przecież widać, że świeże. Co za rozmiar w kroku... - dodała szelmowsko, widząc, że przyjaciółka krzywi się z niesmakiem. - Odrobinę? - wyciągnęła zachęcająco bieliznę w kierunku Misi, ale ta dostrzegła właśnie, że z książki o winie wystają jakieś kartki. Wyciągnęła jedną z nich i długo się w nią wpatrywała.

- Co tam? - zaciekawiała się zaraz Zuza.

- Właśnie się zastanawiam...

Niewesoły głos Misi sprawił, że Zuza postanowiła się przyłączyć. Wyrwała jej znalezisko z rąk i sama zaczęła je badać.

- Nie chcę nic mówić, ale to mi wygląda na plan twojego mieszkania - oceniła po chwili z zatroskaną miną. - A tu masz pięknie rozrysowane wszystkie instalacje - pomachała jej przed nosem kolejnymi kartkami.

Misia doszła do tych samych wniosków.

- Tylko po co mu plany mieszkania? A to? - pokazała przyjaciółce kopertę, z której wypadła historia choroby niejakiego Jarosława Maziarza opatrzona pieczętką kliniki chirurgii plastycznej w Polanicy Zdroju. - Rozumiesz coś z tego?

- Ani w ząb. Ale zeskanowałabym, tak na wszelki wypadek. Całość.

- Maziarz - powtórzyła Misia, usiłując coś sobie przypomnieć. Jakiś ślad, dźwięk słów.

- Wydaje mi się, że już to nazwisko słyszałam. Ale gdzie, nie mam pojęcia.

Zuza westchnęła. Coś tu zaczynało śmierdzieć i na pewno nie były to męskie slipy.

Odłożyła papiery i nie przestając rozmyślać, kontynuowała penetrację torby, choć z nieco mniejszym zapalem. Rezultat

okazał się jednak całkiem obiecujący.

- Mówisz, że ten twój Iglą jest szefem ochrony?

- Yhm.

- A to? - Zuza wyciągnęła z torby jakiś podłużny przyrząd, który wyglądem przypominał złożoną parasolkę. Był czarny, widniał na nim wyraźny, żółty napis.

- Może paralizator?

- Garrett. SuperScanner V - przeczytała Zuza. - Misia, odpalaj komputer. Szukaj ślusarza, a przy okazji sprawdzimy, do czego służy to чудо.

Cudo okazało się... ręcznym wykrywaczem metali. Podczas gdy Misia omawiała przez telefon szczegóły wymiany zamków, Zuza zapoznała się z instrukcją obsługi. I włos zjeżył się jej na głowie.

- Ślusarz zaraz będzie - zawiadomiła ucieszona Misia. - I co to jest?

- Masz, czytaj - Zuza wpuściła ją przed monitor. - Ręczny wykrywacz metali, moja droga.

Misia nie chciała wierzyć. Czytając opis produktu w jednym z internetowych sklepów, cała poczerwieniała z emocji.

- Zuza, powiedz, o co tu chodzi, bo ja normalnie nie nadążam.

Przyjaciółka również nie wyglądała na ucieszoną odkryciem. Już chyba wołała, żeby na przedmiocie widniał napis „Mechaniczny Mustang”, choć wyobraźnia zaczęła jej podsuwać pytania, co takie cacko robiłoby u faceta. Wydarzenia poranka tak ją przejęły, że żołądek potraktowany podczas śniadania jedynie cienkim twarożkiem zaczął się domagać powrotu do rzeczywistości. Skręcił się w trąbkę.

- Ssie mnie - oświadczyła przejmująco. - Mogę włamać się do twojej lodówki? I wtedy rozmawiamy. Mózg mi na czczo obumiera.

- Włamać... Ty mnie nie uruchamiaj, po wczorajszej nocy to słowo średnio mi się konotuje.

- Muszę skonotować, co masz w lodówce. Lepiej?

- Konotuj.

Po spałaszowaniu kanapki Zuza zaczęła brzmieć znacznie

sensowniej.

- Historię choroby Maziarza postaramy się odczytać w wolnej chwili, odstraszają mnie te bazgroły - postanowiła. - Teraz plan mieszkania i wykrywacz metali. Obiecujący zestaw.

- Przecież wiem! - krzyknęła przejęta Misia. - On chce tu chyba robić jakieś poszukiwania. Ale czego? Może zapytajmy komisarza?

- Poczekaj, nie tak szybko. Skoro Igła chce tu czegoś szukać...

- Masz rację - Misia nagle zerwała się od stołu. - Henryk kazał mu się wprowadzić rzekomo po to, żeby pilnował i mnie, i mieszkania. Ale skoro mój mąż tak się o mnie martwi, czemu nie zlecił dryblasowi ochrony osobistej? Tego podobno w umowie nie było. Tylko dzielenie lokalu.

- Na mój gust to twój Henryk coś tu ukrył i szef ochrony zwąchał pismo nosem - stwierdziła Zuza i poczęstowała się rzodkiewką, którą rozgryzła z wielkim apetytem. - Też sobie zasiałam - wyznała, wskazując beztrzesko na bordową kulkę.

- Zuza! - upomniała ją Misia. - Słuchaj, jeszcze ci nie powiedziałam najważniejszego.

Marchewka zdradził mi wczoraj, że mój mąż ma podobno w tej całej mafii kreta. Jakiegoś kapusia. I tak między słowami wywnioskowałam, że...

- Że to Igła?

- Tego wprost nie powiedział.

- To co robimy? - Zuzie zaczynało się to zamieszanie coraz bardziej podobać.

- Mnie się pytasz? To ty całe życie uwielbiałaś afery, wymyśl coś. Garrett V... Wykrywacz metali, też...

- Dobrze, że pan Igła nie zabrał ze sobą przenośnego dźwigu i kruszarki do betonu. Bo miałybyśmy większy kłopot.

- A teraz to mamy niby mały?

- Co się tak ekscytujesz? - Zuza wzruszyła ramionami. - Przecież go wywalasz z mieszkania.

- Niby tak. Ale co? Mówimy Marchewce o tym? - Misia

wskazała na rozbebeszoną torbę.

- A jeśli faktycznie Henryk schował tu coś wartościowego? Ile z tego zobaczysz, jak wtajemniczysz Pietruszkę?

- Marchewkę.

- Właśnie, metoda kija i marchewki! - zawołała Zuza. - Na razie cisza. Nic nie wiemy i w ogóle jesteśmy lekko niedorozwinięte. Niby z policją współpracujemy, ułatwiamy im pracę i srele morele. A po cichu same szukamy. Dawaj ten wykrywacz, do przyjścia ślusarza mamy jeszcze chwilę. Żaden facet nas nie wykiwa!

*

Żeby mieć pewność, że Igła nie wtarabani się do mieszkania podczas zaplanowanych na dzisiaj rewizji, a postanowili iść za ciosem i przeszukać wszystkie miejsca związane z Hardym, Marchewka wezwał szefa ochrony na rutynowe przesłuchanie. Gdzie był, kiedy jego szef demolował monopolowy, czy widział zajście, takie tam. Dał chłopakom zielone światło, mieli go zgarnąć i przetrzymać do wieczora. Komisarz tymczasem zastukał do mieszkania przy ulicy Zawiszy i stanął jak wryty.

Drzwi otworzyła mu...

Zuza!

Tak się ucieszył, że prawie zapomniał, po co tu przyszedł. Drobił przez chwilę na wycieracze, aż jeden z policjantów zaczął znacząco chrząkać.

- O, pan Pietruszka. Znowu się spotykamy - pani Zuza uśmiechnęła się czarująco. - Misia jest w kuchni, proszę dalej. Robimy małe przemeblowanie.

Marchewka przywitał się z panią domu, która dziwnie spłoszona walczyła z szafką pod oknem. Na jego widok porzuciła mebel, zakreśliła się wokół torebki i dopiero wtedy zaproponowała herbatę. Z ciężkim sercem musiał odmówić.

- Przykro mi, ale nie mamy czasu. Czeka nas dziś mnóstwo pracy. Możemy zaczynać? Tu jest nakaz - wręczył żonie Hardego dokument i poinformował ją, w jakim celu przybył. - Być może w tym mieszkaniu znajdują się dowody związane ze śledztwem prowadzonym przeciw panu Skoczyłowski.

Dokumenty, faktury, kradzione przedmioty. Czy mogę prosić o ich wydanie?

Owszem, był nieco oficjalny, ale chciał zatrzeć poprzednie złe wrażenie. W windzie zachowywał się jednak zbyt wylewnie. A nawet nie zdziwiłby się, gdyby pani Zuzie od tej jego wylewności... ułało się. Należało zmienić taktykę.

- Chyba mamy problem - Harda uśmiechnęła się przeprasząc. - Zapomniałam, że się umówiliśmy, spakowałam wszystkie rzeczy Henryka i kazałam je zawieźć do firmy.

- A to czemu?

- Nie chcę mieć w domu niczego, co by mi go przypominało - powiedziała rozbijając szczerze i komisarz zrozumiał.

W ogóle inaczej wyobrażał sobie żonę Hardego prywatnie. Znał ją ze zdjęć i nagrań video, zawsze wydawała mu się nieco wyniosła, ale w rzeczywistości okazała się nad wyraz sympatyczna. Wzbudzała zaufanie. Gdyby miała związek z interesami małżonka, jak nic przepisałby na nią chociaż część majątku. Tymczasem sama dbała o swoje finanse. Kontrola skarbową, która przytrafiła się jej firmie miesiąc temu, tylko te przypuszczenia potwierdziła. Harda była czysta. Tylko po co, do diaska, zaczęła się zadawać z szefem ochrony?

- Nie ma sprawy, po rewizji pojedziemy do firmy. Czy wyraża pani zgodę na skopiowanie twardego dysku? Pytam o komputer.

Harda jakby się zawahała, ale nie odmówiła.

- Oczywiście.

- Dobra! - pani Zuza jak dotąd nie włączała się do rozmowy, przycupnęła w kącie i czekała na rozwój sytuacji, ale pozostawanie w cieniu zdecydowanie jej nie odpowiadało.

- Normalnie nie mogę już pana słuchać.

- Czemu? Coś źle powiedziałem? - przestraszył się.

- Właśnie nie mówi pan jak człowiek, tylko jak funkcjonariusz.

- Ale przecież... - Marchewka podrapał się po głowie - przecież ja jestem funkcjonariuszem.

- Pan stwierdza fakt czy stawia hipotezę? - zapytała

niewinnie Zuza i z rozmysłem ułożyła usta w słodki dziubek.

- Może nie przeszkadzajmy panu w pracy - upomniała ją dyskretnie Harda.

- Kawa czy herbata? - pani Zuza nie zwróciła na przyjaciółkę najmniejszej uwagi. Włączyła czajnik i przemierzyła kuchnię tanecznym krokiem. Komisarz nie mógł oderwać wzroku od jej bioder, które na tle kafelek zataczały coraz to bardziej obiecujące kręgi.

- Herbatkę poproszę - wy dukał pokornie i pozwolił sobie jednak spocząć na krześle.

- Od razu lepiej - ucieszyła się pani Zuza, stawiając na stole wypełnioną po brzegi cukiernicę, a komisarz przy tej okazji omal nie wybił sobie oczu o dwie ponętne piersi, które niespodziewanie wskoczyły w jego przestrzeń osobistą. - Słodzi pan?

Żona Hardego, nie wiedzieć dlaczego, zaczęła się nerwowo wachlować serwetką.

- Dwie łyżeczki.

- O, ja też dwie. Mówił pan coś o kradzionych przedmiotach... - zaszczebotała.

-Tak?

- Tak. Ja pana bardzo dokładnie słucham, panie Pietruszka.

- Marchewka.

- Marchewka. Co konkretnie pan miał na myśli? Coś metalowego może?

Komisarz poczuł się zagubiony.

- Czemu metalowego?

- Hardy coś ukradł, tak? Jakież przedmioty.

- Nie, on osobiście niczego nie kradł, nie przypuszczam. Od tego miał ludzi.

- To co na przykład? Jakież złoto, srebro, tak? - dopytywała się pani Zuza i w tych oczach komisarz zobaczył nagle tyle niewinnej ciekawości, tyle pragnienia zrozumienia policyjnej niedoli, że aż zrobiło mu się przykro, że musiał ją rozczarować.

- Nie, ja tylko tak powiedziałem - zaśmiał się i machnął

ręką. - Hardy nie zajmował się głupotami. Tak naprawdę to szukamy lewych faktur, rachunków bankowych, danych fikcyjnych firm, tych, co to je otwierali na bezdomnych...

Zainteresowanie pani Zuzy natychmiast stopniało. I to właśnie było w niej najbardziej fascynujące. Zmienność, żywiołowość, energia. Błyszczała jak żaden rondel w tej kuchni.

- A może pani też się napije herbatki? Głupio mi tak samemu...

Widząc zachwycone spojrzenie komisarza, Harda uznała, że w kuchni jest o jedną osobę za dużo.

Zostawiła ich samych.

*

Obsługa wykrywacza metali nie sprawiła Misi i Zuzie specjalnych problemów, a nawet było to dużo prostsze niż depilacja okolic bikini za pomocą golarki elektrycznej. Problem polegał jednak na tym, że sprzęt darł się jak oszalały, gdy tylko natrafiał na rurę albo kabel i co chwilę musiały zaglądać do schematów instalacji, które bynajmniej nie przypominały mapy Katowic. Niektóre oznaczenia wyglądały tak enigmatycznie, że jak nic nadawały się na atrybuty magii i czarnoksięstwa w grze fantasy. Temat więc lekko je przerósł, tym bardziej że równie słabo radziły sobie z przesuwaniem mebli.

- To wcale nie jest takie hop-siup - oceniła Misia, kiedy po zakończonej rewizji wsiadły do auta i w asyście policji jechały do firmy. Marchewka marudził gdzieś w tyle, wypadało zwolnić. W międzyczasie obgadały więc poszukiwania, jakich dokonały przed przyjazdem komisarza. - Rury i kable zdecydowanie mnie obezwładniają.

- Mnie, niestety, również. Obawiam się, że będziemy musiały przerzucić się na dedukcję.

- W sensie?

- Musimy usiąść i pomyśleć, gdzie u ciebie najlepiej coś zamurować.

- Zuzi, ja mam sto metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej!

- I sto kilo kabli, rur i innego szmelcu. Zauważyłam...

Robota głupiego takie latanie z wykrywaczem. To niewykonalne, nawet jak się ma te kretyńskie schematy. Przecież wiadomo, że w domu ciągle się coś przerabia i nie nanosi się zmian.

- Ale Igła zamierza szukać.

- Bo to jest chłop - autorytatywnie rozstrzygnęła Zuza - geniusz techniczny, ale emocjonalnie: dziecko we mgle.

- We mgle to raczej błądzimy my.

- Żadne „błądzimy”. Obejrzymy i opukamy dokładnie każdą ścianę, centymetr po centymetrze. Jeśli twój Henryk zmajstrował skrytkę, to może znajdziemy jakiś ślad? Inny odcień farby, głuchy brzdęk czy coś...

- Ehe, głuchy brzdęk... - Misia nie była przekonana. - Jesteś pewna, że Marchewka nie widział, jak chowałam wykrywacz do torebki?

- Pietruszka widział przede wszystkim mnie.

- Nie da się zaprzeczyć. Zuza I Ręczny Detektor Informacji. Z wyświetlaczem piersiowym. Garret V wysiada.

- Ma się pewne umiejętności - Zuza ze skromnym uśmiechem poprawiła fryzurę.

- To ich użyj i wyciągnij od Marchewki nazwisko kochanki Henryka.

Do firmy dotarły jako pierwsze. Był to dwupiętrowy budynek w Szopienicach, niedaleko kościoła. Z zewnątrz niczym się nie wyróżniał, choć może nie straszyl starością tak jak pozostałe kamienice w sąsiedztwie. Elegancki wystrój był więc niespodzianką. Żeby dostać się na ostatnie piętro, trzeba było pokonać kilkoro drzwi, które otwierały się po wpisaniu kodu. Misia nie była tu częstym gościem i nie zaprzętała sobie głowy cyframi, więc za każdym razem dzwoniła. Po wejściu do sporego sekretariatu przywitały się i przekazały torbę Igły. Jego samego na szczęście nie zastały, za to znalazły się w polu rażenia asystentki Henryka.

- O, pani Skoczylas, jak miło - pani Ryszarda rozpływała się w uśmiechu, prezentując wielkie zęby usmarowane różową pomadką aż po dziąsła. - Rzadko pani do nas przychodzi. Igła przywiózł walizki z rzeczami pani męża i gdzieś wyszedł.

Zuza, która była w firmie Henryka po raz pierwszy, bezzwłocznie poszukała ściany i z obłędem w oczach się o nią oparła.

Nie chciała stracić niczego z rozgrywanej tutaj sceny.

Pani Ryszarda mogła mieć dwadzieścia parę lat, ale makijaż i żywe akcenty folklorystyczne w jej garderobie sprawiały, że wyglądała jak stara baba z Podkarpacia. Jeśli dodać, że używała tak silnych perfum, że insekty trzymały się od niej na bezpieczną odległość, a entuzjastyczny uśmiech prawie nigdy nie schodził jej z oblicza, można sobie wyobrazić, jaką to wszystko tworzyło całość. Do tego Ryszarda była elegantką, wręcz sięgała aspiracjami Paryża.

Dziś postawiła na zieleń i fiolet. Było to widoczne nawet w doborze dodatków: gigantyczne, plastikowe koła w uszach plus opaska we włosach, którą wieńczył zielony miś ściskający z zapamiętaniem fioletową baryłkę. Cudo. Plisowana spódniczka w kratę ukazywała zgrabne nogi zamordowane jednak ohydnymi rajstopkami w romby. No i nieśmiertelne góralskie kierpce w charakterze obuwia zmiennego. Od patrzenia na panią Ryszardę bolały oczy. Dosłownie. Również z powodu koloru włosów, który obecnie był jaskraworudy, chociaż Misia poznała ją jako brunetkę. Coś jednak musiało się podczas zabiegu fryzjerskiego nie udać, bo czerń przebijała jeszcze gdzieś przez oranż w postaci nieregularnych brunatnych łat.

Misia trzymała się dzielnie, ale odkąd weszła, walczyła z katarą. Sekretarka skropiła się dzisiaj czymś, co zajeżdżało walerianą i naprawdę trzeba było mieć zapalenie zatok, żeby się zmierzyć z tym bukietem. Kichnęła akurat, kiedy do biura wparował zbir znany Misi już jako Gutek.

- Bry... Sto lat z jednym chłopem. Co tak pachnie jak z paszczy Kachnie? - rzucił nieuważnie od drzwi, ale na widok włosów pani Ryszardy aż cofnął się o pół kroku, co pozwalało wnioskować, że sekretarka musiała być u fryzjera raptem wczoraj. - A tobie co? Łepetyną bigos mieszałaś?

Pani Ryszarda w jednej chwili zmieniła wyraz twarzy. Z uprzejmego w bardzo nieuprzejmy. Chyba z Gutkiem za sobą

nie przepadali. Jak nic rozgorzałyby kłótnia, gdyby nie komisarz i jego ludzie, którzy zaczęli natrętnie dzwonić do drzwi. Po paru minutach wkroczyli do pomieszczenia i głośno obwieścili swoje przybycie.

- Witam państwa, komisarz Piotr Marchewka. Mamy nakaz przeszukania firmy.

W następnej kolejności padła wiązanka oficjalnych słów, którą Misia z Zuzą już dobrze znały. Niestety, chwila na poszukiwania kochanki Henryka okazała się jednak niezbyt odpowiednia. Co za niefart. Ale może sekretarka będzie coś wiedzieć? Dziwaczna z niej była postać, ale Misia czuła do dziewczyny niewytłumaczalną sympatię.

- Pani Rysiu, czy ja bym mogła prosić pani telefon? - zapytała przyciszonym głosem, nachylając się nad biurkiem.

- Mam sprawę.

Ryszarda nie widziała przeszkód, żeby dzielić się z bliźnimi. Wyciągnęła z torebki komórkę i z wciąż tak samo zaróżowionym uśmiechem obdarzyła nią żonę szefa.

- Nabita - poinformowała. - Może pani kręcić, nawet za granicę.

- Nie, nie. Chodziło mi raczej o numer pani telefonu - wyjaśniła Misia i zerknęła na Zuzę, która zaczęła podejrzanie chrząkać. - Chciałam o coś zapytać, a tu teraz takie zamieszanie... Zadzwońlabym wieczorem, mogę?

- Jasne. Już, już - sekretarka zerknęła na tablicę korkową i podyktowała głośno numer, który jednak Misię zastanowił.

- 573-171-625-5? Ale czemu dziesięć cyfr?

Pani Ryszarda zamyśliła się. Następnie ponownie przyjrzała się tablicy, wstukała numer do telefonu stacjonarnego i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Nie można zrealizować połączenia - powtórzyła konspiracyjnym szeptem. - Ojej! Podałam pani swój NIP! - krzyknęła poruszona, kiedy wreszcie zorientowała się w popełnionej pomyłce.

Gutek wybuchnął niekontrolowanym śmiechem, panowie policjanci również wydawali się rozbawieni.

- Nic nie szkodzi, ja ostatnio pomyliłam numer buta

Henryka z jego kołnierzykiem - zdradziła Misia, której zrobiło się dziwnie. Nie lubiła, kiedy publicznie się z kogoś naśmiewano. Może nawet zwróciłaby towarzystwu uwagę, gdyby nie Marchewka.

Westchnął i rzucił z niedowierzaniem do jednego ze swoich kolegów:

- No no, Hardy to się umiał ustawić. Żona i kochanka, a jakie panie dla siebie uprzejme.

Misia również poszukała wolnej ściany.

Nikt nie zauważył jednak, że równie zszokowaną osobą w pokoju był Gutek. Najpierw zamrugał swoimi cwanyimi oczkami, później z niedowierzaniem podrapał się po brodzie, a kiedy wreszcie zrozumiał, co usłyszana właśnie informacja oznacza, wymknął się cicho na korytarz i z uciechą wystukał na klawiaturze komórki SMS-a.

*

Ryszarda Kociołek była wstrząśnięta.

Po wystąpieniu komisarza żona Henryka śmiertelnie zbladła i bez słowa wybiegła z biura. Jej przyjaciółka za nią. Ryszardzie zrobiło się tak niewypowiedzianie przykro, że w spazmie płaczu rzuciła się na biurko. Przecież nie chciała, żeby tak było.

Ona tylko przyszła do pracy i starała się robić wszystko jak najlepiej. A Henryk okazał się tak imponującym mężczyzną, że po prostu nie mogła się w nim nie zakochać. Spędzali razem mnóstwo czasu i rozumieli się w pół słowa. Bawiły ich te same sytuacje, podobały im się te same rzeczy. Wręcz idealna zgodność charakterów i dopasowanie gustów. W dodatku seks... No, dzikość ciał po prostu, nieposkromione żądze i postępująca demoralizacja. Ryszarda utonęła więc w tym wszystkim bez reszty i już nie wyobrażała sobie innego życia, choć od początku orientowała się w charakterze prowadzonych przez Henryka interesów.

Mięknąc w ramionach mafijnego bossa...

O żonie również wiedziała, oczywiście. Henio myślał o rozwodzie, ale był tak zajęty, że sprawa nieco się przeciągała. Nieco ponad trzy lata. A jej też było żal pani Michaliny, którą

szczerze lubiła. Dlatego miała potworne wyrzuty sumienia, kiedy Henio kupił w Janowie prześliczny domek i w zasadzie przebywał tam częściej, niż we własnym mieszkaniu. A potem stwierdziła, że jej ukochany jest przecież dorosły i wie, co robi. Przestała nad tym rozmyślać, była szczęśliwa i... obsypywana diamentami. Henio chciał jej wynagrodzić lata oczekiwań i niedawno podarował w dowód miłości trzy kamyczki. Tylko trzy, ale podobno były dużo warte.

Z ciekawości zaniósła je do najlepszego jubilera w mieście i faktycznie, na miejscu okazało się, że Henio miał rację. Usłyszana kwota Ryszardę poraziła. I uruchomiła wyobraźnię. Gdyby sprzedała diamenty, mogłaby spełnić marzenie swojego ukochanego i postawić w jadalni kilkumetrowe akwarium. Ależ by się ucieszył. I na pewno nie miałby nic przeciwko, że pozbyła się prezentu. Widziała przecież, że miał tych kamyczków całe garście. A zamiast diamentów, sprawi sobie cyrkonie, błyszczą tak samo. Więc sprzedała. Niestety, Henio został aresztowany, i to akurat tego dnia, kiedy przywieziono akwarium. Co za pech. Bardzo za nim tęskniła, bardzo.

Do odwiedzin policji już przywykła. Nachodzili Henia regularnie, ale on miał na nich swoje sposoby. Wizyta komisarza nie zrobiła więc na Ryszardzie większego wrażenia, dopóki nie padły wiekopomne słowa o żonie i kochance. Nie chciała nikogo skrzywdzić, a już na pewno nie chciała sprawić przykrości pani Michalinie.

- Buuu... I co pan narobił? - rzuciła z pretensją do policjanta, który chyba zastanawiał się nad tym samym, bo wyglądał na zakłopotanego.

- Głupio wyszło, przyznaję.

- Kiedy dacie nam wreszcie święty spokój?!

- Święty spokój jest dla świętych. A Hardy święty raczej nie jest. Pani również. Pan Skoczylas przepisał na panią sporo nieruchomości - wytknął z zadowoleniem komisarz, a po poprzednim zakłopotaniu nie został na jego obliczu nawet ślad.

- A to przestępstwo?

- Zaraz się pani dowie, co jest przestępstwem, a co nie jest.

Proszę - położył na biurku jakieś urzędowe pismo. - Nakaz rewizji pani domu. Za chwilę zaprosimy panią na przejażdżkę, ale najpierw mam kilka pytań. Możemy porozmawiać na osobności?

Pani Ryszarda otarła łyzy i z niejakim ociąganiem poprowadziła komisarza do sali konferencyjnej. Naśladując Henia, przygotowała sobie miejsce u szczytu stołu, zaznaczając w ten sposób swoją przewagę. Wiedziała co prawda, że każdy stół ma dwa końce, ale kiedy komisarz ze stoickim spokojem zajął miejsce dokładnie po drugiej stronie, wytrącił ją tym z równowagi.

- Będziemy do siebie krzyczeć? - zapytała zdziwiona, bo stół mierzył prawie pięć metrów.

- Czemu? Akustykę macie tu świetną.

- Dobrze, zaczynamy - pani Ryszarda poprawiła grzywkę i spróbowała się uśmiechnąć.

- Słucham.

- Pan Antoni Różycki nie żyje. Został zamordowany - komisarz wypalił z informacją, po czym wstał i swobodnym krokiem podszedł do Ryszardy. Położył przed nią zdjęcie jakiegoś podstarzałego mężczyzny i spokojnie wrócił na miejsce.

- Aha. Przykro mi, a co ja mam z tym wspólnego?

- Kiedy poznała pani Różyckiego? - Marchewka beznamietnie drążył dalej. To on był od zadawania pytań. - Najlepiej jeśli pani poda dokładną datę.

- Nie znam żadnego Różyckiego.

- Radzę to sobie dobrze przemyśleć - w głosie komisarza pojawiły się ostrzegawcze tony.

Sekretarka jeszcze raz spojrzała na zdjęcie i powtórzyła:

- Widzę go pierwszy raz w życiu.

- A to ciekawe - policjant wyglądał na usatysfakcjonowanego, wywnioskowała więc, że coś źle powiedziała.

- Tak mi się przynajmniej wydaje, nie mam pamięci do twarzy.

- Czyli odwołuje pani wcześniejsze zeznanie?

- Nie wiem, czy odwołuję. Mówię, że tego człowieka nie znam, ale... może znam? Nie wiem, nie pamiętam. Może znałam, ale przestałam?

Marchewka przyjrzał się jej z nieukrywaną kpina.

- Ktoś tu się chyba minął z powołaniem. Wiem, że nie jest pani zwykłą sekretarką, ale może powinna pani pomyśleć o innej drodze kariery? Dyplomacja na przykład.

- Pan myśli, że ja nie mam dyplomu? - zachnęła się Ryszarda. - Mam skończone studium, proszę pana. I to nie byle jakie.

Komisarz jakby się zakrztusił. Przez chwilę trwał w milczeniu, potem zebrał się w sobie i zmienił temat.

- Dwa tygodnie temu przyniosła pani do jubilera trzy diamenty, największy z nich miał ponad dwa karaty. Zgadza się?

- Może przyniosłam.

- Pani Kociołek... Cięży na pani zarzut paserstwa. Albo kradzieży, to się jeszcze okaże. Jeśli dołożymy utrudnianie śledztwa, będziecie sobie z Hardym stukać po kratkach alfabetem Morse'a. W więzieniu, rzecz jasna. Diamenty zostały rozpoznane jako skradzione firmie Benelux Diamonds podczas Międzynarodowych Targów Gdańskich w dwa tysiące siódmym roku. Równy dwieście trzydzieści sztuk. Co ma pani do powiedzenia w tej sprawie?

Teraz to Ryszarda wyglądała jakby jej coś utknęło w gardle. Rozkaszała się nerwowo, po czym podeszła do stolika i nalała sobie wody mineralnej. Czy Henio podarował jej złodziejski łup? Niestety, nie mogła takiej możliwości wykluczyć. Przynajmniej tyle dobrze, że zachował się elegancko i spręparował dokumenty.

- Diamenty... kupiłam. Nic mi nie wiadomo, żeby były kradzione. Mam dowód zakupu i certyfikaty.

- A od kogo je pani kupiła?

- Od... muszę sprawdzić. Papiery trzymam w biurze, zaraz przyniosę.

Podreptała do sekretariatu, a po drodze usiłowała rozpaczliwie analizować sytuację. Kiedy odnalazła dokumenty i

zobaczyła, kto był sprzedawcą, trochę się zdenerwowała, ale właściwie niepotrzebnie. W sumie, jeśli ten cały Różycki wykorkował, to nie było się czym martwić. A pieniądze na diamenty mogła mieć z kamienic, które dawały miesięcznie spory przychód, bo Henio wynajmował je bankom. Odetchnęła, skropiła się kontrolnie perfumami i wróciła do konferencyjnej. Z szerokim uśmiechem na różowych ustach.

- Różycki! No, przecież! Tak się właśnie zastanawiałam, skąd go znam...

*

Przez chwilę siedziały w aucie w milczeniu, potem na siebie popatrzyły i zgodnie ryknęły śmiechem.

- Riczarda! - krzyknęła Zuza. - Czemu ty mi wcześniej nie pokazałaś tej gwiazdy? Przecież jak ją zobaczyłam, to mi prawie wody odeszły.

- Ale to jest bardzo miła dziewczyna - Misia próbowała bronić sekretarki, kiedy już doszła do siebie. Może jeszcze parę dni temu by ją znienawidziła i uznała za złodziejkę cudzych mężów. Ale przecież prawda była taka, że z Henrykiem nie mogli się porozumieć już od bardzo długiego czasu. Więc nie będzie psem czy raczej... suką ogrodnika. Niech go sobie Ryszarda zabiera. - Może nie najmądrzejsza, ale prostolinijna i szczerą. Oczywiście z wyjątkiem aktualnej sytuacji.

- A czyja mówię, że nie jest prostolinijna? Wpakowała się Heniowi prosto do łóżka, pewnie, że prostolinijna, he he.

- Ja to śmieję się z czego innego - wyjaśniła Misia. - W zasadzie z siebie. Wyobrażałam sobie, że moja rywalka to będzie jakaś skończona piękność, miss i w ogóle nieprawdopodobna laska. A... Riczarda, jak ją nazywasz, to raczej taki Kopciuszek niż Angelina Jolie.

- Kopciuszek, Kopciuszek. A jaki jest ulubiony sklep Henryka?

Misia popatrzyła na przyjaciółkę zdeorientowana.

- Ale jaki? Spożywczy czy... Co ty mi za głupie pytania zadajesz?

- Zaraz się dowiesz. No, mów: ulubiony sklep Henryka. Zawsze jak byliście w jakimś mieście, to cię tam ciągnął. Żadnemu nie przepuścił.

- Aaa, Cepelia cholerna - odpowiedziała Misia i zgrzytnęła zębami.

Niestety, to był kolejny punkt zapalny w ich małżeństwie. Henryk lubował się w drewnianych aniołkach, ohydnych sękatych rzeźbach z drewna i innych wytworach ludowych, na które nie należało patrzeć przed zapadnięciem mroku, jeśli miały się człowiekowi nie przyśnić. Zapelniał tym jeden z pokoi i oto Misia z radością poczuła, że zbliża się dzień, kiedy poskłada cały ten majdan i przekaże sekretarce. Już samo to wystarczyło, żeby tę znajomość pielęgnować.

- Cepelia, bingo! To powiedz teraz, że nie rozumiesz, czemu Riczarda!

- Zuza, paskudna jesteś.

- Ty nie udawaj takiej kochającej cały świat matki Teresy. Ta ryżawa „Lassie wróć” podprowadziła ci męża! Poza tym, powiedz, czy to nie powinno być jednak karalne? Brak gustu, smaku. Kicz! - Zuza zakrzyknęła z oburzeniem.

- Ale do „Wszystko po 4 złote” to biegasz truchcikiem.

- Biegam, bo w tych siedliskach tandety prowadzę obserwacje socjologiczne - odparła z godnością. - Kiedyś cię zabiorę, można napisać książkę, zobaczysz. Wracając do twojego byłego... To, że Henryk zawsze zdradzał wiejskie inklinacje, bo sam jest wieśniak, to oczywiste, ale Riczarda, niby Kopciuszek, ale ciało ma niezłe, zauważyłaś?

Misia zauważyła, jakże by nie. Jej małżonek miał fioła na punkcie biustów, pokaźne popiersie sekretarki musiało go więc aż nadto cieszyć. Nie to co jej pinezki...

- Owszem - mruknęła niezbyt zainteresowana tematem. - Ciekawe czy ona wie, co Henryk schował w moim mieszkaniu.

- Same się przekonamy. Ale póki co, wypadaloby popracować, nie sądzisz? Wywalilaś z chaty dwóch facetów, zmieniłaś zamki. Przyjemność za nami, teraz obowiązek. Jedziemy do pracy.

Studio Urody i Naturalnego Piękną „Femina” mieściło się na osiedlu Ryszki w Chorzowie, w bliskim sąsiedztwie parku Róż. Misia z Zużą zaadaptowały budynek stojący przy Biedronce i zrobiły z niego przytulne miejsce, w którym same lubiły przebywać. Może dlatego że zawsze pachniało tu kawą i olejkiem pomarańczowym?

Dominowała biel i zieleń, które były tłem dla nowoczesnych, ale praktycznych mebli. W centralnej części pomieszczenia znajdował się zupełnie rozkoszny ogród zimowy, a w nim minikawiarenka, gdzie w przerwie pomiędzy zabiegami można było usiąść przy stoliku, poczytać gazetę i zjeść coś smacznego. Klientkom najwyraźniej także podobała się leniwa atmosfera panująca w salonie, bo terminarz „Feminy” pękał w szwach. Na sukces pracowały dwa lata i dopiero teraz zaczęły wychodzić na prostą. W każdym razie nie musiały się już poświęcać pracy tak bardzo jak na początku, chociaż pomagały dziewczynom i od czasu do czasu same także obsługiwały klientów.

- Pani Misiu, pan Krystian do pani. Czeka ponad godzinę - recepcjonistka zawiadomiła już na wejściu i wskazała na eleganckiego mężczyznę popijającego niespiesznie kawę.

- Czemu go nie przyjęłyście?

- Uparł się, że chce do pani. Mówił, że ma czas i poczeka.

- Zaraz będę, tylko się przebiorę.

Zuża łypnęła znacząco na Misię, ale pozwoliła sobie na komentarz dopiero kiedy znalazły się w pokoju opatrzonym tabliczką BIURO.

- Chce do pani... I co z tym zrobisz?

- Czyszczenie twarzy. Był już dwa razy.

- Kobieto, interesuje się tobą mężczyzna! - teatralnie krzyknęła Zuza. - Czy mam to oznajmić przez tubę, żeby do ciebie dotarło?

Misia wzruszyła ramionami. Zainteresowanie pana Krystiana, na szczęście okazywane z klasą i umiarem, mile ją lechtało. Przyjemnie im się również gawędziło. Pan Krystian wiele podróżował i potrafił o tym ciekawie opowiadać, ale Misię zajmowały zupełnie inne sprawy niż flirtowanie z klientami. Na przykład przez ostatnie dwa tygodnie kłóciła się z

Henrykiem prawie dzień w dzień. Wszystko może kobiecie w takiej sytuacji obrzydnąć.

- I co mam z tym mężczyzną według ciebie zrobić?

- Jak to co? Wykorzystać! Do szczętu i imentu.

Oczywiście, Zuza miała swoje poglądy i nie przepuszczała okazji, żeby się zabawić.

Bynajmniej nie rozdawała swych wdzięków na prawo i lewo, nie o to chodziło, ale bywała w rozmaitych miejscach, jadała w eleganckich restauracjach i poznawała mnóstwo ciekawych ludzi. Jej życie towarzyskie było co najmniej bujne, a do tego uważała, że to rozwiązanie dobre dla wszystkich. A Misia najchętniej by sobie od facetów odsapnęła.

- Nie mam praktyki. Jeszcze skończyłoby się na tym, że to ja zostałabym wykorzystana

- krytycznie oceniła swoje możliwości. - Lepiej dam sobie spokój, przynajmniej na razie.

- Co fakt, to fakt. Sierota matrymonialna jesteś zupełna. Ale nic się nie martw, ja się tobą zajmę.

Dokładnie tego scenariusza Misia obawiała się najbardziej.

- Słuchaj, to może ty go wykorzystaj? - zasugerowała zachęcająco. - A ja sobie popatrzę i będę się uczyć. Szczęt i iment. Bardzo cię proszę.

Zuza przez chwilę rozważała propozycję.

- Hm... Niech pomyślę. Pan Krystian nie jeździ rowerem, nie pachnie Przemysławką i ubrany jest szalowo. Co? Nie bądźmy hipokrytkami i nie udawajmy, że nie interesują nas zasoby mężczyzny, bo każdą kobietę interesują. I to nie jest materializm, ale przezorność. Zatem... - odchyliła żaluzje i zerknęła na potencjalną ofiarę, która nie mając o niczym pojęcia, wgryzała się aktualnie w Rafaello i dyskretnym gestem strząsała wiórki z jedwabnego krawata na podłogę. - Smieci, cham jeden! I to jak perfidnie, że niby nic... Nie mogę!

Misia zajrzała oburzonej przyjaciółce przez ramię i zachichotała.

- Czyli już rozstrzygnięte, swataj mnie z kim innym.

- Poczekaj, bo najpierw gada pouczę - Zuza poderwała się

do drzwi, ale Misia była szybsza.

- Poczekaj, na razie nas nie stać na czystki wśród klientów, więc może się opanuj. Już do niego idę. Doliczę mu za sprzątanie, możesz być spokojna, tylko czemu go o tym informować?

Pan Krystian na widok Misi odstawił filiżankę i szeroko się uśmiechnął. Zęby miał idealnie równe, ładne, a wokół oczu robiły mu się, podobnie jak Igle, urocze zmarszczki.

I podobnie jak Igła (bandzior i mutant) był brunetem. Z tą drobną różnicą, że pan Krystian miał o wiele mniej włosów, a skronie zdobiła mu lekka siwizna. Z tych a la „mów mi Clooney”.

- Wreszcie się doczekałem - powiedział na powitanie przejmująco chropowatym głosem, aż stojąca obok paprotka cała się rozedrgała i Misia zaczęła się wahać.

Podobał się jej. To na pewno. Ale ona, w przeciwieństwie do paprotki, nie odnotowała drzeń kończyn, żołądek również nie wycinał jej żadnych numerów, tak jak to miało miejsce, kiedy poznawała kogoś naprawdę interesującego. Nic, żadnej biegunki, żadnej nadprodukcji gazów. Znaczy się, szalu nie ma. Spokojnie można było przejść do usuwania zaskórników.

- Dzień dobry. I jak buzia po ostatnim zabiegu?

- Mam wrażenie, że gorzej - zatroskał się pan Krystian i puścił Misię przodem.

- Niemożliwe.

- Obawiam się, że możliwe, dlatego dzisiaj zrobimy coś ekstra, dobrze?

Nasz klient, nasz pan. Pan Krystian zajął jej prawie dwie godziny i Misia była naprawdę zmęczona, kiedy pod koniec masażu twarzy do gabinetu wparowała Zuza i pomachała jej przed oczami jakąś kartką.

- Zeskanowałam właśnie fakturę - powiedziała z przejęciem po tym, jak już przeprosiła, że przeszkadza.

- I?

- I coś mi się przypomniało. Dzisiaj rano miałyśmy skopiować dokumenty. Włożyłyśmy do skanera i...

- O rany! - Misia złapałaby się za głowę, gdyby nie to, że

muskała właśnie pana Krystiana po wymodelowanym podbródku. - Musimy jechać do mnie.

- Kończysz?

- W zasadzie już skończyłam. Panie Krystianie, poleży pan tu sobie spokojnie parę minut, to się wchłonie, a potem do pana ktoś przyjdzie, dobrze? Ja muszę załatwić bardzo pilną sprawę.

Pan Krystian nie miał nic przeciwko. A nawet był za, bo kiedy tylko obie panie wyszły z gabinetu, sięgnął po komórkę i zajął się konwersacją. Jego głos nie wibrował już jednak kusząco. Był metaliczny i ostry.

- Znalazłeś?! Trudno, zabieraj się stamtąd, bo wraca. Będzie za piętnaście minut. Ruszaj się!

*

Nie odłożyły dokumentów do torby Igły!

Jeśli wrócił do firmy i przejrzał swoje rzeczy...

Misia rzadko jeździła po mieście szybciej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale dzisiaj zrobiła wyjątek. Szaleńczo wrzuciła sześćdziesiątkę, na co Zuza wzniosła oczy do nieba i postanowiła w duchu, że jeśli zrobi wreszcie to przekłete prawo jazdy, ona będzie szoferem. Kurs skończyła prawie rok temu, prowadziła jak szatan, ale parkowanie właśnie tam, gdzie życzył sobie egzaminator, było według niej idiotycznym kaprysem. I zdaje się, dlatego oblała już osiem razy.

- Może ja poprowadzę? - zaproponowała, starając się, żeby w głosie nie zabrzmiała nagana, co prawie jej się udało. Niestety, Misia była bardzo zasadnicza. Obrzuciła ją tylko mało przychylnym spojrzeniem i z wyraźnym oporem przyspieszyła do siedemdziesięciu. Zaraz potem zrobiła się błada i zdjęła nogę z gazu. - A wiesz, że maruderzy i zawalid rogi to większe zagrożenie na drodze niż osoba doskonale czująca samochód, ale bez prawa jazdy? - Zuza nie mogła się opanować, żeby nie wyrazić swojego zdania.

- A wiesz, że na świecie istnieją inne środki komunikacji? Jeśli sobie życzysz, podrzucę cię na przystanek. Będziesz doskonale czuła autobus.

- Nie, dziękuję. Chociaż od niektórych kierowców autobusów mogłabyś się wiele nauczyć - zaryzykowała po raz ostatni, ale widząc reakcję Misi, szybko wróciła do głównego tematu. - Jak mogliśmy nie odłożyć tych świstków na miejsce?

Misia zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Tyle się dzisiaj działo... Może zadzwonimy do Ryszardy i spytamy, czy Igła wrócił? - zastanawiała się na głos.

- Po co ich uprzedzać? - Zuza uważała, że to nie jest dobry pomysł. - Skanujemy plany i kartę choroby i idziemy na żywioł. Pędzimy do firmy i po cichu podrzucamy dokumenty do torby dryblasza. Jeśli jej oczywiście jeszcze nie zabrał.

- Po cichu? - Misia nie była aż taką optymistką. - Przecież tam teraz szaleje komisarz, trwa rewizja.

- Też prawda, zapomniałam. Niech pomyślę...

- Myśl z łaski swojej szybciej. Przecież jak się Igła zorientuje, że grzebałyśmy w jego rzeczach...

- To co? Zabije cię? Kolejny facet, którego przeceniasz. Nie histeryzuj, bo ci się zrobią zmarszczki.

- Będzie wiedział, że my wiemy, że coś kombinuje!

- Co za różnica, przecież wykreśliłaś go z listy lokatorów.

- Z listy go niby wykreśliłam, ale mam co do niego inne plany - rzuciła zagadkowo Misia. - Niematrymonialne - zastrzegła, widząc, że Zuza unosi brwi.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Już niedługo - obiecała i szybko wróciła do poprzedniej rozmowy. - Zastanawiam się, czy podczas przeszukania ktoś zajrzał do skanera. Bo komisarz kazał skopiować twarde dysk.

- Gdyby zajrzeli, to chyba by zapytali, co to jest - słusznie zauważyła Zuza.

- Ale muszę przyznać, że zostawili po sobie porządek.

Te słowa w świetle kolejnych wydarzeń nabrały zupełnie nowego znaczenia.

Kiedy dojechały na miejsce i podeszły do drzwi wyposażonych już w nowe zamki, Misia przeżyła szok. Klucz przekręcał się w zupełnie inną stronę. Nie było innego

wytłumaczenia...

- Otwarte!

- Co ty mówisz? - Zuzie nie chciało się wierzyć.

- Kręcę i zamykam, no to chyba nie może być inaczej. Było otwarte!

- Nie zamknęłaś?

- Zamykałam przy tobie i Marchewce, doskonale pamiętam.

Popatrzyły po sobie z niepokojem, ale nie mogły wiecznie tkwić na korytarzu. Misia już sięgała do klamki, kiedy Zuza przytrzymała jej rękę i ostrzegawczo wyszeptała:

- Nie zacieraj śladów.

- Zwariowałaś? - Misia również zaczęła szeptać, ale posłusznie nacisnęła klamkę łokciem. Może faktycznie nie zamknęła? Zamek był nowy, może coś mu się w środku pokiełba- siło, a one robią z tego włamanie stulecia.

Chwilę później okazało się, że z tym stuleciem to może była przesada, ale bałagan, który zobaczyły po wejściu do mieszkania, na dekadę z pewnością zasługiwał. Wszystko, dokładnie wszystko: meble, obrazy, książki, było zniszczone i porozrzucane w nieładzie po podłodze. Nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Półki były porozkręcane na poszczególne elementy, telewizor leżał bez tylnej pokrywy w przedpokoju, a zamszowy narożnik, który Misia tak lubiła, został brutalnie pocięty. Z ran wystawały zmierzwione szczątki tego, co w nim zostało, bo resztę ktoś wyciągnął i porozrzucił po salonie. Natomiast na ścianie, którą zdobiły do niedawna zdjęcia i obrazy, widniała teraz namalowana czarnym sprayem wielka litera C.

- O kur... zapiał - Zuza nie potrafiła powiedzieć niczego więcej.

Misia oglądała pobojuwisko ze łzami w oczach. Kiedy obiegła całe mieszkanie, wróciła do pokoju z Pyzą w objęciach i przytulając się do kotki, opadła na podłogę.

- A tak to mieszkanie kochałam! - wyrzuciła z żalem. - Tak się tu dobrze czułam. Świnia!

- Kto? - Zuza przysiadła obok.

- Jak to kto? Igła! A kto mógł to zrobić?! Podła, wielka świnią! - tu Misia rozpląkała się rzewnie. - Przecież ja to urządzałam latami. Dobierałam każdy szczegół. Pieściłam.

- Poczekaj - Zuza współczuła przyjaciółce, ale w sytuacjach kryzysowych starała się myśleć przede wszystkim logicznie. Jeśli oczywiście nie była głodna, bo stres zdecydowanie wpływał na jej metabolizm. - Wiem, że to brzmi głupio, ale pieściłaś i masz okazję, żeby sobie popieścić od nowa, bo lubisz, więc nie ma tragedii. Na szczęście włamanie to nie białaczka. A propos... Rano widziałam u ciebie bezy. Były w kuchni. Mogę?

Misia nie powiedziała słowa, ale wypuściła z objęć znudzoną czułościami Pyzę i machnęła przyzwalająco ręką. W kuchni coś zaszumiało, pobuczało i Zuza po paru minutach wróciła do przedpokoju z tacą.

- W górę tyłki - zarządziła, wciskając Misi pod siedzenie poduszkę. O sobie również nie zapomniała, tak więc siedziały teraz na panelach wygodnie jak w najlepszej kawiarni. Z filiżanek unosił się karmelowy zapach cappuccino, bezy piętrzyły się na talerzyku, a Pyza zabierała się właśnie za wyjadanie cukru. Było prawie miło. Prawie.

- Dzwonimy po Pietruszkę? - Zuza przerwała milczenie. Misia pociągała jeszcze nosem, ale wyglądała już dużo lepiej.

- I tak przedpokój był do remontu po buraczkach - westchnęła przejmująco. - Meble da się chyba uratować. Tylko narożnik...

- Zamówisz ten sam. Pietruszka?

- Kuchnia zdemolowana, wszystkie produkty porozsypywane - wyliczała ponuro. - W łazience poodrywane kafelki...

- Posprzątam, pomogę ci. Albo zatrudnimy ekipę sprzątającą, stać nas.

- Miałam mieć spokój, miałam się cieszyć w luksusie samotnością. Wywaliłam ze swojego życia dwóch bandziorów...

- A właśnie, ja odnośnie bandziorów. Pozwolisz, że zabiorę głos - wtrąciła Zuza i upiła nieco pianki. - Ekspres masz

zabójczy... To nie Iгла - stwierdziła z przekonaniem, wskazując na pokój.

- Jak to nie? Zorientował się, że grzebałyśmy w jego rzeczach, przyjechał tu i się włamał. Z zemsty. Podlec.

- Mówisz o facecie, który wysilił się, żeby zdobyć plany mieszkania i zaopatrzył się w elektroniczne bydło typu Garrett V? Nie sądzę. Nie znam go, co prawda, osobiście, ale uważam, że to bez sensu. Poza tym, po jakiego grzyba bazgrałby ci po ścianie? Bo to chyba jakiś komunikat.

- Zakładając, że masz rację... - podjęła po chwili zastanowienia Misia - to zaczyna się chyba robić dziwnie, nie uważasz? Po co ktoś miałby się do mnie włamywać?

- A po co Henryk kazał temu twojemu Igle pilnować mieszkania? He?

Misi kolejny raz tego dnia zrobiło się słabo.

- Więc to naprawdę nie on?

- Nie przypuszczam. Po prostu jest jeszcze ktoś, kto oprócz ochroniarza wie, co się tutaj święci. I też szuka.

- Ale czego szuka?! - niewiedza Misię aż paraliżowała. Poza tym, czy może czuć się bezpieczna w mieszkaniu, w którym dzieją się takie rzeczy? Włamywacza nie zatrzymał nawet porządny zamek.

- Myśl!

- Łatwo ci mówić - burknęła Misia.

- Myśl, bo skoro włamywacz przyozdobił ścianę, to moim zdaniem, chce ci coś przekazać. I z tego wynika, że nie znalazł tego, po co tu przyszedł.

Uwagi Zuzy były niepozbawione racji.

- Myślisz, że wróci?

- Obawiam się, że tak. Więc w sumie to nie wiem, czy dobrze, że tego ochroniarza wywaliłaś. Ochroniać pewnie umie.

- Jest szefem ochrony, więc raczej tak. Czyli co? - Misia już całkiem nie wiedziała, co robić. Czuła się co najmniej zagubiona. Cieszenie się samotnością w luksusie obecnie nie wchodziło w grę, bo luksus lekko się zdezaktualizował. A do sprzątnięcia, bez dwóch zdań, przydałoby się silne, męskie

ramię.

- Nie widzę wyjścia - oznajmiła stanowczym tonem Zuza i zerknęła z ukosa na emblemat na ścianie. - Lepszy znany bandzior niż nieznany artysta plastik. Trochę z nim pomieszkasz, a w międzyczasie same będziemy prowadzić poszukiwania.

- Ale on też będzie prowadził! W tajemnicy.

- Będzie prowadził, jeśli będzie miał czym. Już my się postaramy, żeby nie miał. Tego Garretta na przykład mu się unieszkodliwi - beztrąsko oznajmiła Zuza. - Biorę to na siebie.

- Unieszkodliwi się i co? Od razu będzie wiadomo, że to ja. Rewelacja po prostu. Sprytne, bardzo sprytne.

Zuza uśmiechnęła się olśniewająco.

- Kochanie, czy ty mnie nie znasz?

- Właśnie, niestety znam...

- A wiesz, że masz dość niespotykaną przypadłość? - Zuza wstała i zaczęła przechadzać się po przedpokoju bardzo z siebie zadowolona.

- Tak? Aż się boję zapytać, jaką.

- Moja droga, wytwarzasz... pole magnetyczne! - zaśmiała się szatańsko przyjaciółka i zdaje się, że oczekiwała aplauzu. Misia boleśnie jęknęła.

- Zuza, oszczędź mnie, proszę.

- Do tej pory sama siebie nie oszczędzałaś, a teraz zaszła sytuacja wyższej konieczności. Musimy sobie radzić, więc siedź cicho i siorb cappuccino... Wytwarzasz pole, które oddziałuje na sprzęty elektroniczne. Po prostu psują się w twojej obecności. Garretty i inni jego następcy. Wręcz dostają agonii, kumasz?

- Tak, i dlatego mój komputer chodzi jak marzenie?

- Nic się nie bój, tak to załatwię, że będzie wiarygodnie. - Zuza widziała już oczami wyobraźni swoje przyszłe działania i aż zatarła z uciechy ręce. - A panu Igiełce trzeba dać jakieś zajęcie, żeby nie myślał o głupotach i miał co robić. Może wtedy odechce mu się poszukiwać. W tej kwestii liczę na ciebie.

Misia zamyśliła się, a po chwili na jej obliczu pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Dokładnie wiem, czym go zajmę...

*

Piotrek Marchewka nie miał powodów do zadowolenia.

Ani w domu Hardego, ani u jego kochanki nie znaleźli niczego istotnego. Podobnie w firmie, ale to akurat nie było nowością, bo przetrzepywali to miejsce już kilkakrotnie. Nadzieja pojawiła się dopiero pod koniec dnia, kiedy jeden z policjantów wygrzebał z walizki artykuł wyrwany z Angory. Natychmiast zadzwonił z tym do komisarza, który pilnował, żeby poszukiwania w domu Ryszarda Kociołek szły jak należy.

- Chyba coś mamy.

- Mów, na co czekasz!

- Artykuł. Luźna kartka, a na niej zapisany numer telefonu.

Czytam tytuł:

„Wielka kradzież brylantów na Międzynarodowych...”. Komisarzowi tych parę słów wystarczyło.

- Dobra, już jadę! Ustal, do kogo należy numer i nikomu tego nie pokazuj.

Marchewka nie chciał się cieszyć na zapas, ale kiedy dotarł na miejsce i wziął kartkę w

ręce, aż zapiał w duchu z radości. Wreszcie jakiś punkt zaczepienia! To, że Ryszarda Kociołek przehandlowała diamenty pochodzące z kradzieży w Gdańsku jeszcze Hardego bezpośrednio nie obciążało. Mało tego. Oficjalnie nie miał z tym nic wspólnego. Kochanka niby kupiła kamienie od Różyckiego, a pieniądze podobno pochodziły z czynszu najmu kamienic - te otrzymała w akcie darowizny. Różycki, jedyny świadek i ewentualny złodziej (w co Marchewka nie wierzył), nie żyje.

Nieźle pomyślane.

Ale nawet nieźle pomyślane matactwa mają swoje słabe punkty.

Wystarczy być wytrwałym i sprawdzać metodycznie każdy trop. A to Marchewka potrafił. Artykuł na temat kradzieży

Hardy uprzejmie opatrzył numerem telefonu. Jak miło!

- To stary numer, sprzed paru lat - zawiadomił policjant i przekazał komisarzowi kartkę z danymi. - Do dzisiaj używały go cztery osoby. Tu ma pan rozpisane kto i w jakich latach.

- Nas interesuje przede wszystkim przedział czasowy, kiedy dokonano kradzieży, ale i tak trzeba sprawdzić wszystkich. Szukamy połączeń z Hardym, chociaż osobiście nie mam większych nadziei.

- Za godzinę powinny przyjść billingi.

- Zajmiesz się połączeniami, ja sobie pochodzę wokół tej listy - komisarz zerknął na kartkę i mruknął z uznaniem.

Pracował z ludźmi, którzy znali się na rzeczy. Obok nazwisk figurowała krótka biografia. Trzy kobiety, jeden mężczyzna. Odruchowo zaczął od mężczyzny.

Witold Korduz, lat sześćdziesiąt trzy, zamieszkały w Polanicy Zdroju. Profesor chirurgii plastycznej! Tu w głowie komisarza rozległ się dzwonek, który przerodził się w wycie syreny alarmowej, kiedy okazało się, że profesor był użytkownikiem zapisanego telefonu w latach dwa tysiące cztery - dwa tysiące dziesięć. Przejrzał też życiorysy trzech pań, ale szczerze wątpił, żeby Hardy kontaktował się z właścicielką warzywniaka, chórzystką czy nauczycielką geografii. Rozważał właśnie decyzję, czy od razu nie wsiąść w auto i nie pojechać w góry, kiedy zadzwoniła żona Hardego, pani Michalina, i zgłosiła włamanie. Pojechał tam natychmiast.

Niestety, pani Michalina była sama, Zuzy już nie zastał.

- Zuza pojechała do salonu, mamy sporo pracy - wyjaśniła Harda przybitym głosem, widząc, że komisarz rozgląda się nerwowo po mieszkaniu.

- Tu też będzie sporo do zrobienia - stwierdził Marchewka, kiedy obejrzał pobojobisko.

- Ale pan Igła pani pomoże. Cały dzień spędził na komisariacie, więc nie zmęczył się dzisiaj... pracą.

Harda łypnęła na niego zdziwiona, ale nie była skora do rozmowy, i trudno się jej dziwić. Komisarz zajął się więc dochodzeniem, tym bardziej że technik doniósł właśnie, że zamki otworzono wytrychem. Podobno fachowa robota,

żadnych odcisków palców. Z kolei wysłany na spytki do sąsiadów sierżant usłyszał, że w ciągu ostatnich kilku dni na piętrze nie kręcił się nikt podejrzany, nie zawitał tu również choćby jeden gazownik czy inny pracownik administracji, co sugerowało, że włamywacz albo jest Fantomasem, albo sprawnym zawodowcem.

- Czy coś zginęło? - zapytał Marchewka.

- Nie trzymam w domu pieniędzy - odparła beznamiętnie pani Michalina.

- Ale może jakaś biżuteria, sprzęt elektroniczny...

Pokręciła z rezygnacją głową.

- Nie lubię błyskotek, mam tylko parę rzeczy. Od Zuzy, niezbyt wartościowe, ale są na miejscu. To znaczy wśród tego, co zostało z szuflady.

- Rozumiem - powiedział przeciągle komisarz, nie spuszczać wzroku ze ściany.

Oczywiście literę C zobaczył, jak tylko wszedł do mieszkania, i kolejny raz tego dnia

doznał ukojenia. Jemu malunek nadzwyczaj się podobał. I jak nic do tej pory potwierdzał, że podąża właściwym tropem.

Hardy dokonał kradzieży stulecia.

Ukradł diamenty i schował je w mieszkaniu.

Tylko że oprócz niego wie o tym ktoś jeszcze.

Ciekawe, kto...

- Jak pani sądzi, co to może znaczyć? - wskazał na ścianę.

- Nie mam pojęcia - pani Michalina wzruszyła ramionami.

- C to węgiel. Albo język programowania, sprawdziłam przed chwilą w Google. Nie wiem, może Henryk handlował węglem i kogoś oszukał? I teraz ten oszukany się mści?

- Może tak być - komisarz przytaknął obłudnie, ale nie mógł przecież odkryć kart przed żoną Hardego, choćby była najsympatyczniejszą osobą na świecie. Zawsze istniała obawa, że powie w obecności męża o jedno słowo za dużo. - Z tym węglem to rzeczywiście nieźle pani wymyśliła.

*

Z komendy wypuścili Iglę dopiero pod wieczór.

Zły jak siedem diabłów pojechał do firmy, choć najchętniej usiadłby z kieliszkiem wina przed telewizorem i włączył KUCHNIĘ+, oczywiście jeśli jego „kochanka” nie oglądałaby jakiegoś durnego serialu.

Zaskoczyła go tym matrymonialnym przedstawieniem przed komisarzem, a rola, jaką mu przydzieliła... Jeśli to dotrze do Hardego, już mógł organizować kosę tudzież przenośną wyrzutnię rakiet, bo Hardy miał nadzwyczaj czułą dumę i fakt, że sam grzał łóżko sekretarki, nie miał tu żadnego znaczenia. Najpierw odrąbałby przyprawione mu rogi, a dopiero potem zastanawiałby się, czy użycie siekiery było słuszne. Kochanek. Ciekawe, czemu to miało służyć. Zemsta na niewiernym małżonku? Trzeba będzie wytłumaczyć pani Michalinie, że jest już dużą dziewczynką i nie przystają jej konfabulacje.

Czy on się kiedyś uwolni od bab Hardego?

Harem pieprzony...

Jeszcze podczas przesłuchania dostał chyba ze cztery wiadomości od Ryszardy, która zaklinała go na wszystko, żeby pomógł jej w jakiejś delikatnej sprawie.

- Igła! - krzyknęła na jego widok i usta ułożyły się jej w podkówkę.

Nienawidził tego.

- Co się dzieje?

- Jak ty mi nie pomożesz, to kto? Przecież ty u niej mieszkasz! - Piersi Ryszardy zaczęły podskakiwać z przejęcia, a ona sama zamierzała chyba wybuchnąć płaczem.

Ratunku!

- U żony szefa? Mieszkam, i co z tego? Co ty i ona... - ugryzł się w język i pozwolił się jednak kobiecie wygadać.

Już dawno zorientował się, że one wcale nie oczekują pomocy.

Wyją, a kiedy człowiek podsuwa najlepsze rozwiązanie, okazuje się, że nie o to chodzi. Dalej paplają o tym samym przez dwie godziny, a potem i tak robią swoje. Po czym wyją znowu. Najlepiej więc się przymknąć (w tym czasie można na przykład przeanalizować ostatni mecz piłki nożnej) i ze współczuciem potakiwać głową. Nie zaszkodzi rzucone od

czasu do czasu głębokie „rozumiem”, nawet gdyby problem wydawał się sztucznie nadmuchany i zinterpretowany zupełnie idiotycznie, co było regułą.

Ryszarda wyrzuciła więc z siebie, że jest podłą egoistką, ale kocha Henryka. Kocha na śmierć i życie i jak ona ma właśnie dalej żyć. Zraniła panią Michalinę i to teraz, kiedy Henryk siedzi za kratkami i nie może im pomóc (tak jakby Hardy prowadził fundację „Żony i kochanki pomimo wszystko razem”). Więc niech pomoże Ięła.

- Ale co ja mam właściwie zrobić, bo nie rozumiem?

- Chcę z nią porozmawiać, przeprosić. Wyjaśnić...

- To rozmawiaj.

- Jak? To delikatna sprawa. Nie mogę do niej tak po prostu zadzwonić.

- To napisz list.

- Ięła, nie żartuj sobie. Zaprosź ją w moim imieniu na obiad, dobrze? Jutro. Sam też przyjdź. Wytworzy się przyjazna atmosfera i jakoś jej to wyjaśnię. Nie chciałam nikomu zabierać męża, nie chciałam być podstępna i żmija, nie chciałam...

Ięła zrozumiał, że jeśli teraz nie przejmie inicjatywy, wszystko zacznie się od nowa. Podkówka, falowanie piersi, ulewane emocje. Impreza nie na jego nerwy.

- O, co tu robi moja torba? - prawie się ucieszył, że znalazł pretekst do zmiany tematu.

- Pani Michalina ją tutaj przywiozła. To co, pomożesz?

- Po co?

- Jak to po co. Mówiłam ci, muszę jej wytłumaczyć, że nie chciałam rozbijać niczyjej rodziny, nie chciałam...

- Torbę po co przywiozła?

- Nie wiem, kazała ci przekazać. Zaprosisz ją? Może tobie nie odmówi.

- Zaproszę - rzucił nieuważnie.

- Może być jutro o szesnastej? Będzie sztuka mięsa. Wołowinka. Zaprosiłabym was na kolację, ale na kolację umiem zrobić tylko kanapki, a na obiad...

Ryszarda trajkotała w najlepsze, Ięła wykorzystał więc

chwilę, żeby przejrzeć swoje rzeczy. Od razu odnotował, że spod zamka wystaje jakiś element garderoby, co oznaczało, że ktoś zaglądał do środka.

- Czegoś tu szukałaś? - przerwał Ryszardzie. Spojrzała na niego tak śmiertelnie zdziwiona, że nie miał wątpliwości. To nie ona grzebała w jego rzeczach.

W takim razie kto?

- Ja? Coś ty. Może policja, bo zrobili tu dzisiaj nalot. Mój dom też przeszukali, dopiero niedawno skończyli. I wcześniej byli na Tysiącleciu.

- Aaa... To dlatego mnie przetrzymywali - mruknął zdenerwowany.

Nie było kartoteki, którą znalazł pod szufladą! Zniknęły również wszystkie dokumenty: plany mieszkania i schematy instalacji. Przeszukał torbę dokładnie dwa razy i nic. Tknięty przecuciem włączył wykrywacz metali i okazało się, że wskaźnik baterii pokazywał połowę zużycia, a powinien być pełen! Jak dotąd podejrzewał policjantów, którzy podczas przeszukania nie ominęli i jego rzeczy, ale zużyte baterie Garretta raczej to wykluczały.

Misia! To przecież ona przywiozła torbę do biura.

Co ta kobieta kombinuje?

- Przekażę Skoczylasowej twoje zaproszenie, ale nic nie obiecuję - rzucił do Ryszardy na pożegnanie. - Nie potrafimy się jakoś dogadać. Dobra, jadę do... domu.

*

Zuza nie zostawiła przyjaciółki w potrzebie.

Pozaałatwiała najważniejsze sprawy biurowe i wróciła na Zawiszy, żeby pomóc Misi w porządkach. Przezornie zaczęła je od... zrobienia ich ulubionych zbożowych kluseczek, w czym miała wprawę i istniała nadzieja, że po dniu pełnym wrażeń zjedzą w końcu coś pożywne!

Zuza wyciągnęła z lodówki jajko, biały ser (opakowanie zostało przez włamywacza kilkakrotnie przebite na wylot) i pojemniki na mąkę: zbożową i tortową. Mąki nie zostało zbyt dużo, ale na kluseczki dla dwóch osób powinno wystarczyć.

Potrzebowała zaledwie po połowie szklanki z każdego rodzaju. Jeszcze sól i cukier puder. Cud, że w ogóle miały z czego zrobić posiłek. Prawie wszystkie produkty zostały wysypane lub wylane do zlewu, gdzie utworzyły wielowarstwowy kopiec. Misia rozprawiła się z nim w pierwszej kolejności, mogły więc już swobodnie korzystać z bieżącej wody.

- Skoro ten zwyrodniały włamywacz podniósł rękę na ser, to jest to cenna informacja, nie uważasz? - zapytała Zuza, wlewając roztrzepane jajko do twarożku, który przed chwilą został rzetelnie podziobany i rozarty widelcem na kleistą papkę.

- Pomyślałam dokładnie o tym samym - przytaknęła Misia. Usiłowała odnaleźć w lodówce masło, a nie było to łatwe, gdyż nawet tutaj wszystko zostało porozrzucane i poprzestawiane. - Zdaje się, że szukamy arcywielkiego przedmiotu - dodała z przekąsem. - Być może metalowego. Nasze szanse rosą dosłownie z chwili na chwilę...

- Ale może to „C” nam coś podpowie?

- Sprawdzalam. I w sieci, i w encyklopedii.

- No i? - Zuza zdążyła już wyrobić ciasto, teraz odrywała palcami małe porcje i toczyła z nich kulki, które układała na wygrzebanej z kuchennego poboju tacy. - Nastawiaj wodę. Ale wlej z czajnika, będzie szybciej - dodała, widząc, że Misia zmierza z garnkiem w kierunku kranu. - Już zagotowana.. Jestem głodna jak diabli! Mów, co z tym „C”.

- Dobra. Po kolei. „C”, litera alfabetu, wiadomo. Potem nuta czy coś, w każdym razie chodzi o oznaczenie dźwięku w gamie. Potem symbol węgla i rzymska cyfra sto. I jeszcze język programowania komputerowego i symbol stopni Celsjusza. Ale to ostatnie chyba odpada, bo przy literze na ścianie nie ma kółeczka.

- Ummm, ale mi wyszło C jak ciastusio! Mięciutkie, ale się nie rozwała. Poezja... - wymruczała Zuza, która myślała teraz o czymś zupełnie innym. Wrzucała kulki na wrzątek i przyglądała się im niemal z czułością. - Top maselko, zaraz siadamy. Jak ja uwielbiam jeść, czasem myślę, że to lepsze niż seks.

- I na pewno częściej się przydarza... Tylko że od jedzenia się tyje, a od seksu wręcz przeciwnie. Więc jednak wolę seks - zdecydowała Misia i westchnęła tęsknie, za co oberwała żartobliwego kuksańca.

- Nie rozpraszaaj kucharki. Popatrz - potoczyła dookoła spojrzeniem - buszujemy w twojej pięknej kuchni, która nigdy nie była tak ohydna... i chyba nam dobrze, co?

- Chyba tak.

- No, to smacznego - Zuza wyłowila już wszystkie kluseczki, polala je masłem i rozejrzała się za brązowym cukrem. - O, i jeszcze sobie posłodzimy - zanurkowała pod stół, gdzie dostrzegła opakowanie z resztką beżowego specyfiku. - Jest pięknie!

Mimo wszystko Misia musiała się z Zuzą zgodzić. Podczas ostatnich miesięcy, kiedy między nią a Henrykiem panował wręcz arktyczny chłód, zrozumiała, że tak naprawdę liczą się ludzie, nie pieniądze. Można mieć górę mamony i być bardzo samotnym. I jeszcze jedno. Jeśli niektórym odebrać to całe bogactwo, stają się zupełnie, ale to zupełnie nieciekawi. Inni natomiast...

- Marchewka mówił, że Igła przesiedział dzisiaj cały dzień w komisariacie - zagadała Misia, kiedy zaspokoila już pierwszy głód.

- Czyli ostatecznie wykluczamy go jako włamywacza. Słuchaj... - Zuzie przyszło coś właśnie do głowy - skoro on chce szukać własności Henryka, to raczej działa przeciwko niemu, nie? Znaczy się, stoi po odpowiedniej stronie barykady.

- Wątpię. On wygląda na takiego, który ma w nosie barykady i dba przede wszystkim o siebie. Ale nie mógł się włamać, to prawda.

- Wracając do włamania. Tego „C” nie rozumiem - wyznała Zuza, która nie znosiła nie wiedzieć, nie rozumieć i nie decydować.

- Przy Marchewce ściemniałam, że może chodzi o węgiel.

- Ale że co?

- Że Henryk handlował węglem i zrobił kogoś w balona, a

ktoś się mści i jeszcze o tym perfidnie zawiadamia. Marchewka szybko przyznał mi rację. Za szybko. Więc może coś wiedzieć. A że on ma do ciebie słabość...

- Dobra, przy najbliższej okazji spróbuję coś z niego wyciągnąć - zgodziła się, acz niechętnie, Zuza. Zaczynała się już denerwować. - Pierniczone „C”! Przecież to może znaczyć wszystko. Choćby takie rzymskie sto.

- Może Henryk podprowadził komuś sto sztuk czegoś. Na przykład sto sztabek złota. I teraz ten ktoś domaga się zwrotu? - zasugerowała Misia z fantazją i uśmiechnęła się do swojej wizji.

- Jasne, nie wiem, jaki to musiałyby być finezyjny przestępca, żeby pisać po rzymsku sto, zamiast nabazgrać po prostu: „Kopsnij złoto, fiucie!”.

Misia zakrztusiła się ze śmiechu herbatą i przestała snuć przypuszczenia, najwyraźniej nie miała do tego talentu. I pomyśleć, że paskudny dzień może zakończyć się tak miło. Zuza myślała podobnie. Odstawiła talerz, a na jej twarzy rozlała się błogość.

- Wiesz co, zostawmy to sprzątanie - zaproponowała nagle. Od jutra weźmiemy parę dni urlopu i się zewrzemy. Będziemy sprzątać i ostukiwać ściany, ryc w podłodze wiertarką udarową, wszystko, co zechcesz. Ale dzisiaj mam już dosyć i zwierać się nie zamierzam. Chyba że będziesz bardzo nalegać.

Pomysł wydawał się Misi całkiem sensowny. Również była zmęczona, a kuleczki wtoczyły się do jej brzucha i ułożyły w przyjemny stosik. Miałyby zniszczyć to wewnętrzne dzieło sztuki?

- Nie będę, też jestem padnięta. Ale żeby nie patrzeć na bałagan, zapalimy świeczki i napijemy się wina. Należy się nam.

- O, to, to... Dobrze, że wino ocalało - powiedziała Zuza, patrząc na stojące pod ścianą butelki.

- Ocalało, ocalało. Tylko Los Vascos wyżłopał wczoraj Iglą. Ale mam jeszcze francuskie Chateau Cornélien. Słodkie, w smaku cytrusowe. Pycha, zachwycisz się.

- Już jestem zachwycona. To co, robimy nastrój?

Świeczki jakoś się znalazły, natomiast korkociąg przepadł. Było to tym bardziej dotkliwie, że cała kuchnia tonęła już przystrojona w migotliwym świetle, a Misia przygotowała poduszki i zrobiła z nich pod lodówką wygodne siedzisko.

- Jak się zaraz nie napiję wina, to skonam - oznajmiła zdeterminowanym głosem Zuza i z ogniem w oczach zaczęła się rozglądać dookoła. Jej wzrok padł na wypatroszoną szufladę z narzędziami, z której wyjęła... młotek.

- Ha! - zakrzyknęła zwycięsko. - Tylko daj mi jakąś ściereczkę, żebyśmy się nie pokaleczyły. A najlepiej dwie, bo trzeba będzie przecedzić.

- Ale co ty chcesz zrobić? - Misia nie wierzyła. Uwielbiała dobre wino, często pomagało jej przetrwać samotne wieczory. Młotek w zestawieniu z boskim trunkiem dosłownie nią wstrząsnął.

- Ściereczki!

- Zuza, to jest Chateau... - próbowała tłumaczyć zdruzgotana, ale jej rozpacz bynajmniej nie spotkała się ze zrozumieniem.

- „Dupeaou Maryniou” - skwitowała bezlitośnie Zuza. - Srały muchy po francusku. To jest wino w zamkniętej butelce, a korkociąg szlag trafił. Młoteczek i durszlaczek! Już, już.

Przyciśnięta do ściany Misia stanowczo odmówiła współdziałania. Zuza poradziła więc sobie sama. Zaczęła od włączenia ich ulubionej Adele i podśpiewując, najpierw metodycznie przygotowała potrzebne narzędzia, a potem poszukała ściereczek. Jedną z nich owinęła szczelnie szyjkę butelki i chichocząc szelmowsko, stanęła na szeroko rozstawionych nogach niczym kat. Egzekucja przebiegła nad podziw sprawnie. Wystarczył jeden energiczny zamach. Szkło jęknęło, Misia również, a w chwilę później złotawy płyn z drobinami szkła wlał się do durszlaka z przyjemnym chlupotem. Wrażenia słuchowe uzupełnił świeży zapach dojrzających winogron, od którego aż smyrało w nosie.

- I teraz przecedzamy - komentowała zadowolona Zuza. -

Cedzimy, powolutku, uważnie... Myślisz, że dwa razy wystarczy? Nasze „Dupeaou Maryniou” będzie lekko zajeżdżało Inem, ale to dodatkowy smaczek. Takie naturalne wzbogacenie bukietu można powiedzieć.

- Wariatka. Kompletna - Misia jeszcze się złościła, ale powoli kapitulowała, bo Zuza potrafiła rozbawić każdego.

- Taaak, odciedzane dwukrotnie, bez chałtury. Leżakowane w durszlaku. Teraz lejek i voila! - Zuza z dumą wręczyła przyjaciółce kieliszek i naprawdę nie można jej było odmówić.

- Moje jelita to wytrzymają? Boję się, że jakieś szkiełko...

- Nie kraczemy. Filtrujemy dodatkowo przez zęby i się rozkoszujemy. Filtrujesz?

- Zaraz się rozplącę... Młotkiem! - Misia zaczęła na nowo przeżywać. - Już nie mówię, że białe wino powinno być przed podaniem schłodzone.

- I jest schłodzone, przecież leżysz pod lodówką. Co za maruda. Odwaliłam za ciebie czarną robotę, a ty narzekasz.

Przekomarzały się w najlepsze, kiedy ze zgrozą zorientowały się, że ktoś dobiera się do drzwi! Najpierw usłyszały chrobotanie klucza w zamku, potem szarpanie za klamkę i dzwonek. Misia zamarła.

- To Igła! - szepnęła zdenerwowana i wyłączyła muzykę.

- I co się tak czaisz? - Zuza nie pojmowała. - Idź mu otwórz. Przecież ustaliliśmy, że na razie się ze sobą pomęczycie.

- Nie mogę... - zaczęła, ale przyjaciółka nie pozwoliła jej dokończyć.

- Ale ja mogę. Poważnie ma dwa metry?

- Stój! Poczekamy chwilę, niech skruszeje - przytrzymała ją Misia i wsłuchiwała się w ciszę na korytarzu, którą zakłóciło właśnie walenie do drzwi. Igła nie dawał za wygraną również jeśli chodziło o dzwonek, wygrywał nim właśnie rytm, który wyklaskują kibice podczas meczów.

- Skruszony facet, bardzo dobry pomysł, choć średnio realny. Że tak spytam... Jak długo przewidujesz to ciągnąć? - zainteresowała się Zuza, zatykając uszy. - I po co?

Łomotanie do drzwi zdecydowanie przybrało na sile. W dodatku rozdzwoniła się również komórka. Misia popatrzyła na wyświetlacz.

- Wszędzie go pełno.... Dobra, odbieram, zaraz się wszystkiego dowiesz. Już chyba zrozumiał... - przyłożyła aparat do ucha i bardzo rzeczowo rzuciła: - Skoczyłas Michalina, słucham.

- Daj na głośnomówiący - wyzipsała jej do ucha Zuza i po chwili w kuchni rozległ się nosowy głos Igły.

- Nie mogę wejść do mieszkania. Co jest grane? I po co zawiozłaś moją torbę do firmy? Czekam na wyjaśnienia...

- Dostałeś eksmisję, tak trudno to pojąć? Nie życzę sobie w moim domu żadnych obcych facetów. Rzeczy ci oddałam, żeby nie było. I zmieniłam zamki. Żegnaj - zakończyła rozmowę wielce z siebie zadowolona i odnotowała, że Zuza ze zdumienia zapomniała zamknąć buzię.

- Nie nadążam. Objasnisz mi tę scenkę?

- Zaraz... - wyszeptwała.

Nie czekała długo. Po chwili komórka zaburczała znowu.

- Skoczyłas Michalina, słucham - powiedziała tym samym tonem, co poprzednio. Nawet się nie zająknęła, choć bawiła się wybornie.

- Żarty sobie ze mnie stroisz? - Igła brzmiał tym razem nieco mniej agresywnie, choć trudno to było nazwać potulnością.

- Łaziłeś rano po mieszkaniu w samych gaciach.

- Proszę? - zdaje się, że nie połączył faktów w zwarty przebieg zdarzeń.

- Proś. Bo przez twoje gacie cierpi moje poczucie estetyki - poinformowała zimno, a Zuza zakaszlała i odstawiła z impetem kieliszek.

- Yyy... Co ty mi tu o gaciach! Jesteś w domu? Otwieraj!

Ponieważ Igła znowu zaczynał być niemiły, połączenie zostało zerwane. Nie minęła jednak minuta, a cały scenariusz powtórzył się z tą samą dokładnością. Misia popiła ze stoickim spokojem łyżeczek wina i zakwiliła do słuchawki:

- Skocz... Mi...

- Co?!

- Skoczyłaś Michalina, słucham. Wybacz, piłam wino.

- Miśka! - Igła zacharował jak ranny lew i mimo wszystko się wzruszyła.

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu! W wykonaniu kobiety to standard, ale jeśli chodzi o facetów, sukcesem było, kiedy nie robili z niej Mirosławy. Zawsze też mogła zostać opatrzona jakimś neutralnym „kotkiem”, bo wtedy nie trzeba wysilać szarych komórek, które przecież nie zajmują się bzdurami, ale pracują po to, żeby rozwiązywać poważne, męskie problemy.

- Chcesz się dogadać, czy będziesz marnował swój i mój czas?

- O, czyli jednak przewidujesz taką opcję jak zawieszenie broni? - zadudniło w słuchawce i Misia poczuła na szyi ciarki.

To na pewno przez wino. Otwierane młotkiem, jak nic uderzyło jej do głowy. Bo przecież... czy ona prowadziła kiedykolwiek tak podstępna rozmowę?

- Może przewiduję.

- Tak? To pohandlujmy. Słucham, jaka jest twoja cena?

Zuza zaczęła jej dawać znaki i Misia zrozumiała. Za szybko się złamała. Dobrze więc, odwlecze trochę negocjacje w czasie. Niech sobie Igła posiedzi na wycieracze. Jak mu tylek zmarźnie, zacznij rozmawiać inaczej.

- Muszę się zastanowić. Do widzenia.

- Misia, normalnie mi zaimponowałaś - Zuza prawie rzuciła się jej na szyję. - Ty chcesz coś na nim wymóc!

- Dokładnie.

- Mów!

- Spokojnie... - Misia delektowała się tym, że panuje nad sytuacją, co nie przytrafiało jej się zbyt często. - Zaraz mu wszystko wyjaśnię, wtedy się dowiesz. Miałam go czymś zająć, tak? To go zajmę, a przy okazji utrę nos Henrykowi. A na sam koniec się rozwiędę. Taki mam plan.

- Od dzisiaj będę ci mówić Lady Makbet - Zuza zachichotała z uciechy.

Igła tymczasem znowu zaczął molestować dzwonek, wręcz nie zdejmował z niego palca, co było trudne do wytrzymania. Lady Makbet zazgrzytała zębami.

- Co za uparty typ...

- Chce cię sprowokować - usiłowała łagodzić Zuza, ale natrętny dźwięk również i ją zaczynał doprowadzać do szału.

Misia wytrzymała równo minutę.

- Sprowokować? To w takim razie mu się udało. W porządku - podjęła decyzję i stanęła chwiejnie na nogach. - Gdzie masz ten młotek?

Nie czekając na odpowiedź, odnalazła narzędzie zbrodni, po czym wystartowała do przedpokoju, a zaaferowana Zuza za nią. Misia nie zawiodła jej oczekiwań. Rozwścieczona przekręciła energicznie klucz i otworzyła na oścież drzwi tak gwałtownym ruchem, że aż odbiły się od ściany, a tynk z futryny przyprószył próg.

- Cisz! - wykrzyzczała i dla większego wrażenia potrząsnęła nad głową młotkiem.

Igła cofnął się odruchowo i odkleił od dzwonka. Był co najmniej zdezorientowany, przez chwilę wyglądał nawet, jakby wahał się pomiędzy walką a ucieczką, trwało to jednak zaledwie ułamek sekundy. Z wrażenia potknął się o stojącą za nim skrzynkę z winem przewiązaną z fantazją czerwoną kokardą i to go otrzeźwiło. Westchnął teatralnie, obejrzał kpiącym wzrokiem obie panie od stóp do głów, i zdaje się, że doszedł do siebie, bo uśmiechnął się po swojemu i rzucił w kierunku Misi:

- Łopata, młotek, no, no... Rozwijasz się. Jutro przyjdzie czas na grabie? Jestem Igła - skinął na powitanie Zuzie, błyskając czarnymi oczami. - Lokator. A nawet współ... lokator.

- To się jeszcze okaże - zaznaczyła Misia, ale przesunęła się nieznacznie, co Igła od razu wykorzystał, bo chwyciwszy torbę, przerzucił ją przez próg. Potem wstawił do mieszkania skrzynkę.

- Tu masz rekompensatę za Los Vascos - niewyraźnie wymruczał i wkroczył do środka. Zdaje się, że miało to wystarczyć za przeprosiny. - Rany boskie, trzęsienie ziemi tu

było, czy inny kataklizm? - zapytał, mimo że nie widział całego pobojuwiska, bo w smudze światła padającego z kuchni rysował się jedynie przedpokój. Misia uprzątnęła już z niego częściowo wyrzucone z szaf ubrania, ale czarne „C” na białej ścianie rzucało się w oczy pomimo ciemności.

Igła włączył światło.

I zamarł.

A potem dostał szału!

Od razu zrozumiał, że doszło do włamania, zaczął bluzgać i ciskać się po przedpokoju jak oszalały. Kiedy wałnął pięścią w ścianę, Zuza zapatrzyła się w niego z zachwytem i z rozanielonym wyrazem twarzy przysiadła na poduszkach. Misia odważyła się wreszcie odezwać:

- Co się tak wściekasz, przecież to nie do ciebie się włamali.

- Jak nie do mnie, skoro tu teraz mieszkam? Miałem pilnować! Nic nie zginęło? Skurczysyny, jednak się tu dostali! A mieszkanie? Bardzo zniszczone? - zaczął biegać od pomieszczenia do pomieszczenia, ale Misia zauważyła, że przede wszystkim przyglądał się ścianom i podłogom. Porozumiały się z Zuzą wzrokiem, choć komunikacja była nieco utrudniona, bo Zuza nadal pozostawała w stanie lekkiego oszołomienia. Igła najwyraźniej przypadł jej do gustu.

- Zdaje się, że miałeś pilnować mnie - zauważyła Misia.

- I ciebie, i mieszkania.

Bardzo ją koczyło, żeby spytać o pewne sprawy wprost, ale nie łudziła się, że otrzyma odpowiedź. Pozostawało jej więc grać słodką idiotkę.

- Uspokój się, nic nie zginęło. Hardy nie spuści ci lania.

- Hardy to mi może... - Igła zatrzymał się w pół zdania, bo Misia spojrzała na niego niewinnymi oczyma.

- A to? - zapytała obojętnie, pokazując na ścianę. - Co to może znaczyć?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami, ale niezbyt przekonująco, co od razu zostało zarejestrowane.

- Ty nie masz pojęcia? Przecież znasz się na bandyckich zwyczajach.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że jestem szefem ochrony. A nie pospolitym żołnierzkiem twojego męża - warknął, co zmobilizowało Zuzę do działania.

Niestety, Misia i tryskający testosteronem pan Igła działali na siebie jak płachta na byka, co było o tyle dziwne, że jej przyjaciółka w towarzystwie mężczyzn bywała zwykle milcząca i potulna. Tak, jeśli Zuza nie chciała być świadkiem krwawej jatki, musiała przestać studiować męskie uda i wymyślić coś konstruktywnego.

- Mam pomysł! Sprawdźmy to „C” w Internecie.

Misia zamierzała właśnie zaprotestować i przypomnieć, że przecież już to robiły, ale Zuza puściła do niej oko, więc chcąc nie chcąc, zamilkła i czekała na dalszy rozwój wypadków. A wypadki potoczyły się tak, że Zuza zgasiła w całym mieszkaniu światło, poprzenosiła świece do pokoju i włączyła komputer. Kiedy wyszukiwarka była już odpalona, usadowiła Iglę w fotelu, a sama zaciągnęła Misie do kuchni po kieliszki do wina.

- Dwa metry jak nic! Statystycznie to na każdy metr takiego chłopa powinna przypadać jedna kobieta, nie uważasz? Boże, co za facet... - Zuza poprzeżywała jeszcze chwilę, po czym wzięła się w garść i przeszła do konkretów. - Ty go zagadasz, a ja zadbam o pole magnetyczne - wydała szeptem komendę, od której Misia poczuła zamęt w głowie.

- Jakie pole?

- Musimy uszkodzić Garretta, bo twój ochroniarz dostał takiego amoku, że jeszcze dzisiaj w nocy zacznie prześwietlać ściany, od ósmego piętra aż po parter. Masz to jak w banku.

- Fakt, rzucił się jak ranny zwierz. Zuza, ale co z tym polem? - Misia wyglądała na poważnie zaniepokojoną. - Mam się bać?

- Zaufaj mi. Po prostu rozmawiaj z nim i nie pozwól, żeby wyszedł z pokoju. Ja się zajmę resztą. Tylko znajdź mi naczynie żaroodporne. To prostokątne.

- W piecyku. Ale nie zrób tu żadnego wybuchu, błagam... Nie rozumiem, pole będziesz wytwarzać naczyniem żaroodpornym? Dobra, nie chcę znać szczegółów - Misia zatkała uszy.

- Coś ty, pole to czym innym - Zuza od niechcenia pstryknęła czajnik i machnęła lekceważąco ręką, tak jakby codziennie zajmowała się podobnymi kwestiami. - W naczyniu przyrządę potrawkę z Garretta... Nie rób takich min, tylko łap kieliszki i wracaj do pokoju. Potrzebuję piętnastu minut. A właśnie, gdzie się u ciebie wyłącza korki?

*

Igła był na siebie zły.

A nawet wściekły. Spartaczył sprawę. Powinien już rano znaleźć firmę, która wymieniałaby drzwi i zainstalowała alarm, tymczasem odpuścił i popełnił podstawowy błąd, który mógł go wiele kosztować. Na szczęście napis na ścianie był w swojej wymowie jednoznaczny. Włamywacz odszedł z niczym. Ale podobna wpadka nie może się powtórzyć.

„C”...

Doskonale wiedział, co ta litera oznacza, Misia chyba wręcz przeciwnie. Hardy na pewno nie wygadał się przed żoną, skoro trzymał ją z daleka od spraw firmy. Na szczęście obie panie nie były raczej zbyt domyślne, choć zniknięcie dokumentów z torby i zużyta bateria wykrywacza metali poważnie Igłę zaniepokoiły. Najlepszym wyjściem z sytuacji będzie jednak udawanie, że niczego nie zauważył. Konspiratorki za dychę...

Nagle drgnął przestraszony, bo pośród półmroku zobaczył wpatrujące się w niego nieruchomo oczy. Były straszne, podświetlone płomieniem świecy, jakby trójwymiarowe. Do diaska, coś siedziało przyczajone na murku! Zaraz jednak odetchnął z ulgą, bo przypomniał sobie o kocie. Do salonu weszła Misia.

- To Pyza - objaśniła, widząc, że Igła zerka w kierunku jej pupilki. - Zawsze tam siedzi i wita mnie, kiedy wracam do domu. Murek to jej ulubione miejsce. Mam Chateau - zawiadomiła z dumą, wyciągając przed siebie... butelkę upiornie najeżoną szkłem. W drugiej ręce wciąż trzymała młotek i Igłę oblała fala gorąca.

Czy ona jest normalna? Jego głowa, proszę bardzo. Łopata, choćby młotek, ale nie Chateau! Trzeba mieć jednak odrobinę

przyzwoitości.

- Coś ty najlepszego zrobiła? Przecież to jest wino z okręgu Bordeaux, wiesz, co to znaczy?

Skąd niby miała wiedzieć? Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, usta zaczęły jej lekko drżeć. Powinna wyglądać brzydko, jak każda rozklejająca się baba, ale było w niej COŚ uroczo bezradnego. Aż poczuł się winny. Niepotrzebnie, bo zaraz zagryzła zęby i ruszyła do ataku.

- Oberwałeś dzisiaj w pracy rykoszetem? Bo bredzisz jak postrzelony. Ja nie wiem, co to znaczy Bordeaux? Proszę bardzo: Chateau Cornélien, apelacja Loupiac, wino starzone w dębowych beczkach, grona dotknięte szlachetną pleśnią. Grzybek nazywa się Botrytis - wyrecytowała jednym tchem i patrzyła oskarżycielsko.

Na niego!

A to nie on biega jak pomyłony po okolicy z niebezpiecznymi narzędziami.

Ale informacjami mu zaimponowała, bez dwóch zdań.

- Nieźle - rzucił więc pojednawczo, a w jego głosie dało się odczytać uznanie.

- A to? - wskazał na obtłuczoną butelkę.

- Pomysł Zuzy, niestety. Nie mogliśmy w tym bałaganie znaleźć korkociągu.

- Wiesz, co? - Wstał i wyciągnął jej młotek z ręki. - Zostaw już to Chateau, tam jest pewnie pełno szkła. Otwórzmy Los Vascos, zgoda? Przyniosę skrzynkę z przedpokoju.

- Moment, siadaj! - Znowu zaczęła się zachowywać irracjonalnie. Niemal popchnęła go z powrotem na fotel. - Miałam podać swoją cenę, tak? Żebyś mógł tu z powrotem zamieszkać.

- Tak? - udał, że nie bardzo rozumie, ale Misia zaczęła mu dla odmiany wywijać przed nosem roztrzaskaną butelką i lepiej było jej w tym dziwnym stanie nie denerwować. - A tak, miałas podać.

-To podaję... Założymy agencję ochrony.

- Że co?

- Co wy wszyscy przestępcy robicie, kiedy wasz szef siedzi

w pudle?

- No...

- Objacie się!

Tu trochę trafiła. Kiedy kota nie ma, myszy harcują, wiadomo. Odkąd Hardego posadzili, w firmie panowała dość swobodna atmosfera. Jedni udawali, że coś robią, inni rzeczywiście robili, ale większość zbijała baki. A on aktualnie nie miał czasu, żeby złapać towarzystwo za twarz.

- Ale jaką agencję?

- Uczciwą.

- Może wyjaśnię ci kwestię uczciwości - zaczął Iglą, ale już na początku zwątpił, że ta nawiedzona kobieta cokolwiek zrozumie. Już z daleka było widać, z kim ma do czynienia. Z panną porządnicką. I to z szurniętą porządnicką. - Uczciwość to rzecz umowna. Nawet nie wiesz, jak bardzo umowna.

- Tak? A jeśli kogoś zamorduję z zimną krwią...

- Pozwolisz mi dokończyć?

Pokręciła chwilę nosem, ale zamilkła, więc podjął przerwany wątek:

- Tak naprawdę ważne jest tylko jedno: kto siedzi u władzy. I kto stwarza pozory praworządności. Pozory. Bo pod płaszczykiem prawa władza robi te same świństwa co przestępcy. Kradnie pieniądze obywateli. A my, bandziory, jak nas ładnie nazywasz, kradniemy władzy, a nie zwykłym ludziom. Więc chyba jakaś różnica jest?

- Co za pokrętna logika! - Ależ się nastroszyła. Niestety było jej z tym do twarzy. - Skoro kradniecie władzy, a władza nam, to nie uważasz, że koło się zamyka i jesteście takimi samymi draniami, jak ci na stołkach? Dodajmy, że są i tacy przestępcy, którzy bezpośrednio okradają zwykłych zjadaczy chleba.

- Ja nie mówię o pŁotkach, ale o przestępcach, którzy się naprawdę liczą - uściślił. - Pospolitych złodziejasków sam bym zsyłał na roboty.

- A wy w tej całej mafii nie jesteście pospolici?

- Nie wydaje mi się.

- No wręcz zastęp Harnasiów! - krzyknęła z drwiną. - Z

moim mężem na czele w roli Janosika. Zaraz, przecież to świetnie brzmi... - ożywiła się nagle. - I jak się kojarzy Janosik! I tak nazwiemy firmę - rzuciła pod wpływem impulsu i Igła po raz pierwszy usłyszał, jak Misia się śmieje. A był to ogromnie przyjemny dźwięk. - Henryka krew zaleje, zawał gwarantowany. Janosik! Idealnie po prostu.

- Moment, chwila - próbował ostudzić jej zapał. - Czy ja się zgodziłem?

- Jeśli się nie zgodzisz, będziesz musiał robić zakupy przez Internet, bo jak tylko stąd wyjdiesz, zmieniam zamki. I tak za każdym razem. Chcesz wojny, nie ma sprawy. A jak nie, zakładamy agencję ochrony. Dużą i prawdziwą. Ochrona osób i mienia. Obiekty również, jeśli wystarczy ludzi.

- Wystarczy - przytaknął i to był błąd, bo najwyraźniej Misia uznała, że wyraził zgodę na ten szalony plan.

- Wszystko przemyślałam - ciągnęła przejęta i zaczęła mu pokazywać jakieś dokumenty na komputerze. - I finansowo, i technicznie. Tu jest biznesplan. A jestem w tym dobra, to ja założyłam „Feminę”. Ty masz tylko przekonać swoich ludzi i zmobilizować ich do pracy. Oczywiście będą dostawali wynagrodzenie.

- Użyłaś słowa „ludzi”...

- Swoich ludzi, to chyba raczej zmienia kontekst - wyjaśniła mimochodem i Igła stwierdził, że ten jej zapał zaczyna mu się podobać.

- A nie boisz się, że ci ludzie, zamiast ochraniać, zaczną kraść?

- A kto jest szefem ochrony? - Spojrzała mu w oczy i posiłowali się tak przez chwilę wzrokiem, aż poczuł przepływające między nimi napięcie. - Nie, nie boję się. Jeśli się zgodzisz, wiem, że wszystkiego dopilnujesz. Ty będziesz szefem i organem wykonawczym, ja współwłaścicielką. Sprawami biurowymi zajmie się Riczarda, to znaczy Ryszarda...

Teraz roześmiał się Igła.

- Może być Riczarda, nawet lepiej pasuje. A właśnie, mamy od niej zaproszenie na jutrzejszy obiad, więc sobie obgadacie

tę sprawę.

- Zaproszenie?

- Tak, gryzie ją sumienie, czy coś...

- W zasadzie - Misia wzruszyła ramionami - nie widzę przeszkód. Henryk to już przeszłość, a Ryszarda jest mi potrzebna. Agencja Ochrony Osób i Mienia JANOSIK. To co, umowa stoi?

Igła lekko się zacukał. Nie podejmował ważnych decyzji bez zastanowienia. Z drugiej strony, wiele by dał, żeby zobaczyć minę Hardego, kiedy ten dowie się, że największe zabijaki spośród jego chłopaków zabezpieczają imprezę typu zjazd akordeonistów czy Festiwal Kultury i Sztuki Chrześcijańskiej Nadzieja.

- Mogę jeszcze raz zobaczyć ten biznesplan?

Kiedy nachylali się zgodnie nad ekranem komputera, ten bez żadnego uprzedzenia zamigotał i zgasł. Zaraz potem do salonu wkroczyła Zuza i wyrzuciła z pretensją:

- Misia, czy ty musisz produkować to swoje pole? Znowu będziesz musiała wymieniać monitor.

*

Sprzęty elektroniczne nie znoszą wody, a jeśli jeszcze do tego woda jest dziwnym trafem gorąca, urządzenie umiera śmiercią nagłą i nic nie jest w stanie go wskrzesić. Na to właśnie liczyła Zuza, która po cichu wyciągnęła wykrywacz metali z torby Igły i wpakowała go do kąpielii wodnej. Sesja SPA nie trwała zbyt długo, Garrett V nie miał się wszak stopić, ale sprawiać wrażenie mocno wyczerpanego działaniem pola Misi.

Parę minut we wrzątku powinno w zupełności wystarczyć.

Zuza przekąsiła ze smakiem kawałek mozzarelli, wyjęła z lodówki ser pleśniowy oraz czarne oliwki i ułożyła produkty na desce. Potem wylała zawartość naczynia z Garrettem w roli trupa do zlewu, osuszyła go troskliwie i z powrotem zapakowała do torby. Tu się zmartwiła, bo przypomniała sobie, że plany mieszkania i kartoteka wciąż tkwiły w skanerze. Wszystko przez to całe włamanie. Niestety, Misia będzie musiała odłożyć dokumenty na miejsce sama, w nocy, bo

skaner stał w kątku biurowym w salonie, gdzie, sądząc z odgłosów, toczyła się ożywiona rozmowa. Aż żal było przerywać, ale zadanie należało wykonać do końca.

Zuza rozprawiła się więc z korkami, odczekała parę sekund, przesunęła dźwignię w skrzynce rozdzielczej do poprzedniego ustawienia i pomaszerowała do salonu, dzierżąc przed sobą deskę z serami.

- Misia, czy ty musisz produkować to swoje pole? Znowu będziesz musiała wymieniać monitor.

Dryblas zastrzygł uszami i Zuza uznała, że połknął haczyk.

- Ona już tak ma, że jak się czymś zdenerwuje albo podekscytuje, wytwarza pole. I zdychają przy niej różne sprzęty. Komputery, drukarki, komórki i inne ustrojstwa. Zawieszają się albo psują.

Misia zrobiła skromną minę, a Igła uniósł w zdziwieniu brwi.

- Pierwszy raz o czymś takim słyszę. A teraz się zdenerwowałaś czy... to drugie? - zapytał, akcentując ostatnie słowo i Zuza zrozumiała.

Mięta przez rumianek, jakże by inaczej.

I słusznie. Misia powinna odreagować po Henryku.

- Przejęłam się. Jak już coś robić, to chyba z pełnym zaangażowaniem, prawda?

- Prawda. Jak kochać to księcia, jak kraść to... - nie dokończył, bo obie spojrzały na niego takim wzrokiem, że ugryzł się w język i wystartował do przedpokoju po wino.

Misia zaczęła wachlować się gazetą, zdaje się, że dyskusje z przystojniakiem Igłą podnosiły jej ciśnienie. I nie tylko ciśnienie. Samoocenę chyba również dźwigały, bo wyglądała prześlicznie. Oczy jej błyszczały, w ogóle cała była zaróżowiona i wręcz kipiała energią.

Nie zdążyły się porozumieć na stronie, bo Igła wracał już ze skrzynką i na nowo trzeba było rozstrzygać kwestię korkociągu. O młotku nawet nie chciał słyszeć, znalazł dużo prostsze rozwiązanie: poszedł pożyczyć korkociąg do sąsiada. W tym czasie Misia objaśniła Zuzie swój plan.

- Jak Henryk dowie się, że z jego mafii zrobiłaś legalne przedsiębiorstwo... - Zuza zawiesiła znacząco głos.

- To szlag go trafi koncertowo. I da mi rozwód. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jeszcze nie powiedziałam Igle o pewnym szczególe... Ale może stopniować napięcie? To się chyba nazywa metoda małych kroków, czytałam o tym.

- A co, a co? - zainteresowała się Zuza, ale nie dane jej było zaspokoić ciekawości, bo Igła wkroczył do mieszkania i zagrział od progu:

- Teraz napijemy się wina z elegancko otwartej butelki. Za agencję ochrony JANOSIK!

*

Spędzili we trójkę całkiem miły wieczór.

Najpierw Igła zagonił towarzystwo do ogarnięcia salonu (!), bo nie wyobrażał sobie degustowania wina w chlewni, potem z inicjatywy Misi rozgorzała dość nieoczekiwana dyskusja o resocjalizacji. Oczywiście słowo „resocjalizacja” nie padło, ale wydźwięk tych truizmów był oczywisty i Igła zastanawiał się, czemu ta pogadanka miała służyć. Że muzyka łagodzi obyczaje, bieganie do teatru rozwija wrażliwość, a czytanie książek poszerza horyzonty. I tak dalej, i tak dalej. Wręcz poczuł się jak koleś zapuszkowany na trzydzieści lat za podpalenie filharmonii i zgwałcenie dyrektora artystycznego.

Bo zdaje się, że Misia piła do niego.

Przy uczęszczaniu do opery nie wytrzymał i żeby wprowadzić do rozmowy nieco humoru, podał przykład ze swojego podwórka. Stwierdził, że wystarczy zamieszkać na Mariackiej, a człowiek staje się z buta kulturalny. Repertuar uliczny codziennie inny, nagłośnienie takie, że nawet w ubikacji nie ma szans spokojnie poczytać, tyle przynajmniej, że po sąsiedzku zawsze można zejść piętro niżej i się odstresować (właściciel trzymał zwykle dla niego pod ladą jakieś dobre wino). Dziewczyny nie zrozumiały żartu, na Mariacką zaglądały regularnie, bo zawsze się tam coś działo i zwyczajnie go zakrzyczały. Że maruderom zawsze jest źle. Że panny lekkich obyczajów po dziesiątkach lat sprzedawania na tejże ulicy swych zużytych wdzięków dostały wreszcie eksmisję. Że miasto ma miejsce, gdzie organizuje się imprezy, że nie ma dymu bez ognia i inne

takie tam. Więc kij im w intelektualne oko.

I wtedy wyszło szydło z worka.

- Mam pewien pomysł... - zaczęła dość niepewnie Misia.

- Czy aby tak dobry jak poprzedni? - zapytał uszczypliwie. - Harnasie w zadek kopane...

- Chyba lepszy. Albo tak samo dobry. A w ogóle to chyba te dwa pomysły się dopełniają.

- Proszę, proszę. Tworzysz cały projekt - nie mógł się powstrzymać, żeby jej trochę nie podokuczać. Nie dlatego, że chciał Misi sprawić przykrość, po prostu lubił mieć w kobiecie przeciwnika, który się nie poddawał.

- Tworzymy - sprostowała.

- O, jestem współautorem?

Zuza uśmiechnęła się dyskretnie, ale nie przeszkadzała. Widać było, że i ją ciekawi, co wymyśliła przyjaciółka.

- Przecież zostałeś szefem agencji ochrony.

- Nie: zostałem. Wrobiono mnie - uściślił, ale bez złości. - Wręcz zaszantażowano. Dobra, mów wreszcie, co to za pomysł. I co ma do tego agencja.

- Zależy nam, żeby nasz... personel był kompetentny, tak?

- Uwierz, nie ma w mieście ludzi bardziej kompetentnych od moich - zapewnił. - Jeśli oni zabezpieczą imprezę, wszyscy będą chodzić jak w zegarku.

- O widzisz, właśnie to mnie niepokoi. Że oni mają wycucie, jeśli chodzi o chuliganów i rzezimieszków, bo wiadomo, to ich środowisko, ale w stosunku do zwykłych obywateli mogą być ciut za brutalni.

Igła w końcu chyba zaczął rozumieć i stwierdził, że jeśli ta kobieta zamierzała przeprowadzić to, co podejrzewał, faktycznie była zrównoważona inaczej. Albo... wręcz przeciwnie: była kuta na cztery kopyta. I nie można jej było odmówić rozmachu, a przede wszystkim fantazji. Pani Michalina Skoczyła, no, no. Co ona powiedziała? Że Henryk to już przeszłość? Ciekawe.

- Mogą być ciut za - przytaknął na zachętę i ta odrobina wsparcia wystarczyła.

- Więc zróbmy coś, żeby ich trochę ukulturalnić! - Tu Misia

już nie potrafiła dłużej udawać obojętności. Chyba rzeczywiście zaangażowała się w swój „projekt”.

Zuza wręcz przeciwnie. Kiedy usłyszała, do czego zmierza jej przyjaciółka, wybuchła szyderczym śmiechem.

- Miśka, ty Siłaczką zostaniesz. Tylko pamiętaj, że ona źle skończyła.

- Nie pyskuj, bo też będziesz pomagać - Misia pogroziła jej palcem.

Zuza naląła sobie w odpowiedzi wina i wzniosła niemrawo toast. Zdaje się, że miała już dosyć. Los Vascos potrafiło uderzyć do głowy.

- Za kur... kulture... Kurtule. Kurna! Za kulturę przecież!

- Ale jak to sobie wyobrażasz? - Igła również się uśmiechnął i uniósł kieliszek. Ta historia była przezabawna. Agencja ochrony w porządku, pokrewna branża i wstydu nie ma. Chłopaki jakoś się w tym odnajdą, jeśli im to umiejętnie wytłumaczy, ale wyprawy do opery? Cała Polska czyta przestępcom? Przecież się posikają ze śmiechu. - Wycieczki klasowe do teatru? To po to jechałaś z historyjkami o książkach i horyzontach?

- A co, ty czytujesz tylko etykiety na butelkach?

Mierzyła bezlitośnie, ale Igła nie należał do ludzi, którzy biorą wszystko do siebie.

Szczerze mówiąc, trudno było go obrazić, bo do wielu spraw miał zdrowy dystans. Choćby do stereotypów. Na przykład niektórzy uważają, że członek mafii powinien podpisywać się krzyżykiem i myśleć, że Dali to herbata indyjska. O obowiązkowym dresie zastępującym frak nie wspominając.

- Jest jeszcze gorzej - udał rozpacz. - Czytuję etykiety jedynie win wytrawnych. Ale jeśli zorganizujesz dyskusyjny klub książki Prozaiczna Recydywa, to wszyscy jak jeden mąż rzucimy się na Dostojewskiego. *Zbrodnia i kara*. Zapewniam cię.

Misia ucieszyła się jak dziecko.

- Przecież to jest myśl! - zakrzyknęła radośnie, a Zuza postukała się po czole. - Zastanawiałam się właśnie nad formułą...

Igła również omal nie parsknął śmiechem, ale zważywszy na entuzjazm Misi, uznał, że nie byłoby to zbyt grzeczne.

- Nad formułą? Urocze.

- No co? Skoro mamy z tych twoich mafiosów zrobić porządnym ludzi, użyjemy podstępów. Do złego nie trzeba namawiać, dziwnym trafem. Ale do dobrego to nawet trzeba czasem zmusić.

- Święte słowa - powiedziała Zuza i ułożyła się na poduszce, tłumiąc odgłosy czknieć, jakie zaczęły się dobywać z jej potraktowanych alkoholem trzewi. - Powiem ci... że ci powiadam, że dzisiaj przeszedłeś samą siebie. Agencje, porządni ludzie, zraniona kobieca duma...

- Nie zaprzeczam, na początku zastanawiałam się, jak Henrykowi dopiec - przyznała uczciwie Misia. - Ale teraz uważam, że to naprawdę ma sens. Agencja na siebie zarobi, morale w firmie wzrośnie, czemu by nie zrobić czegoś dobrego?

- A nie przyszło ci do głowy, że może ci ludzie są szczęśliwi tacy, jacy są? - Zuza bynajmniej nie bawiła się w subtelności.

- I mają w dupie twój kaganek oświaty?

Igła chrząknął, Misia lekko się zakłopotowała.

- Odrobina ogłady na pewno im nie zaszkodzi - stwierdził pocieszająco.

- Tak? - Zuza uniosła się na ramieniu i oprzytomniała. Może wcale nie była tak pijana, jak sądził. - A właściwie to czemu ty jesteś taki chętny do zmian, co? Przemyśl to, moja droga

- rzuciła do przyjaciółki. - To człowiek Henryka, a działa przeciwko niemu. Ciekawe, czemu...

- Zupełnie mnie to nie obchodzi. Ważne, że się ze mną zgadza. - Na szczęście Misia nie dała się zbić z tropu, ale słowa Zuzy spowodowały, że stał się czujny. Powinien na taką okoliczność przygotować jakieś przekonujące kłamstewko, bo rzeczywiście jego zachowanie mogło dziwić.

- Tu bym jeszcze dyskutował - włączył się szybko do rozmowy. - Jestem za postępowaniem, nawet w szeregach mafii. Niektórym z naszych chłopców naprawdę przydałoby się

edukacja, ale nie bardzo wiem, jak miałbym ich nakłonić do czytania książek.

- Przecież nie wyjedziemy od razu z Panem Tadeuszem - Misia znowu poczuła wiatr w żaglach. - Chociaż, trzynasta księga przypadłaby im do gustu, jak sądzę... Powolutku. Zaczniemy od regularnego chodzenia do kina. Na początek, wiadomo, filmy akcji, a od czasu do czasu pójdziemy na coś bardziej ambitnego. Potem jakiś koncert i dla odmiany, filharmonia. A do teatru wybierzemy się na *Mayday*, połkną bakcyła, zobaczycie.

- Ja pierdykam, odbiło ci. - Zuza pokręciła głową, bo zrozumiała, co ją w najbliższym czasie czeka. - Nie wiem, czy nie powinnam błagać prokuratora, żeby jednak Henryka wypuścił. Ty wiesz, co to znaczy mafia? To nie są dwie, trzy osoby. Z setką ludzi za rączkę do teatru?

- Nie z setką - sprostował Igła, który też już przeczuwał niezłą zabawę. - Ścisłego grona będzie raptem pięć osób. Przynajmniej tu, na miejscu, w Katowicach. A nasza piątka będzie szkolić swoich podwładnych.

- A w innych miastach? - zapytała rozozochocona Misia, więc uznał za stosowne nieco ostudzić jej zapał.

- Proponuję jednak zacząć tę twoją rewolucję kulturalną od Katowic. Jeśli się uda, pomyślimy, co dalej.

- No i oczywiście należy uwzględnić, jak długo Hardy będzie siedział w areszcie - dodała Zuza, łypiąc okiem znad poduszki.

- Właśnie. A nie będziesz miał przeze mnie kłopotów? - zapytała Misia i poczuł, że robi mu się bardzo miło. - Przecież jak on wyjdzie i zobaczy...

- Po co martwić się na zapas, może wyjdzie za kilkanaście lat? - rzucił chyba jednak zbyt swobodnie, bo Zuza, czujna bestia, od razu wycelowała w niego pytaniem:

- Skąd pewność, że za kilkanaście? Pietruszka wspominał Misi o dwóch, trzech miesiącach. Wiesz coś więcej?

- Z policją tak zawsze. Mówią dwa, trzy miesiące, a potem robią się z tego dwadzieścia trzy lata - próbował bagatelizować.

- Śliczna liczba - zachwyciła się Misia.

- Nie wiem, czy taka śliczna. Za dwadzieścia trzy lata to obie będziemy już stare próchna - mruknęła Zuza. - Chociaż tyle w tym dobrego, że botoks mamy za półdarmo. I tym oto optymistycznym akcentem... Czy może mnie ktoś zawieźć do domu?

Propozycja wydała się Igle całkiem sensowna, bo chociaż z rozmowy wynikły ciekawe plany na przyszłość, to jednak zbliżała się już pierwsza w nocy, a jutro czekał go ciężki dzień. Do podwózki zgłosiła się Misia, więc Igła posprzątał naczynia, wziął szybki prysznic i z rozkoszą położył się na swojej kanapie. Zapamiętał tylko moment, kiedy obtulił się kołdrą, jeszcze raz pomyślał o literze C na ścianie, po czym stracił łączność ze światem.

Śnił mu się zamaskowany włamywacz, który przeszukiwał jego rzeczy. Kiedy usiłował rozkręcić Garretta, żeby sprawdzić, czy coś się w nim nie kryje, Igła drgnął i podniósł się w pościeli. Zamrugał oczami, żeby pozbyć się wrażenia, że nadal tkwi w fazie REM, ale nie. Był już całkiem przytomny.

Pośród ciemności, dokładnie tam, gdzie leżała jego torba, majaczyła jakaś postać!

Czyżby proroczy sen?

Sięgnął pod poduszkę i poczuł w ręku znany przedmiot. Teraz dokładnie wiedział, co robić. Starając się poruszać bezszelestnie, usiadł na brzegu łóżka, po czym zebrał siły i skoczył przed siebie sprężyste niczym tygrys.

Dopadł intruza!

Słabeusz.

Aż zgiął się wpół zmiażdżony ramieniem, a kiedy poczuł przy skroni lufę pistoletu, zaczął... piszczeć?

- Misia?!

Tak, to była ona.

To ona dobierała się do jego torby.

- Puść, boli! - wysapała i zwolnił ucisk.

- Ma boleć. Co tu robisz? Dlaczego zakradasz się do mojego pokoju?

- Ja... ja... ja chciałam zobaczyć, czy wszystko u ciebie

dobrze - wyjąkała i miał wrażenie, że zaraz upadnie, dlatego chwycił ją mocniej i przytulił.

Niechący!

Była filigranowa. Wysoka, szczupła, a wcięcie w talii aż prosiło, żeby je zamknąć w ramionach. Przy jego wzroście Misia była rozmiaru bakterii i Igła stwierdził nagle, że mikrobiologia to fascynująca dziedzina nauki. W każdym razie on był posiadaczem dwóch jąder komórkowych, w których właśnie wrzało od nadmiaru DNA.

Misia westchnęła, jej gorący oddech pomiział go po uchu i dalej wypadki dziejowe potoczyły się same.

Pocałował ją.

Pocałował i miał wrażenie, jakby delektował się kieliszkiem najlepszej malagi. Wino szlachetnie wzmacniane. Bukiet zapachowy upojny, wibrujący w nosie nutami czereśni, wanilii i ziarenkami kawy. Kolor z pewnością karmelowy, przydymiony ciemnością, aksamitny. Finisz długi, zostawiający na ustach słodkawy posmak. Finisz długi, ale... konieczny, do dia- ska.

Konieczny!

Igła przemógł się i odsunął od siebie Misie na bezpieczną odległość, choć wiele go to kosztowało.

- Zemsta na Hardym...? - zapytał szybko, chcąc ukryć podekscytowanie. - Dlatego to robisz?

Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale w głosie wyczytał przykrość. Albo złość, cholera wie.

- Ja robię? To ty się do mnie dossałeś!

- Tak? A po co zakradasz się nocą do pokoju mężczyzny? Przypadkiem?

Teraz zdenerwowała się naprawdę, nie miał wątpliwości. Ten ton znał już dobrze, kipiało w nim od ironii.

- Moje mieszkanie, moja sprawa. Zakradam się, żeby... wytrzeć kurze. Nie mogę?

- Kurze, yhm. Chyba raczej kogutowi chciałaś wytrzeć.

Przez chwilę milczała, potem wycedziła przez zęby, zimno i nieprzyjemnie, jak nigdy dotąd:

- Powiem tak... Od teraz łączą nas wyłącznie wzajemne

korzyści. Prowadzisz JANOSIKA, dbasz o bezpieczeństwo moje i mieszkania. I tyle. Stołujesz się na mieście, na obiady nie licz, chyba że sam sobie ugotujesz. Nie chcę cię też widywać rano w gaciach, nie mam przyjemności. Twoja łazienka jest przy kuchni, w lodówce dostaniesz swoją półkę. I najważniejsze, prywatnie masz się ode mnie trzymać z daleka. Dwa metry, tyle co szerokość korytarza, jasne?

Rozumiał doskonale.

I bardzo się z takiego postawienia sprawy cieszył. Do dzisiejszego spoufalenia w ogóle nie powinno było dojść. Tym bardziej utwierdził się w swoim przekonaniu, kiedy odczekał chwilę i przy włączonej lampce przejrzał torbę. W książce Jefforda znalazł plany mieszkania i kartotekę Maziarza, a Garrett zupełnie nie nadawał się do użytku.

Tej nocy Igła spał naprawdę kiepsko.

Miał o czym myśleć.

*

Słońce od samego rana oświetlało każdy kąt osiedla Bytków, a anteny wieży telewizyjnej wyglądały jak wielkie, owalne lustra, które puszczały zajączki i raziły w oczy spacerowiczów parku Chorzowskiego znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

Kiedy tylko Piotrek Marchewka wstał z łóżka i wyjrzał za okno, stwierdził, że dzień jest wręcz wymarzony, żeby rozpocząć go joggingiem w parku. W pracy miał być dopiero na dwunastą, a w okolicach żyrafy... kończyła się ulica Zielony Zaulek, gdzie pod numerem trzecim mieszkała przesłodka kobieta o imieniu Zuzanna.

Ciągnęło go tam niemożliwie.

Spojrzał na zegarek. Ósma. O tej porze raczej nie składa się wizyt, ale przecież Zuza towarzyszyła pani Michalinie, kiedy odkryły włamanie. W zasadzie jest świadkiem i nie zaszkodziłoby, gdyby ją na tę okoliczność przesłuchał. Ale nie o ósmej, tego jej nie zrobi. Wziął prysznic, wypił szybko kawę i zjadł skromnego tosta, po czym ruszył swoją trasą przez park. Kiedy dobiegł do Chorzowskiej, dochodził kwadrans po dziewiątej. Przebiegł jeszcze parę metrów pod wiaduktem i na

obrzeżu Tysiąclecia kupił bułeczki i jogurt. Jeszcze w sklepie odebrał telefon od swojego współpracownika, który nadał mu, że po koleżeńsku zdobył wstępny wynik sekcji Różyckiego.

- Szefie, to wygląda na uduszenie. Samobójstwo odpada.

- Uduszenie. Od paska?

- Od paska ślady są, jak najbardziej. Ale na wierzchu. Pod nimi odcisnięte palce. Ktoś go udusił gołymi rękami.

- A kiedy dostaniemy to na piśmie?

- Wie pan, jak jest.

Marchewka wiedział.

- Dobra. Dzięki.

- To jeszcze nie wszystko - zastrzegł sierżant. - Są też ślady pobicia. Trochę facet oberwał przed śmiercią, nawet trochę bardzo. Chyba załazł komuś za skórę. Pęknięta otrzewna, odbite obie nerki. Tyle o Różyckim. I jeszcze sprawdziłem u operatora połączenia odnośnie tego wczorajszego numeru. Żadna z czterech osób nie kontaktowała się z Hardym. Z żadnym z jego oficjalnych numerów, których używał przez ostatnie lata. On z nimi również.

- Skąd ja to wiedziałem? - westchnął Marchewka, ale daleki był od rezygnacji.

Wręcz przeciwnie. Po prostu jutro czekała go wyprawa do Polanicy Zdroju i bynajmniej się tym nie martwił. Miał dziwne przeczucie, że nie pojedzie tam nadaremnie. - Nie szkodzi. Porozmawiam z nimi wszystkimi osobiście.

- Tak jest. To ja się odmeldowuję - sierżant zakończył raport i się rozłączył, a Marchewka wykonał kilka skłonów i puścił się pędem w Zielony Zaulek, który z zielenią miał jedynie taki związek, że płot, który okalał teren wesołego miasteczka, miał kolor dorodnego ogórka.

Na domofonie kamienicy wisiała lista lokatorów, ale nazwiska Zuzy nie znalazł. Za to na jednej z wizytówek widniał rysunek szmacianej lalki z nabazgranym dziecięcą ręką napisem: „Zuza, nie: Zuzia”. Zadzwoił, ale długo nic się nie działo. Przycisnął dzwonek jeszcze raz i już miał odejść, kiedy w domofonie zachrobotało i usłyszał niewyraźne „Kto tam?”. Przedstawił się, i był właśnie w trakcie dość zawyłych

wyjaśnień, czemu pojawia się bez uprzedzenia, kiedy w pół słowa przerwał mu brzęczyk otwieranych drzwi. Wszedł na klatkę schodową i od razu na parterze zauważył, że jedno z mieszkań było otwarte. Pomimo tak wymownego zaproszenia już chciał zapukać, kiedy na korytarzu pojawiła się... ona.

W kusym szlafroku i rozdeptanych kapciach, z lokami tworzącymi na czubku głowy trzęsący się kok, z którego w charakterze spinki wystawał... widelec! Niestety, i w tym mało świeżym wydaniu Zuza prezentowała się wdzięcznie. Nie potrzebowała żadnego makijażu, wyglądała może nie olśniewająco, ale na pewno nie miał ochoty na jej widok uciekać. Gdyby nie lekko kwaśna woń, którą wokoło roztaczała, nawet miałby ochotę na czynność wręcz przeciwną. Zamiast brać nogi za pas, kombinowałby raczej, jak się do niej zbliżyć.

- Co tak stoisz jak gajowy w krzakach, włącz - zjawisko rzekło zachrypniętym głosikiem i bez krępacji beknęło. - Jestem sponiewierana alkoholowo - wyjaśniła, tak jakby nie było to dla postronnych oczywiste.

Komisarz uniósł w zdumieniu brwi.

- Jakaś specjalna okazja?

- Można tak powiedzieć. Misia przeprowadza eksperyment socjopatyczny. Socjo... Jakiś tam socjo w każdym razie - zastanawiała się przez chwilę, ale potem machnęła ręką i poszła do kuchni, zupełnie nie zaprzatając sobie głowy gościem.

Gość podreptał posłusznie w ślad za nią, co bardzo go satysfakcjonowało, bo mógł bez krępacji przyjrzeć się opalonym udom gospodyni. Wspomniany eksperyment zainteresował go dopiero, kiedy znalazł się w kuchni. Chętnie dowiedziałby się na jego temat czegoś więcej, ale na widok zawartości reklamówki Zuza dostała kociokwiku. Oczy zaczęły jej błyszczeć, złożyła w zachwycie dłonie i wydała z siebie przeciągły pisk.

- Jogurt! Mogę?

Marchewka położył zakupy na stole i podczas gdy Zuza leczyła kaca, on rozejrzał się za talerzami. Postanowił, że zrobi dla niej kanapki, bo zdaje się, że dopiero wstała. Niestety, o ile

był wzorowym konsumentem, to jednak wytworów jego działań kulinarnych nie można było nazwać arcydziełami. Sumiennie pokroił znaną w lodówce wędlinę na plasterki, ale kiedy wylądowały na bułce, okazało się, że mają parę centymetrów grubości. To samo przydarzyło się pomidorowi i rzodkiewkom. Cóż, przynajmniej miał dobre chęci. Ale czy Zuza będzie w stanie tę piramidę ugryźć, nie ręczył.

- A co pani piła, że tak panią wzięło? - zapytał z zainteresowaniem i uprzejmym gestem odsunął krzesło od stołu. Z ulgą odstawiła jogurt i mógł teraz podziwiać jej ucieszoną piegowatą buzię ozdobioną białymi wąsami.

Co za dziewczyna!

- Denaturat - oznajmiła rezolutnie i pociągnęła beztrudno jeszcze łyżeczek.

Komisarz jakby się zakłopotał, ale widząc, że Zuza się z niego śmieje, odetchnął z ulgą.

- A tak naprawdę?

- A tak naprawdę wino, i to z tych lepszych. Ale po winie łeb mi zawsze pęka. Ogólnie jestem trzeźwa jak świnia w aptece, ale w głowie pył i trociny.

Komisarz zauważył, że Zuza wyrażała się dość soczyście i bez alkoholu, teraz jednak stwierdził, że na kacu mogła być konkurencją dla Horteksu.

- Szkoda, bo chciałem pani zadać kilka pytań odnośnie włamania do mieszkania przy a- ciółki. Cóż, przełożymy to w takim razie na inny termin - powiedział, tłumiąc zadowolenie.

- Panie Pietruszka...

- Marchewka.

- A tam - wytarła usta ręką, a rękę z kolei w szlafrok, na którym zostały białe maziaje. - Skończmy wreszcie z tymi warzywami, bo mi się pieprzą. Zuza jestem.

- Ogromnie mi miło, Piotrek. - Nic nie mogło komisarza powstrzymać przed ucałowaniem tej drobnej dłoni. Przecież jogurt był naturalny, a po zmieszaniu się z zapachem skóry nuta naturalna wręcz zyskiwała na aromacie. Poza tym odkrył nagle, że mógłby tak przejojować całe życie i

niczego by mu już do szczęścia nie brakowało.

- Czemu przełożymy? Poczekaj, tylko coś zjem. - Zuza dopiero teraz dostrzegła kanapki i raczej nie wzbudziły w niej entuzjazmu. - A to co? Wybacz, ale do zjedzenia tego czegoś potrzebna jest sztuczna szczęka albo nóż i widelec, a z koordynacją to u mnie na razie nie tego. Wiem! Ja ci te pseudokanapeczki zapakuję - wstała i wyciągnęła z szafki papier śniadaniowy - a dla nas zrobię po omlecie. Z dżemem mojego autorstwa, marchewkowo- jabłkowym. O, nawet pasuje ci do nazwiska. Może być?

Komisarz cichutko westchnął, ale zbytnio się nie zmartwił. Nie doceniono jego wysiłków, w porządku. Ze spisu zalet Zuzy skreślił z ociąganiem subtelność, ale zaraz dopisał tam zaradność i szczerłość. Zamiast udawać, że jest zachwycona, po prostu wzięła sprawy w swoje ręce. Posłał kanapkom roztargnione spojrzenie i przytaknął:

- Jak najbardziej. A... nie pojechałabyś ze mną jutro do Polanicy? Tylko na jeden dzień

- dodał szybko, żeby nie zaczęła go podejrzewać o nieczne zamiary. Zresztą może przedwcześnie wyskoczył z tą propozycją? W sumie dopiero co zaczęli mówić sobie po imieniu, a on już pcha się z wyjazdami. Kretyn.

- Polanica? - Zuza wbrew jego obawom wydawała się bardzo zainteresowana. - Czemu akurat tam?

- Sprawy służbowe.

- A, to już nie zajmujesz się włamaniem do Misi? - spojrzęła mu w oczy z rozczarowaniem i poczuł się jak zdrajca.

- Zajmuję się! Właśnie dlatego... - W ostatniej chwili ugryzł się w język.

Bardzo chciałby z nią szczerze porozmawiać, ale nie mógł. Nic jej nie powie. Będzie milczał jak głaz, jak głaz na głazie po prostu. Jak wszystkie kamole tworzące Góry Stołowe.

- Tak? - Zuza postawiła przed nim dżem i wyciągnęła sprawnym ruchem widelec z włosów, aż loki rozsypały się jej wokół szyi, tworząc połyskliwą, miękką kulę. - Aha i właśnie wyjazd do Polanicy ma związek z włamaniem? - upewniła się

niefrasobliwie.

- Mniej więcej.

- Piotruś! - Zatrzepotała rękami i spojrzała na niego jak na bohatera. - Ty już wiesz, kto to, tylko się ze mną droczysz, niedobry. - Pogroziła mu żartobliwie palcem, po czym tym samym palcem wydobyła ze słoiczka odrobinę dżemu i wpakowała ją sobie do ust. Zamruczała przy tym z lubością. - Marchewka się po prostu rozplywa - dodała prowokująco i puściła do niego oko.

Komisarz przełknął ślinę.

- Wiem, że kto... co? Co masz na myśli, bo nie zrozumiałem?

- Wiesz, kto jest włamywaczem. Zgadłam?

- Skąd w ogóle taki pomysł? - gorliwie zaprzeczył. - Dopiero nad tym pracuję. Chciałbym być tak szybki... - Zuza wbiła w niego roześmiane spojrzenie i on, komisarz policji, postać, przed którą drżał niejeden zbir w tym mieście, zaczął się czuć nieswojo. - Ale niestety.

Na razie nic nie wiem. Zupełnie nic.

- Ale sam mówiłeś, że właśnie pracujesz nad tą sprawą i dlatego jedziesz do Polanicy, więc pomyślałam, że to pewnie ma związek z tym „C” na ścianie i w ogóle. Bo ma związek, prawda?

Koniecznien musiał zakończyć tę rozmowę, bo jeszcze chwila, a zacznie przysięgać, że sam jest włamywaczem. Przy Zuzie wyłączały mu się wszelkie systemy zabezpieczeń, robiła z nim, co chciała, a przecieź to on jako mężczyzna powinien niewolić, łamać serca i walić pięścią w stół. Tymczasem stół kojarzył mu się teraz tylko z jednym, walenie również jakby zmieniło kontekst. W głowie miał pustkę, widział tylko jej usta, jej nogi, jej...

- Zuza, przepraszam cię, chętnie skosztowałbym twojego... dżemu, ale zupełnie zapomniałem, że mam spotkanie. Będę uciekał.

Jak powiedział, tak zrobił.

Biegł aż do ulicy Telewizyjnej i ani razu się nie zatrzymał.

Był wykończony.

*

Misia zapomniała zamknąć drzwi do sypialni i Pyza obudziła ją pieszczotami skoro świt, co bynajmniej nie nastawiało człowieka do świata zbyt optymistycznie, zwłaszcza jeśli człowiek zasnął dopiero około trzeciej w nocy.

Najpierw zawiozła Zużę do domu, potem doszło do tej obślinionej żenady z Iglą. A przecież wystarczyło mu dać po gębie już na samym początku amorów. To nie, wtulała się w niego, jakby nigdy nie miała do czynienia z mężczyzną.

Niestety tak właśnie się czuła.

Jakby wszystko, co łączyło ją z Henrykiem, przestało nagle istnieć, jakby tych zmurszałych lat w ogóle nie było. A pocałunek dryblas... Sama słodycz, musiała przyznać. I co najgorsze: tęskniła za nim. Leżał parę metrów dalej, a ona za nim tęskniła! No większej głupoty nie wymyśliłaby nawet na zawołanie, niestety gniecenie w dołku było jak najbardziej realne.

A może to przez ten zapach? W całym mieszkaniu unosił się aromat masła i palonego cukru. Czyżby sąsiadka coś z rana pichciła? Misia uniosła się w pościeli i zerknęła na zegarek; zbliżała się ósma. Czasem docierały do niej zapachy cudzych obiadów, ale na wielkie gotowanie było raczej za wcześnie. Zaraz, trzaśnięcie talerza zabrzmiało znajomo... W dodatku Pyza miauknęła przejmująco, co w jej języku oznaczało: „Wstawaj i daj mi jeść”.

- Chodź, Pyzuniu, chyba ktoś buszuje w naszych garach - szepnęła do kotki i sięgnęła po szlafrok.

Nie pomyliła się. W kuchni objął rządy Iglą. Siedział przy stole rozparty na jej miejscu i z nogami na krześle w najlepsze rozwiązywał sudoku. Kuchnia po wczorajszym włamaniu była posprzątana, a na talerzu piętrzyła się fura cieniutkich jak marzenie naleśników. Misia aż przetarła oczy. Czy kręcą tu sceny do filmu Ona to on? Była pełna uznania, ale napływająca do ust ślinka nie ciekła jej przecież wymownie po brodzie. Zachwył można było łatwo ukryć.

- Hej - wydukała niezbyt wyraźnie, bo uprzejme powitanie

nie przeszłoby jej przez gardło. Nawet patrzenie w jego stronę było krępujące, a ten padalec jak zwykle prezentował swoje wdzięki przyodziany jedynie w slipy. I to te, którymi niedawno wymachiwała Zuza.

- Siemka, panie się częstują - skinął głową na stół, również nie zaszczycając jej choćby spojrzeniem. - Jak widać, na nikogo nie liczyłem, sam mam rączki. Ale sobek nie jestem, więc się dzielę.

- A ja jestem sobek?

- Kobieto, zrobiłem śniadanie - zaczął zmęczonym głosem - jak będziesz tyle gadać, wszystko wystygnie. Łap naleśnika i wcinaj. Na obiad też zostanie. Na kuchence masz sos truskawkowy, pozwoliłem sobie wziąć mrożonkę z lodówki. Bez pytania, bo spałaś. Jeśli mam skołować tego skrzynkę, daj znać.

Misia nasypała odruchowo Pyzie karmy i klapnęła na krzeselku przy drzwiach, bo sos truskawkowy załatwił ją na dobre. Jak to? Wielki, przystojny, sprząta, gotuje... Skąd się tacy biorą? To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Pewnie dryblas odstawia przedstawienia, żeby w zachwycie wyrażała wdzięczność. Prędzej umrze śmiercią głodową, niż da mu tę satysfakcję.

- Zbyteczna fatyga, bo tak się składa, że nienawidzę naleśników - oznajmiła wbrew sobie i z godnością opuściła kuchnię. To znaczy miała wielką nadzieję, że wzgarda na jej obliczu nie wygląda podejrzanie sztucznie.

Gratulowała sobie w duchu siły woli, kiedy u drzwi zabrzmiał dzwonek domofonu.

Zuza. Może ona wyjaśni jej, o co tu chodzi.

- Ty się znasz na facetach, to mi pomożesz zrozumieć - zagaiła, jak tylko podniosła słuchawkę. Wcześniej upewniła się, że drzwi do kuchni są przymknięte, a pobrzękujące radio tłumi odgłosy rozmowy.

- Czuję się zaszczyczona - wymamrotała Zuza - tylko mnie suszy.

- Ciebie to zawsze suszy albo ssie. Teraz mnie dla odmiany coś męczy.

- To zwymiotuj - rezolutnie obdzieliła przyjaciółkę radą. - Ja od rana próbuję, ale nic z tego. Może jak zjem omleta... Którego u ciebie zrobię...

- Zuza, czy ty spotkałaś kiedyś faceta, który sprząta i gotuje?

Przez dłuższą chwilę w słuchawce brzęczała cisza, potem Misia usłyszała czknięcie.

- Gej czy właściciel hotelu?

- Poważnie pytam.

- Poważnie i na czczo to ci powiem, że Pietruszka zrobił mi dzisiaj na śniadanie szaszłyki. Bez patyczka, na bułce. I zimne. I powiedział, że to kanapki. Więc odpowiedź brzmi: tak, spotkałam. Tylko po sobie nie posprzątał, zostawił na desce okruchy. Wielkie jak panczerfausty... Czemu?

- Bo ja spotkałam.

- Gdzie?!

- U mnie w kuchni. Igła. Sprząta. I to dokładnie, bez chałtury. Wczoraj rano zrobił jajecnicę. Masakrycznie dobra, ale myślałam, że to tak okazjonalnie. Dzisiaj w nocy mnie pocałował, a na śniadanie wjechały na stół naleśniki. Z sosem truskawkowym!

- Ożeż, fuksiario! Tylko teraz nie pokazuj, że sama umiesz gotować, bo się skończy Dzień Dziecka. Umie, niech gotuje. Zachwycaj się, ale bez przesady, żeby myślał, że to normalne. A ty potrafisz włożyć do szklanki słone paluszki i na tym koniec, pamiętaj... Pocałował? Miśka!

- No, pocałował - szepnęła. - I to jak! Ale potem mnie odstawił.

- Od... co? - pewne rzeczy nie mieściły się Zuzie w głowie.

- Odstawił. Pocałował raz i zaczął wygadywać głupoty, że się z nim całuję, bo się mszczę na Henryku.

- Co za pacan, od ust sobie odjął? A może ma niesprawną maszynę i się wykręca?

- Nie wiem, ale on ma w sobie coś takiego... - rozmarzyła się nagle Misia i mimo pustego żołądka poranek wydał się jej zupełnie wspaniały.

- Oby miał. I oby to „coś” nie było sflaczałe. Bo albo ci się

trafił impotent, albo Cud nad Rawą, czyli przyzwoity facet... Jak to „odstawił”? - zaczęła przeżywać od nowa. - Przecież to trzeba szczegółowo omówić!

Dopiero w tym momencie do Misi dotarła absurdalność sytuacji. Przecież rozmawia z Zuzą przez domofon. Świat się wali: dryblas mieszka u niej zaledwie drugi dzień, a ona już zaczyna zachowywać się jak blondynka.

- Nie wiem, czy wiesz, ale stoisz pod moimi drzwiami - wyjaśniła, usiłując zachować powagę.

- Ja wiem. Tak tu sobie stoję, popycham pierdoły, ale po cichu zastanawiam się, czemu mi nie otwierasz...

*

Zuza wpadła do kuchni i na widok zastawionego stołu najpierw straciła czucie w obu kończynach, potem dla odmiany dostała przyływu energii.

Naleśniki wyglądały urzekająco.

Były cieniutkie i, zdaje się, smażone bez tłuszczu, co należało docenić, bo nie każdy kucharz potrafi tego dokonać. A sos, palce lizać. Żywoczerwony, nie za gęsty, z pływającymi w środku owocami. Jeśli do naleśnika upcha się trochę waniliowego twarożku i poleje całość płynnymi truskawkami, to niebo w gębie nie oddaje tego kulinarnego szału.

Zuza wydukała coś niedbale na powitanie, i nie zważając ani na przyjaciółkę, ani na Iglę, zajęła się pałaszowaniem.

- Po prostu genialne - oceniła przy drugiej porcji. - Omlety odpadają. Dobrze, że nie zrobiłam, bo bym nie miała miejsca. A ty, Misia, ile zjadłaś? Pewnie z dziesięć, bo naleśniki przecież uwielbiasz.

Na szczęście dla Misi ta kłopotliwa kwestia została pominięta milczeniem. Iglą nie zdążył powiedzieć niczego złośliwego (z uciechy aż zabłyszczały mu ślepia), bo rozległo się pukanie do drzwi.

- Smacznego w takim razie życzę - oznajmił kpiąco. - Ja otworzę, to pewnie facet od zabezpieczeń.

- Facet od czego? - zainteresowała się Misia.

- Nie pozwolę, żeby do mieszkania włąził sobie każdy, kto

ma wytrych. Trzeba wymienić drzwi i zamontować porządnym alarm.

- A ja mam coś w tej sprawie do powiedzenia?

- W sprawie dizajnu jak najbardziej. Ceną się nie przejmuj, zapłacę, a Hardy dostanie w swoim czasie rachunek.

- Wykluczone. - Misia poderwała się na nogi. - Sama zapłacę.

- Jak chcesz - mruknął nieuważnie i wstał od stołu - ale będzie cię to sporo kosztowało, bo usługa jest ekspresowa. Dzisiaj zamówienie, jutro założenie.

Negocjacje z przedstawicielem firmy potrwały prawie półtorej godziny. Igła wybrał tak zaawansowany system zabezpieczenia, że przez moment zastanawiały się z Zużą, czy nie zamierza przerobić mieszkania na skarbiec. Niektóre ze sformułowań brzmiały jakby je żywcem wyciąć z filmu Bodyguard: alarmowanie centralnej stacji monitoringu, obserwacja video, czujnik otwarcia, zcentralizowany nadzór. Oblęd. Nie zdążyły nawet zapytać, po co to wszystko, bo kiedy rozmowa dobiegła końca, Igła zakręcił się, złapał w rękę naleśnika i wyszedł z fachowcem. Rzucił tylko, że spotkają się u Ryszardy, nabazgrał pośpiesznie adres i już go nie było.

- Alarmowanie stacji monitoringu? - Misia powtórzyła z niedowierzaniem.

- Z tego, co zrozumiałam, będziesz bulić co miesiąc abonament i jeśli ktoś ci się dobierze do drzwi, to gdzieś zabuczy alarm i przyślą ci tu zastęp ninja - Zuza próbowała tłumaczyć.

- W każdym razie będzie wesoło.

- A jest smutno? Moje mieszkanie zamienia się w placówkę PKO.

- E tam, przy takich zabezpieczeniach jak twoje, PKO wysiada. A drzwi będziesz mieć też dźwiękoszczelne?

Misia posłała przyjaciółce ponure spojrzenie.

- Drzwi to ja będę mieć orzech Morgana.

- Zrozumiałam aluzję. Koniec pytań - Zuza wycofała się, unosząc teatralnie rękę.

- Powiedz... co tu może być schowane, że Igła tak szaleje? -

Misia nie przestawała się zastanawiać.

- Kto pyta, nie błądzi i tak dalej, ale kto działa, zawsze dociera do celu. Nie będziemy gadać, tylko trochę ogarniemy pokój i postukamy po ścianach - zarządziła Zuza, która właśnie kończyła pić kawę.

- Dasz radę?

- Ja to już jestem jak młoda bogini. Śniadanie, niestety, bajka. Wracając do twojego domofonowego pytania... Przy pełnym żołądku przypomniało mi się, że raz spotkałam faceta, który wyśmienicie gotował. Alkowę też miał nieźle opanowaną.

- I co?

- Niestety, przy bliższym poznaniu okazał się tak ordynarnym skąpcem, że nie zniosłam napięcia w portfelu - Zuza zrobiła minę męczennicy. - Pomimo golonki, którą przyrządzał tak, że mdlałam z rozkoszy.

- Wybacz, ale golonka mnie nie przekonuje.

- Ta by cię przekonała, zapewniam. W każdym razie facet kucharz fajna sprawa, smacznie się z takim żyje, gotowanie na golasa też bomba, ale matematyka to podstawa. Tu coś dodasz, tam odejmiesz, a w związku przede wszystkim trzeba wyciągnąć pierwiastek. I obawiam się, że przyjaźń i zrozumienie znaczą więcej niż naleśniki. Choćby beztłuszczowe.

- Wzruszyłam się, ale obstawiam naleśniki. - Misia postanowiła skorzystać, że może się objadać bezkarnie i nałożyła sobie sporą porcję. - Bez komentarza - zastrzegła, widząc, że Zuza zamierza drażnić temat. - Lepiej podzielmy dom na sekcje i notujmy, gdzie pukałyśmy.

- Skoro mowa o facetach, to może zaczniemy od sypialni?

- Może być.

- Właśnie, faceci... Rano przyszedł do mnie Pietruszka. Że niby chce mnie przesłuchać w sprawie włamania, bla bla, i wygadał się, że jutro jedzie do Polanicy Zdroju!

Zuza powiedziała ostatnie zdanie z takim przejęciem, że Misia rozważała, czy i ona nie powinna zacząć się ekscytować. Niestety, w niej Polanica nie wzbudzała żadnych emocji. Za to

naleśniki, które rzeczywiście okazały się wyborne, jak najbardziej. Te kojarzyły się jej z wysokim brunetem i kiedy je tak wcinała, myślała o pewnych ustach...

- Miśka, Polanica, mówię!

- Nie drzyj się do mnie. Co z tą Polanicą?

- Wyjęłaś dokumenty ze skanera i podrzuciłaś Igle?

- Oddałam... Polanica! - Dopiero teraz skojarzyła nazwę miejscowości z kartoteką medyczną. - Myślisz, że to może mieć związek?

- A nie? Dodaj A do B, to ci wyjdzie... C. W przypadki nie wierzę. Ta Polanica to może być klucz do sprawy, musimy tam pojechać. I to jutro. Bardzo wcześnie, żebyśmy w klinice byli przed Pietruszką.

- Skąd pomyśl, że on jedzie właśnie do kliniki?

- W torbie znalazłyśmy wykrywacz metali i plany mieszkania. Raczej jednoznaczne. Do tego ta karta choroby. Potem włamanie. I teraz Pietruszka wybiera się do Polanicy Zdroju. Stawiam dolary przeciw kasztanom, że nie jedzie tam pooddychać świeżym powietrzem. Chcesz się założyć?

Dolary były argumentem jak najbardziej przemawiającym do wyobraźni, ale Misia, typowa domatorka, nie przepadała za podróżami. Tym bardziej za takimi, które trwały długo, a jeśli nie myliła się w obliczeniach, przy jej tempie jazdy czekały ją około cztery godziny w samochodzie.

- A nie możemy do tej kliniki po prostu zadzwonić? - bąknęła cicho.

- Puknij się w... ścianę. Prowadzimy śledztwo, przez telefon to możesz co najwyżej zamówić pizzę, a nie zdobywać poufne informacje.

- Ale pojedziemy tam i co? - Misia wciąż była nieprzekonana.

- Pokażemy historię choroby, powiesz, że to twoja jedyna pamiątka po zmarłym tatusiu i chcesz się o nim jak najwięcej dowiedzieć. Co się łamiesz, na pewno coś wymyślimy - Zuza nie widziała problemu.

Odebrała Misi talerz i pociągnęła ją do sypialni, gdzie zaraz poprzesuwały wspólnie meble i zabrały się za poszukiwania.

Niestety, żeby obadać ściany tuż po sufitem, musiały zbudować ze stolika i krzesła piramidę, na którą przyszło się wdrapać Zuzie, jako tej drobniejszej. Jak łatwo się domyślić, nie była tym zachwycona.

- Potrzebna nam drabina - oznajmiła, usiłując zachować równowagę.

- I co powiem Igle? To będzie podejrzane.

- Że potrzebujesz jej do podlewania kwiatków.

- Jakich znowu kwiatków?!

- Ojej, jakich, jakich. Postawi się na szafie parę badyli...

- Wiesz co, zostawmy już może badyle i inne pola magnetyczne w spokoju - zaproponowała znużona Misia. - Niedługo zaczniesz mi się wszystko mylić.

- Znowu marudzisz, zero polotu - skwitowała Zuza i zakolebała się na krześle. - Schodzę, bo ten polot brzmi tu, na górze, zbyt sugestywnie. A propos pola, Igła był w nocy grzeczny? - zapytała, stojąc już na podłodze, gdzie z ulgą wylądowała po wykonaniu zamaszystego skoku. - Nie mówię o migdaleniu się z tobą, ale o poszukiwaniach. Garrett niby uszkodzony, ale pan ochroniarz mógł wpaść na ten sam pomysł co my, i pukać.

- O drugiej w nocy? Nie sądzę. Była cisza.

- Przed burzą chyba... Burza uczuć - powiedziała Zuza, robiąc komiczne miny. - Grom z jasnego nieba i deszcz pocałunków hi hi...

- Czep się sufitu.

- Nie ma głupich, teraz ty tam włączysz - przesunęła stolik i zrobiła zapraszający gest. - Tak sobie dzisiaj rano myślałam o tym twoim socjopatycznym pomysle z resocjalizacją... Przejrzałam repertuar kin i, niestety, dupa. Na Królową Śnieżkę mafii nie zaprosimy, chociaż na upartego jest tam i morderstwo. Ale przecież możemy się spotkać tu i obejrzeć coś na komputerze.

- Gdzie „tu”? - Misia struchlała.

Nie żeby chciała zrezygnować ze swojego pomysłu, który był przecież bardzo dobry.

Popcorn i nogi na krzesłach w kinie, czemu nie, ale w jej

własnym mieszkaniu? I to jeszcze w mieszkaniu niedoprowadzonym do porządku po wczorajszych poczynaniach włamywacza-wandala?

- Tu - Zuza wycelowała palcem w... łóżko. - Skazani na Shawshank będzie jak znalazł. Wiem, bajzel. Ale może to lepiej? Wyobraź sobie, że zapraszasz tę bandę na salony lśniące czystością.

- Nie!

Podsunięty przez Zuzę obrazek, nawet w wyobraźni, był przerażający.

- Dlatego właśnie pora jest wyśmienita. I tak jest bałagan. Parę wyrwanych paneli w tę czy we w tę...

- Ale kiedy chcesz ich tu ściągnąć?

- Choćby dzisiaj. Taka byłaś skora do zbawiania świata, więc co za różnica? Zaprosimy „firmę” na wieczór, niech poznają szefową. Przecież to od wczoraj twoi pracownicy. Zastęp Janosika, z tego, co pamiętam. Juuu! - wzniosła ochoczo ludowy okrzyk i majtnęła spódnicą. Z przytupu na szczęście zrezygnowała. - Będę tak miła i przygotuję przekąski. Nie dziękuj.

Czy jej się wydawało, czy w głosie Zuzy słyszała uciechę? Tak, przyjaciółka otwarcie suszyła zęby w krzywym uśmiechu i skojarzyła się nagle Misi z małym złośliwym gnomem, którego najchętniej wytargałaby za uszy.

- W zasadzie, czemu nie - powiedziała więc wyzywająco. Niech sobie Zuza nie myśli. - Ale dzisiaj na szesnastą jestem zaproszona z Iglą do twojej ulubienicy, Ryszardy. Na obiad. A jutro jedziemy do Polanicy, więc spotkanie zorganizujemy w piątek wieczorem. Tylko nie wiem, czy to jest dobry pomysł, bo w sobotę masz urodziny. Trzeba zrobić zakupy, zaplanować menu...

- Zdążymy. Ugotujemy bigos albo fasolkę, co wolisz. W piątek robi się dwie sałatki, zimna płyta, ja upiekę o jeden keks więcej. Nie ma problemu - Zuza zgodziła się nieuważnie i zmarszczyła zabawnie nos, jakby dostrzegła właśnie na wystawie cukierni pyszne ciastko. - Czy mnie uszy nie mylą? Obiad u Riczardy?

- Tak, wymyśliła sobie, że będzie mnie przepraszać.

- Ale chyba nie zrobisz przyjaciółce świństwa? Zabierzesz mnie ze sobą? - Złożyła ręce w proszącym geście i Misia nie umiała jej odmówić, chociaż jeszcze przed chwilą miała ochotę wypędzić Zuzę na Zaułek. Zresztą, wołała nie występować z Iglą w charakterze honorowych gości. Takie odwiedziny tylko we dwójkę to prawie jak manifest: przychodzimy razem, bo jesteśmy razem. O nie.

- Pewnie, że zabiorę.

- Misiak! - Zuza była w siódmym niebie. - To w takim razie załatwione. Zawiadom Iglę. Dzisiaj czeka nas obiad u kochanki twojego męża, a w piątek kolacyjka z przestępcami. Rewelacja, nie uważasz?...

*

Do Częstochowy Marchewka przyjeżdżał dosyć często, choćby na szkolenia. Miał tu także rodzinę, więc całkiem dobrze znał „święte miasto”. Celu podróży nawet nie musiał sprawdzać w Internecie, wystarczyła mu nazwa ulicy. Bohaterów Katynia 19. Blokowisko na Rakowie, wiadomo. Trochę kluczył, bo zjazd w Jesienną był wyłączony z ruchu ze względu na budowę torów tramwajowych, ale jakoś sobie poradził.

Do siostry Różyckiego dotarł w porze obiadu i na miejscu czekała go miła niespodzianka. Obawiał się, że siostra kolekcjonera będzie mieć, podobnie jak jej brat, podły charakter, tymczasem krągła kobieta, która otworzyła mu drzwi, wydała się na pierwszy rzut oka nieco smutna, ale sympatyczna. Była ubrana w czarne spodnie i czarną bluzkę, co musiało oznaczać żalobę.

- Zapraszam. - Kiedy dowiedziała się, w jakiej sprawie przychodzi, wpuściła go do skromnie urządzonego mieszkania. - Jeśli będę mogła, pomogę, ale Antoni był skryty, więc proszę sobie za dużo nie obiecywać. Herbaty?

- Nie, dziękuję, zadam pani tylko kilka pytań, to nie potrwa długo. Mamy powody, żeby przypuszczać, że pani brat został zamordowany, ale o tym już panią informowaliśmy przed

wykonaniem sekcji.

- Tak, wiem. Bardzo mi go brak - wyznała cicho i komisarz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kochała brata: tego samego faceta, o którym w lokalnych knajpach mówiono jedynie per „świnia” lub „kanalia”. Jakie to dziwne.

- Proszę wybaczyć uwagę, ale pani brat nie cieszył się w Poraju najlepszą opinią, dlatego jestem odrobinę zaskoczony.

- Mój brat był trudnym człowiekiem, nie przeczę, ale miałam tylko jego.

Komisarz nieco się stropił. Tego nie lubił. Zbyt często ocierał się w swojej pracy o śmierć, zbyt często ludzie zadawali mu pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. Ale nie było wyjścia. Wielu jego kolegów nie wytrzymało napięcia i wspomagało się alkoholem, na szczęście Marchewka umiał sobie pewne kwestie wytłumaczyć bez sięgania po procenty. Natomiast nie był już tym wrażliwym młodzieńcem co kiedyś, mimo że miał dopiero trzydzieści sześć lat. Okrzepl.

- Bardzo mi przykro, naprawdę. Czy pani brat miał wrogów?

- Skoro pan wie, że nie był lubiany, to nietrudno się domyślić, że miał ich całe mnóstwo. On był bardzo bezkompromisowy. Dla niego coś było albo czarne albo białe.

- Albo czerwone - wyrwało się komisarzowi i zaraz tego pożałował, bo na twarzy siostry Różyckiego pojawiła się nieudawana przykrość.

- Przepraszam...

- Nie, nie szkodzi. To przecież prawda. Za czasów komuny brat był wysoko postawionym urzędnikiem. Wielu ludziom zaszkodził, niektórym pomógł i nagle z dnia na dzień stracił wszystko. I władzę, i pieniądze. Dlatego wymyślił, że zostanie rzeczoznawcą kamieni, bo chciał się odciąć od przeszłości, chciał zacząć nowe życie. I dlatego to życie zakończył.

- Czemu pani tak mówi?

- Bo to przez te diamenty! - kobieta podniosła w rozżaleniu głos. - Przez parę lat szło mu nieźle, ale potem kogoś poznał. Mężczyznę, mówił o nim: Wspólnik. Razem w tym siedzieli.

Marchewka wyraźnie się ożywił, choć starał się tego po sobie nie pokazać.

- A kiedy się poznali?

- Trudno powiedzieć. Przez ostatnie dwa lata widywali się regularnie, to wiem, bo brat często przekładał nasze spotkania. Ale kiedy dokładnie zaczęła się ta znajomość, nie mam pojęcia.

- Poznała pani tego człowieka?

- Nie, nie było okazji.

- To może go pani chociaż widziała? Nawet na zdjęciu, czasem drobiazg pozwala człowieka zidentyfikować. Może imię?

- Przykro mi. Brat nigdy nie użył jego imienia, nie pokazywał też żadnych zdjęć.

- Samochód? - komisarz nie tracił nadziei.

- Niestety.

Siostra odpowiadała szczerze, Marchewka nie miał wątpliwości. Chcąc zamknąć ten rozdział, położył więc przed nią fotografię Hardego, ale tak jak przypuszczał, gagatek nie został rozpoznany. Komisarz westchnął i uznał, że nadeszła pora na bardziej szczegółowe pytania.

- Powiedziała pani: „to przez te diamenty”. Dlaczego akurat przez diamenty, a nie na przykład przez rubiny?

Zauważył, że lekko się zawahała, pewnie w obawie, żeby nie skalać imienia brata.

- Proszę się nie obawiać, pan Różycki nie zostanie pośmiertnie osądzony, a my dzięki pani zeznaniom możemy wsadzić niebezpiecznego przestępcę za kratki.

- Ale brat robił z tego wielką tajemnicę...

- Z czego?

- On... ciągle wypisywał jakieś papiery związane z diamentami. Widziałam. - Siostra zaczynała się denerwować i komisarz przestraszył się, że zaraz zamilknie.

- Certyfikaty. Tak, wiemy - powiedział spokojnym głosem, chcąc dodać jej otuchy.

- I ukrywał je przede mną. Jak tylko przychodziłam, wszystko chował.

- Mówi pani, że ciągle? Długo to trwało?

- Nie wiem. To się zaczęło, kiedy poznał tego swojego Wspólnika. Kiedyś zjrzałam do szuflady, bo szukałam długopisu... - Kobieta prawie oblała się rumieńcem, tak jakby opowiadała o popełnionej zbrodni. - Tych certyfikatów tam była cała sarta. Wszystko o diamentach.

I Antoni mnie przyłapał. Pierwszy raz widziałam go tak wściekłego, prawie mnie uderzył! - Wspominając tę chwilę siostra kolekcjonera rozplakała się bezgłośnie, więc Marchewka wystartował do łazienki szukać chusteczek. W międzyczasie kobieta na szczęście nieco się uspokoiła i podjęła przerwany wątek. Komisarz odetchnął z ulgą.

- Przepraszam, on umarł, ale nie jak zwykły człowiek, na zawał albo na coś - tłumaczyła się, wycierając nos. - To nie jest łatwe.

- Rozumiem, oczywiście.

- I pewnie popełnił jakieś przestępstwo... Wszystko na to wskazuje, prawda?

- Nie chcę pani okłamywać... - zaczął dyplomatycznie Marchewka.

- Wiedziałaś, czułam to! Te diamenty były kradzione?

- Hm, mamy pewność jedynie co do trzech, tyle mogę pani zdradzić - przełamał się, żeby uchylić rąbka tajemnicy. Siostra Różyckiego wydała mu się jednak tak przyzwoitą osobą, że postanowił nie stosować żadnych uników. Poza tym już chyba sobie poradziła z prawdą na temat brata, bo przestała pochlipywać i wyprostowała się. W jej oczach zabłyszczała znajoma determinacja i komisarz spodziewał się, że zaraz nastąpi przełom. Miał rację.

- Trudno, ja nie odpowiadam za jego wybory. Zawsze ciągnęło go do złego.

- Tu chodziło raczej o pieniądze, jak przypuszczam - uściślił.

- Pieniądze same w sobie nie są ani dobre, ani złe. Zależy tylko do czego się ich użyje. I jak się je zdobędzie - trafnie oceniła kobieta.

- To prawda.

- A mój brat zdobył je chyba... drogą szantażu - wypaliła niespodziewanie dla samej siebie. Raczej nie planowała takiego wyznania, bo nerwowo poprawiała włosy i zaczęła pokasływać, ale komisarz postanowił kuć żelazo, póki gorące. Poszczególne elementy tej układanki zaczynały mu się powoli układać w całość.

- Rozumiem, że brat szantażował Wspólnika?

- Tak wywnioskowałam. Antoni kochał pieniądze, chociaż ich nie wydawał. Musiał je mieć, żeby czuć się bezpiecznie. I ciągle mu było mało. Zarabiał na tych certyfikatach, a kogoś raz zdradził mi, że znalazł świetny sposób, żeby zarobić jeszcze więcej. Powiedział, cytując: „To się Wspólnik zdziwi”.

- Ale czemu miałby się zdziwić?

- Nie wiem, Antoni tylko zacierał ręce i wciąż to powtarzał.

- Użyła pani jednak słowa „szantaż”.

- To są tylko moje domysły. Po tym zdarzeniu brat mnie odwiedził i poprosił o wszystkie gazety, jakie mam. Pytał też o klej. To było parę miesięcy temu.

- Czyli w zasadzie przed śmiercią...

- Tak. Myślę, że on potrzebował tych gazet, żeby stworzyć anonim.

- To by było najprostsze wyjaśnienie - zgodził się komisarz.

Wychodziło na to, że Różycki umarł, bo Hardy dowiedział się, kto był szantażystą. A że pewnie nieźle mu płacił za fabrykowanie certyfikatów, mógł się wkurzyć i zdaje się, że rozwiązał problem po swojemu.

- Bardzo mi pani pomogła. Na zakończenie chciałbym jeszcze o coś zapytać. Pani brat miał komórkę, prawda?

- Miał, pewnie, że miał. I to jaką. Cieniutką jak papier, najnowszy model z jabłuszkiem. Prawie się z nią nie rozstawał. Ciągle robił zdjęcia, zapisywał spotkania w kalendarzu i tak dalej. Cieszył się z niej jak dziecko. I... właśnie dobrze się składa, że pan pyta, boja bym ten telefon chciała odzyskać. Jako pamiątkę.

Marchewka westchnął tęsknie.

On by również komórką Różyckiego nie pogardził.

Nie jako pamiątką, ale jako dowodem w sprawie.

*

Zuza - ignorantka jedna - mieszkała na Śląsku od paru lat, ale Nikiszowiec widziała jedynie na filmach Kutza czy Piwowarskiego, nigdy na żywo, co dla Misi było niepojęte, bo to zupełnie wyjątkowe osiedle znajdowało się zaledwie kilkanaście minut jazdy samochodem od Tysiąclecia, w dzielnicy Katowic zwanej Janowem. Zuza mogła sobie wydymać pogardliwie usta, ale zaległości zaraz zostaną nadrobione, bo skoro dom Ryszardy znajdował się niedaleko, cóż stało na przeszkodzie, żeby trochę pozwiedzać. Tym bardziej że Igła zadzwonił z wieścią, że firmowa kolacja dojdzie do skutku i przed czasem wyrobiły się z zakupami w pobliskim Selgrosie (kamraci zapewne zachwycili się wizją wyzerki u żony szefa, więc trzeba było stanąć na wysokości zadania i zapłacić produktami cały bagażnik; poza tym w najbliższy weekend były również święta i impreza u Zuzy).

Misia zawiozła kręcącą nosem przyjaciółkę najpierw pod zabytkowe budynki wciąż działającej kopalni Wieczorek i z miną doświadczonego przewodnika poinformowała, że wszystko zaczęło się właśnie od tego miejsca, bo mimo że osiedle, które zaraz zamierzały zobaczyć, miało jak na początek ubiegłego wieku charakter wybitnie miejski, to powstało z myślą o pracujących w szybach robotnikach.

- Nie wydymaj ust, tylko patrz, dziecko, na zapis historii. Cegły, cegielki, drabinki, daszki. To wszystko wygląda dokładnie tak jak sto lat temu - objaśniła Misia. - Chociaż kiedy Henryk tu mieszkał...

- Henryk tu mieszkał? - zdziwiła się Zuza i przytomniej spojrzała dookoła, bo wjechały właśnie w dziwnie wyglądającą okolicę.

Zamiast drzew rosły tu jedna przy drugiej kamienice z czerwonej cegły.

Z każdym metrem było ich coraz więcej i więcej. Zupełnie jakby przy ulicy stanął na baczność szpaler wychudłych strażaków. Na pierwszy rzut oka wszystkie budynki wydawały

się takie same, ale po bliższych oględzinach dało się zauważyć między nimi różnice. Dotyczyło to zwłaszcza detali: na przykład każde z wejść na klatkę schodową posiadało inny motyw nad ramą drzwi. Domy odróżniały się też od siebie balkonikami, wykuszami, a także fantazyjnie łamanymi dachami.

- Czuję się jak Sigourney Weaver w *Obcym* - mruknęła niechętnie Zuza, ale powoli zaczynało się jej podobać.

Rzeczywiście, nigdzie dotąd nie widziała podobnego zabudowania. Zdaje się, że kamienice tworzyły figury, bo zarejestrowała, że ich układ się powtarzał. Do każdej z brył prowadziła osobna brama ukazująca podwórzowe wnętrza. A tam już eksplodowała wiosna. Trawniki, na które rzucił się pierwszy zielony wąż, drzewka, piaskownice, rozpostarte pod niebem sznury do prania uginające się pod ciężarem prześcieradeł, majtek i skarpetek. Jednym słowem - koloryt lokalny, jakiego próżno szukać w innym miejscu. - Zaraz się przyzwyczaisz, to wstęp - rzuciła Misia i wjechała w kolejną uliczkę. - W centrum nie ma innych budynków. I dlatego tu jest uroczno. Całe to osiedle to jeden wielki zabytek, figuruje w rejestrze...

- Dobra, poczytam sobie w domu. - Zuzę nużyły wszelkie wykłady historyczne i nie zamierzała ich wysłuchiwać, nawet z grzeczności. - Ale co z Henrykiem? Nigdy nie mówiłaś, gdzie mieszkał, zanim się przeprowadziliście.

- On sam też mówi o tym niechętnie, chyba dlatego że wychował się w wielkiej biedzie. Parę razy mu się wymknęło, ale nigdy nie dowiedziałam się szczegółów. Ale na pewno pochodzi stąd.

- To mogłaś dorwać teściową i dyplomatycznie wycisnąć z niej to i owo.

- Nic na siłę, wszystko młotkiem? - Misia westchnęła nad filozofią życiową przyjaciółki. Sama pochodziła z północy Polski, jej rodzina mieszkała w Toruniu i Misia czasem nawet tęskniła za kimś takim jak teściowa, skoro własną mamę widywała tylko przy okazji świąt. Może akurat rodzicielka Henryka okazałaby się pokrewną duszą? - Nigdy nie poznałam teściowej. Ani teścia. Umarli i Henryk trafił do

ochronki.

- Do jakiej ochronki, rany...

- Do domu dziecka.

- Uuu - Zuza okazała współczucie, choć w jej wydaniu zawsze wyglądało to bardziej jak grymas, niż okazanie uczuć.

- To już wiemy, skąd w nim ta wybujała patologia. Dom dziecka, paskudnie.

Misia zamilkła. Bynajmniej nie chciała swojego małżonka usprawiedliwiać, ale będąc w miejscu, gdzie się wychował, ogarniała ją dziwna melancholia. Z pewnością Henryk nie miał lekkiego życia, ale czy to zadecydowało, że stał się przestępcą? Takie twierdzenie byłoby chyba zbyt dużym uproszczeniem.

Zaraz jednak porzuciła ponure myśli, bo dotarły wreszcie do celu wycieczki. Za szybą samochodu znowu zmieniła się sceneria i mogły podziwiać rynek - serce, do którego biegły arterie górniczych uliczek. Patrząc na ten obrazek zdobiony pąsowymi framugami okien i pelargoniami, które obowiązkowo wylewały się ze skrzynek, można było zrozumieć, dlaczego osiedle zaczynało być modne wśród mieszkańców Katowic. Coraz częściej kupowano tu mieszkania i to zarówno ze względu na korzystne ceny, jak i na panujący w ceglanym miasteczku artystyczny klimat: Nikiszowiec jest bowiem kolebką artystów malarzy zwanych Grupą Janowską, a sztuka naiwna, którą uprawiają, zaskakuje szczerością i bezpretensjonalnością.

Misia zaparkowała w jednej z bocznych uliczek i pociągnęła przyjaciółkę na krótki spacer.

- Ożeż! - Zuza pojęła ogrom architektonicznego przedsięwzięcia dopiero na głównym placu, bo z auta wszystko wyglądało nieco inaczej.

Znalazła się nagle w świecie, w którym konsekwentnie zadbano o każdy szczegół. I nie mogła pozbyć się wrażenia, że otaczające ją zewsząd zabytkowe kamienice to dzieło dzieciaka, który dorwał czerwone klocki lego i poprzyklejał na nie naklejki: Poczta Polska, Sklep Ogólnospożywczy, Cafe Byfyj, Foto Niesporek, Salon Fryzjerski Teresa i wreszcie... Apteka u Maziarza.

- Znowu Maziarz - zauważyła Misia, wskazując na budynek apteki, i chciała iść w dół w kierunku bramy prowadzącej do ulicy św. Anny, ale Zuza ją zatrzymała.

- Poczekaj, sprawdźmy. Co nam szkodzi?

- Przecież niejednemu psu Burek, chcesz sprawdzać wszystkich Maziarzy na Śląsku? - Misia starała się używać logicznych argumentów, bo powoli kończył im się czas. Do obiadu u Ryszardy zostało im pół godziny, ale musiały jeszcze znaleźć jej dom. - I co to w ogóle znaczy: sprawdźmy?

- Co się łamiesz, przecież nie pobiorę nikomu krwi. Idziemy do apteki, po prostu. Nie można? - wskazała na czerwone drzwi zachęcająco lśniące w słońcu.

- Dobrze już, dobrze. Przynajmniej kupię sobie tabletki na uspokojenie. Mogą mi się przydać. I przed obiadem, i przed piątkową kolacją.

Misia nawet nie wiedziała, jak prorocze były to słowa. Kiedy bowiem weszła do apteki i stanęła przed okienkiem, zobaczyła...

Ducha?

Za ladą stał starszy mężczyzna wstrząsająco podobny do Henryka.

Miał mniej wydatne usta i odstające uszy, ale podobieństwo było tak oczywiste, że Zuza również stanęła jak wryta i nie wiedziała, co powiedzieć. Zupełnie zbiło ją to z tropu. A nie wypadało przeciągać dłużej milczenia, bo sytuacja, mimo że były jedynymi klientkami, zaczynała być już mocno krępująca.

- Dzień dobry, coś się stało? - zaniepokojony aptekarz odezwał się pierwszy i Misia z Zuzą stwierdziły, że jednak ich zdziwienie może być jeszcze większe.

Facet przemówił bowiem głosem Henryka.

Lekko dudniącym basem, choć w barwie brzmiącym zdecydowanie mniej agresywnie.

A więc to tak będzie wyglądał mąż Misi za kilkadziesiąt lat?

Obwisłe policzki, siwizna, bruzdy przy ustach...

- Pan Maziarz? - Zuzę odblokowało jako pierwszą.

- Tak, Paweł Maziarz, właściciel i farmaceuta. A panie...?

- Zwiedzamy - wyjaśniła pospiesznie Zuza i dla

otrzeźwienia kopnęła Misię w kostkę.

Zdecydowanie nie powinna gapić się na obcego faceta jak na swojego małżonka. Ta

pretensja w spojrzeniu, te skrzywione usta i drgająca nerwowo powieka mogły być źle odebrane. - Właśnie przechodziłyśmy i zafascynowała nas pana apteka. Śliczny budynek.

- A tak. Jestem z niej dumny. Prowadzimy ją z żoną od czterdziestu lat - aptekarz splótł dłonie i zakołysał się z zadowolenia, obejmując wzrokiem ściany stworzone z szufladek i półek, gdzie w rzędach stały rozmaite specyfiki. - Od dwóch lat sprzedajemy również zioła - wskazał na wypełnione pojemnikami gabloty przy drzwiach, od których dochodził zapach suszonych roślin. - Wszystkie z upraw ekologicznych, polecam.

- Widzę, że ma pan tu niezłe zaopatrzenie - zaświergoliła Zuza i podeszła bliżej.

Misia mechanicznie postąpiła za nią i wtedy przeżyła kolejny wstrząs.

Za plecami aptekarza, w kącie, stało coś, co pewnie było dekoracją na zbliżające się święta wielkanocne. Królik - obrzydliwy, prawie metrowy stwór wystrugany z drewna, przy czym artysta postarał się i zaserwował mu zbieżnego zeza. Monstrum trzymało w łapie wełnianą marchewę, a pomiędzy uszami, w kupce siana, buszowały mu ręcznie malowane kurczaczki - wszystkie trzy wściekle fioletowe z dziobami tak wielkimi, że przypominały pelikany. A może to były małe pelikany?

Aptekarz musiał zauważyć, że dzieło wstrząsnęło niedoszlą klientką, bo pozwolił sobie na poufale wyznanie.

- Podoba się pani? Sam robiłem, syn mi trochę pomagał. Mamy w rodzinie słabość do sztuki regionalnej.

Misi zawirowały przed oczami ptaki, marchewki i rzeźby z korzeni. Stołki z brzozowych kołków, pszeniczne kłosa i łowickie wycinanki - cały folklor upchany w pokoju Henryka. Wręcz chciałoby się wrzasnąć „Hej, dana!”.

- Przepraszam bardzo... - Misia przemówiła głosem, w

którym zabrzmiała tłumiona desperacja - ale ja to muszę wiedzieć. Czy pan jest ojcem Henryka Skoczylasa?

Starszy pan zamrugał oczami w dobrze jej znany sposób.

- Kogo? Nie, pierwszy raz słyszę. Mój syn nazywa się Jarosław Maziarz. To on strugał marchewkę - dodał zadowolony, zerkając przez ramię na królika, a Zuza zobaczyła nagle swoje odbicie w szybie i stwierdziła, że z otwartą buzią wygląda niezbyt ponętnie. - Czemu pani pyta?

Misia nie zdążyła udzielić odpowiedzi.

- Pawełku - padło czule zza drzwi i zmaterializowała się w nich urocza kobiecina z gigantycznym kokiem na głowie. Ubrana schludnie w biały fartuch stanęła przy aptekarzu i usiłowała zrozumieć, co się tutaj rozgrywa. Ona także miała w sobie coś z Henryka: dwa urocze dołeczki. - Dzień dobry - przywitała się i obrzuciła świdrującym spojrzeniem wzburzone klientki.

- Moja małżonka, Elza. To znaczy Elżbieta - poprawił się pan Maziarz. - Czy mogę zapytać, czego panie właściwie sobie życzą? Coś podać?

Misia poczuła nagle, że jeśli teraz nie wyjaśni sytuacji, to już nigdy tu nie wróci.

- Jarosław? Ja... ja znam waszego syna - powiedziała z trudem, patrząc w oczy, no właśnie, komu?

Rodzicom Henryka?

- Naprawdę? Momencik - ucieszyła się pani Maziarzowa i na chwilę zniknęła na zapleczu. Wróciła ze zdjęciem i z ciepłym uśmiechem zaprezentowała podobiznę syna, opierając ją o swój biust.

- Mój Jarek.

Zdjęcie przedstawiało Henryka Skoczylasa, pseudonim Hardy.

Bossa mafii paliwowej na Śląsku.

Męża Misi.

Tylko nie wiedzieć czemu ten podły gad wypinał pierś ubrany w marynarski mundur.

Wyglądał w nim całkiem nieźle, co jednak niczego nie tłumaczyło.

- To jest Jarosław Maziarz? - zapytała Zuza, starając się przy tym mocno, żeby nie dało się odczytać w jej głosie niedowierzania.

- Przecież pani twierdzi, że go zna - powiedziała pani Maziarzowa, patrząc na Misię, która z chwili na chwilę czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego.

Że wszystko w niej mięknie, że nie radzi sobie ze słabością, która zalewają falami niczym cuchnąca Rawa śródmieście.

- Znam go bardzo dobrze - wydukała i poszukała wzrokiem krzeselka. - A przynajmniej myślałam, że znam.

Na szczęście pod oknem stał stoliczek, a przy nim dystrybutor wody. Dotarła tam resztkami sił. Zatraskana Zuza zaraz znalazła, się przy niej, ale Misia dała znak, że już do siebie dochodzi, choć niedokładnie było to zgodne z prawdą. Dowiedzieć się o kolejnym kłamstwie swojego małżonka, i to takim kłamstwie, nie było najmilszym przeżyciem.

Chociaż...

Gdyby się nad tym dobrze zastanowić, to czy ślub zawarty pod... fałszywym nazwiskiem jest ważny?

Porażona tą ożywczą myślą, Misia stwierdziła nagle, że ozdrowiała. Mało tego. Doznała takiego przyływu energii, że mogłaby teraz robić za bioenergoterapeutkę. Wrzody, dyskopatie, rwy kulszowe - leczyłaby swoim dobroczynnym dotykiem wszystko, jak leci.

- Koleżanka Jarka?! - pani Maziarzowa wypowiedziała to tonem, jakby właśnie dowiedziała się, że progi jej apteki przestąpiła królowa angielska. - Pawełku, słyszysz? To cudownie! - Klasnęła w tłuste rączki i otworzyła drzwi, które oddzielały ją od głównej sali.

Równie przejęty pan Maziarz pobiegł za małżonką.

- Może kawy? - zaoferował czule.

Czy Henryk był tu ósmym cudem świata?

Zuza chyba zastanawiała się nad tym samym, a minę miała taką, jakby rozważała, czy znajomość syna aptekarzy załatwi jej zakup antybiotyku bez recepty.

- Skąd zna pani naszego Jarka? Proszę opowiadać. - Pani Maziarzowa usiadła przy stoliczku i była tak ożywiona, że

nietaktem było nagle wstać i wyjść, chociaż Misia miała na to wielką ochotę. Najchętniej schowałaby się teraz w kącie i na spokojnie wszystko przemyślała. Bo wszystko jeszcze bardziej się pogmatwało.

- Znamy go obie - Zuza, widząc zakłopotanie przyjaciółki, przestała się przyglądać półkom i ruszyła z pomocą. - Ładny portrecik - oceniła zdjęcie, które pani Maziarzowa wciąż trzymała w dłoni. - Ale czemu Hen... Jarek jest ubrany w mundur?

- To zdjęcie do książeczki żeglarskiej. Marynarze muszą ją mieć, to taki ich dowód tożsamości.

- Marynarze? - powtórzyła ogłupiała Zuza.

- Nasz syn jest oficerem marynarki wojennej. Komandorem - wyjaśnił pan Maziarz, pękając z dumy.

- I, niestety, dlatego widzimy go raz, najwyżej dwa razy do roku - aptekarzowa westchnęła i jeszcze raz objęła zdjęcie ciepłym spojrzeniem. - Ale za to wspiera nas finansowo. To bardzo dobre dziecko. Bardzo dobre.

- Na pewno - Misia postanowiła, że czas kończyć spotkanie, mimo że Zuza właśnie przygotowywała się do konferencji prasowej i zamierzała zalać państwa Maziarzy morzem dociekliwych pytań. - Jarka znam, bo kiedyś... zawiął do mojego portu - rzuciła powściągliwie i wstała. Teraz pozostawało jedynie zrobić coś z Zuzą, która miała swój pomysł na odwrót i z tego powodu wczepiła się przezornie pazurami w ladę. Zdaje się, że jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Misia, owszem. - Nie ma za bardzo o czym opowiadać. Przelotna znajomość, w sumie.

- Tak, przeleciał ją kilka razy. I nie tylko ją. - Zuza wymamrotała pod nosem i Misia miała nadzieję, że ostatnie słowa usłyszała tylko ona.

Rodzice Henryka byli jednak zbyt rozczarowani obrotem zdarzeń, żeby zajmować się drobiazgami. Ze wszelkich sił próbowali je zatrzymać.

- Panie już idą? Ale dlaczego?

- Ktoś na nas czeka - powiedziała słabo Misia i pociągnęła Zuzę za pasek płaszcza. Zatrzeszczało. Turkusowy trenz był

najnowszym nabytkiem i tylko dlatego przyjaciółka dała za wygraną, choć pozwoliła sobie na jeszcze jeden komentarz.

- Tak, jesteśmy zaproszone na obiad do... kolejnej koleżanki Henryka - dodała na odchodnym, przewrotnie bawiąc się faktem, że państwo Maziarzowie nie wiedzą, o kim mówi. Niestety, uwielbiała takie gierki.

- A właśnie, kim jest Henryk? - zapytał pan Maziarz, patrząc na Misię. - Wspomniała pani o nim na początku naszej rozmowy. Henryk Skoczylas, dobrze pamiętam? Kto to taki?

*

Najsławniejszy bar w Poraju - chociaż słowo bar należałoby raczej zastąpić określeniem „drugi dom”, bo stali bywalcy byli z tym przybytkiem związani uczuciowo niekiedy bardziej niż z własną rodziną - w zasadzie nigdy nie świecił pustkami, ale po brzegi zapełniał się spragnioną procentów gawiedzią dopiero wieczorem. Piotrek Marchewka dotarł tu po spotkaniu z siostrą kolekcjonera wczesnym popołudniem, ale za to była szansa, że na obiad zje flaczki. Po czynnościach śledczych wiele sobie nie obiecywał, zamierzał poczekać do dwudziestej i stawiać kolejki za informacje, ale pewne rzeczy robił odruchowo. Odbierając zamówienie, położył przed właścicielką zdjęcie Hardego. Dołożył też Rózyckiego, do kompletu.

Barmanka, jak się okazało, miała pamięć do twarzy.

- Pan tu już jest drugi raz. Z policji?

Marchewka potwierdził skinieniem głowy. Zwykle nie wrywał się z ujawnianiem swojej profesji, ale w tej miejscinie nikt Rózyckiego nie lubił i istniała nikła obawa, że ktoś chciałby go kryć. Wszyscy na widok jego podobizny reagowali tak samo. Niechętnie odwracali głowy albo pluli. Barmanka wybrała tę drugą opcję. Splunęła ostentacyjnie do popielniczki i poprawiła stanik.

- Zabierz pan stąd tego dziada.

- Nie kochacie go tu...

- Ano nie kochamy. Świni też nikt nie kocha, ale gołonkę wszyscy wpieprzają.

Komisarz zapatrzył się w obfity biust właścicielki, która złapała jego spojrzenie i

uśmiechnęła się z zadowoleniem. Zdaje się, że podziwiał mleczne cuda natury dorównujące sławie serwowanych tu podrobów.

- Jak mam to rozumieć?

- Kochać go nie kochali, ale Różycki handlował, czym popadło, żeby mieć na flaszkę. A potem nagle przestał się zastawiać i to inni zastawiali się u niego. Miał w garści wszystkich miejscowych. Pożyczał im na chłanie, a jak nie oddawali, przejmował ich domy i ziemię.

- To takie buty...

- Tak że niejeden się tu cieszy, że Różycki nagle kopnął w kalendarz, bo im się upiekło.

- A ten? - Marchewka z nadzieją podstawił barmance pod nos zdjęcie Hardego.

- Nie, tego nie widziałam - właścicielka od razu zauważyła zawód na licu komisarza, więc chcąc go podnieść na duchu, położyła na ładzie biust i konspiracyjnie się nachyliła. - Ale Różycki był tu kiedyś z jednym gościem... I dziwnie się zachowywali...

- Dziwnie?

Nakrapiane piegami kule rozlały się wiotko tuż przy dystrybutorze ze starannie wygrawerowanym w złocie napisem LECH. To pewnie dlatego Marchewce zaczęło się naraz wydawać, że kręci go w nosie od zapachu chmielu. Właścicielka popatrzyła komisarzowi głęboko w oczy, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym usłyszał jej szept:

- Ja tu mam na górze taki pokoik...

Na tę rewelację przedstawiciel prawa o mało nie poparzył się konsumowanymi flaczkami, a ugryziona właśnie kajzerka uwieźła mu w gardle. Kolejki mógł stawiać, był oddany sprawie, ale pewnego rodzaju ofiary odpadały na wstępie, choć oczywiste schlebiało mu, że za mundurem panny sznurem i tak dalej. Na szczęście barmanka miała na myśli zupełnie co innego.

- Wie pan... Klienci załatwiają tu różne sprawy. W domu

żona, a w knajpie swój swój nie wyda...

- Tak, jasne.

- I wie pan... Taki pokój to jest w porządnym lokalu bardzo potrzebna rzecz. Niezbędna! Można go dyskretnie wynająć i tego...

- Ale przecież Różycki nie miał żony - zauważył rezolutnie Marchewka, który od nowa poczuł się bezpieczny. Królowa golonki nie czyhała na jego wdzięki. - Mógł się spotykać z kim chciał. I to w domu.

- Czekaj, pan - półgębkiem mruknęła barmanka, śląc na salę ukradkowe spojrzenia. - Już mówię. Ale mi niezręcznie, bo Różycki sypnął sianem, żebym nic nikomu... Ale skoro nie żyje...

- Miał spotkanie z facetem i nic nikomu? - zapytał z udawanym niedowierzaniem komisarz, przeczuwając, że swoimi wątpliwościami zagrzeje barmankę do zwierzeń. Nie pomylił się.

- Przecież mówię, że to było dziwne, bo cały lokal widział, jak gnali na pięterko. A potem Antek trzasnął mi stówką o bufet i mówi: „Elka, nic, nikomu. Mnie tu z tym dupkiem nie było”.

- To może...? - Marchewka pogrzebał niemrawo we flaczkach i znacząco zawiesił głos.

- Nie, panie, Różycki to nie był żaden pedzio. Wiem, co mówię - pani Ela znowu poprawiła biustonosz i zatrzepotała tłustymi od tuszu rzęsami.

- To o co chodziło?

- Panie, jak nie wiadomo, o co chodzi, a na pewno nie chodzi o seks, to co...?

- Pieniądze? - komisarz udał ucieszonego swoim odkryciem, co zostało skwitowane przez barmankę pogardliwym westchnieniem. Zdaje się, że miała go za idiotę. Dobra nasza.

- No, a jak, panie Kolumb? Tylko o pieniądze. Jakiś podły interes kręcił Różycki przed śmiercią. Tak mi się coś wydaje. Ale o tym milczał jak grób, chytrus - pani Ela powstrzymała się, żeby znowu nie splunąć.

- A kiedy to było? To spotkanie na piątku?

- Kilka miesięcy temu. Zimą. To pamiętam, bo gość podjechał białym mercedesem i pomyślałam sobie wtedy, że białe auto na białym śniegu ładnie wygląda. Też bym takie chciała. Nówka. Z bajerami, gadżetami, poślizgami...

- A rejestracja?

- Panie, nie wymagaj pan za dużo. Mordę pijacką to ja zapamiętam, wiadomo, i czter y sześćdziesiąt też, ale rejestracji nie notuję. Ale autko... - barmanka zakwiliła. - Oddałabym się za darmo. Nawet za błotnik.

- Yhm - komisarz zastanowił się, jaki cennik obowiązywałby za skrzynię biegów, ale postanowił nie kontynuować rozważań. - To znaczy, że towarzysz Różyckiego nie miał pijackiej mordy?

- Jakąś tam gębę miał, ale zakrył się płaszczem po uszy i tak szybko chybnął po schodach, że nie widziałam. Zresztą miałam w cholere klientów. Jak to przed świętami. Przed trzepaniem dywanów najlepiej zwać do knajpy.

- To prawda. Pani wie, że Różycki handlował diamentami?

- Marchewka zrozumiał, że o tajemniczym spotkaniu nie dowie się niczego więcej, więc eksperymentalnie strzelił informacją, ale pani Ela nie wyglądała na zaskoczoną. Zdaje się, że trafił w dziesiątkę. I jeśli dobrze odczytał jej dwuznaczne spojrzenia, może - ho ho - może była kimś w rodzaju okazjonalnej kochanki kolekcjonera?

- Co mam nie wiedzieć - cmoknęła z wyższością i wygrzebała z dekoltu łańcuszek. Na końcu złotej nici połyskiwało małe szkiełko. Odbijało srebrnymi refleksami światło z popielniczki i ustawionych na barze kieliszków. Na suficie roztańczyły się drgające iskierki.

- Najprawdziwszy diament. W dowód wdzięczności, można powiedzieć... O diamentach Różycki nikomu nie mówił, bo się bał, że go okradną. Mnie powiedział, bo ja mam lokal.

- Czyli jest pani niezależna finansowo - podliznął się bezczelnie Marchewka, ale kobieta nie zauważyła, że rzucone podstępnie słowa ociekają wazeliną.

- No, jestem. Przecież widać.

- Jasne. OK, o diamentach w takim razie wie chyba pani więcej niż ja. Ale tak się zastanawiam... Skoro nikt w okolicy nie wiedział, że Różycki ma coś wspólnego z kamieniami, to jakim cudem znajdował klientów?

- Coś tam miał poustawiane, jakiegoś stałego kupca, ale o tym gębę trzymał na kłódkę. Radził sobie, spokojna głowa. Trzepał kasę aż miło, bo skąd by miał, żeby pożyczać? Ale ja jestem honorowa. Nie chce gadać, niech się pędzi. Ważne, żeby dotrzymywał umowy. Bo jak ktoś szukał pożyczki albo miał na sprzedaż nieruchomość, to kierowałam takiego jelenia do Antka. To chyba nie przestępstwo?

- Gdzie tam - komisarz zarechotał, starając się, żeby uśmiech wyrażał uznanie. - Od kiedy to zaradność jest karalna? Pani jest po prostu bizneswoman. I tyle.

- No, jestem. Z czegoś trzeba żyć. Ale za ostatnie trzy osoby to mi stary cap nie zapłacił

- barmanka znowu się zezłościła.

- Może już nie żył? Do śmierci doszło dwa miesiące temu.

- A, to może nie żył - pani Ela naraz się wyprostowała i naląła sobie wprawną ręką setkę. - Uśmiercony, usprawiedliwiony. No, to chlup w ten ładny dziób.

*

Misia bez słowa pogalopowała do auta i siedząc już w fotelu, rzuciła się z rozpaczą na kierownicę, ukrywając przedtem twarz w dłoniach. Jakkolwiek gest ten nosił znamiona dramatyzmu, nie zrosiła jednak łzami ani tablicy rozdzielczej, ani swojego podołka, Zuza niepotrzebnie się martwiła. Przyjaciółka, przejęta jakąś myślą, po chwili energicznie się wyprostowała i wydukała:

- Ale jak to papież? Naprawdę papież? Mówię o unieważnieniu małżeństwa - wyjaśniła nieuważnie. Z jej ust popłynął zaraz soczysty monolog, widocznie bidulka musiała jakoś odreagować scenę w aptece. - Słyszałam, że papież unieważnia osobiście. I co, ja mam teraz lecieć do Rzymu? Przecież nie znam włoskiego. Nie, co za idiotyzm - zreflektowała się. - Po co mi włoski, pójdę do proboszcza. Ale

teraz? Jestem świeżo po włamaniu, otwieram agencję ochrony i, jak na złość, po kolejnym numerze, który wykręcił mi mój były, świat nie rozpadł mi się na kawałki. Marynarz! Bo mogłabym sobie ulżyć i wyć. Znowu. Lata kłamstw! I to jakich. Ochronka! Masz pojęcie? Ochronka, a rodzice w roli nieboszczyków... I teraz to już nawet nie wiem, jak się nazywam.

- Pani Maziata, he, he - Zuza zarechotała po swojemu, bo z Misią wcale nie było źle. Szczerze mówiąc, było z nią całkiem dobrze. Ale aż strach pomyśleć, jak zniosłaby kłamstwa Henryka, gdyby nadal zmieniała różyczki przy wzniesionym mu w dużym pokoju ołtarzu. - Hardy marynarzem, he, he. I nieźle to wymyślił, rodzicie się nie zastanawiali, czemu synek ich nie odwiedza. Komandor, zaraz skonom!

- Ja też skonom? - niepewnie rzuciła Misia, a jej pytanie pacnęło o przednią szybę i przywołało Zuzę do porządku.

- Kiedyś na pewno. Ale póki stąpamy po tym padole, trzeba by jeszcze nadepnąć niektórym na odcisk. I to tak, żeby im odpadła kończynka. Razem z bioderkiem. Co prawda, to prawda. Henryk cię oszukał. Podstawa do unieważnienia małżeństwa jak złoto.

- W porządku, ale kto mi uwierzy, że żyłam z człowiekiem cztery lata i nie wiedziałam, że jest przestępcą?

Zuza na chwilę się zawiesiła, ale nie zwykła z byle powodu tracić rezonu.

- Choćby fałszywe nazwisko. Żadna normalna kobieta nie zgodziłaby się przyjąć nazwiska, wiedząc, że jest fałszywe. Nazwisko to jest podstawa. Ale wiesz... O, na przykład Pietruszka. A nawet Zuzanna Pietruszka. Chwytasz brzmienie? Niby niefałszywe, a ta warzywna nuta powoduje, że...

- Marchewka! Zapamiętaj wreszcie. Marchewka jest zdrowa i koniec dyskusji - Misia ucięła szybko i wróciła do sedna rozmowy, bo w oczach Zuzy rozhulał się ogień, na którym można by usmażyć nie tylko marchewkę, ale i obłożoną nią sporą pieczeń. - A jaki mamy dowód, że Skoczylas jest fałszywy? He?

- Dowód, dowód. Kartoteka choroby - Zuza szybko

odpowiedziała. - To jest na razie nasz dowód. A jutro jedziemy do Polanicy. Tam na pewno dowiemy się czegoś więcej. Tak sobie teraz łączę fakty, że skoro on ma lewy dowód i był pacjentem kliniki chirurgii plastycznej, to to jest grubymi nićmi szyte. Pewnie zdarzyła mu się w życiu jakaś operacyjka. Nacięcie płata czy coś...

Misia podjęłaby wątek, gdyby czegoś sobie nie uświadomiła.

- Zuza, Igła!

- Gdzie? - obejrzała się do tyłu, ale zobaczyła jedynie odjeżdżający z rynku autobus, po którym pozostał teraz jedynie fikuśny zawijas dymu wypluty z rury wydechowej.

- Przecież to u niego znalazłyśmy kartotekę. On wie, że Henryk jest podrabiany! - obwieściła z przejęciem Misia.

Igła - otoczony nimbem niedomówień i tajemniczości - stawał się dla Misi powoli kimś w rodzaju bohatera powieści szpiegowskiej, co niestety czyniło go w jej oczach coraz bardziej atrakcyjnym. Tak jakby nie wystarczała ciemna grzywa, wyrafinowana bródka i ta korzenna mgiełka, która się za nim pałętała i sprawiała, że w jego obecności marzyło się o Gwiazdce i piernikach. Nie pomagała trzeźwa myśl, że szef ochrony pasował do choinki i karpia jak diament do kaszanki. Oczywiście za ten diament robił on...

- I co z tego? - zapytała nad wyraz trzeźwo Zuza. - Teoretycznie są współnikami. A może Igła ma przeszukać mieszkanie na polecenie twojego małżonka? Nie pomyślałaś o tym? I dla niepoznaki zgadza się na tę twoją agencję. Udaje przyjaciela.

- A mnie się wydaje, że ten pomysł szczerze go bawi. A gdyby szukał na polecenie Henryka, to od razu wiedziałby, gdzie jest skrytka - Misia rzuciła w cichym zamyśleniu i łagodnie się uśmiechnęła. - I... to nawet dobrze o nim świadczy. Że nie chciał mnie wykorzystać. Wczoraj, w nocy. Kiedy mnie pocałował.

Zuza westchnęła zniecierpliwiona i z ostentacją nacisnęła kilkakrotnie klakson, którego doniosłe „pip” spłoszyło siedzące na śmietniku gołębie i przywołało na posterunek wszystkie parapetowe staruszki. Misia była urażona.

- Odbiło ci? - zapytała, nie kryjąc zdegustowania.

- Czy możemy wrócić do tematu, kiedy szef ochrony wreszcie cię skonsumuje? Bo nudzisz. Maziarz, ochronka... Streszczajmy się, Riczarda czeka.

Ochronka zrobiła swoje, Misia spięła się jak sieknięta batem.

- Domyślam się, że Henryk zafundował sobie fałszywe nazwisko, żeby mógł w spokoju kręcić te swoje przestępcze interesy - ciągnęła tymczasem Zuza. - I spoko wodza, może nawet żadne unieważnienie nie będzie potrzebne, bo prawnie wasz ślub jest chyba o kant tyłka roztluc. Ale to wyjaśnimy, jak się zrobi trochę spokojniej. Nic się nie martw, mamy kartotekę. I twoich... teściów. Jako świadków.

- Chyba żartujesz? - Misia od razu wykluczyła mieszanie do sprawy poznanych przed chwilą ludzi.

Oczy pani aptekarzowej, kiedy patrzyła na zdjęcie swojego syna, wyrażały tyle miłości, że powiedzenie tej uroczej, starszej pani, że jej syn to kłamca i oszukańczy podlec, przechodziło wyobrażenie Misi. A już informacja o burdelach i sprzedawanych do Afganistanu czołgach... Natomiast wyobrażenia Zuzy, zdawała się niczym nieskrępowana.

- Oj tam, oj tam. Będzie trochę matczynek łez, ale ty od ręki dostaniesz wolność - oznajmiła, nie poświęcając uwagi tak prozaicznym pojęciom jak sumienie czy przyzwoitość. - A tak, twoi teściowie żyją w iluzji, a ty w fikcyjnym małżeństwie.

- Wybij to sobie z głowy - Misia nie zamierzała ustąpić Wierzyła, że wyrządzenie komuś krzywdy wraca do krzywdziciela z podwójną siłą. - Ja tego pani Maziarzowej nic zrobię.

- Ty nie, ale ja owszem - Zuza była gotowa do niesienia pomocy. Zirytowana, że nikt tego nie docenia, podrapała się po nosie, a jej skóra wydała się Misi naraz gruba jak na krokodylu.

- Obiecuj...

- Tak, obiecuję, frajerko! - krzyknęła, bo już ją ta sprzeczka znużyła. - Tak, nie mam serca, bo dla mnie też nikt go nie ma. To znaczy ty masz, ale jesteś wyjątkiem... I pewnie dla-

tego Henio wciskał ci, że żył w ubóstwie. Biedaczek, pewnie jadł surowe mar... pie... - Zuza zaplątała się, co wywołało w niej dodatkową złość. - Cholera, surowiznę pewnie żarł, bo w ochronce nie było co do gęby włożyć. A Maziarzowie prowadzą aptekę od czterdziestu lat. Od czterdziestu! Wiesz, co on tutaj miał? Amerykę! W Polsce szalał pieprzony komunizm, za historyjkę z Donalda musiałam się prawie prostytuować, a pętałowi żyło się u dzianych rodziców jak u Pana Boga za piecem.

- Zuza, coś sobie przypomniałam... - Misia zmarszczyła czoło, bo przez chwilę zamajaczyła jej na horyzoncie flaga Stanów Zjednoczonych upstrzona pietruszkami, co wbrew pozorom nie było zbyt odświeżające. - Ja kiedyś widziałam jego świadectwo z podstawówki! To znaczy wtedy nie wiedziałam, że to jego.

- I co? Przynajmniej pały od góry do dołu? - zapytała z nadzieją przyjaciółka, ale Misia pokręciła głową.

- Wręcz przeciwnie. Zapytałam, czyje to, ale powiedział, że kolegi. Że się u niego zawieruszyło i odda. I potem już tego nie widziałam.

- A jakieś inne dokumenty? Matura, dyplom skończenia studiów, żółte papiery...

- Nie. Podobno trzymał w firmie.

- Już to widzę - zachnęła się Zuza. - Przecież gdyby wpadły w łapy policji, to dekonspiracja. Tym bardziej że robili mu tam regularne naloty.

- Czyli? - Misia przestraszyła się, że za chwilę będzie świadkiem narodzin kolejnego, fantastycznego pomysłu.

- Czyli że albo twój ślubny schował wszystkie dokumenty, które bardzo by się nam przydały, u ciebie, albo u swojej kochanki... Dobra, zostawmy dywagacje, bo i tak nic nie wymyślimy. Robimy tak. Jutro, wiadomo, Polanica, potem kolacja dla bandziorów. A w międzyczasie szukamy. Czegoś metalowego, to pewne. A może to jakiś cholerny klucz do tajnego sejfu? Albo sam sejf? Gdzie będą dokumenty i cała fura złota i innych metali szlachetnych? Się zobaczy. Teraz odpalamy wrotki i pędzimy do Riczardy. Tyją zagadasz, a ja

skorzystam z okazji i zrobię plan mieszkania.

- Po co? - Misia w przerażeniu zrobiła wielkie oczy.

- Bo jeśli nie znajdziemy niczego u ciebie, to w perspektywie... - Zuza wypowiedziała to słowo ze szczególnym upodobaniem - to w perspektywie będziemy szukać u Riczardy.

- Szukać? Jak?!

- Normalnie. Przecież ona pracuje i przez pół dnia jej chata stoi otworem. Tudzież świeci pustkami. To my w tę pustkę... Jak w masło. Łomik, czy coś... I heja!

*

Ryszarda Kociołek, która w czasach pacholących z zapartym tchem śledziła każdy odcinek Tajemnic Wiklinowej Zatoki, poczuła piknięcie intuicji, kiedy Henryk obwoził ją po dzielnicy Janów w poszukiwaniu znalezionej w Internecie domu na sprzedaż. Wiklinowa 112. Jakże miło było jechać ulicami, które nawiązywały do jej ulubionego żywiołu. Woda. Tę Ryszarda uwielbiała, podobnie jak Henio, który oprócz zapędów artystycznych pasjonował się skrycie akwarysryką, która to pasja nie mogła znaleźć ujścia przy małżonce - wprawdzie kobiecie sympatycznej, ale nierozumiejącej, że gdyby ryby miały głos, można by się było od nich wiele dowiedzieć.

A Ryszarda rozumiała.

Miłe było już nawet samo przemierzanie ulic o doprawdy wdzięcznych nazwach: Leśnego Potoku, Ruczajowa, Nad Stawem. A kiedy jeszcze dwa gołąbki szukające swojego gniazda skręciły przy Stadninie Koni „Padok” w Strumienną i ujrzały przyczynę, dla której ulice ociekały w swoim brzmieniu wodą (w jarze, tuż za wierzbami, szemrał sobie leniwie prawdziwy strumień zwany Potokiem Bolina), byli już prawie pewni, że dom stojący w tak obficie nawodnionej okolicy spełni ich oczekiwania. Bo przecież wspólne gniazdko równie dobrze można wic w szuwarach.

I rzeczywiście. Mieli szczęście.

Parterowy domek wyrastał na zakręcie zwirowej drogi, tuż przy kępie smukłych brzózek. Trawniki przy podjeździe syciły

otoczenie zielenią o odcieniu szczypiorkowym, a całą posesję otulały młode jałowce i iglaki, które sterczały na baczność, choć wiaterek zapamiętałe czochrał ich czubki. Po drugiej stronie drogi nie było żadnych zabudowań - to cieszyło Henia najbardziej - wily się tutaj dwie ścieżki. Jedna przepoławiała zygzakiem spory zagajnik, druga biegła w prawo do sąsiedniego domu, który stał w sporym oddaleniu schowany za kępami krzaków. Dolatywało stamtąd jedynie szczekanie psa.

Właściciel Wiklinowej 112 dbał o ogród i podwórko - posesję wyłożono paloną na złoto cegłą, a wkomponowane w nią dróżki obsypane były bratkami i żonkilami. W każdym z rogów wznoszącego się dookoła muru pyszniły się kiście bżów. Z tyłu znajdował się maleńki basen i marmurowy stół do gry w ping-ponga. Trawnika przed drzwiami wejściowymi do domu bronił dorodny krasnal, który sprawiał wrażenie, jakby w stanie wskazującym na spożycie opuścił mocno zakrapianą imprezę: świadczyło o tym mętne spojrzenie i... wystająca z kieszeni flaszka Wyborowej. Tylko tego trzeba było Heniowi. Obecność krasnala odczytał jako znak.

Ten dom albo żaden.

Już i tak miał niezłego zgryza w związku z planowanym zakupem, bo ileż można przeciągać ustabilizowanie sytuacji rodzinnej? Jakkolwiek posiadanie dwóch doskonale uzupełniających się kobiet miało same zalety: Miśka była dobrą gospodynią, Rysia wspaniałą kochanką, to jednak obie panie wyrażały głębokie niezadowolenie.

Z niego.

Henio obejrzał wewnątrz domu - niezłe utrzymane - i wyłożywszy na stół najnowszy model tableta, rzucił do oszołomionego właściciela jedno zasadnicze pytanie: „Ile”? Nie targując się zbytnio (godzina negocjacji to naprawdę niewiele), przelał zaliczkę na wskazane konto i oświadczył, że on i jego pani wprowadzają się w przyszłym miesiącu.

Od tego wspaniałego popołudnia minęły równo trzy lata.

I teraz jej ukochany gnije w zimnej celi, a Ryszarda jest sama w wielkim domu, który naprawdę lubiła, ale bez obecności mężczyzny było tu naprawdę smutno. A ona właśnie odniosła

mały sukces kulinarny. Bo Henio lubił dobrze zjeść i twierdził, że gdyby jeszcze Rysia nauczyła się gotować, byłaby dla niego absolutną boginią. Teraz oczywiście też była boginią, ale gdyby potrafiła przyrządzić rosółek z lanymi kluskami, byłaby tą boginią jeszcze bardziej.

O wiele bardziej. Żeby zachęcić swoją wybranekę do nauki, Henio wyposażył kuchnię we wszystkie najpotrzebniejsze i zupełnie niepotrzebne, ale wściekle drogie sprzęty. Niestety, osiągnął efekt przeciwny.

Rysia czuła się rozdarta.

I zagubiona w tej przeraźliwie nowoczesnej kuchni jak szczeniaczek porzucony na ulicy w wielki deszcz.

Kiedy zbliżała się do urządzenia pod nazwą Thermomix, który to potwór potrafił nawet zagniać ciasto, o przygotowywaniu cappuccino nie wspominając (tak wynikało z instrukcji, Ryszarda nie sprawdziła tego jeszcze osobiście), biedaczka zaczynała się trząść. Oczywiście do swoich lęków nie przyznawała się Heniowi, bo tak się starał... I żeby mu sprawić przyjemność, buczała potworem, po czym po cichutku pstrykała ekspres i gnała do salonu z kubkiem oblepionym pianką. Henio piał z zachwytu, upijał łyżek (niestety Rysia nie potrafiła również właściwie obsługiwać ekspresu, był zbyt skomplikowany, nie taki jak w firmie), po czym kłął, że przepłacił, i widząc nieporadność Rysi, biegł do kuchni sam. Zalewał kawę wrzątkiem zagotowanym w zwykłym czajniku, dopełniał mlekiem i uśmiechał się czule, widząc uznanie w oczach kobiety. Tak, za pomocą zwykłego wrzątku i mleka można się poczuć najmeźniejszym z meźnych.

Dlatego dla Rysi warto było się starać. Ostatnim dowodem rozbuchanych uczuć Henia był cały garnitur stalowych garnków firmy Zepter. Co by się już Rysi nic nigdy nie przypaliło. Widząc, że ukochana leciutko zagryza usta (byli świeżo po wielkiej awanturze oscylującej wokół terminu rozwodu), do najmniejszego rondelka Henio włożył niespodziankę. Trzy ślicznie jaśniejące diamenty, które odbijając się od gładkiej powierzchni dna, tworzyły na nim srebrną kałużę.

Ryszarda westchnęła tęsknie, wspominając tę miłą chwilę.

I z tęsknoty przekonała się do garnków. Miała tu także znaczenie absencja Henia, bo to on właśnie zwykle gotował, nie mogąc przełknąć dzieł wyczarowanych rączką ukochanej. Pozostawiona teraz sam na sam z kłopotem gastronomicznym, Ryszarda co prawda zdążyła się już rozprawić z mitem, że stali nie da się przypalić, ale po długich godzinach spędzonych w oparach gotowanych „potraw” wpadła na pewien genialny pomysł.

Tygiel różnaitości.

Tak nazwała swoją pierwszą autorską potrawę.

A robiło się to w bardzo prosty sposób, oszczędzając tym samym czas spędzony w kuchni: na sam spód największego gara wrzucało się jakieś zwłoki, elegancko zwane w świecie wprawnych degustatorów sztuką mięsa. Albo cztery sztuki, jeśli odstawia się popisowy obiad, na którym przeprasza się żonę swojego kochanka. Tak, cztery sztuki mięsa. Takie sztuki dochodzą w dwie godzinki. Trzymając w ręku zegarek, wrzuca się pół godziny przed końcem gotowania kartofelki w mundurkach. W mundurkach, bo nie trzeba się męczyć z obieraniem. Z miękkich ziemniaków skórka sama schodzi, a piaskowe burzyny wyławia się z tygla różnaitości łyżką. Do kartofelków dołącza się jakąś efektowną jarzynkę, na przykład brokuły, ale to już tuż przed finałem. Całość mazia się na talerzu maselkiem i ozdabia gałązkami koperku, który rośnie we własnym ogródku warzywnym pod śmietnikiem. Potrawa cieszy oko, aromat ziemniaczków przegryzionych z mięskiem lechce śluzówki nosa, ślinka kapie, a do zmywania nie ma się trzech brudnych garów, ale jeden.

Pożywnie i sprytnie. I kto tu jest boginią?

*

Igła obiecał, że przekaże pani Michalinie zaproszenie, a on zawsze dotrzymywał słowa. Jednak było już piętnaście po czwartej, a gości ani widu, ani słyhu. Ryszarda spędziła kwadrans przyklejona do okna na poddaszu (był tu świetny punkt obserwacyjny, pewnie z tego powodu Henio urządził sobie na górze pokój biurowy) i już zaczynała upadać na duchu - może

pani Misia wzgardziła jej przeprosinami, może kona z rozpaczy w swoim mieszkaniu - kiedy na ulicy zabłyszczał wreszcie srebrny Volkswagen i Ryszarda puściła się po schodach na łeb, na szyję.

Cieszyła się z tego spotkania tak samo, jak się go bała. Jeszcze teraz przechodziły ją dreszcze na samo wspomnienie zawodu, jaki wyczytała w oczach pani Michaliny, kiedy to komisarz niechcący naświetlił sytuację matrymonialną Henia. Tak, dreszcze... Ryszarda była bowiem w jakiś dziwny sposób z panią Skoczylas związana. I wcale nie myślała o niej źle.

Dzieliła z nią bowiem najdroższą osobę, jaką miała na całym świecie.

Konkurentki - jeśli są oczywiście osobami na poziomie - wcale nie muszą sobie przecież skakać do oczu z powodu portek. Bo jest oczywiste, że kiedy traci się z mężczyzną więź, to z tym samym gościem, który doprowadza nas do szału, zostawiając w zlewie kudłate resztki po goleniu, wiąże się jakaś nasza następczyni. I jeśli wiąże się na poważnie i z całym dygocącym od uczucia sercem, to wszystkie wcześniejsze więzy, a raczej poprzecierane sznureczki, trzeba z godnością przeciąć. Poza tym niejednemu psu Burek. I z pewnością na widnokręgu pojawi się nowy książę, który zadba, żeby w łóżku nie zabrakło czułości, a pod łóżkiem śmierdzących skarpetek. Zdecydowane cięcie, ot co.

A Henio należał do nikogo innego jak tylko do Ryszardy Kociołek.

I tego uczucia intymnej przynależności nie można pomylić z niczym innym. To dla niej Henio kradł miliony. I dla niej gotował kapuśniaczkę na wędzonce. A pani Misia była biedna i opuszczona i doprawdy Rysi było strasznie głupio. Ale miłość nie wybiera.

A już na pewno nie może przebierać w mężczyznach Ryszarda, która doskonale zdawała sobie sprawę, że ciało może ma i ponętne - Henio dawał temu wielokrotnie dowód - ale twarz i całą resztę najzupelniej przeciętne.

W związku z tym czyniła wiele przemyślnych zabiegów, żeby uatrakcyjnić swój wizerunek, jednak efekty niezbyt ją

zadowolają. Ostatnio doszła nawet do wniosku, że powinna się bardziej postarać. Otoczenie reagowało co prawda na jej widok dość żywo, nikt nie pomijał jej wzrokiem, ale wyraz twarzy pracowników, klientów czy przechodniów to wciąż nie było to. Przyglądali się jej, owszem, po czym milkli, jakby kontemplując elementy jej stroju.

A jeśli ona bawiła się konwencjami mody zbyt subtelnie?

Bo wiadomo, że szata zdobi człowieka. I że dobór poszczególnych elementów to prawdziwa sztuka. Ale ich odczytanie również. Na przykład dzisiejsze uroczyste przeprosiny. Me przywdzieje przecież na tę okazję bluzeczki w krzykliwych kolorach, choć zestawianie ich i majstrowanie przy tęczy dawało Ryszardzie dziką radość. Barwy jako środek wyrazu - tendencje fashion. Ma się pewien zasób wiedzy, he he. Ale nie, dziś żywość odpada, to mogłoby zrobić złe wrażenie. Dziś najstosowniejsza wydała się Ryszardzie czerń. Stonowana elegancja, nic więcej. Będzie się kajać i walić w piersi, strój powinien więc nawiązywać swoją wymową do średniowiecznej pokory. I to był strzał w dziesiątkę. Średniowieczna pokora!

Ryszarda przypomniała sobie pewien zabójczy czarny sweter z bujnym, błyszczącym włosiem przy szyi i rękawkach. Sięgał jej prawie do kostek i podkreślał talię, a wielkie ażurowe oka tworzyły na ciele wcale obiecującą siatkę. Ale że absolutnie wszystko w czerni? A na przykład ten śliczny lakierowany pasek w odcieniu cytrynowym byłby świetnym... kontr punktem? Tak to się chyba nazywało. W każdym razie żółciutki kontrpunkt dopinał całość wręcz cudownie. O, a wczoraj kupiła mięciutkie żółte skarpetki w czarne paski. I proszę bardzo, elementy korespondują. Do tego legginsy i czarne tenisówki, podobno są w tym sezonie modne. Nie mają co prawda żółtych spodów, ale białe będą pasowały do gorseciku, który tak ładnie przeświecał przez smolistą czerń swetra.

Jeszcze kilka kropel perfum i jest szyk!

Zadbana kobieta może zdobywać góry.

I masz babo placek. Kiedy Ryszarda otworzyła drzwi, stwierdziła, że na jej progu topniały wypisz wymaluj: dwie

zimne góry lodowe. Przy czym topniały jakby z oporem. Z oblicz obu pań bynajmniej nie tryskał entuzjazm i pragnienie spędzenia popołudnia nad tygłem różnorodności. Pani Michalina była wyraźnie czymś przejęta, ta niższa, chyba jej przyjaciółka, najpierw obrzuciła Ryszardę wyniosłym spojrzeniem, potem nagle się rozkaszała, a kiedy popatrzyły na siebie ponownie, w tych dużych oczach oprócz łez błyszczał również uśmiech. Niemrawy wprawdzie, ale jednak. To wystarczyło.

Uff...

Ryszarda przestała się bać.

Wyciągnęła energicznie rękę i zamierzała się przedstawić, ale została uprzedzona.

- Yhy, Ryszarda, tak, wiem. Hello, dzień dobry i tak dalej. Jestem Zuza, przyjaciółka

Misi.

- Zuzia! Jak ślicznie - Ryszarda zakrzyknęła ochoczo, ale przyjaciółka pani Michaliny absolutnie nie podzieliła okazanej radości. Jej uśmiech zbladł, oczy - przed chwilą jeszcze tak wielkie - znowu się zwężyły i zaczęły wysyłać niezbyt przychylne w treści komunikaty.

- Zuza - zaakcentowała twardo, nie wypuszczając dłoni Ryszardy ze swojego nadspodziewanie silnego uścisku.

- Och, tak... Zu...za.

- I tego się trzymajmy.

Na szczęście, widząc, co się święci, pani Michalina ruszyła z pomocą. Również się przywitała i wyraziła zachwyt kapciami dla gości, które ustawione w przedpokoju wręcz to pomieszczenie ozdobiły. A tak. Tureckie kapciuszki - ręcznie haftowane, z rozkosznymi pomponikami na czubku - przywodziły na myśl *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Zakupili je z Heniem w Antalyi, kilka miesięcy temu, kiedy wyrwali się ze Śląska na kilkudniowy odpoczynek. Oczywiście eskapada odbyła się, ponieważ Henio zełgał żonie o zjeździe ekonomicznym w Stambule, i przypomniawszy sobie teraz to kłamstwo, Ryszarda znowu poczuła się fatalnie.

Pani Zuza zdjęła tymczasem swoje pantofle, ale propozycję wskoczenia w regionalne klapki zbyła chłodnym

milczeniem.

- Igła dzwonił, że się spóźni - wyjaśniła na wstępie Ryszarda i zaprosiła panie do stołu. - Przewozi resztę swoich rzeczy z Mariackiej. Ale są korki.

- O, dzwonił? - zainteresowała się pani Michalina. Sięgnęła do torebki po komórkę, a na jej twarzy odmalował się zawód. - Ale nie do mnie...

- Śmierdziel - weszła jej z olśniewającym uśmiechem w słowo pani Zuza. - A wypadaloby, bo miał przyjść z tobą.

- Umówiliśmy się na miejscu - broniła się szeptem pani Michalina. - Czep się stołu.

Pani Zuza się czepiła. Nalała sobie do szklanki wody, ale zdaje się, że była z tych, co to

lubią wszystko wiedzieć, bo zapytała:

- A konkretnie gdzie Igła na tej Mariackiej mieszka?

- Konkretnie to adresu nie znam, ale wiem, że w kamienicy z tym sławnym bistro, Lorneta z Meduzą. Dokładnie nad lokalem. To pamiętam, bo żartował, że na piwo ma dwa metry w dół. Ale jak pani chce, spytam o numer albo sprawdzę w dokumentach.

- Nie ma potrzeby. W kamienicy... - Pani Zuza wydeła usta, ale zaraz rozejrzała się po salonie i zaszczyciła Ryszardę komplementem. A właściwie to nie Ryszardę, ale Henia, bo to przecież on tu wszystko urządzał.

- Bardzo ładny dom - oceniła łaskawie.

- Styl rustykalny - z popłochem na różowych ustach wyjaśniła Ryszarda. - Nie wiem dokładnie, o co z tymi Ruskimi chodzi, ale jest przytulnie, prawda?

Wystrój salonu rzeczywiście się Heniowi udał. Wszystko tu pachniało drewnem, kolory może były ciut drażniące (pomarańcz i żółć), ale po trzech latach Ryszarda już się przyzwyczaiła. Najbardziej lubiła część dla gości. Była nastrojowo oświetlona, przestronna i wygodna. Stał tu obudowany wapieniem kominek, olbrzymi komplet wypoczynkowy i stół kupiony od jakiegoś rolnika z Biskupina. Podobno wart majątek.

Na ten właśnie masywny mebel Ryszarda z dumą postawiła

teraz parujący pysznościami gar. Ledwo go tu z kuchni przytaczała. Wyłożenie zawartości na talerze od razu wykluczyła - nie byłoby elementu zaskoczenia. Poza tym tak bezpośrednio potraktowanie sprawy wykluczało zaprezentowanie siebie w roli doświadczonej i pomysłowej kucharki.

Jej starania zostały docenione.

Pani Zuza stłumiła okrzyk... podziwu?

- Zepter! - jęknęła, wpatrując się z nabożeństwem w garnek odbijający jej zabawnie zniekształconą twarz, która wyglądała teraz jak pękata dynia. - Misia, popatrz! Jak ja bym taki chciała - zakwiliła. - Mógłby być nawet przypalony. Chociaż to przecież niemożliwe, bo Zeptera nie można...

- Można - Ryszarda zapewniła z rozbijającą pewnością siebie i ukazała w uśmiechu ubrudzone szminką siekacze. - Mnie się udało. Nastawiłam zupę i poszłam do pracy i...

- I?

- Same zobaczcie - gospodyni, ciesząc się z poruszenia, jakie wywołała swoją opowieścią, porzuciła łyżkę, którą zamierzała właśnie nałożyć potrawę, i puściła się pędem do kuchni.

Obie panie pognały za nią.

Na widok pomieszczenia wyhamowały jednak i spojrzały po sobie... ze zgrozą - to Ryszarda potrafiła odnotować, ale zupełnie nie rozumiała podobnej reakcji.

Kuchnia jak kuchnia. Duża, owszem, i niezłe urządzone, ale pani Misia i Zuza stały w drzwiach i dokładnie przyglądały się każdej szafce, każdemu sprzętowi. Stojakowi na wino, ekspresowi, lodówce z dystrybutorem wody i imponującemu kompletowi noży Fiskars.

- Uszczypnij mnie - jęknęła pani Misia do przyjaciółki, ale Ryszarda już otworzyła szafkę i wydobyła z niej cztery garnki.

Trzy z nich lśniły jak mokre od wody żółwie ze złotymi skorupkami, natomiast jeden wyglądał jak żółw niedojda, cały upaprany w błocie - jego spód pokrywały brązowe smugi.

- Jakie biedactwo... - pani Zuza podeszła na ten widok

bliżej i pieszczotliwie dotknęła potraktowanego ogniem naczynia.

Ryszarda lekko się zakłopotła. Ona nie miała do swoich garnków tak emocjonalnego podejścia. Coś tam słyszała, że Zepter produkuje niezłe gary, ale to wciąż były... gary. Nie kozaczki z czerwonej skórki, nie trójwymiarowe hipnokolczyki ani rajstopki w grochy. Ale faktycznie, Henio również mógłby nie być zadowolony ze sposobu, w jaki potraktowała prezent. Zdaje się, że trzeba będzie w tej kwestii coś przedsięwziąć.

- Nie wiem, może druciakiem...? - zaczęła, ale pani Zuza dosłownie zdzieliła ją spojrzeniem. Taką siłę miały ciskane z jej oczu pioruny.

- Gdzie? Jak?!

- Nooo...

- Trzymajcie mnie. Druciakiem! Zeptera! A proszku do pielęgnacji nie dali?

- Nooo...

- Zuza - pani Michalina zakręciła się i usiłowała wyjąć przyjaciółce garnek z rąk. - To nie twoja sprawa, zostaw.

- Jak nie moja? A potem się narzeka, że panuje znieczulica. Druciakiem! Słyszałaś?

- Nie twoja.

Ryszarda, zaniepokojona wzbierającym w jej kuchni napięciem kulinarnym, stanęła na wysokości zadania, bo wpadła nagle na genialnie proste rozwiązanie. Z zadowolenia aż klasnęła w dłoń.

- Pani Zuzanko...

- Trzymajcie mnie! - pani Zuza warknęła ponownie i naprawdę wyglądała, jakby szykowała się do skoku.

- Pani Zu...zo - Ryszarda poprawiła się więc szybko - proszę zostawić tego brudasa, ja dam pani nowy garnek. I tak używam tylko jednego. A ten po prostu wyrzucę, żeby Hen... żeby nikt go nie zobaczył.

- Dam? A nie, dziękuję uprzejmie. Nie skorzystam, interesuję się nim jedynie z ciekawości - odparła z dumą, a następnie dorwała garnek i zbliżyła się do okna, żeby oszacować straty. - Druciakiem... - mruczała do siebie pod

nosem.

- Zuza kocha gotować - wyjaśniła pani Misia. - To jej pasja. I kiedy widzi...

- Przestępstwo - doleciało spod okna.

- Kiedy widzi pewne... niedociągnięcia u innych, włącza się jej...

- Szlag mnie trafia po prostu. Mieć Zeptera i traktować go widłami?! To już w ogóle trzeba nie mieć wyobraźni. Ludziom od tego dobrobytu to się przewraca w...

Ryszarda czuła się ogromnie winna. Podwójnie. A teraz to już chyba potrójnie. Myśl, że ktoś obraża ją w jej własnym domu, może i zaświtałaby jej w głowie, ale w nieco innych okolicznościach. A teraz okoliczności były takie, że przeprosiny nie zdążyły się jeszcze rozpocząć, a tygiel różnaitości stygł.

Niedobrze.

- Chyba że... - zaczęła pani Zuza i pogłaskała osmoloną ściankę naczynia tak, jakby pocierała lampę Aladyna. Gdyby nie wzgardziła haftowanymi kapciuszkami, przypominałaby teraz Szeherezadę. Te lekko nadęte usta, oczy skryte za firanką smolistych rzęs. Gdyby tak jeszcze omotać Zuzę jakąś zwiewną chustą... Ryszarda aż stęknęła w duchu nad utraconą stylizacją. - Chyba że da mi pani ten garnuszek. Właśnie ten. Spalony. Ja go uratuję.

- Ależ pani Zuz... anko. Uzo...

- Mogę?

- Zuza, ty wyłudzasz - wytknęła z naganą pani Michalina, ale Ryszarda nie pozwoliła oprotestować swojej decyzji. Cztery sztuki mięsa, ziemniaczki i brokuły traciły ciepło z chwili na chwilę. Jeszcze parę minut, a bez reanimacji w mikrofalówce się nie obejdzie.

- Oczywiście. Który pani Zuza chce, nie ma sprawy - rzekła pospiesznie i już chciała zagonić obie damy z powrotem do stołu, kiedy zaciekawiona pani Michalina zerknęła do znajdującego się za ścianą aneksu jadalnego, w którym stało parometrowe akwarium obudowane drewnem. Na razie puste. Tuż pod nim znajdowała się zgrzewka cukru.

- O, robi pani przetwory? - spytała. - W kwietniu? A można

wiedzieć, z czego?

- Czemu przetwory? - Ryszarda nie rozumiała, ale na wszelki wypadek pokryła swoją niewiedzę czarującym uśmiechem.

- Cukier - pani Misia pokazała na podłogę.

- A... cukier kryształ! Nie, to nie na przetwory. Do akwarium kupiłam.

- Czemu do akwarium? - teraz zainteresowała się również pani Zuza.

- To niespodzianka dla Henia - pani Ryszarda wypięła dumnie włosie na sweterku, aż naelektryzowane stanęło na sztorc. - Marzył o wielkim akwarium z rybami słodkowodnymi.

Obie panie patrzyły na nią, w dalszym ciągu niczego nie pojmując.

- No, ze słodkowodnymi - powtórzyła więc zachęcająco, co jednak nadal nie przemówiło do żadnej ze słuchaczek. I pomyśleć, że przed chwilą padły tu brzemiennie słowa o wyobraźni.

Chociaż...

Na licu pani Michaliny jakby coś zaczynało drgać.

- Kryształ? - powtórzyła powoli.

- Tak. Kryształ.

- Kryształ! - krzyknęła naraz zupełnie odmieniona. Ryszarda powiedziałaaby nawet, że żona Henia nagle wyładniała. Zaróżowiła się, w oczach rozszalały się jej tajemnicze błyski i wreszcie przestała wyglądać w tych swoich beżach jak szara myszka. - Zuza, słyszałaś? „C” jak kryształ!

Pani Zuza trwała pośrodku w jadalni z miną wyrażającą zaćmienie umysłowe.

- No, kryształ - Ryszarda pokiwała dobrotliwie głową. - Skoro mają być słodkowodne, to przecież nie sól. A cukier puder to chyba by był niedobry, jak panie myślą? Tak, zdecydowanie kryształ. Zapraszam, jak przywiozą rybki, wtedy pokażę efekt końcowy. Będzie pięknie.

Pierwszym szokiem estetycznym, jakiego Misia doświadczyła tego popołudnia na Wiklinowej był krasnal. Nie cierpiała krasnali. Ogrodowych, dodajmy, bo do Królowy Śnieżki i jej podopiecznych nic nie miała. Krasnale gipsowe były natomiast w jej odczuciu koszarne. Kiedy natomiast artysta idzie o krok dalej i prezentuje krasnala w wersji alkoholowej, można się zacząć zastanawiać, co jeszcze się wydarzy. Już to powinno było wzmóc ich czujność. Ale nie wzmogło. Kiedy więc Ryszarda otworzyła im drzwi, poczuły się tak, jakby otrzymały silne uderzenie w mostek. Na progu stała wesoła pszczołka.

Odwłok opinało jej czarne gieżło, żółty pasek ścisnął talię, a żółto-czarne odnóża przebierały wesoło na wycieracze chińskimi tenisówkami. Brakowało jedynie czulek. Występowały za to włoski - wyrastały tuż przy szyi i falowały w zwolnionym tempie przy każdym ruchu Ryszardy.

Kiedy Misia i Zuza zaczęły już w miarę regularnie oddychać i nacieszyły oko kolorytem stroju pani domu, weszły do środka. Nie bez wahania. Misia obawiała się lipowych rzeźb i makatek na ścianach, tudzież sów ze słomy, tymczasem znalazły się w zupełnie normalnym domostwie, może trochę zbyt nasyconym kolorem - parter tonął w oranżach - ale nieprzytła- czającym akcentami regionalnymi. Zamiłowanie pana domu do sztuki ludowej znalazło za to ujście w wyborze mebli: były co prawda z drewna i przywodziły na myśl wiejską chatę, ale wykonano je ze smakiem. Ostatni ukłon w stronę hand made stanowiły koronkowe firanki, jak nic rodem z Koniakowa. Całość była naprawdę znośna. Jeśli nie przyjemna.

- A ja mam jeden pokój wyłączony z życia - mruknęła do siebie Misia i stanęła oko w oko z różowymi kapciami. Na widok pomponików odczuła lekki dysonans, ale Zuza zaczęła pokazywać przed gospodynią swoje wapory, więc trzeba było wkroczyć do akcji.

W duchu obiecała sobie, że powie w końcu przyjaciółce, co sądzi o jej zachowaniu. Wstydziała się za nią dzisiaj już drugi raz. Szczerość, fantastycznie. Ale nadmierna szczerość graniczy z bezczelnością. Jeżeli nie z tupetem. Niestety, Zuza miała

tendencję do popadania w przesadę. Jeśli właśnie przeżywała etap religijnej refleksji, rozważała pójście do klasztoru. Jeśli natomiast posmakowała w żeberkach pieczonych z miodem, gotowa była chwycić za siekierkę i własnoręcznie zdobyć mięsko, jeśli akurat nie dowieziono kości do żadnego okolicznego sklepu. Hipokryzję zawsze tropiła z zapalem, jednak dzisiaj przeszła samą siebie.

Albo ta heca z garnkiem.

Co też ją napadło?

Zaraz...

Przecież Zuza musiała być głodna!

Ostatnim ich posiłkiem były poranne naleśniki, od śniadania nie miały niczego w ustach. Zuza źle znosiła trzy godziny bez strawy, pięć zaczynało niszczyć jej delikatny system nerwowy - destrukcja zaczynała się, niestety, od mózgu... Tak już miała. Mogła marznąć, mogła czołgać się przez Pustynię Błędowską bez kropli wody. Ale nie mogła być głodna. Nie zapominajmy również, że wczorajszej nocy nadużyła wina, co także nie pozostawało bez znaczenia.

Po ochłonięciu na widok kuchni urządzonej niemal tak samo jak w jej własnym mieszkaniu (co za perfidia!) i zdobyciu przez przyjaciółkę osmolonego gara, Misia chciała więc jak najszybciej doprowadzić Zuzę do stołu, ale zerknęła do wnęki za ścianą. Nie żeby była wścib- ska, chciała sobie w środku odpowiedzieć na pytanie: co jeszcze skradł jej Henryk? Jaki element jej życia przekuł na cudze życie? A lodówka? Czy w lodówce Ryszardy stały te same produkty co u niej?

Za ścianą znajdowała się mini jadalnia. Całkiem przyjemnie urządzona. Wyjąwszy wieniec z pszenicy wiszący nad stołem i gigantyczne akwarium w kącie. Misia zupełnie odruchowo zapytała o stojący na podłodze cukier, bo przyjemnie się zdziwiła. Ryszarda, która naprawdę starała się być miła i z zapalem czyniła honory pani domu, nie wydawała się zaprawioną w bojach kucharką. Podawała obiad... stawiając na stół garnek! A teraz ten cukier i to w ilościach nasuwających skojarzenie z przetworami. Ale przetwory w kwietniu? Z czego? Zaraz o to zapytała i odpowiedź sprawiła, że Misia popadła w

stan dziwnego ożywienia.

Rybki w cukrze, syrop słodkowodny...

Cukier kryształ, kryształki cukru, białe drobinki...

Pewne treści dochodziły teraz do niej jakby z oddalenia, w głowie łomotała tylko jedna myśl. Wiązała się z czymś oczywistym, tylko żeby złapać to oczywiste i skojarzyć z cukrem...

- Kryształ? - powtórzyła powoli za Ryszardą.

- Tak. Kryształ.

- Kryształ! - rzuciła z pasją i poszukała wzroku przyjaciółki.

- Zuza, słyszałaś? „C” jak kryształ!

Czarne „C” na białej ścianie.

Czarno na białym miały przecież napisane, a one, jak ciemnoty jakies, nie wpadły na tak oczywiste rozwiązanie.

- No, kryształ - nadawała Ryszarda, ale Misia już jej nie słuchała. Zaden obiad nie mógł się teraz odbyć, musiały jak najszybciej... - Skoro mają być słodkowodne, to przecież nie sól. A cukier puder to by chyba był niedobry, jak panie myślą? Tak, zdecydowanie kryształ. Zapraszam, jak przywiozą rybki, wtedy pokażę efekt końcowy. Będzie pięknie.

Zuza, która nie zrozumiała okrzyków przyjaciółki, poderżnęła sobie właśnie za plecami gospodyni gardło, a następnie zatkała nos i z miną topielca zamierzała osiąść na dnie, ale Misia podjęła decyzję. Teraz pozostało ją oznajmić rozpluwającej się w uprzejmościach Ryszardzie, co pewnie nie zostanie dobrze przyjęte. Ale nie było wyjścia. Jeśli nie opowie wszystkiego Zuzie, eksploduje.

- Pani Rysiu, przepraszam, ale musimy wyjść - oświadczyła nagle z mocą, zerkając nerwowo na Zuzę, która w momencie zbystrzała. Chyba zaczynało do niej docierać, że ominie ją ciepły posiłek.

Ryszarda zbladła.

- Czyja panią czymś... To akwarium dla Henia, może ja nie powinnam była o nim teraz mówić? Ja jeszcze panią nie przeprosiłam za tamto...

- Tamto! - Zuza, bynajmniej niezainteresowana

opuszczeniem lokalu, wzniosła ręce do nieba. - Drobnostka przecież... Kradzież męża. Tamto...

- Ja naprawdę nie chciałam kraść, ja się... - Ryszardzie stanęły w oczach najprawdziwsze łzy. - To się po prostu stało, ja nie umiałam zapanować...

Misia poczuła się zażenowana.

Intencje jej rywalki były przecież oczywiste. Szalała z miłości (Boże chroń naiwne dziewczęta), co było aż nadto czytelne. Niepotrzebnie tak się biedaczka kajała, Misia potrafiła już sobie przecież powiedzieć, że Henryk udawał i łął. Nieważne, z jakiego powodu. Może chciał ją ochronić, a może chciał zapewnić bezpieczeństwo sobie? Szkoda tylko, że dopiero teraz zrozumiała, że czasem lepiej nie usprawiedliwiać swoich bliskich, i z szacunku do siebie zmienić optykę na czerń i biel. Ale już to potrafiła. I wiedziała, że to właśnie Ryszardzie Henryk pokazał swoją prawdziwą twarz.

Więc to z nią był naprawdę.

Z Misia rozstał się już dawno temu.

- Pani Rysiu, nie mam do pani pretensji. Żadnych. To Henryk brzydko się zachował.

- Nie ma pani?! - wzrok Ryszardy stał się zamglony ze wzruszenia.

- Do pani nie mam. Do Henryka, owszem, ale my to już załatwimy między sobą.

-Ale... ale jak mam się teraz pani odwdzięczyć?! - Ryszarda usiłowała gorączkowo myśleć, co nie wróżyło dobrze. Misia zaczynała się powoli orientować w możliwościach sekretarki. I w rozmiarach jej dobrych chęci.

- Nie trzeba.

- Jak to nie trzeba? - trzeźwo zaprotestowała Zuza. - A JANOSIK? Miała pomagać.

- A, właśnie. Dobrze, że mi przypomniałaś. My musimy coś teraz załatwić na mieście - Misia uśmiechnęła się przepraszająco - ale Igła zaraz tu dotrze i wyjaśni pani, jaki mamy pomysł na wspólny interes.

- Wspólny „interes” to już raczej miałyście - wtrąciła z przekąsem Zuza. - Odradzam, nie sprawdza się. Biznes.

Wspólny biznes.

- Obojętnie. Może być biznes - zgodziła się pospiesznie Misia, ignorując skojarzenia językowe. - Byłabym wdzięczna, gdyby zechciała pani do nas dołączyć.

- Jak to biznes? - Ryszarda nie potrafiła ukryć zawodu. - A tygiel rozmaitości? To znaczy obiad. Przygotowałam...

- Tygiel rozmaitości? - podłapała ochoczo Zuza, ale zaraz uświadomiła sobie, że pod tą apetyczną nazwą musi się kryć przyniesiony do pokoju gar. W sumie, zaczynało jej być wszystko jedno. Jeszcze chwila, a poczęstuje się rosnącą na parapecie rzeżuchą.

- Naprawdę, brzmi świetnie, ale przypomniałam sobie o czymś, co nie może czekać. Sprawa urzędowa. A odnośnie urzędów i biur... - Misia postanowiła, że zadba o szczegół, który miał jej ułatwić przeprowadzenie pewnej sprawy niecierpiącej zwłoki. - Poda mi pani kod do drzwi w firmie, bo za każdym razem muszę dzwonić?

Ryszarda ucieszyła się, że może okazać się pomocna choć w takiej sprawie.

- Oczywiście. 1972. Data urodzin Henia.

- Bożż... - mruknęła Zuza. - Na to bym nie wpadła.

- A to do tych w środku? Bo do wejściowych jest pewnie jakaś inna kombinacja? - dopytywała się Misia, która dopiero po zadaniu pytania uzmysłowiła sobie, że jej nadzieje są płonne. W tej kuchni nie pozna tajemnicy szyfru, który przyćmiłby Enigmę.

- Do wejściowych trzeba włożyć kartę - Ryszarda przeszła do części kuchennej i z jednej z szuflad wyciągnęła magnetyczny kartonik, który wręczyła Misi. - Ale kod ten sam - rzuciła beztrąsko, szczerząc siekacze. - Po co sobie komplikować życie...

Ledwie Misia zamknęła za sobą drzwi, złapała Zuzę za ramiona i, starając się zbytnio nie krzyknąć z radości, wysapała jej do ucha:

- Kryształ! Przecież „C” to węgiel...

- Jaki kryształ, jaki węgiel? Misia, ja się o ciebie martwię, kobieto. Chodź do auta, je- dziemy coś ugotować. Zaraz ci się

poprawi. A teraz powiedz, czemu nie pozwoliłaś mi zjeść obiadu, wredoto jedna? - zapytała z żalem, czule obejmując przypalonego Zeptera. - Jakaś afera energetyczna w kopalni Kleofas? Bo tylko to cię tłumaczy.

- A w jakim stanie występuje w przyrodzie węgiel? - Misia zapytała wielce ucieszona.

- Jako węgiel... Wsadza się go do pieca, a w piecu piecze się kurczaczka. Na chrupko. Obsypanego słodką papryką. Do tego surówka ze świeżej kapusty. Ymmm... I pieczone ziemniaczki. Też w piecu - prawie się oblizwała, ale Misia tak była przejęta swoim odkryciem, że wypadalo się wysilić. - A oprócz węgla, węgiel w przyrodzie występuje jako...

- Aha!

- Jako diament? - upewniła się, ponieważ wypowiedziane na głos słowo wydało się niezbyt przystające do śląskiej rzeczywistości. - Tak?

- Tak! Diamenty! Tego szukamy. I co, zdziwiona?

Informacja była naprawdę sensacyjna, ale Zuza miała teraz inny kłopot. Pozwoliła się zaciągnąć do samochodu, choć poburkiwanie w brzuchu stawało się już trudne do zniesienia. Diamenty - białe i lśniące - zaczęły naraz zamieniać się w jej umyśle w kostki cukru. Zjedzone choćby na sucho były źródłem cennej energii.

- To po co Garrett? - zapytała i zaraz sobie odpowiedziała. - Kasetka?

- Yhm, przecież nikt by nie zamurował diamentów w tynku.

- I co, padło słowo „kryształ” i tak po prostu skojarzyłaś jedno z drugim?

Misia odpaliła auto i z niebywałą jak na nią fantazją gwałtownie zawróciła. Tylko dlatego Zuza zwróciła uwagę, że zaparkowany niedaleko samochód wykonał dokładnie taki sam manewr. I patrząc tak we wsteczne lusterko, a potem przenosząc wzrok na wille przy ulicy Leśnego Potoku, zobaczyła przed oczami mroczki w kształcie czarnego BMW.

- Nie, to mi tylko pomogło - zdawała relację Misia. - Bo tak naprawdę to przypomniał mi się artykuł z gazety, który znalazłam wczoraj w papierach Henryka. Kradzież brylantów

gdzieś tam, ale chodziło o Polskę. Tytułu nie zapamiętałam. I numer telefonu, z boku. Zapisany przez Henryka. To powiedz, że kryształ i węgiel się nie łączą w diamenty?

- Nie wiem, może i się łączą. Ale gdzie teraz jedziemy? Proponuję jednak skoczyć do jakiejś restauracji, bo zeżarłaś wszystkie naleśniki i zanim ugotujemy obiad... „Marcepan” u nas na osiedlu?

- Poczekaj, ja wiem, że jesteś głodna, ale może kupimy coś po drodze? - zapytała Misia głosem pełnym zachęty. - Najpierw skoczmy do Szopienic, do firmy. Mamy niedaleko. A tam zaraz jest sklep. Kupię ci drożdżówkę.

- Jak ta drożdżówka jest z kotlecikiem, to może być.

- Zuza!

- Bo naprawdę... Ja rozumiem. Diamenty, kryształy, nie samym chlebem człowiek żyje i tak dalej, ale... Właśnie, chlebek sam nie, ale z cebulą i pomidorkiem - ostatnie słowo Zuza wymówiła wręcz z perwersyjną przyjemnością.

- Przestań się wydurniać - Misia pozostała niewzruszona. - Musimy znaleźć ten artykuł.

- Przecież jak wpiszesz w Google: „kradzież diamentów Polska”, to coś z tego wybierzemy.

- A numer komórki też mi Google poda?

- Chyba że tak... Ale zaraz potem do „Marcepana”? Oni tam mają szaloną zupę cebulową z malusimi grzaneckami i serem. Mistrzostwo, sama nie zrobiłabym lepszej. Misia... - Zuza zaczęła niepewnie, bo auto za nimi nagle przyspieszyło i zamiast je wyminąć, trzymało się bardzo, bardzo blisko. - A ten z tyłu jedzie za nami od Wiklinowej.

Misia zaczęła się denerwować.

Ona również zauważyła, że mają towarzystwo.

Właśnie przed chwilą celowo odbiła delikatnie w prawo i dała tym sygnał, że BMW może wyprzedzać, ale auto uparcie jechało z tą samą prędkością i w ślad za nią również zbliżyło się do pobocza. Wystarczyło, żeby teraz zahamowała, a wypadek byłby gotowy.

- I widzisz, trzeba mieć oczy dookoła głowy. Bo ty możesz jechać zgodnie z przepisami, a taki pacan... - zamilkła na

chwilę i znowu się obejrzała. Czy ją wzrok nie mylił? - Igła? To samochód Igły! Co on wyprawia, ochroniarz jeden najmowany. ...

- Może właśnie ochrania - podsunęła usłudźnie Zuza, ale sama w to nie wierzyła. Od samochodu, który trzymał się za nimi jak czarny cień, biło coś złowrogiego. - A rejestracja? Zgadza się?

Misia mająca niebywałą pamięć do cyfr odpowiedziała skinieniem głowy, którą teraz obracała od jednego migdałka do drugiego - tak bardzo chciała dostrzec twarz kierowcy. Na-daremnie. Szyby wozu były przyciemnione i skutecznie kryły wnętrze.

- To może się zatrzymajmy? - podsunęła Zuza, co nie spotkało się z aprobatą.

- Jakie „zatrzymajmy”? Przecież on mi skasuje tył! Co za głupek! Po co on za mną jedzie? Teraz mogę jedynie skręcić na Katowice. Tam mamy szansę uciec. Trasa.

-To przygazuj! - Zuza nagle zapomniała o głodzie. - Dawaj!

Wkrótce potwierdziło się to, co asystentka kierowcy wiedziała już dawno. Misia nadawała się do teamu Formuły 1 jako pomoc trzymająca wihajster podczas wymiany kół. Li i jedynie.

Tymczasem na ulicy Bagiennej BMW przyspieszyło i bez żadnego uprzedzenia grzmotnęło je po zderzaku. Uderzenie było tak nagłe, że nawet nie zdążyły krzyknąć. Poczuły za to przypływ gorąca - zupełnie, jakby im ktoś wrzucił do żołądka po rozżarzonej cegle. Misia ze strachu i zaskoczenia o mało co nie straciła panowania nad kierownicą, ale Zuza w ostatniej chwili przytomnie obróciła kółko w przeciwną stronę, bo ich Volkswagen złożył się właśnie do wykonania piruetu. Całe szczęście, że jechały tylko sześćdziesiątką.

- Jezu! - Misia cała się trzęsła, ale nie było czasu na histerie.

Czarny potwór znów nacierał.

- Zmień pas! - Zuza rzuciła komendę i Misia błyskawicznie skręciła.

Błyskawicznie w jej wykonaniu znaczyło przepuszczenie paru

aut i wpasowanie się w

sznur samochodów, które nagle zaczęły zapełniać ulicę. Sukcesem był natomiast fakt, że nie włączyła jak zwykle migacza! Co z tego, BMW jechało jednak nadal z tyłu i łypało na nie posepnie lampami.

- W biały dzień! Zuza, co ten człowiek wyprawia?! Ja nie rozumiem - zdaje się, że Misia była w szoku. Na pewno nie potrafiła w tej chwili trzeźwo ocenić sytuacji na drodze, a trzeba było podejmować szybkie decyzje.

Oj, zalazł jej ten Igła za skórę, zalazł. I siedział głęboko. Nie jak igła, ale jak drzazga. Zuza przejęła więc dowodzenie.

- Musimy zawrócić i się zatrzymać. Ciekawe, co łobuz robi. Zaraz masz zjazd w prawo. Ale musisz zjechać nagle i znowu bez migacza. Masz ciąć jak MiG-23. Słyszysz? MiG-23! W prawo. Ja ci powiem kiedy... - Zwarła się w oczekiwaniu na odpowiednią chwilę, obserwując jednocześnie to, co działo się w lusterku. - Teraz! - krzyknęła, ale Misia tym razem odruchowo pyknęła w kierunkowskaz i ze swoim opóźnionym motoryzacyjnym zapłonem odstawiła na dwupasmówce żenujące pyr pyr pyr. Cud, że wyrobiła się w czasie i nie przy- dzwoniła w barierkę.

Żeż Anielko święta i Józefie!

Gdyby Zuza mogła prowadzić...

Za to czarne bydlę, jak gdyby nigdy nic, wykonało płynny skręt i znalazło się dokładnie tam, gdzie kilkadziesiąt metrów temu.

Znów dyszało im za plecami.

- MiG-23... - Zuza wymruczała z rezygnacją pod nosem i z siedzenia pasażera robiła teraz to, czego uczył ją ostatni, może niezbyt cierpliwy, ale doświadczony instruktor: obserwowała i planowała drogę z wyprzedzeniem. Po co gnać i zdierać klocki hamulcowe, jeśli czerwone w oddali sygnalizuje, że setka to jednak ciut za dużo.

A właśnie zbliżały się do skrzyżowania.

- Misia, zewrzyj się, ja pierdykam... Zaraz światła. Albo go tu zgubimy, albo jedziemy pod jakiś komisariat.

- Ale co ja mam robić?! - Misia panikowała.

Krew odpłynęła jej z twarzy, nie potrafiła też już dłużej panować nad trzęsącymi się rękami. Zuza dla odmiany doskonale wiedziała, jak należało postąpić. Oglądało się Pitbulla i inne obiecujące seriale kryminalne. Brawura, ot co. Musiały się na nią zdobyć albo zjechać grzecznie na pobocze i z rączkami na kolanach czekać na rozwój wydarzeń.

- Na razie jest zielone. Zwalnij i w ostatniej chwili na lewo - rozkazała. - Tuż przed skrzyżowaniem, żebyś się znalazła na innym pasie niż on. Wolniej! Zielone zaraz zgaśnie. Dojeżdżaj, nie trzydziestką przecież! Szybciej!

- Wolniej, szybciej, wolniej! Zdecyduj się! - Misi puszczały już nerwy. Niczym wzorowa zawalidroga aż sztywniała na myśl, że może spowodować wypadek. - Żółte wskakuje... Już?

- W lewo, szybko! W lewo! Juuuu!!! - Dobrze, że Zuza była przypięta pasami, bo z emocji co chwilę podskakiwała na siedzeniu, choć jej wyrzuty tułowiem wcale nie wpłynęły na zmianę kierunku. To Misia pierwszy raz stanęła na wysokości zadania i Zuza, cała złana potem, opadła po wszystkim na fotelu zupełnie bez sił.

Udało się.

Skręciły w ostatniej chwili w lewo - ci z boku już ruszali, kiedy Misia przecięła skrzyżowanie i umknęła na czerwonym przed nacierającymi samochodami, zostawiając w tyle uwięzione BMW.

- Jest!!! - zaczęły pisać z uciechy.

- Super, ale teraz szukamy skrętu. Tam! - Zuza pokazała ulicę, na której w oddali migotało zielone. - I teraz w jakieś podwórko. Obojętne! - rozstrzygnęła, widząc, że przyjaciółka nie potrafi się zdecydować. - Boże, no, skręcaj!

Na szczęście dla Misi, którą krępowałoby znalezienie się na czyjejś prywatnej posesji, trafiły na parking, gdzie stało kilka sklepów i hurtownia spożywcza. Spokojnie mogły tu czekać choćby do wieczora.

- Salon farb i materiałów budowlanych „Twój Kąt”, Kalendarze - hurt i detal, Środki BHP, Sklep Zoologiczny „Jacek” - czytała na głos Zuza. - Niech ja wreszcie coś zjem, bo jak mi zaraz opadnie adrenalina... Może być nawet

pokarm dla rybek.

Na placu panował rozgardiasz.

Co chwilę ktoś tu wjeżdżał lub wyjeżdżał, więc jedno dodatkowe auto nie wzbudziło niczyjzego zainteresowania. Sklepiki sklecone z mało eleganckich blach żyły klientami, którzy skończyli dzień pracy i masowo udali się na zakupy. Przemierzali plac z wielkanocnymi palemkami pod pachą (święta wypadały w tym roku już w najbliższą niedzielę), a co bardziej zapobiegliwi nieśli z cukierni o wdzięcznej nazwie „Helenka” wielkie babki piaskowe owinięte w żółty celofan.

Na ten widok Zuza o mało nie pękła. A kiedy jeszcze poczuła maślany zapach wypieków rozchodzący się po podwórku, prawie wyprysnęła z auta. Bo pachniało niewiarygodnie. Aromat osiadał na budkach, garażach, złomie rzuconym niedbale przy budynku z napisem „Wulkanizacja” i przywodził na myśl szklankę gorącej herbaty z cytryną.

- I wgramol się gdzieś, żeby nas tu nikt nie wypatrzył - Zuza rzuciła szybko i już odpinała pas. - Tam, za krzaki. Boże, babka wielkanocna! Uwielbiam! Może mają z bakaliami?

- Zuza, ty mi powiedz... Po co Igła to zrobił? - Misia musiała stracić czucie w nozdrzach, bo pozostała niewrażliwa na bodźce zapachowe. A przecież już wyszła z auta i znalazła się prawie przy drzwiach cukierni. Jednak zamiast myśleć o uciechach ciała, zaczęła kontemplować tył swojego samochodu. Nie była szczęśliwa. - Nieźle. Kolejny powód, żeby się go pozbyć.

- Auta, nie Igły? - zapytała niewinnie Zuza. - Misia, zaraz sobie pogadamy, ale najpierw muszę dorwać jakąś babeczkę - dodała ochoczo i, nie patrząc już na przyjaciółkę, szarpnęła za drzwi „Helenki”.

Buchnęło w nią pachnące ciastem powietrze zmieszane z odorkiem zaaferowanego tłumu. Wyraz radosnego oczekiwania zamienił się w tej samej chwili na twarzy Zuzy w zawód i niesmak.

- W dwudziestym pierwszym wieku? - skwitowała obrazek i niezdecydowana cofnęła się o krok. Głód krzyczał w jej

żołądka donośnie, ale spoceni klienci cukierni, to rozprawiający o świętach, to kłócący się o ostatni mazurek, tworzyli dla rozdartych trzewi poważną konkurencję. - Kolejka?

- Chodź, tam dalej też coś kupimy - Misia wskazała na garaż przy sklepie z farbami, gdzie za szybą w równym rządku złościły się drożdżówki.

Zuza jeszcze walczyła, ale ona również nie przepadała za tłumami, zwłaszcza za tłumami, które nie rozumiały, że pewna epoka już się skończyła i teraz przed świętami nie było potrzeby wykupywania wszystkich babek wielkanocnych tudzież jaj w okolicy. Kury się mnożyły, jakoś jaj spadała, ceny rosły i naprawdę wszyscy mogli żyć może nie długo - wszechobecna w przemyśle spożywczym chemia zbierała swoje żniwo - ale szczęśliwie.

- O, twoja zielona farba do przedpokoju - zauważyła przytomnie, kiedy mijały wystawę „Twojego Kąta”. Gdyby nie podpowiedź przyjaciółki, Misia, która w dalszym ciągu myślami była przy właścicielu czarnego BMW, z pewnością nie zwróciłaby uwagi na wiaderko obiecujące szmaragdową wiosnę, chociaż jeszcze wczoraj mówiła o remoncie. - Chyba że ten kolor można łatwo dostać, to go poniechaj. Czyja chce bułeczkę z makiem czy z serem?

- Farba? Chyba kupię - Misia bąknęła niemrawo i z miną skazańca otworzyła drzwi sklepu. - Musiałabym pewnie jeździć w kilka miejsc. To ty się pobułeczkuj, a ja tu wstąpię. Widzimy się za chwilę.

Chwila skróciła się jednak do kilkunastu sekund.

Zaledwie bowiem Misia zniknęła we wnętrzu „Twojego Kąta”, na podwórze wjechała kolumbryna, która skasowała im tył.

BMW jak czarny lśniący chrabąszcz bzycało, objeżdżając parking, a potem przysiadło tuż przy podniesionym szlabanie przed bramą i wyglądało na to, że zostały złapane w pułapkę. Z tamtego miejsca Zuza była doskonale widoczna, jednak po chwili zastanowienia zrezygnowała z pomysłu, żeby rozpląszyć się na chodniku niczym ninja, bo w jej żołądku

działy się już rzeczy tak arcyordynarne, że nagle najzwyczajniej w świecie się wściekła. A było już tak blisko. Tak jej tu pachniało, tak czuła każdy, nawet słabiutki zapaszek. Ser, mak, marmolada, kto wie, może nawet budyń...

To drań!

Żadnej zabawy w igłę i nitkę... tfu, w kotka i myszkę, nie będzie.

Żadnego czołgania się po bruku, żadnych komandowskich padów. Poza tym, nie oszukujmy się, ale słowo „trencz” ma jednak niewiele wspólnego z mundurkiem a la survival w Lasach Pszczyńskich.

Krwi!

A może nie krwi, ale farby?

Zuza z rozmachem dopadła drzwi „Twojego Kąta”, gdzie podczas rozmowy ze sprzedawcą Misia usiłowała sobie właśnie przypomnieć, jaką powierzchnię zajmuje jej przedpokój, i zawiadomiła gromko:

- Igła przyjechał! Jest na parkingu.

Przyjaciółka z klientki rozmemłanej i niezdecydowanej zmieniła się naraz jak pod wpływem rzuconego zaklęcia w osobę konkretną.

- Dobra, tylko dwie ściany, bo reszta jest biała. To będzie razem jakieś dwanaście metrów kwadratowych - oznajmiła rzeczowo i ze zniecierpliwieniem zaczęła się przepychać do okna.

- Jak dwanaście, to litr spokojnie wystarczy - ocenił młody chłopak za ladą, ale Zuza uznała za konieczne uściślić zamówienie.

- Bierzemy też pięć litrów białej, olejnej - oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu i Misia zrozumiała, że ktoś tu podjął pewne decyzje. I że te decyzje pociągną za sobą poważne konsekwencje. - Może być Śnieżka, bo dobrze przywiera. Tylko my się spieszymy, jeśli można.

- Śnieżka. Tak, tak, już podaję. A tu od firmy nożyk do otwierania.

- Nożyk? Doskonale. Ha! Już ja sobie z panem Igłą porozmawiam...

*

Przed świętami w sklepie był zawsze ruch. No i jeszcze wiosna. Na wiosnę każdy chciał odświeżyć mieszkanie, więc w „Twoim Kącie” już od połowy marca nie narzekano na brak klientów. Ale co innego dyskusje o przyczepności ścian, a co innego przedstawienie, którego pierwszy akt rozpoczął się właśnie na oczach syna właściciela. Chłopak po oblanych egzaminach na studia pomagał prowadzić ojcu interes, jednak szczerze nie znosił zarówno zapachu farb jak i klientów, którzy w większości przypadków cierpieli na daltonizm. Nie pojmował, jak można nie odróżniać koloru pomarańczowego od lososiowego i wyklócać się przy tym o kilka złotych.

Zupełnie nietypowe zachowanie klientek przywitał więc niemal z zachwytem, choć na początku blondynka wykazywała klasyczne u płci pięknej niezdecydowanie. Sytuacja nabrała rumieńców, kiedy do sklepu wkroczyła brunetka w turkusowym płaszczu i kategorycznym tonem zażądała pięciu litrów Śnieżki.

Miała śliczne, duże oczy.

Starał się nie uronić ani jednego słowa z toczonego przy ladzie dialogu, a swoje kwestie celowo skracał do minimum w obawie, że panie się opamiętają i godnie opuszczą sklep, zostawiając go pośród nudnego popołudnia.

- Śnieżka. Tak, tak, już podaję. A tu od firmy nożyk do otwierania.

- Nożyk? Doskonale. Ha! Już ja sobie z panem Iglą porozmawiam...

- Zuza - blondynka, ta od szmaragdowej wiosny, podbiegła do kasy cała przejęta i przestraszona. - Co ty zamierzasz?

- Nożyk! - Śnieżka krzyknęła na to beznamytnie i wyciągnęła do niego władczą dłoń niczym chirurg w oczekiwaniu na najważniejsze narzędzie podczas operacji. - Rękawiczki też poproszę, jeśli pan ma.

- Mam, jasne, że mam.

Ku wyraźnej uldze Wiosny nożyk okazał się zupełnie nieszkodliwym plastikowym barachłem, ale jej koleżanka

założyła rękawice budowlane i nadzwyczaj sprawnie poradziła sobie z otwarciem wiadra. Wiosna nie przestawała jednak przeszkadzać. Skakała dookoła, jęczała i ze wszystkich sił próbowała powstrzymać koleżankę. Odpuściłaby sobie, doprawdy, było cudownie.

- Zuza, ja z nim pogadam.

- Gadać z gadem?!

- Daj spokój, proszę cię. Nic się przecież nie stało.

Śnieżka naraz się wyprostowała, zmiażdżyła tamtą spojrzeniem i uniosła palec pogrubiony o rękawicę usmarowaną białą farbą. Spodziewał się teraz jakiejś filozoficznej refleksji, która naświetliłaby mu nieco przebieg wydarzeń, ale po chwili napiętego milczenia Śnieżka wyrzekła jedynie z namaszczeniem:

- Pierdu-pierdu!

- Proszę cię. Co ty z tą farbą wymyśliłaś?

- Ja temu bandziorowi rozjaśnię kwestie bezpieczeństwa.

Załatwię go... na biało!

- Zuza!

- Już, już. Otwieraj drzwi.

- Zuza, ja cię błagam.

- Ja też cię błagałam. O kotleta. A teraz nie mam nawet marnej bułki! Za późno. Drzwi!

Wiosna, płonąc się i jękając, wykonała wreszcie polecenie, ale musiał za nią wybiec,

bo, oczywiście, w całym tym zamieszaniu zapomniała o swojej puszcze.

W ten sposób stał się świadkiem dalszego ciągu.

A dalszy ciąg miał związek z czarnym, terenowym BMW, które na widok pędzących w jego kierunku dam, zapuściło silnik i usiłowało opuścić plac. I słusznie, bo te dwie miały chyba względem niego nieczne zamiary.

- Stój, gadzino! - wołała Śnieżka, niemal plując ze złości, ale oceniwszy swoje szanse, zarządziła odwrót. Przyłgnęła spojrzeniem do dostawczaka przy sklepie i, przekazawszy Wiośnie wiadro z farbą, ruszyła wprost na niego.

- Pomocy! - wyzipsała. - To pana samochód?

- Mój, ale nie mam prawa jazdy. Jeździ nim ojciec - wyjaśnił zgodnie z prawdą. - A ojca nie ma.

- Aleja muszę kogoś dogonić!

- BMW?

- Widział pan? To bandyta, podniósł rękę na niewinne kobiety!

Tylko tego mu było trzeba. Żadnej podniesionej ręki nie dostrzegł, ale Śnieżka była tak wzburzona, że jego własna pięść zacisnęła się teraz w kieszeni, gdzie spoczywały kluczyki. Nie odmówił przecież bezbronnej istocie pomocy! Wyjął klucze, zamknął pospiesznie sklep i już był gotowy do drogi.

Wiosna dopadła auta, kiedy otwierał drzwi od strony pasażera. Śnieżka siedziała już tymczasem za kierownicą i ścisnęła ją z zapamiętaniem rękawicami, a minę miała przy tym tak uradowaną, jakby odpalała rolls-royce'a.

- Do środka! - krzyknął, bo jednak napięcie udzieliło się także jemu.

- Ale co my robimy...?

- Misia, ładuj się! - rozdarła się Śnieżka. - Do twojego grata nie zdążymy, zaraz nam zwieją. Wskakuj!

- Farba...

- Całe auto i tak jest brudne, proszę się nie przejmować - pocieszył Wiosnę i już zrobił dla niej miejsce. - Ja to zaraz zatkam, bo tu mamy wieczka - mówiąc to, postawił wiadro na chodniku i sięgnął za fotel, skąd wydobyl plastikowy krążek. - Gotowe!

- Ruchy! - nie przestawała ponaglać Śnieżka i usiłowała na szybko rozpracować skrzynię biegów. - Dobrze, że to nie ciężarówka... Mój malutki, teraz musisz grzecznie odpalić. No, już, bez marudzenia.

Po chwili wyrwane ze snu iveco zakaszlało zdziwione, że budzi je jakaś niewprawna ręka, ale zaraz wyprężyło się do startu, bo ręka może i nie była wprawna, ale za to czuła i troskliwa.

- Misia, przecież ty nie masz... - zawodziła Wiosna, ale już jej prawie nie było słycać.

Za to krzyk Śnieżki, która wychyliła głowę przez szybę i z

furią obsztorcowała człowieczka, który zastawił bramę, usłyszeli wszyscy:

- Z drogi, ja pierdzielę... Co za blondynka z tego chłopca! Naucz się parkować, patałachu!

*

Za kierownicą Zuzie rosły skrzydła.

Choć bliższe prawdy było, że wstępował w nią szatan.

Uwielbiała prowadzić. Za kółkiem czuła się jednocześnie jak ryba w wodzie, ptak w powietrzu i gadzina na pastwisku. Jazdy z instruktorami dostarczały jej zwykle umiarkowanej rozrywki, bo niektórzy z nich, naprawdę, mieli jaja tam, gdzie Misia: w lodówce. Kiedy Zuza dobijała do siedemdziesiątki, zdrajcy dawali po tym swoim zapasowym pedale i całą radość diabli brali.

Przecież wiadomo, że na mieście należy zachować umiar i tak dalej, ale kiedy taki instruktor znajdował się z nią na polnej drodze, ryzykował co najwyżej zderzenie z zającem.

To dlaczego w takim razie włosy stawały mu dęba?

Zuza potrafiła przecież sprawnie omijać wszelkie dziury i wądoły, a kamienie wręcz same przyskały jej spod kół. Prawda, czasem przyskały wraz z felgami, ale nie czepiajmy się szczegółów. Felgi odpadały, odpadają i zawsze będą odpadać.

I jak ona miała niby zdać to prawo jazdy?

Jak szlifować umiejętności, skoro każdy próbował ją ograniczać? Każdy z kolejnych czterech instruktorów i Misia, jej własna przyjaciółka, która trzymała się kurczowo swojego volkswagena, a do podziału odnosiła się nad wyraz niechętnie. Tak jakby jej miało ubyc.

Zuza pozostawała więc motoryzacyjnie niespełniona.

Aż do tej chwili.

Bo teraz - przez nikogo niepouczana i niestrofowana - teraz zamierzała sobie odbić skradzione chwile przyjemności.

I to z nawiązką.

Iveco tylko na początku charczało, ale na prostej zaczęło miarowo szemrać i posłusznie wykonywało jej polecenia. Się wie! Biegi wchodziły mięciutko, kierownica miała wspo-

maganie, a z góry widoki były tak obiecujące, że Zuza nagle pojęła: tylko dostawczaki! Ewentualnie auta terenowe. Do tego została stworzona i taką furę zamierzała kupić, jak tylko zda ten piekielny egzamin. Może dlatego jej nie wychodziło? Z wysokości miało się zupełnie inną perspektywę.

- Są! - zakrzyknęła przejęta Misia, ale Zuza też już dostrzegła zgubę.

BMW otwierało sznur samochodów i niespiesznie toczyło się w kierunku Bagienniej.

Pan Igła najwyraźniej nie spodziewał się pogoni. To się zdziwi, swołocz!

Zuza przywarła do kierownicy i zaczęła na głos planować akcję:

- Na razie nie umiem za dobrze wyprzedzać... - zaczęła, ale sprzedawca wytrącił ją z równowagi, bo łypnął podejrzliwie i bez żadnej dyplomacji zaczął przepytывать Misie.

- Zaraz. Czy ta pani ma prawo jazdy?

Misia, która znowu poczuła przyływ emocji, na szczęście nie nadawała się zbytnio do dyskusji. Zbyła chłopaka i próbowała pomagać przyjaciółce. Choćby komentując ze znanstwem wydarzenia.

- To nie wyprzedzaj - doradziła. - Poczekaj, aż wjedziemy na trasę. Ale jak wjedziemy, to co? Chcesz go śledzić?

Zuza miała zupełnie inną wizję pogoni. Jakie „śledzić”? I co, pojechać na Tysiąclecie i rozpocząć z Igłą uprzejmą konwersację?

- Na razie nie umiem za dobrze wyprzedzać - podjęła wątek, starając się maksymalnie skoncentrować - dlatego zrobimy tak... Zaraz wjadę na chodnik...

- Zwariowałaś?!

- Czy ta pani ma prawo jazdy, ja się pytam? - sprzedawca nie odpuszczał.

Chyba zaczął się bać.

W sumie trudno mu się dziwić. Nie robiły zbyt dobrego wrażenia. Wstąpiły do sklepu niby po „Smaragdową wiosnę”, a obecnie ściagały czarne BMW, które chciały potraktować Śnieżką. To znaczy Zuza chciała, Misia wciąż była

nieprzekonana, choć chyba zaczynała się łamać. Zaciskała usta i toczyła wewnętrzną walkę, aż napięła się jej żyłka na czole, jak zwykłe, kiedy miała zdecydować się na szaleństwo.

- Zaraz wjadę na chodnik po przeciwnej stronie, bo muszę mieć ich z prawej - ciągnęła więc uparcie Zuza, która z zadowoleniem odnotowała, że przechodnie woleli drugą stronę ulicy, a i tam było ich niewielu - i dogonię gnojka. A wy otwieracie farbę i lejecie przez okno.

Jeden chlust na karoserię. I to zrobi pan.

- Ja?! - chłopak zbaraniał.

- Misia nie da rady, to sierota.

- Ja?! - dołączyła Misia.

- Już, jak wjadę na chodnik, otwierajcie wiadro, musi być gotowe! Misia, szyba!

I chyba tak trzeba było z nimi postępować. Sprzedawca przestał zadawać głupie pytania, wymamrotał tylko z niedowierzaniem „Ale numer!”, jednak zaczął posłusznie gmerać przy wieczku. Misia z wahaniem odsunęła szybę. Teraz musieli się tylko zamienić miejscami, co poszło nadspodziewanie szybko.

- Przecież jak im zniszczymy auto... - Misia próbowała jeszcze apelować do zdrowego rozsądku przyjaciółki, ale bez skutku, co widocznie przewidziała już wcześniej, bo jej głosik był słaby i zrezygnowany.

- A twoje to niby jakie jest? Zderzak do wymiany. Koniec dyskusji. Twój Kąt gotowy?

Sprzedawca pokiwał gorliwie głową i zdaje się, że dopiero teraz pojął, że to nie żarty.

Zgiął się wpół i napiął mięśnie.

- Na pewno bandyta? - upewnił się tylko, ale już czekał na kolejne rozkazy.

- Bandyta i podstępna świnia! Jak jego szef.

- To damy radę! - chłopak przejął się rolą.

- Damy, pewnie, że damy. Uwaga... - Zuza błysnęła migaczem, zacisnęła rękawice na kółku i wykonała prześlizgnięty skręt.

Auto tylko na początku trochę rzeźbiło, zaraz potem wtoczyło

się dziarsko na chodnik. Tu było gorzej - boczne koła musiały pozostać na drodze, bo Iveco było słusznych rozmiarów, ale jakoś się udało. Misia i Twój Kąt szaleli jednocześnie z uciechy i zdenerwowania, kierowcy mijanych samochodów patrzyli z jawną naganą, ale zjeżdżali do osi jezdni, a Zuza parła do celu.

- Zaraz go dorwiemy... Śnieżka jest?

- Jest!

BMW rzeczywiście nie spodziewało się ataku.

Stało potulnie na czerwonym, kiedy z boku natarł dostawczak, a z jego okna wyprysnęła biała ciecz, która z przeciągłym chlupnięciem rozbryzgała się na wypucowanej czarnej masce. Większa część farby rozlała się zaraz gęstą falą po karoserii, jednak pojedyncze mleczne strużki odbiły się i poszybowały na boki, przyozdabiając sąsiednie auta fantazyjnym deseniem w ciapki. Kierowcy zaczęli przeciągle trąbić, farba kapała na jezdnię, tworząc malowniczą kałużę, a iveco dobiło do świateł i umknęło w lewo, gdzie wykonało kilka piruetów, na skutek czego od jednej z opon odpadła felga.

Zabłyszczała w słońcu, po czym zatoczyła się z brzękiem w pobliskie krzaki i przeszła do historii.

*

Stary opuszczony szpital przy ulicy Korczaka w Szopienicach był zdecydowanie jednym z mniej przyjemnych miejsc w okolicy. Zapuszczali się tu po cichu jedynie żądni wrażeń eksploratorzy, ale już pijacy i bezdomni trzymali się z daleka. I to nie za przyczyną pilnującego terenu portiera, ale krążących od wielu lat po mieście opowieści, jakoby opustoszały psychiatryk był nawiedzony, tudzież przeklęty. Bardziej zorientowani w lokalnej historii mieli natomiast jasność co do tego, że straszące oczodołami wybitych okien domiszczce jeszcze w latach dziewięćdziesiątych było zwykłym szpitalem - z oddziałem psychiatrycznym, owszem - ale na pewno nie typowym szpitalem dla obłąkanych, jak powtarzano. Widocznie jednak wygrało zamięłowanie do sensacji, bo przecież łatwiej zrobić metę Białej Damy z miejsca, gdzie jednak nie wycina się ślepej kiszki.

W każdym razie wiało tu grozą, nawet jeśli czekało się na zachwaszczonym i zawalonym ceglami podwórzu. I nawet jeśli nie znało się powtarzanych po mieście opowieści o snujących się tu nocami duszach wariatów poddawanych za życia okrutnym eksperymentom.

A Gutek znał te historie doskonale.

Dlatego siedział na schodach przed głównym wejściem, a dla dodania sobie otuchy słuchał na swoim Samsungu muzyki. Mężczyzna, który nie tak dawno odmienił jego sytuację finansową (na skutek rozpoczętej budowy domu nie była najlepsza), spóźniał się. Zadzwoił wprawdzie po czwartej i uprzedził o półgodzinnym poślizgu, ale poślizg trwał i trwał, aż zrobiła się piąta. Dopiero wtedy telefon odezwał się ponownie.

- To znowu ja. Niestety, trochę to jeszcze potrwa.

- Nic nie szkodzi - zapewnił gorliwie Gutek, choć był zły. Bo ile można czekać? W innej sytuacji siedziałyby w zaprzyjaźnionym lokalu za rogiem i ciupał w karty, ale facet, z którym ubijał ostatnio interesy, szczególnie cenił sobie dyskrecję. Dlatego spotykali się tutaj, co było możliwe, bo gość dysponował kluczami - podobno sypnął groszem na zapowiadany od dawna remont. Gutek mógł więc po raz pierwszy zobaczyć psychiatryk od środka i naprawdę był to budynek, który mógł się przyśnić.

Farba schodziła wszędzie ze ścian płatami jak łuski z nieświeżej ryby, podłogi trzeszczały, pęki kabli i rur oplatały korytarze, nasuwając skojarzenia z drutem kolczastym i obozem, wręcz można się było zastanawiać, czy ktoś nie odkręci zaraz kurka z cyklonem B. O sali nr 7 zamykanej na gigantyczną zasuwę i opuszczonej kaplicy z upiornym malunkiem na murze nie wspominając. Masakra.

- Słuchaj, ja tu jestem naprawdę załatwiony na cacy - usłyszał w słuchawce niechętnie usprawiedliwienie.

- A co się stało?

- Problem z wozem - w głosie mężczyzny aż zatrzeszczało ze złości.

- To może po pana przyjechać?

- Siedzisz w aucie? - padło ostre pytanie.

- Nie, czekam pod szpitalem. Tak jak było ustalone. Zaparkowałem w bocznej ulicy.

- To dobrze. A do firmy pójdziesz sam.

- Przecież chciał pan sprawdzić osobiście. Bo pewnie mi nie można ufać, co? - pozwolił sobie na uszczypliwość.

- Zaufanie jest wtedy, kiedy się za nie nie płaci. A jak się płaci, to już nie jest zaufanie, ale biznes. Więc stul twarz i rób, co do ciebie należy. Prześwietlisz każdy papierek, który przyniosła wczoraj jego żona. I zrobisz ksero. Nawet, jeśli to będą jakieś bazgroły, kumasz? Każda kartka, powtarzam. Każda! A skoro tak bardzo zależy ci na zaufaniu, to może w tym tygodniu ci nie zapłacę?

- Nie, co pan, ja tylko tak...

- Tak myślałem. To do roboty!

*

Pod firmą Henryka znalazły się dopiero po piątej.

Najpierw musiały odstawić oszołomionego sprzedawcę wraz z jego samochodem pod „Twój Kąt”, potem przybita Misia patrzyła bez słowa w dal, a Zuza konsumowała z upodobaniem drożdżówki. Kiedy te ostatnie poprawiła pasztecikiem i butelką Kubusia, z zadowoleniem oświadczyła, że jeśli chodzi o nią, może teraz ganiać przestępców choćby rowerem i nie tylko polewać ich farbą, ale i posypywać cementem. Misia wykazywała nieco mniej zapału niż poprzednio, ale zamiast skrócić na Katowice, pojechała do Szopienic, tak jak postanowiła przed pościęciem.

Drzwi otworzyły bezproblemowo. Karta i kod działały bez zarzutu, podobnie rzecz się miała z zabezpieczeniami w środku budynku. Zmęczone niedawnymi przeżyciami milczały, zamiast jak zwykle mleć jęzorem, i chyba to spowodowało, że kiedy weszły do sekretariatu, grzebiący w papierach Gutek drgnął jak rażony piorunem, zupełnie się ich bowiem nie spodziewał.

- O, pani Skoczylas - zdaje się, że to miało wystarczyć na powitanie, bo pospiesznie zagarnął rozrzuconą po biurku makulaturę na jedną kupę i stanął na baczność, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Był dziwnie zmieszany.

- O, pan od podezrzanego gardełka - Misia przypomniała sobie niedawne groźby pod jej adresem, kiedy to zgarnęła ją z Igłą spod Castoramy. - Gutek, tak?

- Gustaw. Tak jest. Szanowanko - wyciągnął nieporadnie do Misi rękę, na co z uprzejmości odpowiedziała uściskiem, ale zrobiła to nad wyraz niechętnie.

- Pan Gustaw mnie porwał i groził bronią. Tak się poznaliśmy, opowiadałam ci - wyjaśniła Zuzie, na co ta zareagowała zaciekawieniem.

- Pan ma broń?

- Ma, sama widziałam. Taką co to „ni hu hu”. Prawie mi nią wykłuł oko - przypomniała niby usłużnie Misia, a Gutek zaczął się więc za biurkiem.

- Gdzie tam - zapewniał, a oczka błyszczały mu przy tym kłamliwie. - Jakie wykłuł? Jakie wykłuł? Ja bym nie umiał pani zrobić krzywdy. Naprawdę. A że coś tam nagadałem... Trochę pogadać trzeba, nie? Dla efektu. Wie pani jak jest...

- Nie, nie wiem. A jak jest? - Misia, której firma coraz bardziej kojarzyła się z Igłą, znowu zaczynała się czuć przygnębiona.

Bo co jeśli ona przyciąga samych patalachów i oszustów?

Może jest w niej coś takiego, że nie ma szans, żeby zainteresował się nią przyzwoity facet? A Igła wbrew wszystkiemu taki właśnie się wydawał. Zupełnie irracjonalnie chciała w nim widzieć mężczyznę z zasadami. Bandzior z zasadami! Dobrze sobie. Na szczęście nic poważnego jeszcze między nimi nie zaszło.

Chociaż...

Z drugiej strony, jaką miała pewność, że za kierownicą BMW siedział Igła?

- Zatkalo kakao? - Zuzia błysnęła pytaniem, widocznie próbowała dostosować się do poziomu rozmówcy, więc Misia postanowiła uciąć dyskusję, tym bardziej że Gutek po pierwszej fali zmieszania odzyskał rezon. Kakao musiało mu ubliżyć. Podparł się pod boki, a spod kurteczki zaczęło wystawać coś, co Misia zaryzykowałaby nazwać kaburą.

- A panie co tu robią? - zapytał już mało uprzejmym tonem

i niezbyt dyskretnie dotknął kciukiem swojej giwery. - Bo ja... pracuję.

- A my przyjechałyśmy, bo w rzeczach Henryka zostawiłam przez pomyłkę coś swojego. Ale jak jest jakiś problem, to ja zadzwonię do pani Ryszardy...

- Problem? Jaki problem? - Gutek na nowo złagodniał. - Ja nie widzę żadnego problemu. W których rzeczach?

Misia rzuciła okiem na biurko.

- Właśnie w tych. Pan pracuje?

- Robię porządki. Policja tu... tego... zrobiła burdel. Trzeba poukładać.

- To my poukładamy - zapewniła gorliwie i zaczęła pospiesznie wertować kartki.

Gutek wyraźnie niepokieszony poprawił kaburę i oznajmił, że w takim razie on spada.

- Burdel, oczywiście... W rzeczy samej, uważam, że pan Gustaw to niezwykle sympatyczny człowiek. W teatrze na pewno się odnajdzie - wyraziła przekonanie Zuza i dołączyła do poszukiwań, niefrasobliwie pogwizdując melodię z Janosika.

Misia zbyła tę złośliwość milczeniem, nawet nie podniosła wzroku znad papierów; jak rzadko kiedy wiedziała, co robi. Jednak po dwóch godzinach musiała stwierdzić, że rezultat tych działań niezbyt ją ucieszył. Spędziły w biurze równo dwie godziny, przejrzały każdy świstek w walizce. Na próżno. Artykuł o kradzieży diamentów przepadł. Podobnie sprawa miała się z dokumentami, które spodziewały się znaleźć w sejfie (hasło, nie do wiary, pozostało bez zmian), ewentualnie zeskanowane w komputerze (dostęp bez hasła!), tymczasem nic.

Żadnego dowodu, że Skoczył to farbowany lis.

- Może gazetę gwizdnął ten przyjemniaczek? - Zuza machnęła w kierunku drzwi, bo innego wytłumaczenia nie widziała. Misia zarzekła się, że kartkę na pewno włożyła do dokumentów i całość kazała przywieźć Igle tutaj. Jeśli artykułu nie było, ktoś musiał się nim zainteresować bliżej.

- To była pojedyncza strona, nie gazeta. Jeszcze zostaje

policja. Też mogli wziąć.

- Cóż. W takim razie, skoro kartka zniknęła, znaczy się: była ważna - oceniła Zuza.

- Diamenty to nie jakieś tam szkiełka - Misia uważała podobnie. - Coś czuję, że jesteśmy na dobrym tropie.

Do Zuzy dopiero teraz te diamenty zaczęły docierać. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Oczywiście była za. Wręcz gdyby nie obecność w mieszkaniu Igły, zaczęłyby rozważać zakup młota pneumatycznego, ale dzisiejsze ekscesy nawet ją przyprawiły o drżenie kończyn. Niektóre z tych drżeń były całkiem ekscytujące, niektóre nawet warto by powtórzyć, ale jednocześnie faktem było, że tylko cudem uniknęły wypadku. Oczywiście, mowa o cudach, kiedy za kierownicą siedziała Misia.

- Na dobrym tropie powiadasz? - powtórzyła cierpko. - Tylko że jeśli pan Igła znowu zacznie się wygłupiać z pościgami, to ten twój dobry trop może nas zaprowadzić na cmentarzyk. Przy trasie szybkiego ruchu. I obie będziemy mieć na płycie nagrobnej ten sam napis: „Zginęła śmiercią tragiczną”.

*

Igła miał za sobą kolejny pracowity dzień.

Po negocjacjach dotyczących zabezpieczenia mieszkania pozałatwiał sprawy firmowe, zorientował się wstępnie w przepisach dotyczących założenia agencji ochrony i pojechał na Ligotę, gdzie umówił się na spotkanie ze znanym na Śląsku chirurgiem plastycznym. Wybrał go, bo wyszedł z założenia, że lekarz z dwudziestoletnim stażem pracy będzie w stanie, jeśli nie odczytać, to rozszyfrować medyczne bohomyzy swojego kolegi.

I słusznie. Pan doktor otrzymał zapłatę i nie zadawał głupich pytań w stylu: „Do kogo należy karta choroby?”, tylko rzucił okiem na zapiski i już wiedział, w czym rzecz.

- Pacjentowi zmniejszono uszy - wyjaśnił. - Drastycznie, powiedziałbym. To była trudna operacja, długo dochodził po niej do siebie. Skorygowano mu również nos i policzki. Ka-

wał roboty, mnóstwo cierpienia, tak bym to podsumował. Ale widzę, że wszystko zakończyło się pomyślnie, żadnych powikłań. Szkoda tylko, że brakuje dokumentacji fotograficznej - wyraził ubolewanie, bo odezwała się w nim zawodowa ciekawość. - A po pustych miejscach wnioskuje, że była...?

- Panie doktorze - Igła również żałował, tym bardziej że zaczynał mieć pewne podejrzenia. Ważył teraz słowa, bo chciał się dowiedzieć najważniejszego - czy po tych wszystkich operacjach ten człowiek zyskał nową twarz?

- Myślę, że nie tylko twarz. Zyskał też nowe życie - pan doktor uśmiechnął się dobrotliwie. - Jest szansa, że sąsiedzi przestali go poznawać. A pan? Nie myślał pan o odświeżeniu twarzy na wiosnę?

Igła nie myślał. Podziękował i ruszył do centrum przygotować swój układ pokarmowy przed zapowiadany obiadem u Ryszardy. Wybrał na tę okoliczność swój ulubiony włoski lokal Via Toscana w Altusie i siedząc w nabożnym zachwycie nad najwspanialszymi gnocchi na całej kuli ziemskiej (sos szpinakowy i kawałki kurczaka doprawione idealnie, bez jednej fałszywej nuty), myślał z zadowoleniem, że po takiej uczcie może ze spokojem jechać na Wiklinową i kłaść głowę pod topór.

Jako miłośnik dobrej kuchni i piewca wina podchodził do tematu jedzenia nad wyraz poważnie. Bo gotowanie to była przecież cała filozofia. I nie chodziło tylko o zdrowie i styl życia, to była barwa, zapach, emocje oraz wyobrażenia i osobowość kucharza. I jeśli w restauracji podano mu na talerzu coś podłego i, co gorsza, nieświeżego, wtedy... Wtedy był naprawdę gotów wszczynać najgorsze burdy, choć raczej uważał się za osobę niekonfliktową.

Dla Ryszardy robił wyjątek.

Już na samym początku, kiedy urządziła poczęstunek z okazji przyjęcia do firmy, zrozumiał, że sekretarka nie ma absolutnie żadnego wyczucia kulinarnego. A ponieważ wyczytała gdzieś, że profesjonalni kucharze gotują neutralnie, żeby nie narzucać swojego smaku, przyrządzała wszystko nawet bez grama soli.

W efekcie jej potrawy były po prostu boleśnie nijakie, bo razem z solą odstawiła również wszelkie inne przyprawy. Ryszarda jednak tak bardzo się starała i tak przeżywała każdą swoją porażkę, że Igła, nie chcąc jej sprawiać przykrości, wpadł na proste rozwiązanie. Każdą ucztę na Wiklinowej poprzedzał spędzeniem upojnych chwil w dobrej restauracji. Tak przygotowany mógł z grzeczności przełknąć niewielką porcję każdej ohydnej potrawy.

Po rozkoszy, jaką zaserwował właśnie swojemu podniebieniu, najzupełniej nieświadomie pobiegł myślami tam, gdzie ostatnio biegał zbyt często.

Misia...

Słodkie to zdrobnienie.

Słodkie?!

Ta mała coś ukrywała, może tak naprawdę była nie mniej cwana niż jej małżonek. A jeśli doskonale orientowała się w temacie diamentów? Po co inaczej prześwietlałaby mu torbę i interesowała się planami mieszkania?

Igła w roztargnieniu zamówił jeszcze tiramisu i na nowo pogrążył się w niewesołych rozmyśleniach. Nie mógł sobie teraz darować, że ją tak w nocy puścił. Bez niczego. Może jednak należało z małą Hardą pokonwersować językiem miłości? Przyjemne z pożytecznym. A on jak jakiś matoł robił za błędnego rycerza. W kopię tyrpany! Trzeba ją było seksualnie sponiewierać i zniewolić. I to tak, żeby nawet nie przemknęło jej przez myśl zrobić cokolwiek przeciwko swojemu namiętnemu kochankowi.

Przełykając ostatni kęs tiramisu, Igła postanowił, że tak właśnie zrobi.

Uwiedzie Hardą.

*

Zuza usiłowała ratować przypalonego Zeptera już u Misi, która dysponowała wieloma środkami czystości poustawianymi pod zlewem niemal w kolejności alfabetycznej, ale po włamaniu w tym chemicznym składziku zostały się jedynie płyny. Wszelkie utensylia w nieprzezroczystych pojemnikach

zostały przez włamywacza wylane do zlewu i trzeba było uzupełnić zapas, na co na razie nie starczyło czasu. Podczas zakupów skupiły się głównie na produktach potrzebnych do przygotowania kolacji dla przestępców, urodzin Zuzy i świąt i obie miały pełne lodówki. Najpierw wstąpiły na Zielony Zaulek, teraz rozpakowały produkty u Misi i wreszcie mogły się zająć mniej przyziemnymi sprawami. Zuza posypywała więc garnek solą i czekała na efekty, Misia przyrządziła latte i podała biszkopty z resztką sosu truskawkowego. Żeby nie dopuścić do rozmowy na temat Igły, włączyła komputer i próbowała zorientować się w rodzimych kradzieżach diamentów. Za wiele tego nie było. Na czołówkę wysuwała się kradzież brylantów na Międzynarodowych Targach Gdańskich.

- Zuza, zostaw ten gar - przynagliła przyjaciółkę. - Po co go tu w ogóle przytachałaś? Kawa ci stygnie.

- Przytachałam, bo myślałam, że dasz mi jakieś mazidło. Zupełnie zapomniałam, że masz mieszkanie obrócone w proch i pył. Chociaż Igła faktycznie sporo tu ogarnął. A właśnie...

- Latte!

- Dobra, już dobra - Zuza zostawiła garnek w zlewie i poszła do salonu. - Diamenty, powiadasz?

- O kradzieży to jest w zasadzie tylko to. - Misia wskazała na ekran. - Kradzież stulecia w Gdańsku w dwa tysiące siódmym roku.

- Kradzież stulecia? No, twój Henio raczej nie poprzestaje na małym, także miałabym nadzieję.

- Myślisz?

- A czemu nie? I Gdańsk. Do komandora marynarki wojennej pasuje jak ulał.

- Ja pierdykam! - Misia pozwoliła sobie na zapożyczenie ulubionego powiedzonka od Zuzy, co znaczyło, że jest w najwyższych stopniu przejęta. Informacje brzmiały na tyle sensacyjnie, że o największej w kraju aferze brylantowej można by nakręcić film. Zaczynała się czuć dziwnie.

- Mów, co znalazłaś. - Zuza usadowiła się na fotelu i z lubością ujęła w palce biszkopta.

- „Diamenty warte półtora miliona dolarów...”.

- Co?!

- Czytam przecież. „Diamenty warte półtora miliona dolarów skradziono z depozytu na terenie Międzynarodowych Targów Gdańskich”.

- Ja pierdykam! - Zuza zawtórowała przyjaciółce. - Ile to będzie na złotówki?

- Zależy od kursu. Ale około... O, tu jest napisane... Cztery i pół miliona złotych.

- Upadłam wewnątrznie... A ciebie rozliczał z każdego grosza! - wytknęła, tak jakby kradzież stulecia w wykonaniu Henia była faktem. Pomachała przy tym wymownie ciastkiem, aż z biszkopta zaczął kapać czerwony sos.

- Może wcale nie chodzi o żadne diamenty? - Misia nagle zaczęła wątpić w swoją spiskową teorię, co Zuza przyjęła wyjątkowo brzydkim grymasem. - To był przecież tylko jakiś tam artykuł. Może ja za daleko poszłam w tych swoich podejrzeniach?

- Tak, i posądzasz księdza o kradzież dzwonu, rzeczywiście - zakpiła przyjaciółka. - Dobra, wypad z baru. - Odłożyła ciastko z zamiarem wpakowania się przed komputer. - Chcesz posłać małżonka za kratki? Chcesz. I to na bardzo długo. Więc jak będziesz się tak zastanawiać nad każdym duperelem, Henio wyjdzie za kaucją.

- Nie!

- Tak. Wyżebrze od Jasnej Góry poręczenie i będzie po ptakach. My tu mamy czytać między wierszami i wyciągać wnioski, a nie podważać istnienie dinozaurów. O! „Gdańska policja ma już portret pamięciowy podejrzanego”. Proszę bardzo, sprawdzamy.

Misia westchnęła i czekała na dalszy ciąg co najmniej jak na wyrok Sądu Najwyższego.

- Przywołaj w myślach ten wredny ryj - Zuza poprzedziła cytął nastrojowym wstępem.

- Czytasz czy nie?

- „Według opisu mężczyzna ma około trzydziestu lat”... Pięć lat temu on miał ile? Trzydzieści pięć, tak? Ale o pięć to

się można spokojnie rypnąć.

- Czytaj!

- „... 180 centymetrów wzrostu”. Zgadza się, Pietruszka to przy nim niestety... Już, już. „Jest szczupły, ma ciemne włosy i południową urodę”. Hmm, Henio to ma urodę pańszczyźnianego chłopca, gwoli ścisłości. Znaczy się, jak dla mnie. Ale gdyby go tak podsmażyć w solarium i ufarbować na czarno ten zakuty łeb... Dobra, czytam, czytam. „Ubrany był w ciemną koszulę i czarny garnitur. Nie mówił po polsku”. Oj, to ostatnie to tak. W ogóle go czasem nie rozumiem.

- Nie wiem... - Misia zaczęła kręcić nosem. - Ten opis pasuje do wielu facetów.

- Owszem. Ale co to za problem ufarbować włosy, opalić się i udawać, że się nie rozumie po polsku? Skoro ciebie oszukiwał latami, to ja bym nie umniejszała jego zdolności. I wzrost się zgadza.

- Wzrost tak.

- O, i tu kolejny artykuł, rok później. „Postępowanie umorzono z powodu niewykrycia sprawcy”. Dalej ci nie pasuje? A po skoku zrobił sobie w Polanicy operację. Bo tu piszą, że mają też nagrania z kamer - Zuza nachyliła się nad ekranem. - Ja bym sobie zrobiła.

- Właśnie, Polanica - Misia stanęła przy komputerze i zażądała opuszczenia stanowiska. Nie wyobrażała sobie ruszyć w podróż bez ustalenia najprostszej trasy. Diamenty zdecydowanie przegrywały z kwestiami organizacyjnymi. - O której jutro wyjeżdżamy?

O tym, że Iga obrał kierunek Tysiąclecie, zawiadomiła ich Pyza, dla której dryblas stanowczo zbyt szybko stał się domownikiem. Kotka opuściła swoje miejsce na murku, przyszła do pokoju, gdzie pomiauczała chwilę znacząco i z powrotem ruszyła do przedpokoju. Po kwadransie w drzwiach zazgrzytał klucz.

- I co mu powiesz? - wyszeptwała podekscytowana Zuza, bo nie zdążyła omówić z przyjaciółką ostatniej palącej kwestii. Według niej po pościgu na szosie powinno tu teraz dojść do gorszących scen nienawiści.

- Powiem mu, że idziemy do ciebie.

- Misia, jak ty w końcu nie zmądrzejesz...

- I najpierw sprawdzimy auto - dokończyła kategorycznie. - Jeśli znajdę ślady farby, to od razu dzwoniemy po Marchewkę. Z wariatami nie będę dyskutować. Cicho, wchodzi...

Igła potarł się przez chwilę pieszczotliwie Pyzę, pokiwał im na powitanie, zdjął buty i tradycyjnie udał się na obchód mieszkania. Do salonu zawitał na końcu.

- Wszystko gra? - upewnił się i jak rasowy ochroniarz zlustrował wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu ewentualnych zagrożeń.

Był w szampańskim humorze i naprawdę musiałyby nie mieć ani krzty przyzwoitości, żeby po próbie staranowania ich auta tak bezczelnie świecić uśmiechniętymi oczami. Tudzież gładzić się po bródce.

- Gra i buczy - potwierdziła z przekąsem Zuza. - Jesteśmy po przejeździe do Riczardy. Srebrnym volkswagenem. Bo ty masz czarne BMW?

- Yhy - potwierdził niefrasobliwie. - I? O co chodziło z Ryszardą? Czemu wyszłyście z obiadu? Musiałem zjeść pół tego jej kotła - oznajmił zgorszony i rozwalął się na kanapie. Jak to facet: kolana odmierzały kąt rozwarty, ręce jak bochny chleba leżały rozłożone na oparciu. Wręcz zbyteczne było umieszczenie tabliczki: „Zdobyte przez zasiedzenie”.

- Nie proponuję, żebyś się rozgościł - Misia wyłączyła Internet i zmierzyła Iglę chłodnym spojrzeniem - bo zdaje się, że nie masz z tym problemów.

- Chcesz się przysiąść? Możemy dostawić jakąś kozetkę - odpowiedział na jej zaczepkę równie miłym tonem, ale spojrzenie momentalnie mu się zmieniło. Nie było w nim już ciepła. A z ciepłem w czarnych oczach Igła wyglądał tak pociągająco, że Misia gotowa była też zdobywać przez zasiedzenie. Na przykład jego kolana.

- Dwa metry - wyrzekła niby oschle, ale zaczęło ją coś ścisnąć w gardle. - Pamiętasz? Tylko sprawy urzędowe.

- Jasne. Urzędowo więc informuję, że Ryszarda zgodziła się prowadzić księgowość JANOSIKA. Jutro mogę iść na

Młyńską i zarejestrować firmę.

- A ja urzędowo informuję, że musiałyśmy wyjść z obiadu, bo miałyśmy ważnego klienta, o którym zapomniłyśmy.

- Tak, kosmetologia to ciekawa dziedzina - powiedział przeciągle, prześwietlając Misię wzrokiem. - Prawie tak samo ciekawa jak chirurgia plastyczna.

- Czy pomożesz mi wyszorować gar? - Zuza postanowiła się włączyć i zapytała może trochę zbyt nerwowo, ale przyjaciółka miała tak zacięty wyraz twarzy, że można było podejrzewać, że zaraz rozpocznie niezbyt pożądaną w obecnej chwili polemikę. - I pójdziemy do mnie, bo nie masz nawet Domestosa - dokończyła.

Atmosfera rozluźniła się, choć niezbyt szybko.

Ci dwoje popatrywali na siebie z przeciwległych kątów pokoju, a w powietrzu trzeszczało od wyładowań elektrycznych, od których powinna była się zająć co najmniej firanka. Ale do pożaru nie doszło. Za to do Igły ktoś zadzwonił. Brunet zerknął na wyświetlacz i częstując obie panie miną wyrażającą wzgardę, wyszedł z pokoju.

Misia z Zuzą ubrały się i popędziły na dół.

*

BMW pod blokiem nie znalazły, mimo że obleciały parking, i to dwa razy.

Misia była tym faktem tak zdruzgotana, że Zuza zostawiła garnek w samochodzie i przegoniła ją do Tesco, gdzie znajdował się dział chemiczny. Dźwigając w objęciach Cifa, ruszyły na spacer po osiedlu. Lepiej przebierać nogami na świeżym powietrzu, niż zamartwiać się w czterech ścianach, które dzieli się z przestępcą.

Wieczór był ciepły, powietrze nie przestawało pachnieć ziemią, a na trawnikach wyrastały coraz to nowe psie kupki. Posiadacze czworonogów przechadzali się dostojnie ze swoimi pupilami i tworząc grupy wzajemnej adoracji, oddawali się jak co dzień leniwym rozmowom o szczeniach i sukcesach zarówno swoich dzieci, jak i psów (sukcesy tych ostatnich przeważały).

Hulająca między blokami szarówka powoli ciemniała i przechodziła w noc.

Misia z Zuzą po wyjściu z Tesco skręciły w lewo. Zamierzały obejść przychodnię, budynek Telekomunikacji i Biedronkę i wrócić na parking, skąd ruszyłyby autem do Zuzy. Jednak dotychczasowe plany wzięły w łeb. Już miały wychodzić zza rogu apteki, kiedy cofnęły się jednocześnie w popłochu.

Przy schodach przychodni stało zaparkowane BMW!

- Jest! - z triumfem oznajmiła Zuza. - Pod przychodnią.

- Igły?

- Skąd mam wiedzieć? Czarne, ale o dziwo nie jest podpisane.

Misia ponownie wychyliła się i sprawdziła rejestrację, bo w świetle latarni nie dostrzegła choćby śladu po farbie.

- Nic stąd nie widać, musimy podejść bliżej.

- Ale Igła nie siedzi w środku? - wyraziła obawę Zuza.

- Chyba nie. Nic się tam nie rusza.

Gdyby nie rejestracja, Misia by nie uwierzyła. Karoseria pobłyskiwała smętnie w świetle jeszcze nierozgrzanych latarni, ale na pewno nie była potraktowana Śnieżką. Żadnych mazów czy zacieków. Nic, kompletnie. Wcale nie poczuła się tym zmartwiona.

- I co?! - krzyknęła triumfalnie.

- Ale jak to? - Zuza nie pojmowała. - Zmył?

- Jakie „zmył”? Farbę olejną?

- To jak to wytłumaczyć? Rejestracja ta sama? Poczekaj, sprawdzimy od spodu...

Zuza oddała Misi Cifa, wyjęła z płaszcza komórkę i błysnęła wyświetlaczem.

Schylając się, próbowała wydedukować coś z wyglądu podwozia, ale u szczytu schodów usłyszała głosy. Ktoś szedł. A ponieważ nie chciała być wzięta za złodziejkę i planowała wrócić do przerwanej czynności, pociągnęła Misię pod schody. Ci tam pójdą sobie precz, a one dalej będą robić swoje.

I pewnie by tak było, gdyby Misia nie rozpoznała po głosie... Igły! Zuza też już musiała się zorientować, do kogo należy tubalny baryton, bo skurczyła się i znieruchomiła. Na szczę-

ście dzięki ciemności i zasłonie ze stopni pozostały niezauważone.

- Widzę, że kolega myśli - usłyszały tego drugiego. Zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek, który wylądował na trawniku tuż przy nich. - Dobrze zaparkowane. Lepiej żeby nas ze sobą nie łączono. Szkoda, że nie zawsze jesteś taki przezorny.

- Mów, co masz i spadaj.

- Jaki nerwowy... Dobra, Jarosław Maziarz. Urodzony... Zamieszkały... Ukończył... Wszystko jest. Rodzice też. Elżbieta i Paweł Maziarzowie. Tu masz odpis świadectwa z podstawówki. A w liceum, wyobraź sobie nie mieli dokumentów. Wpisy w księgach są, ale teczka Maziarza gdzieś się zawieruszyła. Sprawdziłem kronikę szkolną, ale ona również dziwnym trafem przepadła.

- Taaa...

- Pochodzę po jego kolegach ze szkolnej ławy. Muszą mieć jakąś wspólną fotkę. Ale to potrwa. Facet jest marynarzem. Pływa. Obecnie można go znaleźć na Oceanie Indyjskim. Do spółki, która go zatrudnia, nie mogę się dodzwonić.

- Wątpię, czy ta spółka w ogóle istnieje.

- Istnieje. Sprawdziłem. Namiary masz w środku. - Facet podał Igle zwykłą papierową teczkę i oparł się o maskę BMW. - Fajne autko.

- Ujdzie. Coś jeszcze?

- Na razie wszystko. Co do reszty, odezwę się. Ale ty masz czas, co?

- W sensie?

- Szef pyta o kamienie - głos faceta przybrał naraz ostrzejsze tony. - Za bardzo się z tą Hardą cackasz.

- Mam swoje sposoby. Poza tym czekam na sprzęt, przyjdzie w piątek.

- W piątek?... Celowo opóźniamy, co? Ja bym się jednak na twoim miejscu zastanowił, czy jestem dość skuteczny, bo stary zaczyna się niecierpliwić. A i jeszcze jedno... Ostatnio widywano twoje autko, nie wiedzieć czemu, pod prokuraturą.

- Gdzie?! Pocięło was?

- Prokuratura to jest cholernie parszywe miejsce na parking, tyle ci powiem. I znajdź kamienie. I to jak naj szybciej. Zegar tyka.

*

Gar zdecydowanie opierał się zabiegom renowacji.

Pozostał artystycznie osmolony. Urazy i pomarańcze tworzyły na jego obrzeżach impresjonistyczny pejzaż zapaskudzony nieco działaniem środków czyszczących, ale tak musiało pozostać. W związku z tym Zuza - zapalona ogrodniczka - postanowiła wykorzystać go jako pojemnik na nawóz, który zamierzała sama przyrządzić ze skrzypu polnego, pokrzyw i rumianku, co podobno tak wściekle dobrze robi ziemi, że zaczynają wyrastać z niej baobaby i inne cuda.

Do Misi w obecnym stanie ducha jednak takie hasła jak szczątki organiczne i grabie zbyt nie docierały.

- Kamienie! Słyszysz?! Igła ma znaleźć kamienie. Czyli się nie pomyliłam. „C” jak diamenty. Ale jestem wielka - cieszyła się jak dziecko, nie przestając paplać. - To nie był on, rozumiesz? To w ogóle nie był jego samochód. Nie ma mowy, żeby na karoserii nie został nawet ślad.

- Na to wychodzi - Zuza w końcu się zgodziła. Wizja lokalna z wykorzystaniem komórki uniewinniła Iglę definitywnie. Na podwoziu nie znalazły choćby jednej plamki farby. - Czyli co? Ktoś mu podkłada świnię? Bo rejestracja na pewno była ta sama?

Misia tak bardzo wzbraniała się przed oskarżaniem bliźnich, że zaczęła się, jak zwykle, wycofywać.

- Hm, niby ta sama. Ale wiesz... To był stres, szybkość. Może coś przekreśliłam?

- Jeśli nie przekreśliłaś, to nasz Igła ma jakiegoś sobowtóra i ten mu robi koło pióra. Ja się na świecie przestępczym nie znam, ale chyba wszystko jest możliwe. Choćby to, że się z tobą cacka... Znaczący, że dostał zlecenie, żeby się nie cackać, tylko wydusić z ciebie, gdzie są diamenty. I skoro on się cacka, to ktoś inny, może ten jego cały szef, nadrabia i dlatego próbował skasować ci auto.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę „cackać”, idę do domu - obiecała Misia, która jeszcze raz próbowała odtworzyć sobie w myśli usłyszaną pod schodami rozmowę. - Ten facet z teczką to był ktoś w rodzaju pośrednika, dobrze myślę? Pomiędzy Iglą a jego szefem? Czyli Iglą to kret, o którym mówił Marchewka. Znaczy, że gra w przeciwnej drużynie.

- Ty się nie ekscytuj, że on nie trzyma z Henrykiem, bo jak nie z nim, to trzyma z jakimś innym burakiem. I to ćwikła, i to ćwikła. A już najgorzej jak burak myśli, że jest szparagiem...

- Ale Iglą jest sobą, on nikogo nie gra. Powiedz, czemu mnie się wydaje, że on nie jest zły? Wiadomo, coś tam ukrywa, ale czuję, że nie jest zły - głos Misi nieznacznie zadrżał.

Gdyby nie to, że BMW było czarne jak siedem diabłów, za nic nie przyznałaby się, że jej nowy współlokator tak chwyta ją za serce. Docinkom Zuzy nie byłoby końca. Zgaga. Pod tym względem mogli sobie z Iglą podać rękę.

- Nie wiem, czy ja ufam twoim czujkom - oznajmiła teraz bezceremonialnie Zuza i przeszła do kuchni, żeby jeszcze raz przyjrzeć się lodówce i sprawdzić, czy wszystko kupiły. - Ty wręcz patologicznie uważasz świat za raj, a świnię za anioły. Więc ja bym po prostu sobie tego Iglę obejrzała bliżej.

- Bliżej?

- Przyjdzie czas, to wyjaśnię. Ale najpierw ustalmy plan działania na dzisiejszą noc.

- Mój plan działania na dzisiejszą noc to łóżko. Jutro o dziewiątej wyjeżdżamy - przypomniała Misia.

- „Sprzęt dotrze w piątek”. Poważnie? To ci pozwoli spać? - Zuza usiłowała wstrząsnąć przyjaciółką. Owszem, dzisiaj dużo się działo, ale spędziły właśnie kwadrans na kanapie, a podczas świąt będą miały mnóstwo czasu na odpoczynek.

- I co, mam czyhać na listonosza w piwnicy?

- Hm - Zuza chrząknęła skromnie. - Jeśli nadal będziesz produkować pole, to żaden sprzęt nie będzie nam straszny. Sprzęt! Jak to brzmi, a pewnie chodzi o następcę Garretta. Ale następcy przydarzy się ta sama historia co poprzedniemu

- Zuza otarła nieistniejącą łezkę. - Tylko żeby Igła się nie połapał, to jakiś incydent z polem by się znowu przydał, nie uważasz?

- Zuza, męczysz mnie tym polem, a ja nawet nie wiem, jak działa suszarka do włosów. To znaczy wiem, jak działa, ale poza pstryczkiem nic więcej nie ogarniam - Misia uderzyła w żaloszny ton.

Te całe produkcje ją przerażały. Czowała opór! Zdecydowany opór bijący prądem stałym czy zmiennym, czy cholera wie jakim. A już najbardziej obawiała się, że w końcu zostanie przyłapana. Wyobraziła sobie w takiej sytuacji uciechę Igły i była to najbardziej odrażająca perspektywa ze wszystkich możliwych.

- Czyja cię proszę, żebyś zrobiła rysunek obwodu elektrycznego? Masz mu tylko wykończyć w nocy komórkę. I znaleźć tę szarą teczkę. I ją zeskanować.

- To wszystko? - zapytała coraz bardziej zła Misia. - Czy może dorzucisz jeszcze pobranie odcisków palców?

- Nie pyszcz, bo w teźce są wszystkie dokumenty, jakich potrzebujesz do unieważnienia małżeństwa. Musimy je przechwycić.

- My? Czyli zamierzasz mi pomóc? W przechwyceniu? - dodała zjadliwie.

Zuza zamknęła z trzaskiem lodówkę.

- Przecież mówię.

- Co za ulga. Akcję kryptonim TECZKA przeprowadzę do spółki z wariatką - Misia udała, że spadł jej kamień z serca, choć rzeczywiście tak było. - A co z tym przyglądaniem się bliżej Igłę?

- Wyłapałaś jego docinek o chirurgii plastycznej?

- Już mu chciałam wtedy powiedzieć...

- I po co? - Zuza zatrzepotała wdzięcznie rzesami. - Sprytnie dziewczynki nie miały bez potrzeby jęzorem, tylko biorą swoje torebki... Bierz torebkę... I z zimną krwią idą pod chlewik.

- Gdzie?!

- Pod chlewik, gdzie spoczywa solidna dębowa drabina.

- Zuza? - Misia wydawała się w najwyższym stopniu zaniepokojona.

- Co? Do mieszkania nad Lornetą z Meduzą chcesz wlecieć unoszona podmuchem wiatru? Zapomnij. I przydałby się jakiś łom - Zuza zaczęła się rozglądać po swojej kuchni, ale jedyne co jej wpadło w ręce to tasak do mięsa. Poczula się mniej więcej ukontentowana. - No! Tasaczek jest, teraz tylko przymocujemy drabinę do bagażnika i ruszamy.

*

Pani Gertruda życzyła ataku woreczka żółciowego jedynie największym wrogom.

Na przykład sąsiadowi, który wynajął przylegającą do jej mieszkania suterенę na pub. Niestety, bez względu na to, że lokal już z zewnątrz wyglądał jak przytulisko dla bezdomnych, młodzież waliła do niego całym hordami. I te hordy darły się po nocach tak, że skaranie Boskie. Skąd te wyrostki miały tyle siły, pani Gertruda nie pojmowała, ale czuła, że nadchodził jej koniec.

I nie tylko jej - cały ten rozpasany świat chylił się ku upadkowi.

Bo to wszystko nie mogło tak dłużej trwać.

Ludzie robili się z pokolenia na pokolenie coraz gorsi i coraz bardziej rozwydrzeni. Tylko chlali, obściskiwali się albo siedzieli przed komputerem. W niedzielę zamiast iść do kościoła, woleli jeździć do centrów handlowych. Wszystko mieli. Za dużo, za dużo wszystkiego. Dawniej to młodzież bawiła się kulturalnie i szanowała starszych. W „Kryształowej” to można było nawet posłuchać pianina. Ale gdzieżby dzisiaj kogo interesowała normalna muzyka. Tylko łubu-dubu i to na cały regulator.

Pani Gertruda poprawiła берет, westchnęła boleśnie i podreptała na Mariacką, na swoją ulubioną ławeczkę pod Złotym Rogiem. Woreczek łupał okrutnie, już od tygodnia nie mogła przez niego spać. A prawdę mówiąc, ze snem to było kiepsciutko nawet i bez woreczka. I bez pubu. Ale w tym wieku to wiadomo, w lutym stuknęła jej przecież osiemdziesiątka.

Dawniej jak się harowało, to i sen przychodził bez problemu. Zawsze go było mało. A teraz? Zresztą, czym ona się może teraz zmęczyć? Chyba żeby drałowała piechotą na Francuską, na cmentarz. To wtedy tak. Wtedy ze dwie godzinki ciągiem dawało się przespać. Potem podśpiewki z pubu, śmichy-chichy, przekleństwa. I dopiero o czwartej, zupełnie umęczoną, sen dopadał ją znowu. Sen! Jaki to był sen... Płyciutki jak kałuża na podwórku, w której harcują wróble. Szkoda gadać.

Tak naprawdę to lubiła przychodzić nocą na deptak. Tyle się tu działo. Wiosną już zaczynali wystawiać przed lokalami krzeselka. Ogródki się na to mówiło, chociaż kwiatuszki rosły tu tylko w doniczkach. Za to na skrzyżowaniu z Dworcową rozstawiano scenę i czasem się zdarzało, że ładnie grali. Bo Młyńska to była już inna ulica. Wyłożona kostką, poszerzona. Sklepy, kawiarnie, bary. Już nie można po niej było jeździć samochodami i bardzo dobrze. Chociaż pani Gertruda nie miała pewności, co gorsze: hałastrą czy śmierdzące auta.

Ale ludzie byli ciekawi.

Co by nie mówić, na Mariackiej widywało się tyle dziwolągów, że prawie jak w telewizji. Bo jak oni w ogóle wyglądali! Porządnych młodych ludzi było jak na lekarstwo. Dicz. Włosy farbowane, czuby, dziewczynki to już wstydu nie mają. Jak to chichoczą bez skrępowania, jak to wieszają się na tych chłopakach... Prawie na nich wążą. Żadnej skromności, żadnej kultury.

Pani Gertruda usiadła na ławeczce, skuliła się tak, żeby kamienie w woreczku przesypały się na właściwą stronę i pomstowała właśnie w duchu na złodziei z Narodowego Funduszu Zdrowia (na USG musiała czekać osiem miesięcy!), kiedy zobaczyła dwie kobiety. Wyszły z Dworcowej.

Ubrane były schludnie, niby normalnie, a niosły... drabinę i tasak!

Pani Gertruda nie odrywała od nich oczu. Co za rarytas się jej dzisiaj trafił! I jeszcze się kłóciły.

- To nie będzie żadne włamanie, tylko wizja lokalna - przekonywała ta mniejsza. Miała na sobie dres i trampki, wyższa odziana była w elegancki płaszcz i szpilki. Do

drabiny pasowała jak pięść do nosa.

- Nie mogłaś mnie uprzedzić? Przebrałabym się.

- Też nie wiedziałam. To mi się urodziło spontanicznie.

- Spontanicznie... Wszyscy się na nas gapią!

- A dobry wieczór pani - ta w dresie ukłoniła się Gertrudzie bezczelnie, chcąc jej chyba dać do zrozumienia, że jest starą, wścibską babą. Małe to było i wyszczekane. Widać, że sprowadza blondynkę na złą drogę.

Włamanie?

Czy ona dobrze słyszała? No, chyba włamanie. Drabinę ciągną, tasak błyszczy w świetle lamp niczym rzeźniczy topór... Pani Gertruda odczekała chwilę, stęknęła i zwlokła się z ławeczki.

Ktoś tu musiał pilnować porządku.

Ciemność tymczasem usiłowała coraz ciaśniej obejmować Mariacką, lecz ulica opierała się, bo właśnie zaczynała nowe życie. W końcu zniesiono w jej obrębie ciszę nocną! A już na pewno było to życie bardziej intensywne i barwne niż za dnia, kiedy pośród kamienic panowała atmosfera leniwej sjesty lub krzątający zapracowanych katowiczów. Teraz ludzie ciągnęli na ulicę gromadami, ciesząc się z wolnego wieczoru. Mieli nadzieję na relaks i dobre jedzenie. Bo pachniało ładnie. Zapach piwa mieszał się tu z zapachem smażonych ziemniaków, ale z włoskiej restauracyjki od przecięcia z Francuską dochodziły aromaty oregano i bazylii, którymi posypywano pyszną i nieoszukaną pizzę. Nie odeszli stąd z niczym również miłośnicy chińszczyzny i kuchni indyjskiej. W Lornecie z Meduzą serwowano natomiast godną polecenia galaretkę mięsną i swojskiego śledzika, a skoro było powszechnie wiadome, że rybka lubi pływać, nikt nie dziwił się tu amatorom kilku głębszych.

Nikt z wyjątkiem pani Gertrudy.

Lorneta z Meduzą, myślałby kto!

Była przekonana, że zgorzenie i zły przykład szedł na całe miasto właśnie stąd. Tylko pijaństwo i bijatyki. A w takim małym pokoiku to się ścisnęło tyle ludu, że aż dziw, że trafiali kieliszkami do gęby. Ale malunki na ścianach przedstawiające

stare mapy Katowic to im się w tej knajpie udały, musiała uczciwie przyznać. Obejrzała sobie kiedyś wszystko przez szybę. Bardzo dokładne mapy, porządnie zrobione. Mimo tego pani Gertruda uważała, że bistro powinno nazywać się stosownie do tego, co się w nim wyprawiało.

Żadna Lorneta z Meduzą. Sodoma z Gomorą. Ot co.

Kobiety zmierzały właśnie w tamtym kierunku i pani Gertruda już zamierzała splunąć i zwrócić, ale nie. Nie weszły do środka. Majtnęły drabiną i zniknęły w przylegającej do lokalu bramie. Skoro w bramie, to czemu by nie sprawdzić, czy czegoś tam nie zmalują?

Tak oto pani Gertruda, wciskając się w kąt klatki schodowej, została wplątana w aferę kryminalną. Jak nic w kryminalną!

Żłodziutki najpierw chwilę się naradzały, potem ta mała obleciała podwórko (nie wypuszczała tasaka z rąk!) i wreszcie obie przystąpiły do czynu przestępczego. Dostawiły drabinę do balkonu na pierwszym piętrze i zaczęły się po niej gramolić. Mała, zwinna niczym małpa, znalazła się w kilka chwil na górze, blondynce szło gorzej. Protestowała po cichu, ale cała rzecz rozgrywała się parę kroków od wejścia, także pani Gertruda słyszała prawie każde słowo.

- Jakie „szybciej”? Wchodziłaś kiedyś w szpilkach po drabinie?

- Cicho!

- Koniecznie musisz spróbować. Zuza, a jak ktoś nas złapie?

- Złapie, jak nie przestaniesz krakać... Już? Dobra, to wciągamy, żeby nikt nie zauważył. Teraz okno.

- Chcesz stłuc?!

Stłuc? Przecież to się w głowie nie mieści!

Żeby to jakaś recydywa, ale dwie kobiety? Ta mała mogła być na jakichś narkotykach albo co... Nerwowe to to i pobudzone. Jak nic na narkotykach. Żadnego sumienia, żadnej moralności.

Ponaglona wydarzeniami pani Gertruda postanowiła dłużej nie czekać. Sama nie zamierzała się wychylać, nie wiadomo, co takim przestępczyniom może przyjść jeszcze do głowy, ale zaraz pobiegnie do domu i zadzwoni do pana Marcinka,

dzielnicowego.

Już on będzie wiedział, co robić.

*

Chociaż trudno było w to uwierzyć, drzwi balkonowe były jedynie zatrzaśnięte. Igła nie przekreślił klamki, dzięki czemu nie musiały podnosić ręki na szybę.

Całe szczęście!

Zuza dużo gadała, ale ona również poczuła się nieswojo, kiedy wyobraziła sobie trzask i rozsypane kawałki szkła. Napierała więc na drzwi, aż ku ich wspólnej radości puściły!

- Żeż! Ale mamy fuksa. Zaczynam tego Igłę lubić - wyznała szeptem i zanurkowała do ciemnego pokoju.

- Stój! - Misia postąpiła za nią, bo Zuza już chciała włączać latarkę. Po omacku odszukała przyjaciółkę i wyszeptala jej do ucha: - Najpierw sprawdźmy, czy tu kogoś nie ma. Ciii...

Gdyby w pomieszczeniu ktoś był, jak nic umarłby na zawał, bo Zuza potknęła się właśnie o jakiś mebel i chcąc złapać równowagę, zakreśliła rękami młynka tak gwałtownie, że upuściła tasak. Łomotnęło, i to zdrowo. Rumor z pewnością usłyszano by w lokalu poniżej, gdyby nie wplótł się w szum i trzaskanie talerzami, które dolatywały na górę całkiem wyraźne. „Sto lat, sto lat!” - dobiegł je jakiś fałszujący bas i strach, który jeszcze przed chwilą je paraliżował, teraz się wziął i stracił.

Znowu zaczęły oddychać.

Zuza po pierwszym szoku ponownie dobyte latarki i zaraz omiotła pokój snopem światła.

- Ale my jesteśmy głupie. Lorneta z Meduzą! Przecież mogłybyśmy wysadzić pół kamienicy w powietrze i tak by się nikt nie zorientował - stwierdziła autorytatywnie, po czym podeszła do drzwi i zwyczajnie włączyła światło.

- Co robisz?!

- Bez hysterii. Jednak jak ktoś patrzy z zewnątrz i widzi jakieś podejrzanе błyski, to chyba gorzej, co? Największe świństwa robi się na oczach wszystkich - zapewniła, jakby miała w tym względzie spore doświadczenie. - Wtedy nikt nie

zwraca uwagi.

Co racja, to racja. Misia z potępieniem pokręciła głową, darowała sobie jednak kazanie.

- To się rozglądajmy! Nie chcesz chyba spędzić tu pół nocy. Czego szukamy?

- Nie wiem. Mnie interesuje, dla kogo nasz pan ochroniarz pracuje.

- Optymistka - Misia nie sądziła, żeby Igła wytapetował pokój nazwiskami swoich zleceniodawców. Jeśli już - do wyciągnięcia z niego jakichkolwiek informacji potrzebne byłoby raczej rozgrzane żelazo.

Z ciekawością natomiast przyglądała się wszelkim drobiazgom, które mogły zdradzić co nieco o właścicielu. Było tu ciasno, ale schludnie. Kawalerka składała się z niewielkiego pokoju (połowę umeblowania stanowiły półki z książkami, z czego aż połowa dotyczyła wina!), łazienki i kuchni. W charakterze przedpokoju występował dywanik z Ikei i wieszak. Stąd miało się widok na kuchenny stolik, pod którym stały trzy pękate baniaki, każdy wypełniony płynem o innym kolorze. Ktoś tu sobie nieźle poczynił.

A gdyby tak spróbować odrobinę?

Na przykład ta żółta naleweczka... Ciekawe, z czego była zrobiona. Gruszki? Morele? Podczas gdy Zuza dzielnie przetrzepywała szuflady biurka, Misia wzięła ze zmywarki szklanę, usiadła na podłodze i z lubością objęła butlę. W środku zachlupało coś przejmująco, jakby tęsknie i już nie można było tego maleństwa porzucić. Odkorkowała więc bianiak i zamarła z nosem przyklejonym do szyjki.

Pigwówka!

Pachniała tak obłudnie kwaskowo, że Misi napłynęła do ust ślinka. Postanowiła upić tylko łyżeczek, przyjechały tu przecież samochodem, ale proporcje owoców, cukru i alkoholu były tak wściekle dobrze poskładane, że z łyżeczka zrobił się łyk, z jednego jeszcze jeden, potem dwa. Potem pół szklaneczki, jeszcze odrobina... Cała szklanka! Przecież Zuza całkiem nieźle prowadziła. Jeszcze pół...

- Miśka! - Zuza wsadziła do kuchni rozczochraną głowę i

prychnęła.

- Ty prowadzisz - ubiegła jej wyrzuty.

- A, chyba że tak. Ale i tak nie podoba mi się, że sama odwalam brudną robotę.

- Chcesz trochę?

- Żeby mi łeb znowu pękał? Nie, dziękuję. A co to za siki?

- Pigwówka. Boska. Poezja i romanse. Dzikie krzaki, namiętności...

- Jasne. Tylko łap umiar, bo jak już widzisz krzaki, to jest średnio. A ja znalazłam coś interesującego - Zuza podniosła do góry pęk kluczy. - Ten wielki - pokazała na najdłuższy spośród żelastwa - to chyba jest od jakiejś piwnicy albo garażu. Bo tu do niczego nie pasuje. A komputer zabezpieczony hasłem. Idziemy?

- Dokąd?

Czy ta Zuza musiała być taka, kurczę, szybka? Przecież pod stołem było tyle dobra. A balon z czerwonym winkiem, jeszcze nienapoczęty, też wyglądał obiecująco. Wręcz przez szkło pachniał malinami. Albo wiśniami. A maliny i wiśnie były mniem!

- Miśka, się weź i doprowadź do stanu użyteczności publicznej. Zostaw te bełty, czy jak im tam, i idziemy szukać piwnicy. Słyszysz?

Zuza nie zamierzała ustąpić, więc Misia z determinacją otworzyła czerwoną butlę i po prostu pociągnęła na chybcika z gwinta. Ponieważ ciężkie to było okrutnie, a rączki miała delikatne, nalewka zbryzgała jej szyję i beżowy płaszczyk aż po pępek, w którym zebrała się teraz, Misia czuła to wyraźnie, słodka kałuża. Ale łyceczek się udał!

- Rewelacja - oceniła uszczęśliwiona.

Pozwoliła więc uprzętnąć Zuzie mały bałagan, jaki powstał podczas tych kilku chwil przyjemności, i wycierając usta, pomaszerowała na balkon. I tu przynajmniej okazało się, że schodzenie po drabinie jest zdecydowanie mniej skomplikowane niż wchodzenie. Przede wszystkim w ogóle się nie bała. A nawet cały ten płask po drewnianych stopniach, te zachwiania, telepanie, bardzo ją bawiły. Przecież nie schodziła

z dziesiątego piętra, nawet gdyby obcas, o właśnie tak jak teraz, gdyby obcas się omskała...

- Miśka, ja cię kręcę, patrz pod nogi.

- Patrzyć! - krzyknęła i trochę zbyt głośno zachichotała, bo Zuza zaczęła ją uciszać.

- Siedź tu, ja obadam piwnicę - zdecydowała i zostawiła przyjaciółkę opartą o murek ozdobiony jakimś napisami.

Misia zaraz się nim zainteresowała. Opadła na kolana i zaczęła literować:

- „KLOPSZTANGA - LOTAĆ - HASIOK - LARMO - OBALIĆ HALBA - PLAC - KULA - BALA - BAJTEL”. Nic nie rozumiem - rzuciła do siebie zasmucona. - Oprócz hasioka i bajtla.

Zuza zniknęła w drzwiach, a Misia znowu zaczęła wyteżać wzrok.

Podwórko nie było duże. Ktoś próbował ratować stare ściany i pokrył je optymistycznymi malunkami różowych i błękitnych kurczaków, które jak nic skojarzyły się Misi z w y- tworem sztuki ludowej w aptece państwa Maziarzy.

Ale to ptactwo przynajmniej nie straszło i dzioby miało nadzwyczaj sympatyczne. Nawet w tak niemrawym świetle nie dało się natomiast nie zauważyć, że próby stworzenia tu artystycznej atmosfery nie do końca się powiodły.

Brukowane podwórko pozostało brukowanym podwórkiem i łatwo można było sobie wyobrazić, jak wyglądało za dawnych lat. Tworzyły je trzy ściany osmolonych budynków. Taka niezbyt foremna kiszka zakończona okratowaną bramą - stąd wychodziło się na ulicę biegnącą wzdłuż torów kolejowych. Przy bramie majaczyły drzwi do małej kamienicy opatrzonej tabliczką: „Mariacka 5a”. Naprzeciwko znajdował się garaż. I to spory.

- Zuza! - krzyknęła Misia, ale zaraz poprawiła się i zaczęła szeptać. - O, zapomniałam... Zuuza!

Ponieważ wołanie nie skutkowało, przekreśliła do przyjaciółki na komórkę. Wesoła muzyczka dotarła jakby spod ziemi i Zuza wynurzyła się po chwili z bramy. Jeszcze bardziej potargana i umorusana.

- Czego?

- Tu jest garaż.

- A tam podziemia. A raczej piwnice, ale upiorne. Jak kazamaty. Cegły, mocz i klepisko. Ale żaden klucz nie pasował - wyjaśniła i otarła pot z czoła. - Dobra, może tu się uda.

Oglądając się na boki, próbowała wcisnąć klucz do zamka garażu, co okazało się wcale niełatwym zadaniem. Światło od okien rzuciło poświatę, która koncentrowała się pośrodku podwórza, jednak poza świetlistym kręgiem Zuza musiała ustawić się bokiem i mocno wyteżać wzrok. W końcu się udało! Po kilku próbach w żelastwie coś zgrzytnęło, klucz przestał stawiać opór, a drzwi odskoczyły.

- Da-dam! - uradowana pozwoliła sobie na okrzyk i już penetrowała latarką wnętrze. - O Jezu! - zapiszczała wzruszona, rezygnując z konspiracji. - Motor!

Misję informacja zmusiła do działania, bo w entuzjastycznym tonie Zuzy wyczytała, że przyjaciółka już widzi siebie poskramiającą mechanicznego mustanga.

Błyskawicznie dopadła więc garażu, który prawie w całości wypełniała lśniąca srebrem maszyna. Na takich cackach Misia zupełnie się nie znała, ale motor wyglądał jak milion dolarów i na pewno nie była to przedpotopowa Jawa.

- Jak się zewrze jakieś druciki, to powinien odpalić - Zuza już szukała czegoś przy kierownicy.

- Ani się waż!

*

Igła wrócił do mieszkania, zaparzył sobie gorącej, aromatycznej kawy i z ciekawości przejrzał historię wyszukiwania w komputerze Misi.

Polanica Zdrój?

Skubana! Sądząc po stronie kliniki (tej samej, w której niejaki Maziarz wykonał operację plastyczną) i przeglądanych mapach, pani Skoczylas jak amen w pacierzu planowała wycieczkę w góry. I kto wie, czy nie miało to nastąpić jutro. Jutro? Jutro po południu umówił się na zakładanie nowych drzwi,

miał też zamiar załatwić sprawy papierkowe w urzędzie. Ale gdyby tak odpalił motor i wyjechał bardzo wcześnie, na pierwszą byłby z powrotem. I to on pierwszy dopadłby zdjęcia Maziara. Bo coś mu się zdawało, że właśnie o nie toczyła się gra.

Dopił kawę i korzystając z faktu, że Misia pojechała do Zuzy, zrobił kopię karty choroby. Tak na wszelki wypadek. Coś mu również podpowiadało, że teczka, której stał się właścicielem, będzie bezpieczniejsza w jego dziupli na Mariackiej. Mały przegląd hondy przed trasą również nie zawadzi. Zarzucił więc na siebie płaszcz i zszedł do auta.

Dla właścicieli czterech kółek Tysiąclecie było położone wręcz idealnie. Mnóstwo zieleni, przestrzeń i Trasa Średnicowa, która poważnie odciążała zapełnione samochodami miasto. Korki zdarzały się tu dopiero na Chorzowskiej, do Silesii City Center jechało się prawie nieprzerwanie. W centrum w godzinach szczytu toczyła się natomiast walka o przetrwanie i motocykl był jedynym sensownym rozwiązaniem. Co innego nocą. Nocą śmigający ulicami Katowic mogli doznać pełni szczęścia. Choćby pomykali po nich czołgiem. Pustostan i spokój wynagradzały mieszkańcom wszelkie udręki, jakimi miasto raczyło ich w ciągu dnia.

Igła dotarł do siebie po piętnastu minutach. Otworzył drzwi bramy, z cierpkim uśmiechem stwierdzając, że murale na klatce schodowej wzbogaciły się o kolejny wymowny napis („Jebać policje”) i wbiegł na piętro. Nie zamierzał tu długo zabawić. Jeśli chciał jutro wstać o szóstej i jako tako kontaktować, wskazane było jak najszybsze dotarcie do łóżka. Już teraz przygotowuje sobie kombinezon, sprawdzi...

Otworzył drzwi, ściągnął w biegu płaszcz i stanął jak wryty.

Ale tylko na krótką chwilę.

Potem rzucił się przeszukiwać mieszkanie.

TASAK?

W jego pokoju znajdował się najprawdziwszy tasak. Leżał sobie na stole, ślady zaschniętej co prawda krwi nie zdobiły jego ostrza, ale do jasnej ciasnej, żelastwo nie spadło przecież z

nieba. Musiało się tu jakoś znaleźć.

Tylko jak?!

Po dokładnych oględzinach stwierdził, że mieszkanie niby było puste, ale ktoś w nim najwyraźniej myszkował! W kuchni jakaś podlizna dorwała się do jego alkoholu, a poprzekładane papiery w biurku również zdradzały, że ktoś wściubiał w niego.

W pewnym momencie, kiedy wzrok Igły znowu otarł się o srebrne ostrze, przyszła mu na myśl Misia. Przyszła i już. Nie poprzedzała tego żadna logiczna analiza ani skomplikowana dedukcja. Ujrzał po prostu oczami wyobraźni każdą z barwnych scenek rodzajowych, jakich był świadkiem od dnia poznania żony szefa aż do chwili obecnej, a w każdej z nich odgrywała rolę inna broń sieczna. ŁOPATA. MŁOTEK. TASAK.

Czy to nie układało się czasem w jedną całość? Misia w jego mieszkaniu? Ale jak by się tu dostała? Klucze nosił przecież cały czas w kieszeni, rozstawał się z nimi jedynie w nocy. W nocy...? Igła pomyślał o ostatnich odwiedzinach pani Skoczylas w jego pokoju i stwierdził, że chyba znowu dał się podejść. Obiecując sobie w duchu, że po raz ostatni uwierzył tym szarym oczom, stanął przy oknie balkonowym i wszystko się wyjaśniło. Były uchylone, a przecież zatrzasnął je, właśnie dlatego że klamka występowała jedynie w roli atrapy. Misia jako kobieta pajak?! Odnóża, włoski, sieć... Rany Boskie!

Zgasił światło i po cichu wyszedł na balkon. Bardzo po cichu. Nie wykonywał żadnych ruchów, jedynie oddychał i patrzył. Patrzył i patrzył, aż gałki oczne zaczęły się mu wywracać na lewą stronę. Ktoś włamywał się właśnie do jego garażu! Honda...

Nie zostawi swojej srebrnej ślicznotki.

Czując, że adrenalina pozbawia go tchu, bezszelestnie wrócił do pokoju i dopadł drzwi. Starając się nie robić zbyt dużego hałasu, zbiegł na dół, modląc się, żeby nie poplątały mu się nogi, bo przeskakiwał po kilka stopni naraz. Dotarł na podwórko i zdaje się, że nikt nie odkrył jego obecności, bo w garażu, wily się wstęgi światła i słychać było nieco zniekształcone głosy.

Igła przystanął i nadstawił uszu.

Miśka! I ta jej Zuza. Co za nieznośne, uparte baby. Jak trądzik! Pozbędziesz się jednej krosty, zaraz wyskakuje druga. Jednak stare polskie przysłowie mówi prawdę. Gdzie diabeł nie może...

- Po co go w ogóle dotykasz?

- Żeż kurdę... Jak mamuśka... Tylko sobie posiedzę. I poimaginuję. Przecież nie będę jeździć motorem po Mariackiej.

- Po Mariackiej może i nie. Ale podejrzanie łypiesz na tylną bramę. Może się mylę?

- Oj tam... Nawet nie wiem, jak go odpalić. To znaczy tym drucikom chyba dałabym radę, jak myślisz?

- Możemy już stąd iść? Zabierajmy tasak... Tasak? Zuza, gdzie jest tasak?!

O, i to był najwłaściwszy moment, żeby dać tym wariatkom nauczkę.

Igła wystartował do drzwi (uprzednio upewnił się, że klucze zostały na zewnątrz), łupnął nimi z impetem o ścianę i szybko zamknął. Zaraz dobiegły go od wewnątrz głucho uderzenia, ale mogły sobie kobiety walić, nie żałować. Spokojnie. Ponieważ często grzebał w swojej maszynie, a nawet ulepszał silnik, co wymagało wsłuchiwania się w jego muzykę, wytłumił drzwi na tyle skutecznie, żeby dźwięki nie przeszkadzały sąsiadom.

Miśka trzymała go na wycieracze i chciała wyrzucić z mieszkania.

Dobrze pamiętał, jak kwitł na korytarzu ze skrzynką Los Vascos.

To niech sobie teraz Harda pocierpi.

A on się zastanowi, jak z nimi porozmawia, kiedy je jutro rano wypuści.

*

Wszyscy dzielnicowi z interesujących Marchewkę rejonów otrzymali bardzo jasny komunikat. Gdyby na ich terenie działa się cokolwiek podejrzanego, mają nie czekać, tylko walić z tym do niego, nawet gdyby godzina była mocno niewczesna.

Dzielnicowy, któremu podlegała Mariacka, jak najbardziej się do tego zastosował i kiedy tylko otrzymał zawiadomienie od doskonale znanej mu pani Gertrudy (ucinali sobie regularne pogawędki), zadzwonił do komisarza, który był zresztą jego dobrym kolegą.

- Mam w rewirze taką złotą babcie - zawiesił kusząco głos po tym, jak już się przywitał, ale Marchewka, który spędził cały dzień w podróży, przeszedł od razu do konkretów.

- Stary, bez barokowych wstępów, co? Padam z nóg. A raczej z kierownicy, bo od paru godzin, z przerwami, siedzę za kółkiem.

- Babcia zgłosiła mi włamanie na Mariackiej 5. Pierwsze piętro. Powinno cię zainteresować, bo tam, zdaje się, wynajmuje kawalerkę twój dobry znajomy, niejaki Igła.

- O! - komisarz poczuł nagle, że wstępują w niego nowe siły. - Marcinek, to sobie odpuść. Jadę! Jestem na Chorzowskiej, zaraz zawracam.

- Ależ proszę cię bardzo. Odpuszczam i idę spać. Chyba żebyś nie dał rady, wtedy dzwoń po wsparcie.

Marchewka znał kamienicę bardzo dobrze, zaglądał regularnie do Lornety z Meduzą - czasem z obowiązku, czasem dla przyjemności. A ponieważ był poważnie skrzywiony zawodowo, lubił wiedzieć, co w trawie piszczy. A w kamienicy piszcząco, odkąd zamieszkało tam dwóch wyrostków z domu dziecka, którzy nie żalowali sobie paliwa i spraszali na Mariacką szemrane towarzystwo z całych Katowic. Oj, miał się nimi Marcinek, miał. Zdaje się, że powstały niedawno napis na klatce schodowej zdradzający stosunek części społeczeństwa do policji był dziełem tej dzielnej dwójki lub ich przyjaciół.

Komisarz postanowił jednak wejść do budynku z tyłu, od strony torów. Z tego względu zabrał z auta wytrych i sprawnie poradził sobie z furtką. Następnie dał susa w zacieniony kąt i bacznie obserwował mieszkanie na piętrze. Póki co nic się tam nie działo. Okna były ciemne, ze środka nie odbijał się tam nawet najślaby blask. Za to na podwórku...

Co to za dziwne dźwięki?

Komisarz nastawił uszu i próbował ustalić, skąd dobywa się

to rytmiczne dudnienie. Nie, nie rytmiczne. Teraz na przykład nastąpi cisza, jeśli nie liczyć odgłosów z mieszkań, głównie pochodzenia telewizyjnego, ale po chwili załomotało jeszcze głośniejsze. Łup, łup! Zupełnie jakby ktoś ubijał schabowe, co o tej godzinie było raczej wątpliwe. Zaintrygowany przesunął się cichaczem ku bramie wejściowej, a im bliżej niej się znajdował, tym dźwięki stawały się wyraźniejsze.

- ...Ooocy! - usłyszał, kiedy znalazł się przy garażu i teoria kotletowa upadła zupełnie, tym bardziej że załupało znowu.

Komisarz postąpił kilka kroków do tyłu, jeszcze raz przyjrzał się balkonowi, po czym zdecydował. Sprawdzi garaż. Jeśli to jakieś dzieciaki robią sobie głupie żarty... Zamek nie stanowił żadnego problemu, po kilku ruchach ustąpił, i Marchewka, nieco nastroszony, otworzył drzwi.

I zwątpił.

W świetle dyndającej pod sufitem żarówki zobaczył Hardą, która najwyraźniej nie czuła się najlepiej w małych pomieszczeniach, bo zipsała jak smok, a kiedy tylko poczuła wolność, wyprysnęła na zewnątrz i, co tu kryć, puściła pawia. Towarzyszyła jej... Zuza. Ta siedziała okrakiem na motorze i machała bez specjalnego entuzjazmu nogami odzianymi w czerwone trampki. Była zmęczona. Oczy miała podkrążone, loki poskręcane i potargane. Zdaje się, że usiłowała nie poddawać się rozpaczom. Ileż one tu musiały tkwić w tym zamknięciu, biedactwa!

Na widok komisarza Zuza złożyła usta w ciup, potem cała pojaśniała i wypowiedziała najpiękniej, zupełnie najpiękniej i najczulej jego imię:

- Pietr...ek! Pietrek, jak ja się cieszę! - po czym cała w skowronkach rzuciła się komisarzowi w ramiona.

Warto było włamać się do cudzego garażu. Wzruszony komisarz celebrował tę upojną chwilę, wtulał się z całych sił w pachnące ciało, ale ciało zaczęło się nagle wyrывać.

- Misia, co ci jest? - Zuza przekreśliła się Marchewce w uścisku i zawisała nad przyjaciółką.

- Niedobrze mi - wyzipsała Harda, wciąż kucając na podwórkowym bruku.

Nigdy więcej pigwówki.

- Piotruś, dobrze, że nas znalazłeś. My... Tu... Tu mieszka Igła.

- Mój kochanek - Harda dodała słabo, po czym jej żołądek znowu pozbył się zawartości.

Zuza na te słowa omal nie wypadła komisarzowi z rąk.

- Halo! Jaki „kochanek”? Miśka! Nie rzygaj w takiej chwili. Co to znaczy „kochanek”?

- Może wyjaśnicie sobie pewne sprawy później - Marchewka pociągnął Zuzę do siebie i teraz jej twarz w kształcie jabłka - nawet pachniała jabłkiem! - znalazła się bardzo blisko jego twarzy. - Czemu siedziałyście tu zamknięte?

- Właśnie, nie wiem. Nie wyjęłyśmy klucza z drzwi i chyba komuś zachciało się, cholera, żartów.

- A co tu robiliście?

- Igła poprosił, żebyśmy mu przyniosły... - Zuza zająknęła się i popatrzyła na półki, gdzie w pojemnikach znajdowały się przeróżne narzędzia. - Jak to się nazywa? Obcegi? Bo jutro Igła będzie wymieniał drzwi - dokończyła z uśmiechem i położyła swojemu wybawcy pieśczośliwie rękę na ramieniu, po czym jakby się zatroskała. - Piotruś, ale jak my teraz ten garaż zamkniemy? Bo ty przecież pomogłeś sobie... wytrychem?

- To zostaw mnie - komisarz poprawił niesforny lok, który wchodził Zuzie do oczu. Zamierzał zaplombować drzwi i zwyczajnie zadzwonić do Igły z informacją, że dostał zgłoszenie o próbie włamania, ale po co rozwiewać nimb tajemniczości, który otulał teraz jego wątłą osobę.

- Ale wytrychem? - Zuza drążyła.

- Pozwolisz, że to przemilczę.

- Pewnie, przemilcz. Ja tylko popatrzę.

Piotrek Marchewka przełknąłby nawet i obcegi, chociaż wcale nie wierzył w sprzedaną mu historyjkę, ale kiedy Harda wreszcie poczuła się lepiej i mogła poruszać samodzielnie kończynami, Zuza zawahała się, sięgnęła ręką na dach, a na koniec rzuciła z mocą:

- Ale drabiny nie zostawię!

Z tego wszystkiego zapomniał więc o zabezpieczeniu garażu.

*

Zuza lubiła męskie towarzystwo, a nawet było jej ono niezbędne do szczęścia, ale wszelkie znajomości kontynuowała nie dłużej niż kilka miesięcy. Mało kto uwierzyłby, że to zadziorne chuchro tak naprawdę wznosi wokół siebie dwumetrowe zasieki i wręcz cierpnie na myśl, że mogłoby dopuścić mężczyznę do swoich wszystkich skrzętnie ukrywanych uczuć i tajemnic.

Bo największą tajemnicą Zuzy była obawa, że zostanie wystawiona do wiatru.

I na tym wietrze pofrunie wykorzystana i zrobiona w balona.

A wiatr będzie wiał.

I dął.

I unosił balonik hen ponad polami obsianymi gryką i rzepakiem.

Jako osoba świadoma Zuza doskonale zdawała sobie sprawę nie tylko ze swojej ułomności, ale i z faktu, że drażący ją problem ma zapewne przyczynę w dzieciństwie. Po prostu jej rozrywkowa rodzicielka wołała w młodości szaleć i bez żadnych skrupułów podrzucała swoją córkę babci, czasem nawet na kilka miesięcy. Ta świadomość nie zmieniała jednak realizowanego przez Zużę od zawsze scenariusza. Upajała się kolejną męską postacią pojawiającą się na scenie Zielonego Zaułka, cieszyła się nowymi doznaniem, po czym starała się ubiec przeciwnika i z godną podziwu konsekwencją szukała pretekstu do rozstania. Potem następowało kilka tygodni spokoju, Misia robiła za jej rodzinę i produkowała ciepło domowego ogniska, po czym cała historia zaczynała się od nowa. I czy można było nie czuć się patologią?

Zuza się czuła.

Ale nie umiała zmienić swojego nastawienia. Może dla innych kobiet mężczyźni są czułymi odkrywcami nowego świata, którzy usuwają spod ich stóp puch, co by dama nie wywinęła orła, stąpając po tym padole w swoich seksownych

szpilkach, miau. Ale dla Zuzy zawsze byli przeciwnikami, których należało rozszyfrować i przechytryć. I najlepiej na dzień dobry raziłaby ich prądem - owszem, może to i niezbyt humanitarne, ale udawanie wielkiej miłości, żeby dorwać się do damskiego tyłka zdecydowanie zasługiwało na karę. Tu jakiś głos podpowiadał Zuzie, że tak samo mało eleganckie było pozorowanie uczucia, żeby zawładnąć męskim portfelem, ale kto by tam słuchał głosów. Zuza nie zamierzała cierpieć, a ponieważ to nieuchronny element miłości, pozostawały jej jedynie miłostki i zastępcze westchnienia. Jeśli jednak były to westchnienia rozkoszy, chętnie się na taki ekwiwalent godziła.

Tymczasem Piotrek Marchewka był jakiś taki malutki. I albo ją irytował, albo rozczulał, co wcale nie musiało się jej podobać.

W każdym razie nie stanowił jednak zagrożenia.

Chociaż tyle.

Poza tym Zuza już jakiś czas temu odkryła, że mogłaby się z Marchewką nawet zaprzyjaźnić. Te niebieskie oczęta patrzyły szczerze - owszem spojrzenia ciasno przylegające do jej biustu również rejestrowała, ale błyszczał w nich nabożny zachwyty, a nie lubieżny plan - i nadspodziewanie miło się jej z nim rozmawiało.

- Nauczysz mnie otwierać drzwi wytrychem? - zapytała więc gładko, kiedy już zajęła miejsce na przednim siedzeniu jego upiornie brudnego samochodu.

Marchewka zerknął na zwłoki Misi, które skuliły się na ławeczce pod Złotym Rogiem, i zaproponował, że odwiezie je do domu. Teraz właśnie kończył układać przyjaciółkę na tylnym siedzeniu i upychał jej troskliwie pod głowę swój sweter, starając się jednocześnie nie uderzyć Zuzy przełożoną nad siedzeniami drabiną. Bardzo miło z jego strony.

- Gdzie zaparkowałyście?

- Na Dworcowej. Nauczysz? Proszę...

- Gdzie na Dworcowej?

- Pod Hotelem Monopol.

- A, to może być. Jutro sobie odbierzecie.

- Nauczysz? Odwdzięczę się - zakwilila obiecująco, ale Marchewka spojrział dziwnie spłoszony i otworzył drzwi od

strony kierowcy. Zaczął pieczołowicie uprzątać spod swojego siedzenia jakieś szmaty.

- Ja w ogóle nie wiem, o czym mówisz - powiedział wreszcie na zakończenie i powędrował do bagażnika, z którego wystawał koniec drabiny. Gmerał przy niej i gmerał, jakby miało to gwarantować ucięcie tematu.

A więc to tak?

Taki niby z niego przyjaciel, taki pomocny komisarzyk, ale nie potrafi się zdobyć na szczerłość w tak głupim temacie jak włam do czyjegoś zafajdanego garażu. Jakby to miało zburzyć jego wizerunek doskonałego policjanta metr pięćdziesiąt w czapce.

W Zuzie się zagotowało.

Zważywszy, że powzięła pewne plany w stosunku do domu Riczardy, opanowanie sztuki otwierania zamków bardzo by jej ułatwiło zadanie. Poza tym była to umiejętność, którą z powodzeniem wykorzystywałaby w przyszłości i to bynajmniej nie do kradzieży czy innych haniebnych czynów. O nie, po prostu gdyby jakiś fatygant wydawał się jej podejrzany, można by sobie elegancko i niepostrzeżenie wprosić się do jego mieszkania i obadać sprawę. Szuflady z narzędziami, maile, zabawki. I obraz przyszłego oblubieńca od razu stałby się bardziej zwarty.

A Marchewka wrzucił coś do schowka przy radiu. „Coś” wyglądało jak futerał i jeśli nie był to komplet wytrychów, to Zuza jest niewinną dziewczicą. Więc niech sobie policjancik jeszcze chwilę pogrzebie przy bagażniku, nie widziała przeciwskażeń.

- Proszę cię! Przecież nikomu nie powiem - zawołała więc z udawaną rozpaczą i obserwując Marchewkę w tylnym lusterku, dobrała się cichaczem do futerału. W kieszeni przy drzwiach namacała jakiś śrubokręt, który szybko powędrował na miejsce upragnionego żelastwa.

Jest!

Udało się.

Komplet zakrzywionych drucików, które przypominały wyglądem narzędzia dentystyczne, spoczywał w jej kieszeni!

Wpisze sobie w wyszukiwarkę „jak otworzyć zamek wytrychem”, trochę poćwicy i może odnotuje na swoim koncie kolejny sukces?

*

Igła początkowo nie czuł najmniejszego zawahania.

Wścibstwo powinno zostać ukarane.

Ale im dalej znajdował się od Mariackiej, tym więcej pojawiała się w jego głowie znaków zapytania. W zasadzie to nie spędził jeszcze w garażu więcej niż pięciu godzin pod rząd. Kwietniowe noce wcale nie są jeszcze takie ciepłe, a garaż nie był ogrzewany. Nie wiedział również, czy dochodziło tam powietrze. Z uszczelnieniem naprawdę się postarał. Może więc powinien zawrócić?

Baby dostały nauczkę, a nie wiedziały, kto je zamknął, co dobrze rokowało. Mógł po cichu otworzyć drzwi i uciec przez bramę przy torach, żeby go nie zobaczyły. Konspiracja była jak najbardziej wskazana, bo przecież zamierzał przyglądać się ich dalszym poczynaniom.

Rozsądek wziął jednak górę. Igła zaklął kilka razy, ale skręcił pod „Silesią” i z powrotem pojechał do centrum. Do mieszkania zamierzał zajrzeć za chwilę, zaczął więc od podwórka. I zdziwił się tego dnia po raz kolejny.

Garaż zastał otwarty, a po Misi i Zuzie nie było śladu.

Nie potrafił pojąć, jak udało im się stąd wydostać, w końcu stwierdził, że zamek musiał być popsuty. I chociaż przekręcał go teraz jak szalenciec po kilka razy w tę i w tę, żelastwo działało bez zarzutu. A może wtedy tylko wydawało mu się, że przekręcił klucz? Całkiem skołowany skoczył jeszcze do mieszkania sprawdzić, czy łom znajduje się na swoim miejscu, ale przynajmniej tu nie czekała go niespodzianka. Łom leżał, tak jak poprzednio, na stole. Nieco uspokojony wszedł do auta i popędził na Tysiąclecie.

Misi nie zastał i już chciał do niej dzwonić, kiedy usłyszał chrobotanie w zamku, a następnie hałas w przedpokoju. Zdaje się też, że ktoś nie wyrobił przed szafką na buty. Z odgłosów wywnioskował, że Misi towarzyszyła Zuza. Papużki

nierozłączki, jakże by inaczej...

Rzucił się na łóżko i nasłuchiwał. Jedna z nich zamknęła się w łazience i wzięła prysznic, druga trzaskała garnkami w kuchni. W końcu jednak się zeszyli.

- Lepiej ci?

- Lepiej - rozpoznał głos Misi. Brzmiała, jakby była chora, co trochę go zaniepokoiło. - Muszę się napić herbaty. Igła śpi?

Zuza zajrzała do pokoju.

- Jak dziecko. Albo jak dorodne, dwumetrowe bydlę. Ale lepiej bądźmy cicho... Herbatę już zrobiłam, stoi na murku. Pij, ja poszukam teczki.

Igła usiłował miarowo oddychać, ale ostatnie słowo dosłownie nim wstrząsnęło. Skąd WIEDZIAŁY o teczce? Śledziły go? Inne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy. Zdaje się, że nie docenił czarownic. Swoją drogą, jakie to było z jego strony genialne, że wywiózł wszystkie papiery na Mariacką. Koniecznie musi też wymienić drzwi balkonowe.

Przetrząsanie jego rzeczy i wywracanie pokoju do góry nogami przy świetle komórki zajęło Zuzie raptem kilka minut. Potem dołączyła do niej Misia.

- I co?

- Nic nie ma, nawet kartoteki Maziarza. Musiał gdzieś schować, ale na pewno nie tu. Sprawdzalam nawet pod dywanem.

- Nie uważasz, że on jest śliczny? - zakwiliła Misia i zaraz poczuł, że stanęły przy łóżku we dwójkę i wycelowały w niego wyświetlaczem. Pod powiekami zobaczył wirujące białe kręgi.

- Ma włosy w nosie, ale śliczny - zgodziła się Zuza i mlasnęła. Chyba się do niego nie dobiorą?! - Tym gorzej dla ciebie. Śliczni mają zazwyczaj podłe charaktery. Rzadko, bo rzadko, ale wyjątki się jednak zdarzają, to fakt. Ale jak takiemu od małego powtarzają, że jest śliczniusi i słodziusi, to zaczyna w to wierzyć. I kobiety mają potem z takim przekichane.

- On nie ma podłego charakteru - Misia stanęła w jego

obronie i chociaż powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, poczuł, że robi mu się ciepło na sercu. Najchętniej by ją teraz uściskał. - Chyba.

- Na początku facet zawsze wydaje się niepokalany, cnotliwy i wspaniały. A prawda jest taka, że co drugi to nosiciel candida. I potem całe kieszonkowe idzie na probiotyki.

- Kurczę, Zuza. Jak ty coś czasem walniesz, to nawet po pigwówce to trudno przełknąć. Dobra, już go tak nie podświetlaj...

- Widzisz? Pod okiem... Przechodził ospę! - Zuza zachichotała i Igła musiał przekręcić się na drugi bok, bo obawiał się, że dłużej nie wytrzyma. Z tłumionej wesołości zaczynał go boleć żołądek.

- Ciii... I tak mi go nie zohydzisz. Wyłączaj tego rentgena!

- Wyłączam. Bierzymy jego telefon, leży na stole. Produkuje pole i dzwonię po taksówkę. Padam na twarz.

- To może damy sobie dzisiaj spokój z tym polem?

- Przestań. Chcesz zatrzymać bieg historii? Never, idziemy do kuchni i odpalamy mikrofalę.

Pole?

Mikrofalówką?

Czyżby chodziło o to sławetne pole magnetyczne, które wytwarzała Misia?

A to WIEDŹMY!

Chwila, moment, czy te pomysłowe dziewoje nie przymierzały się czasem, żeby usmażyć jego iPoda?! Funkcja „grillowanie”... Przecież zaraz rozpęta się tu piekło. Wybuchy, zwarcia, szkody na ciele i umyśle, dziury w kafelkach... Stać! Nie mógł do tego dopuścić.

- Misia, to ty? - udał, że właśnie się przebudził. Przez moment trwała pełna napięcia cisza, potem ktoś cichutko przemknął do przedpokoju, szcęknęły drzwi i usłyszał:

- To ja. Czego tam?

A, prawda. Dwa metry. Szerokość korytarza. Ale nie dał się zwieść, nie po tym, co przed chwilą mówiła nad jego łóżkiem.

I nie zapominajmy, że przecież postanowił ją uwieść.

- Która godzina? - rzucił w kierunku kuchni, a ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, dzwignął się z łóżka. - W porządku, nie odpowiadaj. Zaraz sobie sprawdzę na komórce.

- Chcesz może herbaty? - Misia zareagowała od razu i zaraz znalazła się w jego pokoju. A wraz z nią pomieszczenie wypełnił delikatny zapach cytryn. Podeszła do stołu i chcąc niepostrzeżenie odłożyć telefon, nachyliła się w jego stronę. Światło z przedpokoju oświetliło od tyłu jej miękką, kobiecy kontur i Igła przepadł.

Chwycił Misie wpół i dał wyraz buzującym w nim emocjom.

Te opadły dopiero po godzinie, kiedy zdyszani leżeli nago na podłodze (korytarza!) i wciąż byli ze sobą spleceni. Od strony salonu niemal bezszelestnie zakradła się Pyza i jej miauk, Igła dałby się pokroić, zabrzmiał niczym „Fuck!”.

Nie mógł się z kocicą nie zgodzić.

*

Misia obudziła się następnego poranka tylko dlatego, że telefon nie przestawał dzwonić.

I w tym był lepszy od wyłączonego niedawno budzika.

Nie sprawdzając godziny, wyciągnęła rękę i odszukała komórkę, którą zawsze zostawiała przy łóżku. Bo tu właśnie doczołgała się wczoraj po prawie najlepszym seksie w tym miesiącu.

I w tym roku.

A może nawet w ostatniej dekadzie?

Prawie, bo szczegóły techniczne były jeszcze do dogrania, ale to wiadomo. Natomiast ładunek emocjonalny przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Mimo tego po prawie najlepszym seksie ostatniej dekady zaczęła się zastanawiać nad intencjami Igły i zdaje się, że wyszło jej z tych rachunków coś nie tak, bo zamiast nadal się w niego wtulać, posłała mu buziaka i uciekła do swojego pokoju. Musiało się w niej poukładać.

Doskonale rozumiała facetów, którzy po chwilach rozkoszy ewakuowali się z mieszkania oblubienicy w siną dal. Spanie w jednym łóżku jest gorsze niż seks. To znaczy jest jeszcze bardziej intymne niż seks. Bo co innego dokazywać wśród

poduszek, a co innego ułożyć się w tych piernatach do snu. Razem. Ludzie różnie się przecież układają, w nocy wierzgają i puszczają wiatry i istnieje poważne ryzyko, że wzniosłe nocne szaleństwo zderzy się rankiem z brutalną prozą życia. A twarz bez makijażu bywa nie lada wyzwaniem. W każdym razie jest się czego bać i Misia się bała.

Bo Igła był bezapelacyjnie wspaniały.

- Pani Misia? - usłyszała w słuchawce przejęty głos Ryszardy, a ponieważ jeszcze nie całkiem się obudziła, wydukała jedynie:

- Ja.

- Pani Misiu, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale nas jest więcej!

- O, naprawdę?

- Naprawdę! Jesteśmy nie tylko pani i ja.

- To chyba dobrze? - wymamrotała uprzejmie, choć zupełnie nie rozumiała, o co chodzi.

- Fatalnie! Henio ma nas więcej.

- Mnie Henio nie ma. Ja Henia pieprzę - rzekła i dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, co powiedziała.

Podświadomość, jak nic podświadomość! Wystarczy potarzać się po panelach z facetem, a już z ust płyną wyrazy. Pięknie. Bluzga niczym Zuza po szybkim numerku. Na szczęście Ryszarda nie poczuła się urażona.

- Właśnie, niestety chyba o to chodzi - wyznała i głos zaczął się jej łamać. - Bo tu jest napisane, że on kontroluje bękarty i wdowy. Ja to się chyba zaraz zabiję! Jak mógł mnie tak oszukać... To ile on ma tych dzieci? I z kim?! Pani coś wie?

Misia w momencie oprzytomniała. Groteska, najprawdziwsza groteska. Ale czemu skoro świt? Na takie scenki rodzajowe była zupełnie nieprzygotowana.

- Zaraz, co się w ogóle dzieje?

- Otwieram dzisiaj Worda w laptopie Henia, chciałam znaleźć jeden dokument... I co widzę? Proszę, mogę powiedzieć po kolei, bo nie zamknęłam. - Ryszarda smarknęła i zaczęła czytać na głos: - Narzędzia główne. Akapit. I na dole klikam w takiego ptaszka i wchodzę w

podziały wiersza i stron. A tu, pani Misiu, jak byk. Odhaczona „kontrola bękartów i wdów”. Rozumie pani? Bękartów!

Misia o mało nie udławiła się śmiechem. Ryszarda biła swoją „oryginalnością” wszystkie znane jej osoby. Kontrola bękartów i wdów!

- Pani Rysiu, to jest tylko taki zapis w programie - odchrząknęła. - Wszyscy to mają. Chociaż, faktycznie, brzmi dziwnie, ale podejrzewam, że to kwestia tłumaczenia. Word nie powstał przecież w Polsce.

- Jak... to? - Ryszarda zająknęła się i Misia wyobraziła sobie jej minę.

- Niestety. To znaczy stety, ale niepotrzebnie się pani zdenerwowała. Z tego, co się orientuję, chodzi o przerzucanie pierwszych i ostatnich linijek akapitu na kolejną stronę. Żeby to się działo z automatu.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Ojej, jak mi głupio... Co pani sobie teraz o mnie pomyśli...?

- Nic się nie stało.

- Stało się, stało. Jak ja się pani za to wszystko odwdzięczę?

- Nie... - Misia znowu chciała uspokajać Ryszardę, ale przecież powinna skorzystać z okazji i pozbyć się wreszcie z mieszkania regionalnego szmelcu! - Chociaż... Chyba poproszę panią o przysługę i obie będziemy zadowolone.

- Oczywiście, proszę się nie krępować.

- Czy mogę przywieźć do pani rzeczy Henryka? W sensie: dzieła sztuki. Rzeźby, wiechcie słomy, to znaczy... Snopy kłosa...

- Tak! - pani Ryszarda od razu wiedziała, o co chodzi, i nawet nie pozwoliła jej dokończyć. - Henio się ucieszy. Ja też. Już dawno myślałam, żeby zmienić coś w wystroju. A poza tym... To będzie znaczyło, że zamieszkamy ze sobą na dobre - wyznała nieco spłoszona.

- W takim razie jesteśmy umówione? Tylko nie wiem, kiedy się z tym uwinę, trochę tego jest.

- Nie ma sprawy. Jeszcze raz przepraszam za telefon, mam nadzieję, że nie obudziłam?

- Yyy... - Misia rozważała właśnie, jak uniknąć odpowiedzi, kiedy dotarło do niej, że dzisiaj wyruszają z Zuzą do Polanicy i że w związku z tym planowała wcześniej wstać. - A właściwie która jest godzina?

- Siódma.

- Już? To świetnie, że pani zadzwoniła, bo inaczej bym zasnęła. Zresztą i tak miałam się do pani odezwać, bo jutro urządzam firmową kolację, na którą panią zapraszam.

Ryszarda pozachwycała się jeszcze chwilę pomysłem Misi, choć wyraziła lekkie wahanie co do akceptacji Henia, i wśród ochów i achów rozłączyła się, a Misia została wreszcie sama ze swoimi myślami.

Bo jakoś trzeba było z Iglą rozmawiać.

A żeby rozmawiać, musiała wiedzieć, co dalej.

Faceci mają generalnie zupełnie inny stosunek do... stosunku niż kobiety. Taki raczej biologiczny. Zuza przyrównała kiedyś akt płciowy w rozumieniu mężczyzn do różnych czynności fizjologicznych, z których najłagodniejsze było smarkanie. Oczywiście mowa o stosunkowaniu się bez szalonej miłości. Bo z miłością, wiadomo, nie robmy z facetów przybyszy z innej galaktyki. Wprawdzie Mars i Wenus dzielą tysiące kilometrów, ale obie planety znajdują się w tym samym układzie słonecznym. Mężczyźni też potrafią kochać, w to Misia święcie wierzyła. Po prostu nieco inaczej wyrażają swoje uczucia i chwalała im za tę odmienność.

Tylko czy w przypadku Igły chodziło o uczucia czy o... smarki?

Póki co Misia nie była pewna, ale nie otrzymała odpowiedzi, bo kiedy na palcach zakradła się do pokoju gościnnego, z wielkim rozczarowaniem stwierdziła, że jej kochanek wyparował. Obeszła całe mieszkanie, znalazła, jego rzeczy, ale sam Iglą rozpląnął się w powietrzu. Mógł pójść do sklepu, do urzędu albo do firmy; opcji było wiele. I wcale nie miał obowiązku jej o tym informować. Zresztą, co ona sobie wyobrażała.

Coś tam jednak musiała sobie wyobrażać, bo z niespotykaną

jak na nią furią zabrała się za pakowanie regionalnego chłamu Henryka.

A kysz!

*

Zuza dotarła wczoraj do siebie o strasznej godzinie, ale nie mogła się powstrzymać i przed pójściem do łóżka sprawdziła jeszcze Facebooka. Odpisała na kilka wiadomości od lokalnych wielbicieli i, chociaż pogodziła się już z utratą Zeptera, dodała nowy wpis: „Jak wyczyścić osmalony garnek? Proszę o rady”. Pomimo późnej pory otrzymała kilka odpowiedzi i pominąwszy ambitne żarty w stylu „kupić nowy”, zastanowiła się nad komentarzem jednej z koleżanek, która sugerowała zamoczenie gara w innym, większym, i wrzucenie tam dwóch tabletek do zmywarki. Tak też Zuza zrobiła i dopiero wtedy udało się jej zasnąć.

Poranek zaczęła oczywiście od sprawdzenia efektów i była nieco rozczarowana. Owszem, coś się tam wydarzyło, brązy przeszły w żółcie, żółcie zbladły, parę brudków odpadło, ale garowi nie zaszkodziłyby kolejne zabiegi spa. Może teraz pójdzie lepiej? Założyła więc rękawice, zakasała rękawy i przy dźwiękach radia ruszyła do natarcia. Szorowała z pasją, bo jednak perspektywa kisenia w Zepterze ogrodowego łąjna - to trochę bolało. Szorowała i szorowała, zaczynało się jej już robić gorąco, kiedy...

Czy to złudzenie?

Dno jakby się poruszyło!

Zuza obadła dokładnie spód naczynia i wynik tych oględzin był jednoznaczny.

GAR MIAŁ DOKRĘCANE DRUGIE DNO!

O takim numerze nie słyszała, a o garnkach Zeptera wiedziała przecież wiele, bo od dawna miała na nie chrapkę. Zakręciła więc czym prędzej wodę, wytarła naczynie i usiłowała rozwikłać zagadkę, pomagając sobie przy tym obiema rękami. Po kilku chwilach dno stęknęło i Zuza trzymała teraz w dłoni stalową nakrętkę, z której wypadła jakaś szmatka. Rozchyliła ją przejęta i stwierdziła, że z zawiniątka wyturlał się na kuchenną

szafkę...

DIAMENT!

Ten maleńki, ale prześlicznie mieniący się kamyczek to musiał być diament!

Zaaferowana złapała za telefon.

Misia była nie w sosie.

- Już wstałam - uprzedziła smętnym głosem. - Właśnie trzymam w ręku poroże.

Zuza przez chwilę analizowała usłyszaną wiadomość.

- Poroże? Że niby Riczardę za kołtuny? - upewniła się, czy dobrze zrozumiała.

- Już, od razu, chciałabyś. Rogi trzymam... Prawdziwe!

- A skąd ja mam wiedzieć, że prawdziwe? Teksty masz normalnie jak mały Kaziu po dużym piwie i jeszcze się dziwisz. Jakie rogi, matko? Fu! Że niby żywe?

- Raczej dawno zdechłe. Nie wiem: łosia czy innego jelenia, niepodpisane, od czego odcięli. Wywlekłam to truchło z izby regionalnej. To znaczy z pokoju Henryka. Pakuję teraz ten jego majdan.

- A nie możesz pakować później?

- Ale przecież umawialiśmy się na ósmą. Zdążę.

- Misia! - Zuza nie wiedziała, jak oznajmić przyjaciółce o swoim odkryciu.

Może telefon nie był jednak najlepszym rozwiązaniem? Nie zobaczy jej miny, a ta będzie pewnie warta miliony. - Alarm! Przyjeżdżaj jak najszybciej. Coś ci pokażę, wyskoczysz z kapci, mówię ci...

- Co wy mnie tak dzisiaj maltretujecie? Mam nadzieję, że chociaż tobie nie chodzi o bękarty.

- Boże, jakie znowu bękarty? Dzieciom mówimy w prorodzinnej Polsce „nie”.

- Nic, nic. Ryszarda dzwoniła i ogłuszyła mnie swoimi problemami, zaraz ci opowiem.

- Opowiesz, jak przyjedziesz, dobra? Ale niech ten „zaraz” nie będzie trwał pół godziny

- dodała przynaglająco, ale Misi raczej się nie spieszyło.

Pojawiła się u niej dopiero po czterdziestu minutach! I wcale

nie wyglądała na skruszoną. Na jej obliczu malowała się raczej obojętność. Ewentualnie w tych podkrążonych oczach można się było dopatrywać pozostałości porannego kaca.

- Ja pierdykam - Zuza zagwizdała. - Wybacz, ale Rembrandtowi to byś dzisiaj nie mogła pozować. Chyba że malowałby nałożnicę. Po libacji w alkwie, dodajmy. Pigwówka jeszcze nie wywietrzała?

- Wszystko ze mnie wywietrzało. Ale i tak mam kaca. Moralnego.

- Zaraz będziesz mieć jeszcze większego - Zuza pociągnęła przyjaciółkę do kuchni. - Bo nie myśl, że pozwolę ci oddać... TO! - Postawiła ją przed stołem, gdzie na talerzyku leżał diament. - ZNALEZIONE, NIE KRADZIONE!

Choć mogło się to wydawać niemożliwe, Misia zbladła jeszcze bardziej.

- Czy to jest...

- Diament! Prawda, że śliczny?

- Skąd to masz? Chyba tego nie kupiłaś?

- Przecież mówię: znalezione, nie kradzione. Znalazłam! Wiesz gdzie? - pokazała ręką na zlew, w którym swój osmolony brzuch wypinał garnek Ryszardy. - W Zepterze. Miał dokręcane dno.

- W tym Zepterze?! Co miał?!

- Sama zobacz - Zuza zademonstrowała nakrętkę i Misia z wrażenia usiadła.

- Diamenty. Czyli znalazłyśmy? Ale miały być u mnie w mieszkaniu...

- Ale Henio mieszkał też z Riczardą. Niestety, jest tylko jeden - Zuza pociągnęła z żalem nosem. - Ale za to dosyć spory. Z dwieście tysięcy nam wpadnie. To znaczy tobie, ja się bynajmniej nie podpinam. To ciebie małżonek oszukiwał. Ale Riczarda jeszcze trochę tych garów ma...

- Niech jej będzie na zdrowie - Misia otarła czoło i usiłowała ochłonić.

- Ale zdrowie kosztuje, kochana. A na NFZ-cie nie radzę polegać. Cztery lata twój ślubny robił cię w bambuko. Cztery! Na każdy rok powinien przypadać jeden gar rekompensaty za

szkody wyrządzone na twoim umyśle. Poza tym Ricarda chyba z Heniem zostanie po krańce swoich dni. I bynajmniej nie wylądują pod mostem, gdzie będą się raczyć surową cebulą. Tego możesz być pewna.

- Ze co? I co ty mi w ogóle sugerujesz? - Misia przyparła ją do muru. Raczej nie wyglądała na zadowoloną. - Mam okraść Ryszardę?

- Wcale nie sugeruję, mówię całkiem wprost. Okraść? Raczej zadbać o swoją przyszłość.

- A nie dbam? Mam pracę, mieszkanie, Iglę... - po wypowiedzeniu ostatniego słowa zaczerwieniła się aż po grzywkę i zająknęła. - A może nie mam... My... Nie wiem...

- Ja nie mogę, ty się w tym dryblasie zakochałaś! - Zuza dopiero teraz pojęła, choć Misia zdradzała symptomy uczucia o wiele wcześniej.

- Zaplątałam chyba, a nie zakochałam - poprawiła z podejrzanym zapalem.

- Tak, tak. Wypieramy... Czyli jesteś zakochana. Gratulacje - rzuciła się ją ścisnąć. - Nie dziwię się. Wielki to on jest.

- I czuły - wystartowała Misia i Zuza wiedziała już całą resztę.

- Jasne. Kochanek. Przecież Marchewka mówił...

- Marchewka? Powiedziałaś „Marchewka”? - Misia znacząco zachichotała.

- A nie Marchewka? Znowu go pomyliłam?

- Nie, nie pomyliłaś. I właśnie o to chodzi. Robisz postępy. Wzrost to jedno, a że komisarz jest miły facet...

- Te!

- Cze?

- Porzućmy może komisarza - teraz to Zuza zaczęła się krygować. - Ty mi lepiej wyznaj, kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że ty i ochroniarz...

- Porzućmy może ochroniarza - Misia uśmiechnęła się szelmowsko. - My tu o facetach, a samochód w centrum. Do Polanicy mamy ponad dwieście kilometrów, więc o kamykach porozmawiamy po drodze... Zuza, a może zabierzemy ten diament ze sobą, co? Ładny jest. I tak pięknie

się mieni. Ja bym sobie chyba życzyła na niego dłużej popatrzeć.

*

Witold Korbutz mieszkał w Polanicy Zdroju od dziecka. I kochał swoje miasteczko ze wszystkich sił. Najbardziej chyba wiosną. Tak, wiosną zieleń miała zupełnie inny odcień niż zieleń sierpniowa - w kwietniu aż kłuła swoją intensywnością w oczy. Natomiast późnym latem zieleń przygotowywała się do spuszczenia soków, już była mdła i zwietrzała jak otwarte wino.

Pan Witold potrafił wsłuchiwać się w naturę, mimo że na co dzień zajmował się jej poprawianiem i upiększaniem. I poprawiał z pasją, jeśli chodziło o danie człowiekowi nadziei i drugiej szansy. Bo wygląd rządzi życiem, nie oszukujmy się. Ale inaczej sprawa miała się z napompowanymi forsą paniusiami, które najchętniej zmieniałyby w sobie, co za bezsens, wszystko. A wszystko też by je po pewnym czasie znudziło.

Jego natomiast najbardziej cieszyły rośliny. I dlatego nie brakowało ich w klinice - położonej na obrzeżach miasteczka, wtopionej w imponujący ogród, którym zresztą sam się zajmował. A wiosną było tu co robić.

I na stole operacyjnym, i na grządkach.

Pracy miał tyle, że każdą wolną chwilę, nawet przerwę pomiędzy pacjentami, spędzał przy sadzonkach. W ten właśnie sposób zamierzał spędzić cały poranek, kiedy po raz kolejny zadzwoniono do niego z recepcji z informacją, że ktoś musi się z nim pilnie zobaczyć.

- Znowu?!

- Ale tym razem to jakieś dwie panie.

- To proszę je umówić na przyszły tydzień - oświadczył zimno, bo nie znosił, kiedy mu przeszkadzano. Już i tak stracił dziś za dużo czasu na pogaduszki.

- Ale, panie profesorze, one przyjechały z daleka.

- Z daleka to prosiłem trzymać ode mnie pacjentów w czasie przerwy!

- Ale one mówią, że nie są pacjentkami.

- To czego chcą?!

- Panie w jakiej sprawie? - głos recepcjonistki popłynął teraz z daleka.

- W osobistej - odpowiedział jej chórek i pan Witold uniósł oczy ku niebu.

W osobistej, pewnie, a potem obie jak na komendę zerwą z siebie staniki i jedna powie, że chce mieć takie piersi jak druga. Typowe! To w takim razie przyjmie je tutaj, nie będzie się fatygował do środka. Niech się neglizują na grządce z włoszczyzną, proszę uprzejmie.

- Panie mówią, że w sprawie osobistej.

- A jakie mają buty?

- Buty? - Rejestratorka doskonale знаła, poczucie humoru swojego pracodawcy, w jej głosie zadźwięczała więc tłumiona wesołość. - Całkiem wiosenne.

- Jak wiosenne i w osobistej to świeżo podlany ogród czeka - oznajmił nie bez satysfakcji. - Zapraszam panie do warzywnika.

Obserwował pacjentki z ukrycia i najpierw stwierdził, że niezłe z nich laski, a potem pożałował swojego podstępu, bo doszły chodnikiem do skraju ogrodu, gdzie kończyła się trawa, a zaczynało czarne jak smoła poletko. Podumały chwilę nad mokrą ziemią, pohnęły się refleksyjnie w swoich ślicznych pantofelkach, coś tam do siebie poszeptaly i wzięły nogi za pas.

Bo tu leżała granica.

Niepowołani goście rezygnowali, nawet jeśli słyszeli, że profesor buszuje w szklarni. Zaprojektował tak ogród celowo i miał na to swój patent (w zasypanej studni trzymał na zmianę kalosze), natomiast ci, którzy chcieli mu kraść chwile samotności, musieli wybrać: upaprać się nieziemsko albo dać sobie spokój.

Profesor zarechotał pod wąsem, ale nie wziął pod uwagę, że odwiedzające go niewiasty są przygotowane na wszelkie przeciwności losu. Kiedy rozsadzał bazylię, usłyszał wirujący w powietrzu kobiecy śmiech i zobaczył je znowu. Wpadły do szklarni, a na nogach miały dla odmiany... gumki i wyglądały przy tym na bardzo z siebie zadowolone. Zwłaszcza ta niższa śmiała się w tak uroczy sposób, że odruchowo wciągnął brzuch.

Ale bynajmniej tego nie dostrzegła, bo jej oczy biegały od drzewa do drzewa. Od rośliny do rośliny. I w tych turkusowych oczętach widział, ni mniej ni więcej tylko szczery podziw. Poczul się mile polechtany.

- Pan Korbuz? - zapytała wreszcie.

- We własnej osobie. Skąd... Skąd panie to wzięły? - zapytał w najwyższym zdumieniu, wskazując na obuwie.

- Ma się w zapasie, panie profesorze. Dobrze pana tytułuję?

- Bardzo dobrze, ale to nie wyjaśnia...

- Gumiaki trzeba mieć. Misia zawsze wozi w aucie dwie pary. Zuza jestem - wyciągnęła rękę i energicznie się przywitała. - Zuza Bączek. A to Michalina Skoczylas.

- Bączek... Bączek i Skoczylas - pan Witold wsłuchiwał się jeszcze przez chwilę w melodię wypowiedzianych nazwisk i usłyszał w nich niewątpliwy związek ze światem przyrody, bo na jego obliczu odmalowało się zadowolenie. - Bardzo mi miło. Ale czemuż to pani Skoczylas wozi ze sobą gumiaki? - ta kwestia naprawdę poruszyła jego wyobraźnię.

- Paskudne, co? - pani Zuza przyjrzała się swoim nogom krytycznie. - Ja tam chciałam kupić kalosze. Choćby w wesole biedronki, motyle, czaszeczki... Obojętnie, srał pies w co. Ale Misia nie. Bo ona jest praktyczna. I proszę, pojechała z koksem, bo w Castoramie była promocja. Teraz ziemia żyźnieje, mężczyźni patrzą, a ja muszę cierpieć. Rozumie pan? Promocja na gumofilce, tego jeszcze w mojej wsi nie grali...

Pan Witold zaczerpnął głęboko powietrza. W tej krótkiej chwili zrozumiał co innego: dawno nie spotkał osoby, która dorównałaby pani Bączek swobodą w wyrażaniu niewypowiedzianego. Czaszeczki? To było fascynujące.

- Pytał pan, czemu wożę ze sobą gumiaki? - zdaje się, że pani Skoczylas wzięła jego westchnienie za przejaw zdenerwowania, bo zaczęła wyjaśniać: - Moja przyjaciółka to zapalona ogrodniczka, a zwykle jeździmy za miasto razem. I jeśli ona w leśnych ostępach dostrzeże jakieś zioło czy inny okaz... To rzuca się za nim nawet w błoto.

- Ogrodniczka? - pan Witold zastrzygł uszami i uśmiechnął

się jeszcze szerzej.

- Pan to wszystko robi sam? - pani Zuza tylko na taką zachętę czekała.

Zarumieniła się i tanecznym krokiem ruszyła na zwiady. Zaglądała do każdego rozsadnika, do każdej doniczki, jaka znajdowała się w szklarni. I WĄCHAŁA! Widać było, że ogrodnictwo to jej pasja. - Kwiaty, krzewy? A tu pomidory?

- Sam, oczywiście, że sam. Pomidory pozyskuję z własnych nasion.

Nagle wszystko przestało się liczyć. Poczuł, że spotkał bratnią duszę, że pośród niczego nierozumiejących jednostek rodzaju ludzkiego natknął się na takiego samego odmienca jak on. Ze mówią tym samym językiem, że dzielą te same problemy. Rozmawiali dobre pół godziny (zdobył rewelacyjny przepis na nawóz!), kiedy pani Michalina znacząco, choć trzeba przyznać, że dyskretnie, kopnęła panią Zuzę po gumiaku.

- Słucham, czym mogę paniom służyć? - ułatwił im zadanie. - Bo chyba nie przyjechałyście tu, żeby pogawędzić o czosnku? Chociaż mój czosnek, a mam trzy odmiany... Stop, bo znowu się zagalopuję! - zaśmiał się gromko i zatarł ręce. - Mówcie, czego chcecie, śmiało. Większe piersi? Kurze łapki? A może przyciąć wam powieki?

Zachichotały, ale chyba rzeczywiście nie przybyły tu w pogoni za pięknem, bo pani Zuza wyjaśniła:

- Czy pamięta pan niejakiego Jarosława Maziarza? Parę lat temu był pana pacjentem.

- Nie! - pan Witold klasnął w dłonie. - Wy też?

- Nie rozumiem - powiedziały obie jednocześnie, a w ich oczach pojawił się niepokój.

- O dziewiątej był u mnie taki jeden typ i pytał dokładnie o to samo. O Maziarza. Przedstawiał się, machał legitymacjami, ale stał, o tam - profesor pokazał na chodnik przed poletkiem, jak gdyby chciał w ten sposób powiedzieć, że gość oblał ważny egzamin. - A buty miał porządne. Czarne, motocyklowe, więc jakby się postarał, dałby radę.

- Motocyklowe? - pani Skoczylas od razu się zainteresowała.

- Motocyklowe. Poza tym trzymał w ręku kask.

- A był wysoki? I miał ciemne włosy i zabójczą, czarną bródkę?

- Eee... zabójczą? Chyba się zgadza. Znajomy?

- Nieee - pani Zuza zaprzeczyła, zanim jej przyjaciółka zdążyła otworzyć buzię. - Wręcz przeciwnie. Czepił się Misi jak rzep psiego ogona. I wszędzie za nią łązi. Wiedział, że szukamy informacji o Maziarzu, więc pewnie chciał pomóc, żeby się podlizać.

- To się chyba chwali, że chciał pomóc? Ale stał na trawie - pan Witold nie ustępował.

- I nic mu pan nie powiedział? - dopytywała się pani Skoczylas.

- A muszę mieć dobrą pamięć?

- Musiec pan nie musi. Ale na pewno pan ma - pani Zuza oznajmiła z mocą i puściła do niego oko.

Wiele się nie pomyliła. Pamiętał każdy skomplikowany przypadek. A przy twarzy Maziarza nieźle się napocił, miałby zapomnieć tyle godzin harówki? Gdyby facet od motocykla wykazał się większym męstwem i pokonał Rubikon, mógłby usłyszeć ciekawą historię pełną łacińskich nazw.

- Mam - wyznał krótko. - A Maziarza pamiętam, niestety, bardzo dobrze. Szastał forszą, aż żenada brała. Mnie tam pieniądze nie imponują - wyjaśnił w przyływie szczerości. - Czemu o niego pytacie? - nagle przypomniał sobie o tajemnicy zawodowej i poczuł się niezręcznie.

- To jej mąż. Zimny gad, samolub i oszust - pani Zuza pokazała na swoją przyjaciółkę, która skrzywiła się tak, jakby zajrzała w lustro tuż po liftingu twarzy. - Czy nie zapomniałam aby dodać: „kryminalista”?

- Poważnie? A powiem, że mi na takiego wyglądał - ucieszył się profesor.

- Niestety, miłość jest ślepa. Ale sprawiedliwość na szczęście nie. I dlatego tu jesteśmy

- pani Zuza rzuciła mocnym głosem. - Zastanawialiśmy się, jak wydobyć z pana informacje o tej gadzinie, ale widzę, że możemy być szczerze.

- Jak najbardziej.

- Misia chce unieważnić małżeństwo. No, co? - pani Zuza się najeżyła. - Zawsze namawiałaś mnie do mówienia prawdy, więc tak na mnie nie patrz. Pan Witek rozumie.

- Jak najbardziej! - uderzył się w pierś brudną rękawicą.

- Więc Misia chce unieważnić i dlatego każda informacja, każdy dokument by nam się przydał.

Pomógłby, naprawdę by im pomógł, jednak był pewien zasadniczy problem.

- Kochane moje, niestety nie mam żadnych dokumentów ani z tamtego roku, ani z wcześniejszych lat. Parę miesięcy po zabiegu Maziarza spłonęło całe moje archiwum - wyznał zasmucony.

- Spłonęło? A to? - pani Skoczyła podała mu jakiś zwitek papierów. Wyrzekał z kieszeni fartucha okulary i aż zatrzęsł się z przejęcia.

- To? Jak to? Przecież to jest moja kartoteka! Skąd...?!

- Znalazłam... w papierach męża.

- Ale skąd mąż ją miał? - profesor pomachał papierami. - Nie rozdaję przecież kart, to jest dokumentacja mojej pracy. Nie ma zdjęć! Gdzie zdjęcia? Tu powinny być zdjęcia!

- Panie profesorze, zdjęć nie było - zapewniła pani Zuza. - To gdzie...?

- Też byśmy chciały wiedzieć. Dlatego tu przyjechałyśmy. Myślałyśmy, że może pan je ma - obie spojrzały na niego wyczekująco, ale cóż mógł im więcej powiedzieć?

Kartoteka pacjenta przypomniała mu chwile grozy. Znowu poczuł gryzący w oczy dym i naraz ścisnęło mu się serce. Dorobek jego życia o mało nie spłonął, aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie postanowił nad ranem podlać truskawek. Okropne chwile. Musiał usiąść i odpocząć.

Zrobiło się zamieszanie, bo naprawdę poczuł się źle. Pani Zuza wspierała go swoim wątlym ramieniem, ta druga pobiegła po stół. Krzyczały do niego, wachlowały go jakimiś szmatami i zrozumiał, że jeszcze moment, a dostanie gratis usta-usta. W sumie nie miałyby nic przeciwko, pani Zuza miała nad wyraz apetyczne pysio, ale to jego nieporadne ciało... Zupełnie go nie

chciało słuchać. Aż mu się zrobiło głupio, taki był kukłowaty. Dwie śliczne dziewczyny klęczą nad starym piernikiem, który dostał właśnie zadyszki.

Dlatego odsiecz przybyła w samą porę.

Najpierw od strony ogrodu dobiegło ich nagłące: „Halo, panie profesorze!”, a potem do szklarni wpakował się jakiś obcy facet. Był nikczemnego wzrostu, ale panu Witoldowi leżącemu plackiem na ziemi wydał się niemal herosem. W ramionach tulił troskliwie adidas, a jego zarośnięte łydki oblepione były czarnoziemem, który tworzył na nich coś w rodzaju fikuśnych podkolanek. Facet majtnął niepewnie wyłożoną słońcem czupryną i już na wstępie zacukał się tak bardzo, że pan Witold odetchnął z ulgą. Są jednak na tym świecie ludzie, którzy potrzebowali pomocy bardziej od niego.

- Eee... Komisarz Piotrek Marchewka. Dzień... eee... dobry.

*

Piotrek Marchewka miał wreszcie w drodze do Polanicy wolną chwilę, mógł więc uporządkować sobie w duchu swoje ostatnie działania i spokojnie się nad nimi zastanowić.

Chyba o niczym nie zapomniał.

Ku rozpaczy właścicielki baru w Poraju подарowany jej przez Różyckiego diament powędrował kurierem do analizy, autochtoni zostali przepytani na okoliczność pojawienia się w okolicy białego mercedesa (bez rezultatu), a kobiety używające numeru zapisanego na gazecie przez Hardego złożyły zeznania, z których jasno wynikało, że Henryk Skoczylas jest im nieznanymi ani ze słyszenia, ani z widzenia.

Tak, wykonał kawał dobrej roboty. Jutro wybierał się pogrzebać przy śledztwie prowadzonym przed sześciu laty w Gdańsku, z czego pewnie nikt się tam nie ucieszy, ale zaczynały go już dochodzić słuchy, że sprawę Hardego lada dzień przejmie Warszawa. Jeśli chciał się czegoś dowiedzieć, musiał się śpieszyć.

Z wypadu do Polanicy cieszył się jak głupi, bo mógł wreszcie przestać myśleć o Zuzie. Trasa układała się pośród cieszących oko krajobrazów, za Otmuchowem zatrzymał się nawet parę

razy i pooddychał pełną piersią, tak że przestał wreszcie słyszeć szum w głowie. Już nie dzwoniło mu w czerepie tylko jedno: ZUZA. A nawet okazało się, że nie jest zrośnięty z Zużą żołądkiem, sam również potrafi odczuwać głód. Zjadł po drodze niezły obiad i na miejscu był na pierwszą. W rejestracji zamienił kilka słów z przemiłą recepcjonistką i zakradłszy się w jej łaski, otrzymał cynk, że profesor aktualnie ma przerwę, ale jeśli wykaże się hartem ducha, jest szansa na rozmowę.

Wystarczyło przemierzyć poletko.

Recepcjonistka zapewniła, że jeśli się na to zdobędzie, pan profesor nie odmówi mu pogawędki. A nawet utnie ją sobie z nim ochoczo.

Poletko?

Co kryło się pod tym niewinnym słowem, komisarz zrozumiał, kiedy zapatrzył się w wilgotną czerń obrzydliwie tłustej ziemi na końcu ogrodu. Ale ponieważ recepcjonistka patrzyła mu w oczy nad wyraz czule, uwierzył kobiecie. Ściągnął buty, zagryzł usta i zanurkował w chłodnej glebie. Od razu zapadł się w niej po kostki, ale nie zrezygnował. Szczerze mówiąc, jeśli już podjął decyzję, trudno go było zniechęcić.

Zuża też próbowała.

Udawała istotę bardziej gruboskórną niż była w rzeczywistości. Przeklinała. Umyślnie go lekceważyła i założyłby się, że coś przed nim ukrywała w sprawie Hardego. Ale jednocześnie wiedział, że darzyła go sympatią. Tego się nie da oszukać.

- Halo, panie profesorze! - zakrzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział, ale za kępami bzu usłyszał, a raczej wyczuł jakiś ruch. A potem przez szyby szklarni dostrzegł czyjeś rozmazane sylwetki. Ruszył więc tam, modląc się w duchu, żeby profesor dysponował choćby ogrodowym zraszaczem. Jego nogi były teraz w najwyższym stopniu żyzne.

Wpadł do środka i przez moment zastanawiał się, czy jego chora wyobraźnia nie płata mu czasem figli. Na ziemi leżał dobrze zakonserwowany starszy pan, na razie żywy, choć nieco okłapy, a pastwiły się nad nim Misia z... Zużą!

One?

Tutaj?

- Eee... Komisarz Piotrek Marchewka. Dzień... eee... dobry - powiedział i na chwilę go zamurowało.

- Witold Korbuz. - Starszy pan uniósł się na ramieniu. - Marchewka? Co za pożywne nazwisko. Pan wybaczy, ale trochę się źle poczułem, bo przypomniałem sobie pożar mojego archiwum. Ależ się pan usmarował! - zakrzyknął z podziwem, kiedy wspierany przez Zuzę stanął wreszcie na nogi. - To się panu chwali. Zuch chłopak! Prawda, dziewczyny? Jeśli i pan przyjechał pytać o Maziarza, powiem wszystko.

Dziewczynom ta gotowość do rozmowy raczej się nie spodobała. Zaczęły doglądać profesora, dmuchać na niego i chuchać, aż komisarz zaczął się w końcu niecierpliwić.

- O Maziarza? - przestąpił z nogi na nogę. - Nie, dlaczego? Przyjechałem, żeby zapytać o Henryka Skoczylasa.

- Skoczylas? - Pan profesor spojrział ucieszony na Misię, a ta wyglądała teraz jakby modliła się, żeby dobry Bóg zesłał na tego przemilego człowieka demencję, co jednak nie nastąpiło. - To nie czasem również i pani nazwisko?

- Tak, pan Skoczylas jest mężem tej pani - pospieszył z wyjaśnieniem Marchewka, nie przestając się zastanawiać, co się tutaj wyrabia. Zuza była jakaś taka spłoszona, Harda również nie wyglądała na zadowoloną ze spotkania.

- Nie, mąż pani Skoczylas to Jarosław Maziarz - tłumaczył sumiennie profesor, a Harda usiadła z rezygnacją na stołku. Zuza oparła się dla odmiany o drzwi. - A w zasadzie to czemu? - zastanowił się nagle. - Maziarz, Skoczylas... Pani została przy nazwisku panińskim?

*

Ale się zrobiła afera!

Jarosław Maziarz przestał być postacią incognito i wyszedł z cienia.

Misia tak naprawdę odetchnęła, bo czuła wyrzuty sumienia, że tyle przed tym poczciwym Marchewką ukrywają. Dobrze, że chociaż to się wydało. Pod wpływem impulsu już chciała wyjąć

z torebki diament, ale Zuza tak na nią spojrzała... tak spojrzała, że Misia pokazała komisarzowi jedynie kartotekę i zamilkła.

Marchewka wcale się nie złościł. Mruknął tylko z rezygnacją: „Wiedziałem!” i umył sobie nogi. Szorował je trawą, aż zrobiły się zielone, a potem dzwonił gdzieś przez dobry kwadrans i dopiero wtedy usiedli we czwórkę przy stole i wszystko zaczęło się klarować. Pan Witold opowiedział o pożarze (miał miejsce pięć miesięcy po operacji plastycznej), a Misia z Zuzą zapewniły, że o prawdziwym nazwisku Henryka dowiedziały się raptem wczoraj, co wcale nie było kłamstwem, bo do apteki na Nikiszowcu naprawdę zawitały wczorajszego popołudnia. I piękny, słoneczny dzień ciągnąłby się tak sielankowo dalej, gdyby nie Zuza.

Kiedy wreszcie nastąpiła cisza, bo wszyscy się już nagadali, wstała i uściskała profesora na pożegnanie, po czym wywlekła Misię z Marchewką gdzieś tak mniej więcej na środek poletka i cisnęła komisarzowi w twarz tylko jedno słowo, od którego bardzo poczerwieniał. A następnie zapadł się w spulchnioną ziemię i trwał tak z głową na wysokości biustu swojej rozmówczynie.

- Diamenty!

- Diamenty? - zapytał odruchowo.

- Mów, co wiesz, niziołku, bo myśmy ci powiedziały o Maziarzu. Henio buchnął w Gdańsku diamenty, tak? Kradzież stulecia?

- Stulecia, ale w Polsce. Na świecie to nie bardzo... Wcale mi nie powiedziałyście! - Chciał tupnąć nogą, ale zapadł się jeszcze głębiej, więc chcąc utrzymać równowagę, uczepił się Zuzy. Padło między innymi na biust, więc kiedy zorientował się w popełnionym nietakcie, zaczął się krygować i przeproszać, aż Zuzę od tej przesadnej skruchy zalała krew.

- Marchewka, to tylko piersi, a nie wagina. Oprzytomniej jednak! I się tak nie wzbraniaj, bo pomyślę, że ci się nie podobają.

- Bardzo mi się podobają! Bardzo.

- No. Przynajmniej to mamy wyjaśnione. Diamenty... Słucham.

- O Maziarzu wyszło z rozmowy przypadkiem, same się nie przyznałyście. Poza tym to chyba nie jedyna rzecz, którą przede mną ukrywacie. Myle się?

Zuza obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- Boże, ile z ciebie zostało... Grzęzniesz. I zaraz ci upadną adidaski.

- Zuza, ty mi nie podnoś ciśnienia - oznajmił komisarz i przywołał wzrokiem Misię, ale ona postanowiła się nie wtrącać.

Przemierzyła poletko i czekała cierpliwie na chodniku, kontemplując swoje gumki.

- Nie podnoś? Gdzieżbym śmiała cokolwiek ci podnosić - Zuza obróciła się na pięcie, a jeden z adidasów komisarza wypadł mu z objęć i plasnął w czarne błotko.

- A skąd wiecie o diamentach? - zapytał słabo i Zuza od razu wyczuła w jego głosie zmianę frontu.

- Znalazłyśmy w papierach Henia artykuł o kradzieży na Targach Gdańskich i pokojarzyłyśmy fakty - wyprężyła się z dumą. - Przecież „C” to symbol węgla, każdy głupi to wie. A od węgla do diamentów raczej niedaleko.

- Dobrze, już dobrze - Marchewka podniósł but i popatrzył błagalnie. - Pójdziemy na kawę i porozmawiamy spokojnie. Może być?

- Może być - zgodziła się łaskawie Zuza, która z miną primadonny zawróciła i nadstawiła mu ramię.

Komisarz dopiero wtedy zamrugał oczami, jakby się właśnie przebudził, i niedowierzając, zapytał:

- Niziołku?!

*

Kelnerka w Parku Zdrojowym minęła się chyba z powołaniem, bo trzy kawy robiła już dwadzieścia minut. Marchewka uwinął się więc i przyniósł im z pijalni wód po kubeczku wody źródlanej, a teraz właśnie szedł od bufetu, gdzie użył swojego uroku i dzierzył przed sobą tacę z sernikiem.

- Kawa zaraz będzie - oznajmił z szarmanckim uśmiechem i Misia kopnęła Zuzę pod stołem. W ten subtelny sposób

chciała jej dać do zrozumienia, że nie mają do czynienia z sierotą, ale z jednostką operatywną i zapobiegliwą. - Serniczek podobno pyszny. To od czego zaczynamy? Powiem wam, ile mogę. Szczerze. A resztę, co nie mogę, zostawię dla prokuratora. Umowa stoi?

- Stoi - potwierdziły zgodnie i ze zniecierpliwieniem czekały na szczegóły.

- Tak sobie myślę, że Hardy, to znaczy pan Skoczylas...

- Marchewka, ty się tak nie szcyp. Henio to nie książę Walii, żeby chylić przed nim za każdym razem kapelusza. A to jest Misia, mówcie sobie po imieniu - zarządziła Zuza i atmosfera uległa ociepleniu. Stuknęli się kubeczkami Wielkiej Pieniawy, po czym komisarz podjął przerwany wątek.

- Hardy zaczął formalnie rządzić Śląskiem jakieś dwa lata temu. Wcześniej nie miał po prostu kapitału, dorabiał się. A w tym świecie liczy się siła, kasa i głowa. Mniej więcej w takiej kolejności...

- On nigdy nie był biedny - włączyła się Misia. - Ale, dziwnym trafem, skąpy zawsze.

- Biedny nie był, bo umiał kombinować. Ale potem nagle zaczął być bogaty. I coś mi się wydaje, że to bogactwo wzięło się właśnie z diamentów - wyraził przypuszczenie Marchewka, tonąc w przepastnym spojrzeniu Zuzy. - Oczywiście umiejętnie potem tymi oczami obracał... Znaczy, pieniędzmi. Obracał pieniędzmi.

- Dwa lata? - powtórzyła w zamyśleniu Misia. - Ale kradzież była sześć lat temu.

- Dlatego uważam, że sensownie to rozegrał - stwierdził komisarz i odebrał filiżanki od przesadnie umalowanej kelnerki, która wreszcie postanowiła wykonać swoją pracę, choć ruszała się jak mucha w smole, a to głównie z tej przyczyny, że nie przestawała wpatrywać się w Marchewkę. Zapomniała przynieść cukru, za to nie omieszkała troskliwie podsunąć komisarzowi serwetki. Jednej, drugiej, trzeciej... Zuza nie potrafiła zapanować nad wyrazem twarzy, który wyrażał skrajne obrzydzenie.

- Jak temu panu zacznie się ulewać, na pewno zawiadomimy - skwapliwie zapewniła, ale lodowaty uśmiech nie schodził jej z ust. - Wtedy przybiegnie tu pani z tą swoją ligniną. A póki co... precz! - Ostatnie słowo wypowiedziała półgłosem, nachylając się jak najbliżej swojej rywalki. Od tej chwili przestała ją zauważać. Całą swoją uwagę skupiła dla odmiany na komisarzu. Spojrzała na niego czule i wdzięcznie zaszczebiotała: - Oj, nie w ciemię bity ten nasz Henio, prawda?

Misia prawie rozlała kawę, a kelnerka wycofała się na swoją pozycję przy barze, skąd zaczęła słać Zuzie mało pochlebne spojrzenia, bo chyba dopiero tam zrozumiała, jak brzydko została potraktowana. O cukrze mogli zapomnieć.

- Ja to widzę tak... - komisarz kontynuował, nie mając pojęcia, że przed chwilą rozegrała się tu bitwa o jego mikrą osobę. - Hardy przyczał się, wytrzymał całe cztery lata, a kiedy nadszedł odpowiedni czas, zdecydował się sprzedawać. Ale zacznijmy od początku... Kradzież miała miejsce w marcu dwa tysiące siódmego. Kamienie skradł facet, który podał się za przedstawiciela wystawcy, czyli holenderskiej firmy Benelux Diamonds.

- A co to w ogóle za targi? - zapytała Misia, która niby grzebała w sieci, ale to akurat umknęło jej uwadze.

- Duża branżowa impreza w obrębie Międzynarodowych Targów Gdańskich, organizują ją co roku. Oficjalnie to się nazywa Międzynarodowe Targi Bizuterii, Bursztynu i Kamieni Jubilerskich. W każdym razie takiej kradzieży nigdy tam nie było. I nagle piętnastego marca w czwartek dwieście trzydzieści diamentów wyparowało.

- Ale chyba Henio nie zdążył opchnąć wszystkiego? - zaniepokoiła się Zuza i zerknęła na Misie w popłochu. - Dwieście trzydzieści to jednak spora kupka.

- Ta kupka była warta cztery i pół miliona złotych - uściślił Marchewka. - A niektóre kamyczki ważyły nawet cztery karaty. Cztery! Nie wydaje mi się, żeby zdążył. To by nie przeszło bez echa, nie ma szans. Taki diament o średnicy centymetra to rzadkość, od razu ktoś by się tym

zainteresował.

Zuza westchnęła z ulgą, a komisarz ekscytował się dalej. Widać było, że dosiadł swojego konika. Mówił z ożywieniem, ślepią błyszczały mu niemal tak samo jak wtedy, kiedy przyglądał się Zuzie, gdy myślał, że nikt na niego nie patrzy.

- Pewnie pozbywał się najpierw tych najmniejszych, bo to nie problem - stwierdził. - A największe okazy... Może gdzieś schował?

Zuza zaczęła zapamiętane mieszać kawę, Misia czym prędzej sięgnęła po coś do torebki. Obie unikały wzroku Marchewki, czego oczywiście ten nie odnotował.

- W każdym razie brylanty zniknęły rano, konkretnie o ósmej, z depozytu w piwnicy pod halą targów. Strażnik wydał elegancko złodziejowi torbę z diamentami, bo zobaczył dokumenty jednego z przedstawicieli firmy. Oczywiście podrobione. Do tego złodziej miał kartę elektroniczną. Dzięki niej mógł sobie bez problemu śmigać po terenie targów i wejść do depozytu. Znał też specjalny kod.

- Takie buty? - zamruczała z naganą Zuza. - Nie brzmi dobrze. Skądś musiał to wszystko wziąć.

- A musiał. I tu się zaczyna robić ciekawie. Karta podobno zginęła poprzedniego wieczora jednemu z pracowników Beneluxa. Nie zgłosił tego, bo nie miał pewności, czy ją gdzieś zostawił, czy mu ją ukradziono.

- Albo oddał dobrowolnie, bo byli z Henrykiem w zмовie - podsunęła nieśmiało Misia.

- Podobno sprawdzano, czy ta kradzież to nie była jedna wielka ścierna, żeby wyłudzić ubezpieczenie - komisarz westchnął. - Ale gdyby tak było, nie znaleźlibyśmy diamentów w Katowicach. - Tu opowiedział o wizycie Ryszardy Kociołek u jubilera, co spotkało się z gwałtowną reakcją ze strony jego rozmówczyń.

- To Riczarda wie o diamentach?! - zaperzyła się Zuza.

- Ale przecież Zep... - zaczęła Misia, ale w porę się zreflektowała. - Dziwne, bardzo dziwne.

- Wiedzieć, wie - przytaknął komisarz. - Wie też, że Hardy nie jest aniołkiem, więc nawet jeśli nie miała pojęcia o

kradzieży, powinna wziąć pod uwagę taką ewentualność.

- Tak, Riczarda bierze pod uwagę wszelkie możliwe ewentualności - mruknęła z przekąsem Zuza. - W porządku. Czyli Riczarda wie i też próbowała handlować?

- Próbowała, ale jej nie wyszło. Mamy te kamyczki i dostaliśmy już potwierdzenie, że to te kradzione. Ale o handlu później. Dzień kradzieży.

- Dzień kradzieży - zgodnie powtórzyła Zuza i zdjęła Marchewce z bluzki jakiś paproszek, po czym zerknęła triumfalnie w stronę baru. - Mów, Piotrusiu, mów, ty nasz policyjny skarbie.

Komisarz pokraśniał i z jeszcze większym zapalem podjął opowieść.

- Dużo już tego nie zostało. Najważniejsze fakty znacie. Na scenę wkracza złodziej, podobno typ południowca. Srata tata. Jeśli chodzi o wygląd, patrzyłbym jedynie na wzrost i wiek, bo nawet ze świńskiego blondyna można zrobić Włocha, gdyby się postarać.

Zuza najpierw dała się porwać wyobraźni i zobaczyła w Marchewce ognistego, bladego, yyy..., „południowca”, a potem wróciła do rzeczywistości. Musiała przyznać, że Henryk to jednak zupełnie co innego. Z powodzeniem mógł robić nie tylko za Włocha, ale i za Szweda. Z Chińczykiem miałyby nieco problemu, ale spokojnie zukośniłyby sobie powieki spinaczami biurowymi, gdyby zaszła taka potrzeba. Czego by o nim nie powiedzieć, potrafił zmieniać wcielenia. W jednej chwili był słodki jak cukiereczek, w drugiej miało się ochotę podrapać mu tę bezczelną gębę pazurami.

- A kamery? - trafnie zauważyła Misia.

- Kamery, właśnie... Kamery były, owszem, ale zapisywały zdarzenia jedynie w czasie rzeczywistym.

- Ty mów do nas jak do ciemnot - zgłosiła uprzejmie propozycję Zuza. - Co to znaczy w „czasie rzeczywistym”?

- Można było na nich śledzić, co się dzieje w danym momencie, ale nie nagrywały.

- Jak to? - Misia nie mogła pojąć. - W tym całym depozycie było tyle kosztowności, bo przecież tam trzymali też biżuterię

inni wystawcy, i co? Nie nagrywały?

Komisarz uśmiechnął się wyrozumiale, jak człowiek, który już wiele widział.

- Dyrektor targów utrzymuje, że przepisy bezpieczeństwa zostały zachowane. Pewnie i tak, nie mi to oceniać, zajęła się tym odpowiednia komisja. Ale czytałem, że ten ich depozyt to była zwykła piwnica. Bez żadnego sejfu. A przedmioty trzymano w walizkach. Po prostu. I te walizki leżały na podłodze.

- A ochrona? - tym razem zapytała Zuza.

- Była, oczywiście. Zatrudniono firmę zewnętrzną. I wykonywali swoje obowiązki jak należy, nie można powiedzieć. To była po prostu starannie przemyślana akcja.

- Henio zawsze planuje - wytknęła Zuza. - Nawet jak idzie do łazienki, to już tam czeka na niego odpowiednia literatura. W poniedziałki *Fakty i mity*, w piątki *Gość Łowicki*.

- Ja mówię poważnie - zapewnił Marchewka.

- A ja to nie? *Gość Łowicki...*, sama to świństwo ostatnio wyrzuciłam do kosza. A jak zobaczyłam artykuł o samodzielnym struganiu piszczałki... Ale zostawmy to, bo bez wsparcia psychologa lepiej do takich przeżyć nie wracać. Pewnie, że zaplanowana. I Henio musiał mieć współnika: kogoś z obsługi targów.

- Raczej nie ma innej opcji - komisarz z zapalem przytaknął. - A następnego dnia znaleziono w Rumi torbę. Oczywiście, pustą. Tu w zasadzie kończy się historia, bo nie było już w sprawie dalszych śladów.

- Aż do dzisiaj - Zuza powiedziała z dumą, bo miała na myśli działania komisarza, co ten okraszył wdzięcznym uśmiechem.

- Może niekonkretnie do dzisiaj, ale fakt. Trzeba będzie wznowić śledztwo. Wiemy już, w jaki sposób Hardy pozbywał się kamieni. I tu się trochę dziwię - przyznał - bo ta sprawa coś za łatwo wypłynęła. A wypłynęła właśnie przez panią Kociołek. To dzięki certyfikatowi, który zostawiła u jubilera, natrafiłem na Rózyckiego.

- Kto to taki? - zapytała Misia.

- Kolekcjoner diamentów i rzeczoznawca. W jakiś sposób spiknął się z Hardym i zaczęli działać wspólnie. Różycki podrabiał certyfikaty i chyba narażał klientów, chociaż to dopiero hipotezy. Coś się jednak między nimi popsulo, bo pan Różycki został odnaleziony w swoim domu w charakterze wisielca. I z zeznań jego siostry wynika, że zawisł na własnym pasku, bo szantażował współnika.

Misia westchnęła boleściwie, jednak nie skomentowała. Zuza już chciała ją wyręczyć, ale tym razem Marchewka nie pozwolił się wybić z rytmu.

- Podsumowując, ten wasz Maziarz spadł mi jak z nieba. To prawdziwy przełom! Warto tu było przyjechać.

- Czyli Henio zafundował sobie u profesora nowy look? - Zuza. wróciła do spotkania w klinice. - Po takim numerze, jaki wykreślił na targach, fałszywe nazwisko i operacja plastyczna gwarantowały wolność. Minęły czasy, kiedy takie rzeczy robili tylko przestępcy na Zachodzie albo bohaterowie Bonda. To zaczyna być normą również u nas. A dla Hardego pieniądze nie były przeszkodą, mógł sobie zafundować nawet zmianę płci.

- A potem, jak Neron, podpalił Rzym - prawie ze smakiem powiedziała Zuza, ale Misia prychnęła pogardliwie na takie porównanie.

- Na to wygląda - Marchewka rozprawił się już ze swoją porcją sernika i otarł usta. - Pożar archiwum kilka miesięcy po operacji? Nie sędzę, żeby to był przypadek.

- Ale co? Henio zostawił w tym archiwum ślady krwi, czy jak? Po co wyrzynać cały las, skoro można wynieść jedno drzewo? - głowiła się Zuza. - Karta choroby przecież trafiła w jego łapy. Po co podpalać rejestrację?

- Na razie możemy jedynie snuć domysły, jak to wyglądało. Ale zanim przyszedłem do szklarni, trochę się rozejrzałem. W recepcji siedziała taka miła pani... - wyznał Marchewka, ale widząc, że Zuza uśmiecha się dwuznacznie pod nosem, przybrał bardziej oficjalny ton. - I ta pani... No, troszkę sobie porozmawialiśmy. Oczywiście, bez spoufalania. W każdym razie wychyciłem, że pan profesor ma rękę do kwiatów, ale

do papierów niekoniecznie. Podobno w tym poprzednim archiwum był straszny bałagan. Wyniki badań, zdjęcia, wszystko w nieładzie. Czasem w karcie pacjenta znajdowały się wpisy o zabiegach przeprowadzonych na innych osobach.

- Zaczynam rozumieć - przyznała Zuza. - Może dlatego w karcie choroby nie ma zdjęć? Może profesor je gdzieś zapodział, a jak Henio zakradł się szukać, stwierdził, że szybciej będzie puścić wszystko z dymem?

- Całkiem prawdopodobne - ocenił komisarz. - Pożar nastąpił niby przez zwarcie w instalacji, ale to akurat całkiem prosto się załatwia. Wracając do kartoteki... Skąd ją macie?

- Znalazłyśmy wczoraj u Henia w szafie - Zuza, która miała już wprawę w mijaniu się z prawdą, wystartowała pospiesznie z odpowiedzią. Misia siedziała za to jak trusia i skubała brzeg sukienki.

Gdyby przyznały się, że znalazły kartę w rzeczach Igły, zaczęłyby się kolejne pytania, a te mogły naprowadzić komisarza na ślad diamentów w mieszkaniu. Na to było jeszcze stanowczo za wcześnie, bo nie zakończyły przecież poszukiwań. Skoro tych brylantów było dwieście trzydzieści sztuk...

- W szafie, mówicie? - Marchewka zaczął intensywnie myśleć. - Już wiem. Zabrał kartę choroby i jej nie zniszczył, bo gdyby doszło do komplikacji po zabiegu, to jakąś dokumentację medyczną musiał mieć.

- Jakby mu się coś sfilcowało, jakieś bokobrody albo co - potwierdziła Zuza, chichocząc

- nie ma rady. Trzeba znowu kroić, szyć i jakieś info o operacji by się przydało. A mnie ciekawi, jak ta jego gęba wyglądała przed.

- A mnie? - Misię odblokowało. - Mnie to dopiero ciekawi. Widziałaś wczoraj jego ojca? Jeśli Henryk miał takie same uszy...

- Jak to: „widziałaś wczoraj jego ojca”? - Marchewka wyłapał od razu. - Przecież ojciec Hardego nie żyje.

Misia dopiero teraz zorientowała się, co chlapnęła i zmartwiła. Przez jej długi jęzor ci poczciwi ludzie będą mieć teraz kłopoty. Mimo że rozsądek podpowiadał, że było to

nieuniknione, bo prawdziwe nazwisko Henryka już wyszło na jaw, bardzo się przejęła.

- I tak by do nich dotarli - Zuza myślała podobnie i próbowała dodać jej po cichu otuchy. - Mów, chyba że ja mam powiedzieć? Tak? Proszę bardzo. Ojciec Henryka Skoczyłasa to może i gdzieś leży sztywny w krzakach, bo w sumie nie wiadomo, jak Henio zdobył to swoje fałszywe nazwisko, ale ojciec Jarosława Maziarza ma się całkiem dobrze. I razem z żoną prowadzi w Nikiszowcu aptekę. Całkiem sympatyczni z nich teściowie...

*

Do Katowic wróciły wyczerpane.

Po wyznaniu Zuzy kawiarniane śledztwo toczyło się dalej; zostały bardzo dokładnie przepytane o przeszłość Hardego. Marchewka czepiał się nawet pierwszej komunii świętej i był nad wyraz rozczarowany faktem, że Misia wiedziała o otrzymanym tego dnia przez Henryka aparacie fotograficznym Smiena, a nie potrafiła wskazać parafii. Przy parafii spuścił jednak nieco z tonu, bo Zuza uświadomiła mu przytomnie, że mając nazwisko i rodziców, sam znajdzie wszelkie pozostałe informacje. Do znajdowania musiało mu się chyba palić, bo kiedy skończyły swoją kawę, zaczął się tłumaczyć jutrzejszym wyjazdem służbowym i upewniwszy się, że mają czym wrócić, zapłacił i pobiegł do samochodu.

Zuza nadawała całą drogę o facetach, którzy przekładają swoją pracę nad wszystko inne, ale nawet teraz, kiedy siedziały z Misią w aucie pod jej domem, miała w głosie żal. Tylko że tym razem ten żal brzmiał prawdziwie.

- Ja ci powiem - zaczęła niewesoło - że ja to jestem głupia.

- Ale przynajmniej samokrytyczna - Misia próbowała żartować.

- Bo tak... Jajniki to mi jeszcze niby pracują, ale pojutrze stuknie mi trzydziestka. I licznik zacznie już ciągnąć pod cztery dychy.

- A co cztery dychy mają wspólnego z Marchewką?

- A to, że każdy ma swoją stałą napięciową.

- Zuza, ty znowu o polu?

- O jakim polu, zostaw pole i słuchaj - Zuza nie pozwoliła sobie przerwać. - Ja ci się zwierzam. O tym, jak mam tu - walnęła się po piersi, aż w jej biustonoszu zatrzeszczały fisz-biny. - Stała napięciowa, łapiesz? Mam tak, że potrzebuję emocji, wiatorku, blasku albo mroku piwniczki. Nieważne. Ważne, żeby coś się działo, a nie tylko codziennie chleb z szynką i prognoza pogody. Rozumiesz? Bo w życiu nie chodzi o to, żeby żyć, ale żeby przeżywać!

Misia rozumiała, choć mrok piwniczki nieco nią wstrząsnął. Przeżywanie tak, ładnie to Zuza ujęła. Teraz na przykład nie mogła się doczekać, aż przyjaciółka wreszcie się wywnę- trzy, bo w domu czekał Iglą. A z nim wiązało się wiele przeżyć.

- I co z tym napięciem?

- Muszę mieć napięcie, tak jestem skonstruowana. Chyba dlatego, że mamusia ciągle mi te wołty fundowała. I wyobraź sobie teraz Marchewkę podłączoną do prądu! - zakończyła płaczkliwie. - A komórki jajowe obumierają każdego dnia...

- Do jakiego prądu, ja cię kręcę?!

- No, wyobraź sobie życie z naszym Marchewkiem. Przecież on by mnie zaniuniął na śmierć!

Aaa, to o to chodziło.

- Że za dobry dla ciebie?

- A nie?

- Mnie to się wydaje, że nawet jakbyś się związała z Mansonem, też by ci się w końcu znudziło. Podobnie jest ze skarpetkami. Trudno się podniecać tą samą parą po piętnastu latach codziennego noszenia. Tylko że tak się stanie z każdą, którą kupisz. Z każdą! A bez skarpetek jest zimno i można się przeziębić.

- To może ja powinnam chodzić bosą? I z gilem po pas?

Misia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, zresztą Zuza również zaczęła rechotać.

- Problem w tym, że nigdy nie próbowałaś tych skarpetek nosić dłużej i ich cerować. A do skarpetek można przyszywać kokardki...

- Że niby co proszę?

- Nie wiem, głośno myślę. Można rozmawiać, mówić o tych piwniczkach, lękach, czy coś... A emocje to emocje. Jak ci się skończą damsko-męskie, zastąpisz je innymi. Zaczyniesz skakać z pierwszego piętra na sznurku do prania albo możesz opalać rękę nad gazem i mierzyć czas. Różne są możliwości. Wyrobisz normę i zaczniesz doceniać tego swojego pocztowego chłopca.

- I to się może udać?

- Ja próbowałam z Henrykiem, tylko że on nie chciał. Więc chyba potrzeba dwojga ludzi, którym będzie zależało. I którzy będą ze sobą szczerzy.

- Miśka, normalnie jak patrzę na ten twój uporządkowany, idealny świat...

- Faktycznie, bardzo uporządkowany. Na ścianie mam nasmarowane czarne „C” i to nie jest fototapeta.

- Ach, bo spływasz. Ja się boję... że Marchewka to się szybko zużyje.

- Czy przyjaciele się zużywają? - Misia naprawdę się oburzyła. - To może określ mój stopień zużycia, ja cię proszę, dobrze?

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

- Tobie chodzi o to, że nie rozumiesz podstawowej rzeczy. Miłość to proces. Jakbyś chciała umierać z miłości cały czas, to po kilku miesiącach zawał. Nie da się. Każde uczucie w końcu zaczyna normalnieć. Zawsze. I jak się je pielęgnuje, przechodzi w przyjaźń. Tylko trzeba nauczyć się ją cenić.

- Od przyjaźni to ja mam ciebie. A facet musi mieć... odpowiednich rozmiarów przymioty.

- Bo go właśnie uprzedmiotawiasz, kretynko! Facet to człowiek. Taki sam... Dobra, inny, ale człowiek! I go zobacz.

- Jeszcze go nie widziałam - Zuza błysnęła zębami w uśmiechu. - Ale chyba zamierzam.

- Boże, miej w swojej opiece wszystkie biedne warzywa - Misia westchnęła teatralnie. - A propos miłości i kochanków... Powiedz mi, czyja dobrze rozumuję. Ryszarda dała ci gar, bo nie wiedziała, że tam jest diament?

- No, raczej.

- Czyli ona wie o diamentach, ale nie wie, gdzie je Henryk ukrył?

- Tak jest.

- Bo mi się ten diamencik bardzo podoba - Misia wyłuskała brylant z torebki i obejrzała go w mdłym świetle latarni, która właśnie się rozżarzyła. - I wcale bym się nie obraziła, gdybym miała taki jeszcze jeden. Nie, żeby sprzedawać. Zrobię sobie kolczyki. Na pamiątkę, żeby nigdy tego wszystkiego nie zapomniała. Co sądzisz? Bo skoro mój małżonek ulokował w mieszkaniu ochroniarza, to może faktycznie są szanse? To ty sobie poodpoczywaj, a ja wracam do domu. Spakuję regionalne śmieci i biorę się za szukanie.

*

Nowe drzwi prezentowały się tak wybornie, że gdyby je wstawić do obory, ta od razu zamieniłaby się w pałac maharadży. Misia stała przed nimi i próbowała się jakoś określić. Nie w kwestii drzwi.

W kwestii Igły.

Nie zdążyła omówić z Zuzą tego, że dryblas pojawił się w Polanicy i tego, że wczoraj zostały zamknięte w garażu. I tego...

- Tak się zastanawiam, ile tu jeszcze będziesz stała - nie rozstrzygnęła żadnego z dręczących ją pytań, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Igła. Ironiczny. Nieprzystępny, bo tego błysku w oku nie można było nazwać ciepłem, ale raczej złośliwością. - Widziałem przez okno, że przyjechałaś.

Co za ujmująca czułość, doprawdy! Po ostatniej nocy liczyła jednak na inne powitanie. Postanowiła więc być tak samo zimna i wyniosła jak on. Cynik i bandyta.

- Yyy... Przyjechałam. Podziwiam właśnie drzwi.

- Niezgodzisz się, powiedziałbym. Tylko uszkodzili murek - cofnął się do mieszkania, a zaniepokojona Misia postąpiła za nim.

Murek nadal oddzielał przedpokój od salonu, ale w dwóch miejscach, blisko drzwi, pojawiły się w ścianie dwa poważne pęknięcia, w związku z czym leżąca na górze deska, która i tak

była przymocowana na słowo honoru, zaczęła się jeszcze bardziej ruszać.

- Trudno - Misia wzruszyła ramionami. Tak tu gnała, tak się spieszyła, a teraz przyszło jej składać rozwinięte skrzydełka. Zabolalo. Ale dobrze, nie rzuci mu się przecież na szyję. - Będzie pękać dalej?

- Będzie. Tu było wyrywanie futryny i inne cuda, więc sama rozumiesz...

- Sama rozumiem. A teraz wybacz, muszę wejść do wanny.

- Jasne, nie przeszkadzam - usłyszała w odpowiedzi i Iglą poszedł do siebie.

Misia na szybko coś przekąsiła i wykąpała się, a następnie postanowiła nie myśleć o Igle, ale zająć się pracą.

Z pokoju gościnnego dobiegały odgłosy jakiegoś filmu na laptopie, więc zabarykadowała się u Henryka i rozpoczęła systematyczne układanie wszystkiego w pudłach. Zastanawiała się właśnie, czy nie byłoby sensowne podzielić tego chłamu tematycznie (skapitulowała, próbując rozstrzygnąć, czy fujarki należałoby trzymać osobno czy razem z glinianymi ptaszkami), kiedy znalazła jakiś przyrząd.

Przyrząd był zielony z czerwonym napisem Bosch i świetnie leżał w dłoni. Budową trochę przypominał robota kuchennego, tyle że zamiast mieszadeł w ręczce urządzenia tkwiło coś, co służyło chyba do krojenia, bo było bardzo ostre. Dźgając ostrze palcem, Misia przypominała sobie przeznaczenie przedmiotu.

Wyrzynarka do drewna, no tak!

Pamiętała doskonale, jak jej mążzonek rozłożył na stole w kuchni kawał dechy i sam osobiście ją przyciął. Zajęły mu te operacje cały dzień, w kuchni unosił się natrętny pył, ale tak oto murek w przedpokoju zyskał zwieńczenie, a Pyza swoje ulubione miejsce do przesiadywania.

Misia zrobiła sobie przerwę w porządkach, napiła się zielonej herbaty i rozmyślała. Deska regularnie się gibała, co doprowadzało ją do szału. Na domiar złego przy każdym skoku Pyzy drewno stękało, tak jakby miało w środku jakąś ranę. Obrzydliwy chytrus z tego Henryka. Bo gdyby to zależało od Misi, zapłaciłaby stolarzowi za jakąś śliczną deskę

korespondującą odcieniem z meblami w salonie, a tę obrzydliwą sosnę wystawiłaby na śmietnik.

Ściskając wyrzynarkę w dłoni, Misia postanowiła zaszaleć.

W końcu ona tu teraz rządzi. A w mieszkaniu i tak odbędzie się remont, więc trochę tynku to tu, to tam, nie powinno nikogo martwić - w końcu murek również należało załatać.

Założyła więc fartuszek i przystąpiła ochoczo do dzieła. Nawet zaczynała ją to bawić.

Najpierw musiała sobie nieco pomóc nożem, potem wyrzynarką, ale w sumie decha poddała się nad wyraz szybko. Odskoczyła od murku tak energicznie, że gdyby Misia się nie odsunęła, upadłaby jej wprost na nogi.

Pod wpływem uderzenia drewno w dziwny sposób się rozwarstwiło. Pośrodku, dokładnie tam, gdzie najczęściej przesiadywała Pyza, znajdowała się...

Skrytka?

*

W Polanicy Igła niczego się nie dowiedział.

Zupełnie niczego. Lekarz okazał się matolem, który siedział ukryty w krzakach, a żeby coś z niego wydusić, musiałby chyba wkroczyć w tę faunę i florę osobiście i mieć więcej czasu, bo wiadomo, z wariatami rozmawia się w specjalny sposób. Tymczasem zadzwonili faceci od drzwi i przesunęli godzinę spotkania. Trudno się mówi, chociaż do Polanicy i z powrotem Igła zrobił wiele kilometrów, przyszło mu stamtąd wracać z niczym. Zdarza się i tak.

Mieszkanie musiało jednak zostać jak najszybciej zabezpieczone.

I zostało, zdążył na czas, a założony system działał jak złoto. Tylko ten cholerny murek... Na szczęście Misia zbytnio się nie przejęła, za to on - owszem.

Bo była jakaś dziwna.

Dziwnie na niego patrzyła i była dziwnie milcząca.

A może oczekiwała jakichś wyznań?

Z tym że dla niego żartobliwy kuksaniec wyrażał więcej niż romantyczne bełkoty. A gdyby jej, dajmy na to, przyłożył w tym

przedpokoju z sympatią przez plecy, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu, to jaki byłby finał tych amorów?

Obraza majestatu.

Tylko że kiedy nie wiadomo, co powiedzieć, lepiej po prostu coś zrobić, cokolwiek, a reszta wyjaśni się potem. Więc zrobił. Poszedł do swojego pokoju, a Misia zajęła się sobą. I bardzo dobrze. Podczas gdy on oglądał *Dobry rok* Ridleya Scotta (interesował go tam JEDYNNIE wątek somalijski), ta mała zaczęła odstawiać jakieś przedstawienia w przedpokoju.

Coś tam trzeszczało i skrzypiało. Mruczła do siebie pod nosem i stękała. No wszystko obliczone na to, żeby zainterweniował. A otóż i nie zainterweniował. Siedział sobie spokojnie przed laptopem, chrupał orzeszki i popijał wino i cieszył się, że ściągnął wersję z napisami.

Przemówiły do niego dopiero TE dźwięki!

Coś zarzęziło kilkakrotnie i nad wyraz przenikliwie, jakby nabierało rozpędu, a potem ten dźwięk - wdzierał się do najgłębszych zwojów mózgu - zaczął rosnać. Rósł i rósł, urządzenie piszczało w tonacji tak wybitnie nieprzyjemnej, że Igła cały się scierpł.

Czy ta kobieta musiała mu to robić właśnie teraz?

Teraz, kiedy już się usadowił i zaczynało być przyjemnie?

Zasyczał ze złości i zerwał się z wersalki.

Do przedpokoju dotarł właśnie wtedy, gdy deska z murku o mało nie pogruchotałaby jej stóp. Misia odskoczyła, ale wyrzynarka, którą nadal dzierżyła w dłoniach, nie przestawała złowrogo warczeć, a nawet zaczęła ciągnąć ją w dół. Czy za chwilę ktoś mu zrobi dziurę w kolanie?

- Wyłącz to! - zagrzmiał i dopiero wtedy popatrzył na podłogę.

W desce, od spodu, ktoś wykroił schowek, który zabezpieczono, niczym korkiem, innym kawałkiem drewna. Teraz drewnienko odskoczyło, odsłaniając wymięty zwitek materiału.

Rzucili się do niego jednocześnie, i to z takim impetem, że zderzyli się głowami. Jednak Misia była pierwsza. Pocierając

czoło, wyciągnęła ze szmatki dwa diamenty, w których zaraz odbiły się błyszczące pod sufitem halogeny.

- Są! - krzyknęła uradowana. - Znalazłam! Popatrz, znalazłam.

Igła oniemiał.

- Diamenty? - powiedział jednak chyba zbyt szybko i zabrzmiało to na domiar złego zbyt zachłannie, bo Misia chlasnęła go spojrzeniem.

- Skończmy może z tym udawaniem - powiedziała chłodno.

- Diamenty. Tego przecież szukałeś, prawda?

Nie zamierzał kłamać. Nie Misi. Czy już nadszedł ten czas? Ma wyłożyć karty na stół?

- Tak, tego szukałem - odpowiedział powoli, nie spuszczać z niej wzroku.

- I dlatego tak ochoczo wzięłeś się za pilnowanie mieszkania?

- Posłuchaj...

- Cały czas słucham! - zapewniła. Zaczynała coraz szybciej oddychać, a oczy pociemniały jej niebezpiecznie. - Dlatego mnie... - zawiesiła bezradnie głos i Igła poczuł się źle. Bardzo źle. - Dlatego my?...

- Misia, nie dlatego. Chociaż...

- Chociaż! Czyli jest jakieś „chociaż”? Oszukałeś mnie! Powiedz mi tylko jedno, czy to wszystko na polecenie... Hardego?!

- Jakiego znowu Hardego! Ja? Ja cię oszukałem? A kto mi podkradł dokumenty? Kto mi grzebał w rzeczach?!

- „Chociaż”! - wykrzyknęła z pasją i przypomniała mu w ten sposób scenę na parkingu przed Castoramą, gdzie się poznali. Wtedy też była taka bojowa. Ale teraz dla odmiany zaczęła mówić od rzeczy. - Wcale nie muszę mieć żadnych cholernych kolczyków.

- Jakich kolczyków?

- Proszę - z dumą uniosła głowę i wyciągnęła przed siebie brylanty. Głos jej drżał. - Są twoje.

Sajego?!

Tak po prostu?

Igła nagle się zawahała. Podobnego obrotu sytuacji nie przewidział, jednak z drugiej strony i tak musiałby odebrać Misi kamienie. W swoim czasie wszystko by jej wytłumaczył, ale utrata zaufania była nieunikniona. Wierzył, że jeszcze się między nimi ułoży, ale póki co, nie miał wyboru.

- Misia... wybacz. Aleja muszę je zabrać.

Chyba tak naprawdę nie wierzyła, że to zrobi. Rzuciła wyzwanie i miała nadzieję, że zdecyduje inaczej. Dlatego rozczarowanie w jej oczach było jak policzek, ale wyjął jej kamyki z ręki i schował do kieszeni.

I wtedy w tę delikatną postać wstąpił diabeł.

Misia zaczęła się miotać po przedpokoju i wykrzykiwać:

- Jaka ja byłam naiwna. Jaka naiwna! Ty wyrachowany, ty... Diamenty! Tylko diamenty! Jak tak, to proszę. - Pobiegła do łazienki i wróciła stamtąd z kartonikiem pasty do zębów. - Dwa metry! Nie mam kredy, ale mam to. Trzymaj się ode mnie z daleka, rozumiesz?! - wrzeszczała, a on miał niejasne wrażenie, że już coś takiego mówiła, i było to całkiem niedawno. Z furią odkręciła pastę i drżącą ręką zaczęła kreślić w przedpokoju białą falowaną linię. A potem taka sama linia powstała w kuchni, w salonie... - Ty tam, ja tu! I ani kroku.

Gdyby zyskał pewność, że w mieszkaniu nie ma więcej skrytek, zaoszczędziłby jej upokorzenia i już teraz się wyniósł. Ale pewności nie miał, bo przez ostatnich kilka dni tyle się działo, że nawet nie zdążył rozpocząć poszukiwań. Niewiarygodne, ale jednak. On! Nie zdążył rozpocząć! Patrzył więc, jak mieszkanie zostało podzielone na Polskę A i Polskę B i nic nie mógł zrobić.

Pasek szerokości trzydziestu centymetrów miał mu wystarczyć na dotarcie do ubikacji.

Czuł się tak podle jak nigdy w życiu.

Ubrał się i wyszedł.

*

Dochodziła północ.

Po wyjściu Igły Misia pochlipała cichutko przez pół godziny w jego pokoju, na chwilę się opanowała i z myślą o

jutrzejszej mafijnej kolacji zalała fasolkę wrzątkiem, a potem postanowiła ściągnąć do siebie na noc Zużę. Opowiedziała jej wszystko bardzo dokładnie, znowu zaczęła płakać w poduszkę, po czym otrzymała reprimendę i została zagoniona do pomocy w pieczeniu ciasta. Na stole stygł już keks, w piecyku dochodziła babka, a Misia złożyła właśnie uroczystą przysięgę dorównującą tej ze *Ślubów panińskich*:

- Umrę jako samotna staruszka. A potem ktoś po wielu latach znajdzie na Zawiszy Czarnego mojego zasuszonego trupka. W fotelu. I trupka mojego kota. Żadnych więcej face-tów. Jedyne wyjątek to Alzheimer.

- Dwa diamenty - Zuza nie była zainteresowana życiem pozagrobowym przyjaciółki, bo tu, na ziemi, działy się rzeczy o wiele bardziej ciekawe. - Po co ty mu je dałaś? Jak już tak bardzo chciałaś się dzielić, mogłaś oddać mnie.

- Niech się nimi udławi, skoro tylko o to mu chodziło.

- Dobrze, że chociaż został nam ten jeden, z garnka. A duże były?

- Nie wiem. Normalne.

- Ale jak rodzynki czy jak orzechy laskowe?

- Nie wiem!

- Ale czemu dwa, a nie dwieście trzydzieści? - Zuza zrobiła bardzo nieszczęśliwą minę.

- Ochrona mieszkania, szmery bajery, a tylko dwa kamyczki. Słuchaj... Może reszta jest w garach Riczardy?

- Może.

- Zabierzmy jej te Zeptery - zawołała impulsywnie, ale Misia nawet na nią nie spojrziała. Odcedziła warzywa na sałatkę i ułożyła je na talerzu do wystygnięcia.

- A zabieraj sobie, mnie wszystko jedno - rzuciła beznamytnie, nie mając pojęcia, że w głowie Zuzy już od jakiegoś czasu krystalizuje się pewien podstępny plan.

- Obojętne? Linie graniczne wyszły ci śliczne. Robiłaś Elmexem?

- Chyba tylko one mi wyszły. Niestety, Elmexem.

- A gdzie główny bohater dramatu? - zainteresowała się Zuza.

- Nie mam pojęcia. Wyniósł się gdzieś.

- Sam się wyniósł?

- Sam - przytaknęła Misia, która skończyła się już mazać, a teraz zaczynała być zła.

- Dobrze, że go nie wywaliłaś. My wiemy, że diamenty się znalazły, chociaż nie wszystkie, ale ten, co się do ciebie włamał, raczej nie ma o tym pojęcia. Dobrze, bardzo dobrze.

- Włamywacz, Hardy, kret, Igła... Czy tego nie jest przypadkiem za dużo?

- Jak będziesz kiedyś umierać z nudów, zatęsknisz nawet za pościgami. Ale naprawdę nie powiedział nic więcej? - Zuza nie odpuszczała. - Zabrał kamienie i poszedł precz?

- Prosił o wybaczenie. Tak jakby je wziął, bo nie miał wyjścia. Może rzeczywiście tak było? - zapytała z nadzieją.

- Marchewka mówił, że Hardy ma u siebie kreta, tak? - Zuza nawiązała do wcześniejszych słów Misi. - I że ten kret dla kogoś pracuje. No, to chyba Igła nie brał dla siebie. Rozumiem, że było mu przykro?

Misia jeszcze raz odtworzyła sobie w duchu ich rozmowę nad deską. Tak, Igła był poważny i smutny jak nigdy dotąd. I zdeterminowany, ale... Nie sprawiał wrażenia osoby, która już snuła plany, że po przehandlowaniu diamentów kupi sobie domek w Brynowie. Może źle go oceniła?

- Było, nawet bardzo. To jak ja go mam teraz traktować? Trochę histeryzowałam i możliwe, że nie byłam miła... Bo zakręcone to wszystko. Jutro ta straszna kolacja i w ogóle...

Zuza nie widziała problemu. -Tylko spokojnie. Z Igłą na dwa metry, sama mówiłaś - przypomniała i z upodobaniem przyjrzała się strużce pasty do zębów, która fantazyjnie biegła nawet przez drzwi lodówki. - Trochę oddalenia wam nie zaszkodzi, zresztą zobaczymy, jak to się będzie rozwijać. Godność godnością, ale musisz myśleć o swoich interesach. Ten JANOSIK to nie takie głupie. A Henio ma cierpieć.

- Ale póki co, ja cierpię najbardziej! - zawołała Misia i z rozpaczą wbiła nóż w marchewkę.

- Tylko nie Marchewka - Zuza rzuciła się w obronę warzywa. - Zresztą proponuję zrobić sałatkę jutro, dzisiaj

lepiej idźmy już spać. Rano musimy być w pracy.

Trudno było odmówić tym słowom słuszności. Kiedy Misia przygotowywała Zuzie łóżko, w nowych drzwiach coś elektronicznie zapikało i do mieszkania wrócił Igå. Przywitał się grzecznie z Zuzą, swojej współlokatorce posłał jedynie spojrzanie zbitego psa i nie odzywając się już, pomaszerował do pokoju gościnnego, gdzie bardzo długo paliło się potem światło.

Misia też nie mogła zasnąć, co się na niej zemściło, bo przygotowywanie skoro świt kolacji dla jedenastu osób było niemałym wyzwaniem. Przy pomocy Zuzy wszystko jednak poszło sprawnie, tak że w południe mogły się już stawić w „Feminie”. Przed Wielkanocą roilo się tu od klientek i od... klientów. A konkretnie od jednego. Misię już w progu dorwała księgowa, nie zauważyła więc, że kawiarenkę okupuje jej wierny fan, pan Krystian. Zuzą, wręcz przeciwnie, dokładnie mu się przyjrzała.

Ale się dzisiaj odstawił!

Mimo że wypiełgnowani pseudoprezesi nie byli w jej typie, dzisiejsza zabójcza prezenca pana Krystiana (mięciutka malinowa marynarka i doskonale leżące džinsy!) sprawiła, że w głowie Zuzy zaświtała pewna przewrotna myśl.

A gdyby tak Igå troszeczkę sercowo uruchomić?

Powkurzać dryblasą i uszczknąć mu nieco pewności siebie?

Zuzą podeszła więc do szpakowatego mężczyzny, uśmiechnęła się ujmująco i powiedziała:

- Co pan robi jutro wieczorem? Bo ja obchodzę urodziny. Nic wielkiego. Kawa, wino, kilku znajomych. I coś mi się wydaje, że pani Misia byłaby bardzo zadowolona, gdyby znalazł się pan na liście gości. Tylko proszę jej nic nie mówić. To będzie niespodzianka.

*

Salon był już uprzątnięty, ale ponieważ czasy świetności sprzed włamania pozostały wspomnieniem, Misia z Zuzą zdecydowały podjąć gości w kuchni - tam miały zostać podane dania gorące. W salonie stanął natomiast bufet szwedzki, bo tu

Misia zaplanowała seans filmowy - zgodnie z propozycją Zuzy wybrały *Skazanych na Shawshank*, ale żeby nuta dydaktyczna nie pobrzmiwała zbyt natrętnie, uzgodniły, że film będzie robił za tło spotkania. W y- patroszony narożnik został uzupełniony ręcznikami i przykryty narzutą w pięknym groszkowym kolorze, a one same czekały wystrojone na swych gości.

Igła wyniósł się z mieszkania z samego rana. Wyjął ze swojej półki w lodówce kawał kiełbasy, zrobił sobie herbatę i się ulotnił, potwierdzając jednak wcześniej, że wszyscy stawią się na siódmą.

Wyglądał okropnie. Oczy miał podkrążone, cały był wymięty, jakby spał w ubraniu, nawet jego bródka sprawiała wrażenie dekadentcko oklapłej.

- Czy ty mówiłaś wczoraj, że cierpisz? - zagała Zuza.

- Owszem.

- Ci w takim razie oznajmiam, że Igła chyba też.

- Tak sądzisz? - Misia nigdy by nie przypuszczała, że czyjeś ewentualne cierpienie może ją ucieszyć.

- Widziałaś, jak na ciebie patrzy?

- Nie widziałam, bo ja na niego nie patrzę.

- To sobie popatrz - podsumowała Zuza i zachichotała, bo rozbawiła ją „elokwencja” toczonego przez nich dialogu. - I popatrz też na ścianę - skinęła na malunek. Gigantyczne „C” zaczynało się tuż przy podłodze, a kończyło pod sufitem. Raczej nie mogło pozostać niezauważone. - Oni tu zaraz będą. Może i nie wiedzą, o co chodzi, ale zaczną zadawać pytania. I co im powiesz?

Misia spróbowała to sobie wyobrazić i scenariusz niemal ją przeraził. Że też wcześniej o tym nie pomyślała.

- Co robimy?

- Pastę do butów masz? - Zuza zadała bardzo konkretne pytanie i stanęła na baczność.

Misia poczuła przelatujące po plecach ciarki.

- Mam.

- Dawaj.

- Ale po co?

- Trzeba to jakoś uartystycznić.

- A farba? Mamy „Smaragdową wiosnę” - podsunęła Misia. - Można by pomalować. Pędzle są.

- W takich kieckach chcesz malować farbą? - Zuza popatrzyła krytycznie na swoją garderobę i pokręciła głową. - Ja się nie zgadzam. Z pastą będzie szybciej. Zrobimy z tego „C” koło i po sprawie. Chyba można mieć na ścianie abstrakcję?

Wkrótce okazało się, że sztuka wciąga.

Koło Misi nie zadowoliło. Nie było zbyt regularne, wyglądało bardziej na szkic niż na przemyślaną koncepcję artystyczną i na pewno dziwiło. Dziwiło! Misia stwierdziła to osobiście po wypiciu dwóch kieliszków chardonnay, a wiadomo, że jeśli po dwóch kieliszkach coś nadal dziwi, nie jest dobrze. Odebrała więc Zuzie umazaną w paście szmatkę i dorysowała oczy oraz uśmiech. Po chwili wahania dodała jeszcze sterzące na wszystkie strony promyki i pobiegła do kuchni po kurkumę. Po niecałym kwadransie jej salon zdobiło bardzo żółciutkie i pozytywne w wymowie słoneczko. Zbieżny zez tylko dodawał malunkowi uroku, a już na pewno nie zachęcał do zadawania pytań.

- Pamiętaj, że liczy się pierwsze wrażenie - pouczała ją Zuza, kiedy już umyły ręce i znowu zasiadły na posterunku. Starła się jednak przy tym nie patrzeć na ścianę. - A ty w pierwszym kontakcie jesteś zbyt nieśmiała. Uśmiechaj się. I przywitaj ich czule. Zwłaszcza Iglę. Niech mu skapnie trochę ciepła, bo jak on będzie siedział taki najeżony, to tu się nic nie wydarzy.

- Czule? Odbiło ci?

- Czule. Właśnie tak. Powiedz mu coś miłego. Po wszystkim możesz mu pomazać sweterek Elmexem, nieważne. Ale dziś wieczorem czule. Przywitaj ich CZULE! - Zuza powtarzała jak mantrę i Misia zaczęła już słyszeć tylko jedno słowo.

Kiedy więc u drzwi zabrzmiał dzwonek, a za nimi dały się słyszeć wesołe pokrzykiwania, pobiegła otworzyć. Na korytarzu stała gromada ludzi, którzy wsypali się zaraz do środka i naprawdę Misia nie przypuszczała, że jest taka mała. I że jej

mieszkanie jest jak łupinka orzecha. Bo oprócz Ryszardy i Gutka w przedpokoju znalazło się pięciu olbrzymów w eleganckich, czarnych garniturach. Każdy z nich był gigantycznego wzrostu i gigantycznego karku, a stosy mięśni i ścięgien poruszały się pod koszulami na tyle imponująco, że Misia na krótką chwilę zaniemówiła. Czuli się przytłoczona również dlatego, że Igła...

Igła wkroczył do przedpokoju, obejmując ramieniem jakąś elegancką szatynkę i był tak roześmiany, tak zrelaksowany, że wcześniejsze komentarze Zuzy o jego rzekomym cierpieniu napełniły teraz Misie niesmakiem. Niesmak zaczął ją wypełniać całą, aż skołowaciał jej od tego język. A przecież jako gospodyni powinna się odpowiednio zachować.

„Przywitaj ich czule. Zwłaszcza Igłę. Czule!”

Misia zwarła się więc w sobie, przywołała na usta dość niemrawy uśmiech, po czym pokazała ręką na salon ozdobiony zezującym słońcem i, nie spuszczać wzroku z Igły, wyrecytowała:

- Witam was... CIULE.

*

Telewizor i odtwarzacz DVD wcale nie były potrzebne, żeby spotkanie okazało się strzałem w towarzyską dziesiątkę.

Chociaż początek był fatalny.

Misia zaraz po ogłoszeniu swojego epokowego powitania na szczęście czknęła i wszystko zostało obrócone w żart, bo na stole stała jeszcze niedopita butelka. Panowie mafiosi kulturalnie, acz zdawkowo, przedstawili się (szatynka okazała się prawniczką firmy), po czym Misia wyskoczyła z kapciami i to było *faux pas* numer dwa. Wełniane papucie robione na szydełku, które Henryk przywiózł z jakiegoś wiejskiego odpustu, niekoniecznie dodały panom splendoru. Ale posłusznie ściągnęli pantofle i podjęli wyzwanie. Wyglądali jednak komicznie i chyba tak właśnie się czuli, bo nie palili się do rozmowy.

Odblokowało ich dopiero przy fasolce po bretońsku... Majeranek, czosnek i kielbaska pachniały tak samo jak

smakowały i wraz z aromatem potrawy po mieszkaniu rozeszło się kojące ciepło. Igła jeszcze raz wyluszczył pomysł dotyczący agencji ochrony i zyskawszy ogólną aprobatę, poinformował, że złożył wczoraj w urzędzie odpowiednie papiery.

I potem nastąpił kolejny punkt programu, którego Misia jednak nie uwzględniła.

Oblewanie.

Z mafiosów były chłopy na schwał. Młodzi (żaden z nich nie przekroczył czterdziestki), nabuzowani testosteronem - jak pili, nie żartowali. Jeśli Misia liczyła na „swobodną dyskusję intelektualną”, srodze się zawiodła. Po opróżnieniu wszystkich butelek Los Vascos zgłosili chęć odwiedzenia monopolowego. Kiedy dwuosobowa delegacja wróciła z Tesco ze skrzynką żytniówki, rozsiedli się przed telewizorem i popatrując na film, rozpoczęli...

- Pytanko mam do gospodyni - Gutek podniósł się z podłogi i uroczyście uklonił. Zdaje się, że miał już nieco w czubie, bo nienaturalnie świeciły mu się oczy. - Ta fasolka... Niebo w gębie, bardzo smaczna i w ogóle. Ale niebo w gębie, a wiatr w... Co chcesz, Igła, przecież się wyrażam. Tak, fasolka... Czyja bym mógł w takim razie dostać zgodę na jednego melenkiego pruczka?

Misia pochopnie przytaknęła, bo do końca nie wiedziała, czego ta nieśmiała prośba mogła dotyczyć. Uzyskawszy przychylność pani domu, rozochoceni wódką panowie postanowili się nie krepować. Bo fasolka, ogórki i śledziki wywołały w ich żołądkach małą rewolucję. Gdyby chcieli ją przeczekać w samotności, ubikacja by się nie zamykała.

Zbiorowa wymiana gazów stała się więc faktem.

Igła przyjął to rozłożeniem rąk i nieco zażenowanym uśmiechem, a Ryszarda pokusiła się o małą awanturkę. To ostatnie nie przyniosło jednak oczekiwanych rezultatów, bo panowie czuli się już u Misi co najmniej swojsko. I przy każdym kieliszku wyrażali do niej głębokie uczucie. W sumie nie zachowywali się źle, lecz po prostu nieco zbyt swobodnie, jednak wniosek należało wyciągnąć jeden: fasolka po bretońsku to niekoniecznie najlepsze danie na uroczystą

kolację.

- Miśka, pilnuj Riczardy! - Zuza szepnęła przyjaciółce do ucha. - Weź ją do pokoju Henryka, pokazuj łosie, jelenie czy co tam masz, ale nie wypuść jej czasem z mieszkania, dopóki nie wrócę.

- Czy ty...?

- Tak, ja. Idę się rozejrzeć na Wiklinową. Poszukam dokumentów Henia i porozkręcę garnki - oznajmiła stanowczo Zuza, przyglądając się Gutkowi jak kot tłuściutkiej myszy. - A ten? Myślisz, że zna się na wytrychach? Bo ja się uczyłam z YouTube, ale kiepsko mi szło.

- Zuza, ja to już nie mam do ciebie sił - Misia nie starała się kryć z oburzeniem, bo nikt nie zwracał na nie uwagi.

Kwiat śląskiej przestępczości zorganizowanej komentował właśnie prawa rządzące filmowym więzieniem w nawiązaniu do porządków na Mikołowskiej, Igła zabawiał prawniczkę, a Ryszarda wzgardziła wódką, ale za to dobrała się właśnie do piwa i zdaje się, że poszła do kuchni w poszukiwaniu soku malinowego.

- Zaufaj mi. Wiem, co robię. A Gutek...

- Co: Gutek? - nie zrozumiała Misia.

- Nie wiesz, jaką on ma specjalizację w tej całej Drużynie Pierścienia?

- Ma pistolet, to na pewno, więc może spec od mokrej roboty?

Spec od mokrej roboty strzelił sobie właśnie kolejną mokrą setkę i złapał ich spojrzenie.

- Co tak spiskujecie? - zagadnął zadowolony.

Misia uśmiechnęła się do Gutka i rzuciła na stronie do Zuzy:

- Bierz go. Nie cierpią się z Ryszardą, więc jej nie doniesie. Poza tym nie będzie chyba pamiętał. Zdobądź też dokumenty, niech ja wreszcie przestanę być mężatką...

*

Im Gutek wiedział mniej, tym było dla sprawy lepiej. Zuza zadzwoniła po taksówkę, rzuciła kierowcy dyskretnie adres i modliła się, żeby drzemka, w jaką popadł leżący obok niej na

tylnym siedzeniu facet, trwała jak najdłużej.

Jak na razie wszystko szło jak z płatka.

Dojechali na miejsce, Zuza. uregulowała należność i wyciągnęła Gutka z samochodu. Był jeszcze na wpół śpiący, więc nie zadając żadnych pytań, pozwolił się ulokować na trawniku przed domem Riczardy. Ale tu już odmówił współpracy. Ułożył się wygodnie na murawie i za nic w świecie nie chciał się stamtąd ruszyć. Na domiar złego zaczął śpiewać! Na szczęście Wiklinowa 112 zamykała ciąg budynków, przed oknami Ryszardy znajdował się jedynie brzożowy zagajnik, ale parę okolicznych psów już zdążyło zwąchać sensację i zaczęło ujadać.

- „Te łopolskie dziołchy stoją jak maźnice. Na na na nana na... czerwone spódnice!”

- Gutek, recytuj może, człowieku, jak masz parcie na sztukę. Ale nie drzyj gęby.

- Ooo... to my już przeszliśmy na ty? Jestem na ty z taką fajną babeczką? Na na na!

- Do jasnej pieprzonej Anielki... Cisza ma być!

- Anielki? A przez kogo ona pieprzona ta Anielka? - Gutek z przyjemnością podjął dyskusję.

- Józefie święty... - Zuza nieopatrznie zaczęła, ale w porę wyhamowała. - Eee, dobra, już lepiej nic nie mówię. Gutuś, słuchaj uważnie. Potrzebuję twojej pomocy. Bardzo potrzebuję. Umiesz się posługiwać wytrychem? Nie czołgaj się pod latarnię, ja pierdykam... - musiała złapać Gutka od tyłu za koszulę, bo ni stąd ni zowąd postanowił zwiedzać okolicę na czworaka.

- Gdzie ja jestem? - na moment otrzeźwiał, a potem stwierdził, że trawnik już mu się znudził.

Wstał, zapatrzył się w szumiące po drugiej stronie ulicy brzozy, po czym podrapał się po głowie, jakby coś zaczynał kojarzyć. Nie można było na to pozwolić! Jeszcze trochę się porozgląda, a rozpozna miejsce. Na pewno odwiedził tu kiedyś, jeśli nie samą Ryszardę, to przynajmniej Henryka.

- Chodź, spróbujesz otworzyć drzwi, dobrze? - wzięła go pod ramię i poprowadziła do bramy.

Furtka była otwarta, weszli więc na podwórko i tu czekała ich kolejna zasadzka.

Krasnal. Gutek nie mógł go zauważyć! Zuza wykonała więc skomplikowany manewr na chodniku, prawie się przy tym nabawiając dyskopatii, ale krasnal-alkoholik nie spojrzał Gutkowi w oczy.

- Tu masz wytrych - podała mu przybory znalezione w samochodzie Marchewki. - Dasz radę?

- Co mam nie dać. Wytrych! - Gutek zakołysał się i zmierzył wzrokiem drzwi, a następnie polecił Zuzie, żeby się odsunęła.

Zuza postąpiła posłusznie do tyłu, ale niestety nie było jej dane zobaczyć specjalisty w akcji. Specjalista bowiem ściągnął niespiesznie krawat, owinął nim rękę i najzwyczajniej w świecie stłukł pięścią szybę przy wejściu. A ile narobił przy tym hałasu... Nie zdążyła go nawet porządnie obsztorcować, bo zdarzyło się coś dziwnego.

Odgłosy opadającego szkła zdążyły już przebrzmieć, kiedy z kolei coś trzasnęło we wnętrzu domu.

Zupełnie jakby ktoś tam był!

Zuza pociągnęła Gutka przytomnie w krzaki bzu i była to mądra decyzja. Po kilku chwilach z okna wychodzącego na garaż wyskoczył bowiem... jakiś mężczyzna! Nie widzieli jego twarzy, bo kryła ją kominiarka, ale i tak efekt był przerażający. Nie tylko oni wdarli się na cudzy teren!

Mężczyzna wyskoczył z impetem, lekko się zachwiał, po czym minął ich i pokonał płot. Żwir jeszcze przez chwilę skrzypiał na drodze, a potem było słychać już tylko ujadanie psów.

- Co to? - Gutek zaczął się szarpać. - Co to było? Gdzie ja jestem?

- Siedź cicho, bo zaraz ktoś zadzwoni po policję. Ja muszę coś sprawdzić. Ty czekaj. I się stąd nie ruszaj!

Zdaje się, że zaczynał przytomnieć. Zuza odebrała mu więc czym prędzej wytrych i rzuciła się do okna. Nie podobała się jej ta historia, oj nie podobała. W kuchni znajdowały się przecież garnki wypełnione diamentami.

Musi działać.

I to szybko, bo cholerne psy nie zamierzały zamknąć jadaczek i lada chwila mogła się tu spodziewać jakiegoś nadgorliwego sąsiada. Szybko, nie znaczy jednak bez pojęcia. Zuza przygotowywała się do tej wizyty od kilku dni, sięgnęła więc teraz do torebki, skąd wydobyla latarkę i rękawiczki - nie mogła przecież sobie pozwolić na zostawienie śladów. Tak uzbrojona wkroczyła na teren wroga. Ponieważ знаła mniej więcej rozkład pomieszczeń, do salonu, który sąsadował z kuchnią, dotarła bez większych problemów. Wystarczyło omijać porozrzucane rzeczy, meble...

Włamywacz się nie patyczkował. Narozrabiał tak samo jak u Misi. Zuza ze współczuciem pomyślała o Ryszardzie, którą w najbliższym czasie czekały generalne porządki, kiedy przez przypadek liznęła światłem latarki największą ze ścian.

Obok kominka na bielutkim tle pyszniła się imponujących rozmiarów litera C.

Wtedy Zuza przestraszyła się nie na żarty.

- Tylko nie moje diamenty! - zapiszczała i skoczyła w panice do kuchni.

Tutaj również znać było tę samą rękę. Rozsypane produkty piętrzyły się w zlewie, a przyrządy kuchenne, naczynia, meble - cała reszta kotłowała się w nieładzie na podłodze.

Gary, gdzie są gary?!

Zuza rzuciła się w te zgłiszcza jak pocisk i gmerwała w pobjowisku, dopóki nie znalazła.

Były!

Całe i zdrowe.

Leżały porzucone pod stołem i raczej nikt nie próbował ich rozkręcać. Usiadła więc pospiesznie na kafelkach i pomagając sobie kolanami, zabrała się do dzieła. Jeden, drugi, trzeci... Każdy z garnków skrzypiał niezadowolony, ale Zuza była uparta. Tym bardziej że od strony salonu usłyszała głos Gutka:

- Halo, jesteś tu?

W ciszy konsekwentnie robiła swoje i wkrótce stwierdziła, że każde ze srebrnych naczyń kryło taką samą zawartość. Drugie dno skrywało zawiniątko z aksamitu, z tym że... PUSTE! W

żadnym nie było nawet jednego brylantu. Zuza nie zdążyła się zastanowić, co to może oznaczać, bo Gutek włączył światło i zawył.

- Ożeż kurwa!

Już chciała zabrać szmatki, żeby je pokazać Misi, jednak zmieniła zdanie. Niech lepiej wszystko zostanie tak jak było. Energicznie skręciła więc garnki z powrotem, upchawszy przedtem kawałki materiału na swoje miejsce.

- Nie drzyj się tam! Już idę - krzyknęła do Gutka, który na szczęście nie myślał o odwiedzeniu kuchni, ale siedział przy stole w salonie i tępym wzrokiem patrzył w ścianę.

- Po co ty mnie tu przywlokłaś? - zapytał zmartwiałym. W jego oczach nie było już żytniej pomroczości, doskonale wiedział, gdzie się znajduje. - Po co?

- Ja... ja nie wiem - wyjąkała, gratulując sobie w duchu zdolności aktorskich. - Chyba też za dużo wypilałam. Chciałam przywieźć Ryszardzie izbę Henryka i potrzebowałam pomocy. Ale przez to całe zamieszanie zapomniałam jej zabrać.

- Jaką izbę, kobieto?! Izbę to my tu zaraz będziemy mieć, ale skarbową. Spieprzajmy stąd! - pokazał na „C” i wystartował do wyjścia.

Był przerażony.

Zaraz, czy on nie zachowywał się tak, jakby doskonale wiedział, co się tutaj święci?

*

Dwie imprezy pod rząd to jednak stanowczo zbyt wiele.

Nawet Zuza, która miała spore doświadczenie w temacie, stwierdziła, że złożyło się jednak nieszczęśliwie, tym bardziej że jutro wypadała jeszcze Wielkanoc. Co prawda ich rodzicielki zapowiedziały się z taczkami jedzenia, jednak nie wypadało przyjąć rodziny z pustymi rękoma.

- Będziemy gotować hurtowo, nie ma rady - zdecydowała Zuza, wyciągając z lodówki ciasto na najwspanialszą na świecie tartę cytrynową.

Dochodziło południe.

Wczorajsza kolacja dla przestępców zakończyła się

stanowczo zbyt późno, a ponieważ panowie w pewnym momencie padli tam, gdzie dopijali ostatnią butelkę, ich szczątki Zuza z Misią zbierały dziś przez cały długi poranek. Tylko Ryszarda, prawniczka i Gutek pożegnali się o przyzwoitej godzinie - ten ostatni czmychnął od razu po nieoficjalnych odwiedzinach na Wiklinowej, zaklinając przedtem Zużę, żeby nikomu o tym nie mówiła. Po firmowym spotkaniu pozostał teraz jedynie odór gorzałki, z którym Misia postanowiła jednak walczyć, dlatego przed wyjściem do Zuzy pootwierala wszystkie okna. Igła pomógł im ogarnąć mieszkanie i pojechał do firmy, unikając w ten sposób konfrontacji. Wcale to Misi nie ucieszyło. Bo najchętniej porozmawiałyby o pani prawnik, do której tak zapamiętała się mizdrzył.

- Na urodziny sałatka warstwowa z tuńczyka i biała, z selera - Zuza była w swoim żywiole. - Bardzo mało pracy. I taki sam zestaw jeszcze na śniadanie dla mnie i dla ciebie. Z ciastami mamy czas do wieczora, też damy radę, wyciągnę jeszcze prodiż. Ale bez szału, po jednym cieście wystarczy. A jutro rano skręcimy jakiś żurek i walnie się jaja w majonezie z groszkiem i koperkiem, też moment. Żle? Moim zdaniem miód, malina i truskawki.

- I truskawki - Misia prawie się oblizwała. - A co na dzisiejszy wieczór?

- Zimna płyta, to wiadomo, bez żadnej filozofii, ważne, że wszystko jest świeżutkie. Chociaż z filozofii zrobiłabym śledzie z żurawiną i orzechami. Ożywcze, hi hi, i oryginalne. Teraz danie główne. Pieczone piersi z kurczaka nadziewane fetą i suszonymi pomidorami, zaraz zamarynujemy mięso. Obłoży się to marchewką, cebulką i czerwoną papryką, będzie pięknie. Żadnych żmioków! - Zuza od razu zastrzegła. - Ryż, i to brązowy. Do tego surówka z sałaty lodowej, czerwonej cebuli i pomidorów. Prosto, pysznie i nie musimy stać przy garach przez pół dnia.

- Brzmi porażająco, ale po co tak szaleć dla dwóch osób? - zdziwiła się Misia, bo urodziny Zuzy obchodziły zwykle razem.

Okazało się jednak, że przyjaciółka ma inne plany. Z

uśmiechem leniwej tygrysy klapnęła na stolku i niedbale poprawiła opadające na czoło loki.

- Nie, moja droga. Nie dla dwóch. Zaprosiłam jeszcze Marchewkę i Iglę.

- Iglę? Za moimi plecami?

- A czyje to są urodziny?

- Niby twoje.

- To co pyskujesz? A, wiem, nie mieliście okazji w nocy porozmawiać? - Zuza puściła do Misi oko.

- Jakbyś zgadła. Pan ochroniarz trzyma się twardo swojej linii. Nie przekracza granicy, nawet jak biegnie do ubikacji. I nie wypowiedział wczoraj choćby jednego słowa. Jak wyszliście, znowu zamknął się w pokoju.

- Przynajmniej ma swoją godność.

- Jaką godność? Pomazałam mieszkanie Elmexem! W amoku. Kto by brał takie szopki na poważnie?

- Ktoś jednak wziął... I?

- I mógłby się przestać wygłupiać i ze mną porozmawiać. I wyjaśnić, o co z tymi diamentami chodzi.

- Bym zaryzykowała twierdzenie, że to ty pierwsza powinnaś wyciągnąć rękę.

- Tak? A kto pierwszy wyciągnął rękę po moją własność?!

- Widzisz, jaka jest moc kamieni? - Zuza wycelowowała w Misie palcem. - Jeszcze niedawno tak się zarzekałaś, a dzisiaj słyszę: „moja własność”.

- To w takim razie chyba dobrze, że garnki u Ryszardy okazały się puste - oceniła Misia i postanowiła pomóc Zuzie w robieniu kremu. - Ile zetrzeć cytryn?

- Trzy. Tylko nie nerwowo, bez białej skórki.

- Już się robi. Puste... Ale co? Myślisz, że zabrał je włamywacz?

- Nie, jaki włamywacz. Jakby zabrał włamywacz, to by nie mazał ściany. Na pewno nie włamywacz. Henio albo Riczarda.

- A po co zostawili w garnkach zawiniątka po diamentach? Nie wiem, nie rozumiem... - Misia zaczęła się zastanawiać. Coś jej tu ewidentnie nie pasowało. - Marchewka uważa, że

Henryk nie zdążyłby sprzedać wszystkich dwustu trzydziestu sztuk.

- Niby tak. Ale my wiemy, że twój małżonek to cholernie zdolna bestia. I jak się za- weźmie...

- Ale dwieście trzydzieści? Polska jest wbrew pozorom mała. To by nie przeszło.

- A kto powiedział, że sprzedał wszystko w kraju? Niedawno był w Stambule, z tego, co sobie przypominam.

- O, kurczę. - Misia zamarła w cytrynę w ręku. - Faktycznie!

- To już masz chyba jasność.

- Chyba tak... A Gutek? Mówiłaś, że dziwnie się zachowywał.

- Założę się, że on wie, co jest na rzeczy - Zuza skończyła wałkować ciasto i sięgnęła do piecyka po formę. - Gapił się na ścianę, jakby tam był wymalowany wyrok śmierci. Poważnie. I zaparł się. Nic nie mogłam z łajdaka wyciągnąć, a wytrzeźwiał dosłownie w sekundę. Nie było żadnej szansy, żebym się rozejrzała za dokumentami. Żadnej.

- Nic się nie przejmuj. Skoro policja ma już prawdziwe nazwisko Henryka, to dokumenty się znajdują, choćby w urzędach.

- Co racja to racja, przyciśnie się Marchewkę i dotrzemy nawet do aktu chrztu. Unieważnienie masz gwarantowane... Mniem, pyszne - Zuza urwała kawałek ciasta i zamknęła oczy, delektując się jego maślanym smakiem. - Słuchaj, a co podamy na kolejną kolację dla przestępców?

*

Trzydzieste urodziny Zuzy były potem najczęściej komentowanym wydarzeniem roku. Zaczęły się od niewinnego spotkania na cztery pary, ale jego finał...

Pierwszy przybył Iglą i, ku uldze Misi, zaczął się wreszcie zachowywać normalnie. Już nie unikał jej spojrzenia, był nawet miły. W dodatku pojawił się w progu z dwoma największymi bukietami, jakie można było sobie wyobrazić. Ledwie mieścił się z tym kwieciami w drzwiach. Zuzie wręczył bordowe róże,

Misi białe margaretki. Już sam ten miły gest wystarczyłby, żeby mu wszystko wybaczyć. A jeszcze do tego w swoim motocyklowym wdianku wyglądał tak harleyowo niedbale, że Misia z trudem przelknęła ślinę. Na szczęście ona również pomyślała dziś o efektownym wyglądzie. Włożyła przylegającą sukienkę w wybitnie głębokim kolorze blue, którą Zuza określała mianem „niewinna seksmaszyna”. I coś w tym musiało być, bo kiedy Igła objął jej biodra wzrokiem, poczuła uderzenie gorąca. Uznanie krzyczało lubieżnie w jego czarnych oczach, a kiedy pocałował ją miękko na powitanie, wstrzymała oddech, bo inaczej zaczęłaby zipać jak przegoniona przez wieś krowa.

Rozmowa toczyła się leniwie wokół neutralnych tematów, świece migotały złościście i wtedy doszło do pierwszego zgrzytu.

Zuza dobyła łopaty.

Odpakowała ją z kolorowego papieru i z uczuciem przygarnęła do piersi.

- Śliczna, dziękuję - rzuciła do Misi i chyba walczyła z chęcią wypróbowania narzędzia w ogrodzie, ale w domofonie zazgrzytało i dał się słyszeć kolejny tego wieczora dzwonek. - Marchewka idzie!

W ten sposób Igła nie wyraził swoich uczuć. Popatrywał jedynie spod byka na stół, gdzie Zuza odłożyła swój ogrodniczy prezent, chrząkał i bębnił palcami o poręcz fotela, ale milczał.

- Bomba! - komisarz wpadł do pokoju i zakrzyknął już od drzwi, co zabrzmiało mocno sugestywnie.

- Gdzie? - Igła zerwał się z fotela.

- Bomba, mówię wam! Mam bombę. Tykającą! Zuza, sto lat! - zaaferowany Marchewka rzucał się po pokoju, nie bardzo wiedząc, w którą stronę się skierować.

- A dziękuję - Zuza odebrała od niego skromną różyczkę, w dodatku nieco teraz przywiędłą. Bardzo starała się nie okazać swojej powściągliwości, ale komisarz zdążył ją już poznać. Zerknął na bukiety pyszniące się w salonie i w akcie skruchy prawie przed Zużą ukląkł.

- Wybacz, bardzo się spieszyłem. Dla ciebie kupię kiedyś wszystkie róże na Śląsku. I frezje, gwoździki...

- Goździki chyba - poprawiła chłodno, ale ten wątyły kwiatusek wręczony z niewątpliwym uczuciem zaczynał ją powoli wzruszać. Tak samo jak wątyły policjancik, który w przyływie zawodowej radości odbił się od podłogi i porwał Zużę na ręce.

- I goździki... Mam telefon! - wrzeszczał.

- Jaki znowu telefon? - Zuza ofuknęła go dla zasady, ale młynek w powietrzu musiał się jej podobać, bo patrzyła teraz na komisarza znacznie cieplej. Poprawiła włosy, obciągnęła sukienkę i zaprosiła Marchewkę do stołu.

- Różycki, pamiętacie? Ten kolekcjoner... Cześć, panie Igła - dopiero teraz zauważył, że w pokoju znajdują się również inni goście. - Tego mi brakowało: jego telefonu. Przetrzęsneliśmy cały dom i nic. I wczoraj, kiedy byłem w Gdańsku...

- Gdzie, przepraszam? - zaciekawiał się Igła.

- W Gdańsku. Sprawy zawodowe.

- Pan Marchewka pojechał tam w sprawie kradzieży diamentów - wyjaśniła przewrotnie Misia, trzepocąc przy tym niewinnie rzęsami.

Komisarz się zapowietrzył, Igła bynajmniej nie wyglądał na zakłopotanego.

- Doprawdy? - zapytał nad wyraz uprzejmie.

- Tak. Do prawdy należy dążyć i się nie poddawać. Ha, proszę! - z dumą rzucił na stół najnowszy model iPoda. Widocznie rozstrzygnął już kwestię zdradzania szczegółów śledztwa współpracownikowi Hardego, bo przestał mu rzucać wrogie spojrzenia. - Dzisiaj rano ktoś podłożył w domu Różyckiego ogień.

- Różycki to ten, który pomagał Henrykowi sprzedawać brylanty? - upewniła się Misia.

- Ten sam. Gdyby nie to, że Hardy siedzi, podejrzewałbym o podpalenie właśnie jego. On miał w tym największy interes.

- A jak to się stało, że komórka ocalała?

- Sąsiedzi zauważyli dym i zadzwonili po straż. Połowa chałupy spalona. W tym podłogi, bo wszystko było drewniane. W podłodze, między deskami, musiała być

szpara.

A że telefonik jest chudziutki - Marchewka pomiział czule wyświetlacz - znaleźliśmy go na wylewce. Bez pożaru nie byłoby szans, nikt nie wpadł na pomysł, żeby rwać deski. I działa! Działa! To dopiero firma.

- Głupi ma zawsze szczęście - Zuza wyskoczyła z niezbyt taktowną pointą, ale komisarz był tak szczęśliwy, że nic nie mogło mu podciąć skrzydeł.

- Ale Różycki głupi nie był - zaraz nawiązał. - On nagrywał rozmowy z Hardym! Wyobrażacie sobie? Taka bestia! Jeszcze wszystkiego nie odsłuchałem, bo dostałem to przed godziną, ale mam w rękach prawdziwy skarb, powiadam wam, skarb! Hardy posiedzi w więzieniu do emerytury...

W tym samym momencie domofon zaburczał ponownie. Zuza uśmiechnęła się czarująco, pomyślała o ostatnim z zaproszonych gości i nacisnęła guzik, ciesząc się już w duchu na minę Igły.

Ale troszkę się przeliczyła.

Kiedy bowiem otworzyły się drzwi i stanął w nich... Henryk Skoczyłś vel Jarosław Maziarz, miny wydłużyły się wszystkim. Bez wyjątku.

*

Pobojowisko w kuchni uświadomiło Ryszardzie jedno: na kurę domową nadaje się jak koń do rosyjskiego baletu.

Czy to gotowanie, czy zmywanie, ba, nawet wyciąganie czystych naczyń ze zmywarki - wszystko, co miało jakikolwiek związek z kuchnią, napawało ją wstrętem. Postanowiła więc, że albo będzie jadać w McDonaldzie albo zatrudni gosposię.

Choćby takie porządki. Po wczorajszym włamaniu sprzątała cały dom sumiennie z kilkoma przerwami od samego rana, ale do kuchni jakoś nie miała serca. Te wszystkie widelce, mąki, przyprawy, porozwalane na podłodze naczynia, meble...

To stanowczo nie były jej zabawki.

Czy ma sobie z tym całym straganem poradzić sama?

Poczuła się bardzo, ale to bardzo słaba.

I jeszcze poczuła się mała.

Oraz biedna.

Poczucie krzywdy zmobilizowało jednak Ryszardę do działania. No, dobrze, Henia nie ma, ale przecież firma zatrudnia pracowników, i to jakich! Chłopy jak dęby, poradzą sobie z tym bałaganem raz dwa, a jeśli po wczorajszej popijawie obieca im się na dzisiejszego kaca jakieś procentowe remedium, na pewno nie odmówią pomocy. Policji nie zamierzała niczego zgłaszać, bo nie była pewna, czy włamanie nie ma czasem jakiegoś związku z Heniem, więc w zasadzie jej pomocnicy powinni się nawet poczuwać do obowiązku względem szefa.

I nie zawiedli.

Minęło zaledwie czterdzieści minut od jej telefonu, a już stawili się na posterunku gotowi do przelenia mięśni. Sprzątanie zgodnie z przewidywaniami poszło więc nadspodziewanie szybko. Ryszarda tylko dyskretnie czuwała nad przebiegiem zdarzeń i wydawała polecenia, a pięciu osilków ustawiało, zamiatało i polerowało.

- Szefowo, szefowa powie, gdzie schować gary - usłyszała nagle i w jej głowie dokonał się szalony pęd myśli.

A właściwie, czemu by nie?

Skoro ona postanowiła rzucić gotowanie, a pani Misi i jej przyjaciółce dawało to taką szaloną radość (wczorajsza kolacja była przepyszna), czemu miałyby im nie sprawić niespodzianki. Kiedy na domiar złego przypomniła sobie jeszcze kompromitujący telefon o wdowach i bękartach i ostatnią prośbę pani Skoczylas dotyczącą pamiątek regionalnych po Henryku, decyzję podjęła błyskawicznie.

- Jedziemy na Tysiąclecie - oznajmiła. - Pomożecie mi przewieźć garnki, a z powrotem zabierzemy ze sobą parę rzeczy. Dobrze wyglądam?

Ryszarda zawahała się, popatrując na swoje domowe dresy, ale co tam. Nie zamierzała przecież u pani Misi przesiadywać, a zawsze mogła odmówić zdjęcia płaszczka. Gdyby natomiast wiedziała, kogo spotka na parkingu przy ulicy Zawiszy, spędziłaby przed lustrem nie godzinę, ale pół dnia.

Szukając bowiem wolnego miejsca pod blokiem pani

Skoczyła, Ryszarda wypatrzyła między samochodami czyjąś przystojną sylwetkę. Ta doskonale męska budowa, ten rytmiczny sposób chodzenia i ostentacyjne smarknięcie na trawnik... Tak, nie było już żadnych wątpliwości - Henio! - wykrzyknęła wzruszona, czując napływające do gardła łzy.

Wypuścili go?

Tak nagle?

Ryszarda już chciała dzwonić do ukochanego, który, nie widząc jej, wsiadł właśnie do auta i odjechał, już gotowa była łkać ze szczęścia do słuchawki, ale resztkami sił powstrzymała się. Postanowiła Henia zaskoczyć i dopiero wtedy się uzewnętrznic, co z pewnością będzie mieć większą siłę wyrazu, niż scena odegrana za pośrednictwem Telekomunikacji Polskiej SA. Wniebowzięta zwarła, się więc za kierownicą, dała sygnał jadącej za nią asyście i ruszyła w trop za mężczyzną swojego życia.

Mężczyzna daleko nie zajechał.

Skręcił gwałtownie za salonem samochodowym na Chorzowskiej, gdzie stał budynek opatrzony tabliczką Zielony Zaulek 3. Zabawna nazwa. Przepuściwszy kilka aut, Ryszarda wjechała w tę samą bramę, zaparkowała z piskiem opon przy białym mercedesie i rzuciła się do wnętrza budynku, korzystając z faktu, że drzwi były uchylone. Pięciu osilków niosących przed sobą z namaszczeniem srebrzyste gary podreptało w ślad za nią.

W ten sposób cała szóstka stała się uczestnikami przedziwnej sceny.

Mieszkanie na parterze było otwarte. Jasność bijąca z pomieszczenia oświetlała sylwetkę Hardego, który stał na korytarzu z podniesionymi rękami, a dwóch facetów wykrzykiwało jeden przez drugiego:

- Ręce do góry, policja! - darł się ten niższy, chuderlawy blondyn, patrząc w zdziwieniu na Iglę, który wyciągnął zza paska pistolet i wypełnił cały blok swoim donośnym basem:

- Policja, nie ruszać się!

Panowie niosący dary od Zeptera ulegli panice. W końcu ich guru, ich szef przebierał nogami na wycieracze, ale ręce

trzymał jednak w górze. On też najwyraźniej był w szoku. Iglą policjantem? To dopiero rzeźnia! Rzucili więc garnki i nie patrząc, że szlachetna stal uderza o bruk, wzięli przykład z Hardego.

Wtedy do wesołej gromadki dołączył jeszcze ktoś.

Na klatkę schodową wszedł szpakowaty mężczyzna. Początkowo uprzejmie zainteresowany zbiegowiskiem, precyzyjnie się do przodu, ale kiedy wszedł na pięterko i popatrzył Hardemu w twarz...

- Ty sukinsynu, mam cię wreszcie! - zawołał triumfalnie i spod malinowej marynarki również wyskoczyła broń.

Dopiero wtedy Hardy wymiękł.

Nie tracąc czasu na dyskusje, błyskawicznie wykonał unik i rzucił się na schody, przewracając stojących wokół niego kamratów. Ale szpakowaty był jeszcze szybszy. Wykonał skok godny australijskiego torbacza i już siedział Hardemu na plecach. Przez moment tworzyli zwartą kulę, która przetaczała się po stopniach, ale do akcji wkroczyła Misia, która najpierw przyglądała się Igle, jakby go zobaczyła pierwszy raz na oczy, po czym zniknęła na chwilę w mieszkaniu i wypadła na korytarz z łopata. Stała ogłupiała nad tarzającymi się mężczyznami i chyba w któregoś celowała, ale wybrała zły moment, bo Iglą rzucił się ich rozdzielać. Kiedy już prawie mu się udało, Misia natarła. Nieszczęśliwie jednak, bo Hardy uwolnił się z objęć szpakowatego, a Iglą, nie chcąc dopuścić do ucieczki, znalazł się dokładnie na linii ognia.

I stało się.

Łopata przecięła powietrze i Iglą otrzymał solidne uderzenie prosto w potylicę.

- Znowu? Miśka, opamiętaj się! - zawył i wypuścił Hardego z rąk.

Hardemu ta chwila nieuwagi w zupełności wystarczyła. Wyszarpnął się i wybiegł na podwórko. Szpakowaty zaklął perfidnie i wypadł za nim.

- Henio! - krzyczała przerażona Ryszarda.

- Stać, stać! - skrzeczał blondyn i jak wąż wślizgnął się pomiędzy skotłowanymi osiłków.

- Marchewka, uważaj! - wołała Zuza, a jej głos odbił się od drzwi i pobiegł w dal, gdzie w ciemności obejmującej wesołe miasteczko majaczyła na niebie sylwetka diabelskiego młyna.

*

Igła był policjantem.

I jeszcze gdyby Misia dowiedziała się o tym fakcie w innych okolicznościach, ale nie. Dowiedziała się, kiedy machał jej małżonkowi nad głową pistoletem. Musiała to być jakaś hiperekstratajna akcja z przenikaniem do struktur mafii, bo Marchewka wyglądał na tak samo zszokowanego jak Henryk.

I wtedy sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

Nie wiadomo skąd pod mieszkaniem Zuzy znaleźli się goście z wczorajszej kolacji z Ryszardą na czele. Trzech z nich dzierżyło przed sobą po Zepterze, jednak widząc, co się dzieje, jak na komendę rzucili naczynia na podłogę, aż brzęk stali zawibrował w murach Zielonego Zaułka. Ledwie przebrzmiał, przed drzwiami Zuzy zmaterializował się... pan Krystian, ich klient. I teraz Misia przestała rozumieć cokolwiek, bo z okrzyku, który wzniosł na widok Henryka, wynikało, że się znają! I że raczej nie pałają do siebie miłością. Zaczęła się regularna przepychanka i tu już Misia targnęło.

Bo wszystko zaczęło się powoli układać.

Igła przemówił ludzkim głosem, Marchewka miał asa w kieszeni i mógł zapuszkować Henryka na wiele, wiele lat. I nagle ten baran wprasza się na imprezę, gdzie serwuje się piersi kurczaka z fetą i suszonymi pomidorami, zamiast gnić w więzieniu i wcinąć owsiankę.

Przecież to trzeba mieć tupet!

Owszem, dziwnie było patrzeć na tak dobrze znaną twarz i mieć uczucie, że w gruncie rzeczy jest obca, ale Misia przekonała się właśnie jednoznacznie, że jej małżonek nie wzbudza w niej żadnych uczuć. Śliczności mu w areszcie nawet przybyło, nie można powiedzieć, bo wyszczupłał, ale ta gęba była Misi kompletnie obojętna. Choć z tą obojętnością to tak nie do końca.

Przywaliby mu.

A że walczącym pod wejściem do piwnicy panom przydałby się zwrot akcji, Misia postanowiła przejść od myśli do czynu. Łopata była pierwszym narzędziem, na jaki padł jej wzrok, kiedy skoczyła do pokoju w poszukiwaniu środków perswazji. I słusznie, niech będzie. Bo w sumie od niej się wszystko zaczęło. Więc teraz niech tę ženadę zakończy.

Niestety.

Łopata jak magnes ciągnęła uparcie nie do tej główki, co trzeba.

Igła tak jakoś się pod Henrykiem poukładała, że Misia przyfasoliła z całych sił właśnie jemu.

Aż rozdzwoniły się od tego słoiki w piwnicy...

- Znowu? Miśka, opamiętaj się! - Igła odruchowo przykucnęła i objął oburącz głowę, jakby w obawie, że zaraz spadną na niego kolejne ciosy.

- Przepraszam, ale celowałam w Henryka - zaczęła rozpaczliwie tłumaczyć, ale nie dokończyła, bo jej mążnek wywinął się panu Krystianowi, przewrócił Igłę i wystrzelił jak z procy na zewnątrz.

- Co ty robisz, tamten ma broń! - Igła dźwignął się i zaczął ciągnąć Misię do mieszkania. - Do domu!

Na schodach wrzało.

Ryszarda zanosila się płaczem, rozgorączkowany mafiozi spekulowali na temat zajścia, a Zuza szalała na wycieracze, bo Marchewka przedarł się przez towarzystwo i ruszył w pogoń za uciekinierami.

- Misia, nic ci nie zrobili? - dopytywała się przejęta. - Jesteś cała?

- Ja tak.

- Do domu - powtórzył Igła i dopiero teraz zwrócił uwagę na porozrzucane po korytarzu garnki. Jeden z nich był jakby pęknięty. Schylił się i wziął go do ręki. - A to co?

- W tych garach była skrytka - rzuciła pospiesznie Zuza, zerkając kątem oka na Ryszardę, która wypłakiwała się na piersi jednego z mafijnych przystojniaków. - Pędzę na dół.

- Dokąd?! - Igła usiłował ją zatrzymać, bo czegoś tu nie rozumiał. - Przecież skrytka była w desce.

- To u Misi. A u Riczardy diamenty były w garach. Ale został tylko jeden.

- Jeden? - Igła zapytał z niedowierzaniem i wciągnął Zużę do mieszkania. - Jak to jeden?

- Sprawdziłam każdy gar. W każdym było zawiniątko z materiału, ale bez kamieni.

- Tylko jeden? - Igła nie mógł pojąć. - U Misi w desce dwa, u Ryszardy jeden? Z dwustu trzydziestu?

Zuza bynajmniej nie okazała zdziwienia, że nie tylko one dysponowały pewną wiedzą.

- Jeszcze jakieś pytania? Ja muszę do Marchewki.

Igła jakby otrzeźwiał.

- A, tak. Misia, trzymaj Zużę. Ja dzwonię po wsparcie - powiedział i ruszył do lodówki, pod którą odbył krótką, ale niepozostawiającą wątpliwości co do jego osoby rozmowę.

- Podinspektor Igor Krawczyk. Awaria. Dajcie ekipę na Zielony Zaulek 3. Trzeba zdjąć dwóch kolesi. Jeden uzbrojony, drugi chyba zbiegł z aresztu, ale to najpierw sprawdźcie. Henryk Skoczył. Znosi się na krwawą jatkę, bo panowie skaczą sobie do gardeł. Jak to na kiedy? Na na!

Igor.

Misia uśmiechnęła się szeroko i już chciała powiedzieć, że to imię bardzo do niego pasuje, ale Igła miał teraz na głowie ważniejsze rzeczy.

- Misia, musisz mi pomóc - ujął ją troskliwie za ramiona. - Bo to się kupy nie trzyma. Te skrytki i to, że bym pilnował mieszkania, to była podpucha. Hardy jest kuty na cztery kopyta. Wiedział, że wcześniej czy później ktoś znajdzie dziurę w desce i garnki - pokazał na stojącego na stole Zeptera.

- Czyli chodziło o zmylenie przeciwnika? - upewniła się Zuza.

- Na sto procent.

- Czyli... diamenty gdzieś są?

- Są - Igła przytaknął. - Pytanie tylko gdzie.

- I o to pytasz Misie? - Zuza wtrąciła się ze złośliwym uśmiechem.

- A kogo mam pytać? Tylko Misia może znać to miejsce. Bo

zapewniam was, że diamentów nie ma ani w naszym mieszkaniu, ani w domu Ryszardy.

- Ale ja nie wiem - Misia zaprotestowała słabo.

- Wiesz - powiedział z mocą Igła. - Tylko musisz sobie przypomnieć. I to w miarę szybko, bo Hardy jest na wolności. Nie wykluczam, że dogadał się z prokuratorem, bo mimo że ostatnio się kłócili, to chyba mają układ, ale...

- A nie mówiłam? - ucieszyła się Zuza. - Z pominięciem Jasnej Góry, ale jednak. Misia, mów, gdzie to miejsce, ja pierdykam...

- Jakie miejsce? Nie znam żadnych miejsc. Oprócz firmy, domu Ryszardy i... - zamilkła naraz z przejęcia, bo nie wiedzieć czemu, zamajaczył jej przed oczami ohydny drewniany zając.

- I?! - krzyknęli jednocześnie.

- I apteki państwa Maziarzy w Nikiszowcu - dokończyła Misia, zakrywając usta.

*

Wesołe miasteczko stało się sceną zupełnie niecodziennych zdarzeń.

I ich bohaterami bynajmniej nie była gromada dzieciaków opychająca się watą cukrową.

Z podwórka Zuzy wszyscy mieli doskonały widok i z fascynacją obserwowali, jak trzy postacie wspinają się po konstrukcji diabelskiego młyna coraz wyżej i wyżej, ale pełniący nocną wartę stróż miał w tej kwestii zupełnie odmienne zdanie.

- Chuligani! - zaalarmowany hałasem stał właśnie pod gigantycznym metalowym kręgiem i darł się wniebogłosy. - Złazić mi stąd, ale już! Bo zadzwonię na policję!

W górze nic sobie jednak z tego nie robiono, bo toczył się tam zupełnie inny dialog - można powiedzieć, że dialog na wysokim poziomie.

- Oddawaj diamenty, chamie!

- Pier... się!

- Policja! Nie pogarszajcie swojej sytuacji! I tak nie

ucieknięcie.

Upzejma konwersacja połączona z ćwiczeniami gimnastycznymi może i toczyłaby się do przyjazdu antyterrorystów, ale Hardy realnie ocenił sytuację i chyba doszedł do wniosku, że czas coś zmienić. Zamiast nadal piąć się w górę, zaczął dla odmiany przeskakiwać po krzeselkach w dół. A że droga w przeciwnym kierunku zajmowała zdecydowanie mniej czasu, dało mu to znaczną przewagę. Upadł na trawnik i przewróciwszy rozwścieczonego stróża, pobiegł do ogrodu.

- Henio! - Ryszarda doskoczyła do ukochanego, ale jej wysiłki nie zostały docenione.

- Uciekaj stąd! Chowaj się! - krzyknął Henryk i dał nura do samochodu, po czym odpalił silnik i popędził na Chorzowską.

Wtedy przez płot przeskoczył pan Krystian i już miał biec do swojego białego mercedesa, kiedy zahaczył wzrokiem o wstrząśniętą Ryszardę.

- Jedzie pani ze mną? - strzelił w nią pytaniem i niczego niepojmująca Ryszarda byłaby na tę propozycję nieopatrznie przystała, gdyby nie Igła i komisarz Marchewka.

Gdy tylko dostrzegli mercedesa, Igła wydobył broń, a Marchewka pokonał płot z prędkością światła i skoczył panu Krystianowi na plecy niczym pchła. Bardzo upierdliwa pchła.

- Jest pan aresztowany za współudział w kradzieży diamentów - wyrecytował formułkę, a Igła znowu dobył broni i wspólnie zakuli przestępcę w kajdanki.

Na tę właśnie scenę trafili antyterrorysty. Ich samochód wtoczył się z wizgiem na podwórko, po czym wysypali się z niego zamaskowani faceci, którzy z przyjemnością przejęli pana Krystiana. Wrzucili go na pakę jak worek mąki i zastanawiali się, co robić dalej, kiedy Igła krzyknął porażony pewną myślą:

- Diamenty! Hardy jedzie po diamenty! Misia, gdzie ta apteka?

- W rynku - pospiesznie odpowiedziała Misia i widząc, że Igła naradza się z dowódcą, a potem biegnie do motoru, rzuciła się za nim. Zuza również.

- Oszalałaś? Gdzie?! - Igła zaczął się bronić, bo ani myślał

godzić się na nieproszonego pasażera.

- Z tobą, wiem, gdzie są diamenty.

- To mów i do domu. Jazda!

- Żadne do domu - Misia podniosła bunt, a Zuza widząc, że na motorze nie ma już dla niej miejsca, poprosiła, żeby chwileczkę poczekała i pobiegła do mieszkania. Przyniosła ze sobą kask i... wytrych Marchewki.

- Może wam się przyda. Powodzenia - powiedziała, prawie kreśląc w powietrzu znak błogosławieństwa.

To Igłę mocno zdenerwowało.

- Wsiadka! - zarządził, ale Misia przyłgnęła do niego całym ciałem i pojął, że tylko traci czas. - Zeż psiakrew z wami. No, dobra, ale załóż kask, bo nie ma żartów, musimy być tam przed Hardym. Będzie wizgało, że hej.

I rzeczywiście. Misia nigdy przedtem nie doświadczyła tak szalonego pędu. Miała wrażenie, że na wietrze powiewa nawet jej wątroba. Ze strachu zamknęła oczy, ale wtedy było jeszcze gorzej. Modliła się więc, żeby na trasie nie trafili na żaden kamień czy zdechłego zwierza, bo gdyby Igła na coś najechał, jak nie skończyliby w rowie.

Ale udało się.

Pomogła im późna pora, bo ruch był o tej godzinie znikomym, i do Nikiszowca dotarli niemalże w kilka minut. Igła w swoim skafandrze miał się nieźle, ale Misia w „niewinnej seksmaszynie” przemarzła do szpiku kości.

- Żyjesz? - zapytał Igła, kiedy dotarli już na miejsce.

- Tak jakby.

- Dobra nasza - pomógł jej stanąć na nogi i rozejrzał się po pustym rynku. - Hardy chyba jeszcze jest w drodze. To ta apteka? - wskazał czerwone drzwi.

- Tu nie ma innej.

- Taaak. Wytrych - zawahał się przez moment, ale wyciągnął z kieszeni przyrząd i uważnie mu się przyjrzał. - Niezły. Nie pochwalam, ale nie widzę innego wyjścia. Musimy się tam dostać i sobie grzecznie poczekać.

- Na co poczekać? Przecież mamy zabrać diamenty - Misia wyraziła zdziwienie.

- Tak? Nic o tym nie wiem. Wiem natomiast, że chętnie popatrzę, jak zabiera je Hardy.

I chętnie go wtedy złapię. Na tak zwanym gorącym uczynku.

- Cudnie! - Misia zapała z zachwytem, bo zdążyła się już zżyć z myślą, że jej małżonek spędzi resztę swych dni w zamknięciu i w związku z nową sytuacją czuła lekki dysonans. - Włamujemy się?

Igła znał się na rzeczy. Przede wszystkim nie chciał słyszeć o otwieraniu głównych drzwi, bo Hardy od razu by się zorientował w podstępie. Jednak z zamkiem na zapleczu rozprawił się w kilka minut i znaleźli się teraz w pachnącym walerianą korytarzu na tyłach apteki.

- Pójdę pierwszy - wydał polecenie, a w międzyczasie zaglądał do mijanych pomieszczeń.

Miał niezłą podzielność uwagi. Wykonał telefon do podążających ich śladem antyterrorystów, a ustaliwszy szczegóły, zdążył przytrzymać Misie, która po dotarciu do dużej sali wypełnionej szufladami i lekami niemal odruchowo chciała włączyć światło. Obadał też drzwi oddzielające aptekę od zaplecza.

- Stawiam na królika - wyszeptała i poprowadziła Iglę za ladę, gdzie w świetle padającym z ulicznych latarni drewniany stwór wyglądał jeszcze bardziej dziwnie.

- W mordę, do Baksa to mu daleko - stwierdził Igła, nie kryjąc obrzydzenia. Wydzielił królikowi pstryczka w nos i ostentacyjnie wytarł rękę. - Jakiś taki... skrzywdzony przez los, czy coś.

- Obawiam się, że to szczyt artystycznych możliwości mojego małżonka.

- Czy ja usłyszałem „szczytowanie”? - Igła znalazł się nagle bardzo blisko. Tak blisko, że poczuła zapach jego skórzanej kurtki i pierników. - A to ciekawe...

I nagle wszystko odpłynęło.

Diamenty, antyterrorysty, Henryk. Mimo że jeszcze przed chwilą Misia uczestniczyła w wydarzeniach, które aż nadto podnosiły ciśnienie, teraz czuła, że uderzenia jej serca zaczęły

być jeszcze szybsze.

- Igor - po raz pierwszy wypowiedziała na głos jego imię i zrobiło się jej dziwnie błogo.

- Całkiem niezłe brzmi. Ale chyba wolę Iglę.

- A ten twój małżonek... to długo będzie twoim małżonkiem? - Igor zwany Iglą niepewnie chrząknął. - Nie żebym ja nim chciał zostać, bo małżeństwo to poważna okoliczność rozwodowa, ale...

- Ale?

- Mógłbym cię od czasu do czasu zabrać motorem na jakieś włamanko. Albo dla odmiany na łąkę. Albo... na łąkę po włamanku - wymieniał, całując Misię po szyi. - I mogę cię zapewnić, że z naszego szczytowania nie powstaną takie potwory jak ten apteczny stwór. Nie, żebym chciał coś spłodzić, ale...

- Ale?

Niestety, Misia nie poznała kolejnych szczegółów, bo bez żadnej zapowiedzi ktoś zaczął dobierać się do drzwi wejściowych i Iglą z amanta szeptającego czułe słówka zamienił się w psa śledczego.

- Ty do korytarza i zamknij drzwi na klucz. Szybko. Ja mu odetnę drogę - zarządził i zanurkował pod ladę, skąd pod jej osłoną przemknął w kierunku okien. Tam schował się w cieniu półki z ziołami i czekał na swoją ofiarę.

Ofiara dostała się w końcu do środka.

Dyszała i kłęła na czym świat stoi.

A potem jak po sznurku pobiegła do królika, gdzie przez chwilę się z czymś siłowała, żeby później stanąć w pełnym świetle z wielką marchewą w dłoni i w zdumieniu patrzeć, jak apteka wypełnia się bardzo groźnymi facetami, którzy w każdej chwili gotowi są rozmazać jej flaki na ścianie.

Misia domyśliła się z odgłosów, że brygada szybkiego reagowania faktycznie zareagowała szybko, a nie chcąc tracić najlepszej zabawy, otworzyła drzwi i wpadła do apteki. Widząc, że Henryk leży obezwładniony na podłodze, spojrzała porozumiewawczo na bardzo groźnego pana, który rozgniał go na placek, uklękła i patrząc małżonkowi prosto w oczy,

rzuciła:

- Jesteś aresztowany, kochanie.

*

Sukces śledczy postanowiono uczcić w knajpie.

Zuza miała już gotowania po loki i zaproponowała swoją ulubioną restaurację Pan de Rossa w Dolinie Trzech Stawów, gdzie przychodziła świętować specjalne okazje, bo kuchnię mieli tu doskonałą. Spotkali się więc wieczorem we czwórkę, zamówili na przystawkę carpaccio z kaparami i sosem dijon i przegryzając bułeczki z masłem ziołowym, czekali na zupę, kiedy Igła na chwilkę ich przeprosił, po czym wrócił do stołu z butelką czerwonego wina i... tasakiem, który troskliwie ułożył przed Misią. Następnie wyjął z kieszeni wytrych i wręczył go Zuzie.

- To moje! - uradował się komisarz. - Tyle się tego sprzętu naszukałem. Skąd to masz?

- Znaleziska dziejowe, można powiedzieć - Igła nie palił się do wyjaśnień i widząc konsternację pań, wziął się za otwieranie butelki. - Dobry rocznik. Argentyńskie. A ponieważ na urodzinach nie było okazji, proponuję wypić zdrowie Zuzy po raz pierwszy!

Kiedy toast już przebrzmiał i solenizantka została dokładnie wycelowana przez Marchewkę, Igła przysunął się do Misi i błyskając zabójczo swoimi czarnymi ślepiami, rozpoczął spowiedź tajnego agenta.

- Sprawę kradzieży diamentów oficjalnie umorzono w czerwcu rok po zdarzeniu. Ale tylko oficjalnie - zastrzegł i uklonił się dwornie. - Nieoficjalnie zajmowałem się tym nadal ja. Zaczęło się od tego, że obserwowaliśmy dalsze poczynania ścisłego grona ludzi zatrudnionych przy targach. Bo złodziej musiał mieć współnika. Interesowały nas zwłaszcza finanse pracowników, nagłe zmiany miejsca zamieszkania, rozmowy telefoniczne i tak dalej. Żmudna codzienna praca. Ale opłaciło się. Jeden z portierów, niejaki Gustaw Słoma, kupił sobie po dwóch latach najnowszą mazdę. I wyjechał na Śląsk.

- Gustaw? - podchwycił Marchewka.

- Chodzi o naszego Gutka. Który po przyjeździe do Katowic zatrudnił się w firmie.

- A nie mówiłam, że coś wie? - ucieszyła się Zuza. - A Hardy? To znaczy, Henio...

- I tak właśnie dotarłem do Hardego - wyjaśnił Igła. - Był już po zmianie nazwiska i operacji plastycznej, chociaż kiedy robili skok, legitymował się jako Jarosław Maziarz. Świeżo upieczony student Marynarki Wojennej w Gdyni.

- Co? - Misia nie chciała wierzyć. - Poważnie?

- Poważnie. Skończył studia, w planach miał podróże, co doskonale rokowało, bo mógł bez problemu wywieźć diamenty z kraju. Początkowo myślałem, że taki był właśnie plan, ale kiedyś po wódce Gutek się wygadał. Oprócz Hardego był jeszcze ktoś trzeci. Ktoś, kto zlecił kradzież.

- Białe mercedes - odpowiedział Marchewka.

- Tak jest. Gość podobno kierował gangiem Polaków, którzy łupili niemieckich jubilerów. I zachciało mu się diamentów, które zamierzał przemyć do Azji, a stamtąd jeszcze dalej. Mówili na niego Krystian, chociaż nazywa się zupełnie inaczej. I ten Krystian zgadał się z chłopakiem z południa Polski, właśnie z naszym Hardym. Tylko że nie wziął pod uwagę, że Hardy nie jest głupi. Jeszcze kiedy studiował, dokooptował do swojej drużyny Gutka, miejscowego złodziejaska. I kazał mu się zatrudnić przy obsłudze targów. Gutek poznał targowe zwyczaje, był lubiany i zdobył zaufanie swoich pracodawców. To było rok przed kradzieżą. Potem, wiadomo. Hardy za pomocą Gutka zdobył kartę magnetyczną i zabrał kamienie. Tyle że nie podzielił się z Krystianem, ale zwał.

- A Gutek? - dopytywała Misia.

- Gutek pracował dalej i siedział cicho. Ale Krystian też nie był w ciemni bity i chyba robił to samo, co my. Tropił wspólnika Hardego, żeby potem dotrzeć do niego samego. Bo Hardy przepadł. Ale w końcu Krystian go znalazł i to właśnie dzięki Gutkowi, który bynajmniej nie zmienił nazwiska, przez co Hardy zapewne pluje sobie w brodę.

- Zgadza się, pluje, pluje - zapewnił Marchewka i zaśmiał się z satysfakcją. - Dlatego wszystko na temat Krystiana wyśpiewał. Nagrane rozmowy z Różyckim też zrobiły na nim spore wrażenie.

- Właśnie, Różycki, zaraz do niego dojdziemy... Krystian odnalazł Gutka i najzwyczajniej w świecie go przekupił. Udało mu się, ponieważ Gutek budował dom i potrzebował środków, a Hardy zaczął mieć kłopoty, bo większość ludzi z jego bandy aresztowano za przekręty z paliwem i słabo płacił. Krystian przeprowadził się więc na jakiś czas na Śląsk, a żeby jego obecność nie była dla nikogo podejrzana, został sponsorem szpitala w Szopienicach. I tam miał swoją metę, bo szpital jest opuszczony.

- Ale szpital znajduje się niedaleko firmy - zauważyła Misia.

- Dokładnie. Krystian siedział w ukryciu i jak pajak snuł swoją sieć. Obiecał, że zapłaci Gutkowi za zdobycie informacji o miejscu, w którym Hardy ukrył brylanty. Przeszukali firmę i doszli do wniosku, że należy ich szukać w mieszkaniu na Zawiszy. Gutek włamał się więc do Misi, ale niczego nie znalazł. Żeby nastraszyć Hardego, Krystian kazał namalować na ścianie symbol węgla, którego używali, mówiąc o diamentach. Jednocześnie chciał osłabić moją pozycję, bo dużo w firmie znałyłem i pilnowałem mieszkania. Kupił ten sam model BMW...

- I próbował nas skłócić - weszła mu w słowo Misia, choć historię o Śnieżce opowiedziały z Zuzą już wcześniej - żebyś się wprowadził.

- To też - zgodził się Igła. - Ale jednocześnie zaczął regularnie parkować swoim BMW pod prokuraturą, żeby inni myśleli, że jestem zdrajcą. Na marginesie: wtedy pod przychodnią podsłuchaliście moją rozmowę z policjantem, który przekazywał mi polecenia góry.

- Ale brzmiało to jakby się spotkały dwa zbiry - wytknęła Zuza. - Ale co z Krystianem i prokuraturą?

- Przyznał, że gdyby spapranie mi opinii nie pomogło, zamierzał mnie przekupić, choć pewnie zrobiłby pożytek ze

swojej pukawki. Tymczasem udało mu się dotrzeć do Różyckiego, bo nieustannie kontrolował rynek diamentów i zauważył, że Różycki jako jeden z niewielu miał ciągle świeże dostawy. I to był strzał w dziesiątkę. Różycki okazał się handlarzem Hardego. Oczywiście sam Różycki nie wiedział, skąd pochodzą kamienie, choć raczej się nie łudził. Tym bardziej, że w rozmowie z Krystianem - mamy ją nagraną - padło o jedno słowo za dużo. Ale to już może opowie Piotrek...

Marchewka upił wina, przegryzł łyżeczek pieczywem i z przyjemnością kontynuował:

- Krystian się wygadał, a Różycki skojarzył fakty, bo o kradzieży w Gdańsku wie każdy miłośnik diamentów. I stary cwaniak zrozumiał, że w pojedynkę zarobi więcej. Bo Krystian namawiał go, żeby prawdziwe diamenty odsprzedawał jemu, a w obieg puszczał duplikaty. Oczywiście wszystko w tajemnicy przed Hardym.

- Co jeden to lepszy gagatek - oceniła Zuza.

- Nosił wilk razy kilka... - mruknął Marchewka. - Różycki wymyślił, że odwlecze interes z Krystianem, że niby się zastanawia, a w międzyczasie wyciągnie jak najwięcej forszy z Hardego. I zaczął go szantażować. Tylko że Hardy się zorientował i zrobił z nim porządek. Po swojemu, rzecz jasna.

- Tylko bez szczegółów, jeśli można - zastrzegła Misia.

- Żaden szczegół. Po prostu go udusił i upozorował samobójstwo. Zabrał dokumentację związaną z diamentami, tylko nie mógł znaleźć telefonu, a podejrzewał, że tam coś może być. Dlatego jak tylko wyszedł na wolność, naprawił swój błąd i podłożył w Poraju ogień.

- A ten prokurator, który Hardego wypuścił?

- Prokurator, mój były szef - zaakcentował z zadowoleniem Marchewka - jak się okazało, miał z Hardym układ Paliwowy. Dostawał regularnie działkę, ale ostatnie kłopoty sprawiły, że się pokłócili. I przytrzymał Hardego za kratkami. Ale widać się dogadali, bo go zwolnił. Teraz sam siedzi, Igła dostarczył nam pewien numer konta...

- Do usług - Igła zasalutował swojemu koledze. - Została

nam jeszcze Ryszarda.

- Ryszarda Kociołek - Marchewka uśmiechnął się znacząco.
- Nie miała pojęcia o kradzieży, ale widziała u Hardego diamenty. Podarował jej nawet trzy z nich jako dowód miłości. Ona też dała dowód uczucia, bo je sprzedała, żeby kupić jakieś akwarium?

- Dla ryb słodkowodnych - wyrecytowały chórem Misia z Zużą.

- A tak. Dla słodkowodnych - potwierdził komisarz. - I tak sprawa wypłynęła, he he. Jak tylko Gutek dowiedział się, że Ryszarda jest kochanką Hardego, przekazał nowinę Krystianowi, a ten osobiście przeszukał jej dom. Z tym samym skutkiem co na Tysiącleciu. Po diamentach zagiął wszelki ślad.

- Czemu wszelki? - wyrwało się Igle, ale Zuza spojrzała na niego groźnie, więc czym prędzej zamilkł.

- Nie wszelki - Marchewka pocałował Zużę w czoło. - Bo przecież kamienie się znalazły. A swoją drogą, to był doskonały pomysł, żeby je schować nie w sejfie, ale w eee... w marchewce.

Zuza roześmiała się perliście i nie spuszczać rozanielonego wzroku z komisarza, dodała na pozór bardzo poważnie:

- Tak, to był doskonały pomysł. Ale nie ma się co dziwić. Każda MARCHEWKA to prawdziwy skarb.

*

Dolina Trzech Stawów wyglądała nocą magicznie.

Zapach pączkujących drzew i rosnących przy wodzie tataraków był tak samo oszałamiający jak koncert owadów, którego Misia z Iglą słuchali, przytulając się na ławeczce w amfiteatrze. Latarnie mrugały, tworząc na tle stawu żółtawo lśniące bańki, zakochane pary przemierzały park w poszukiwaniu ustronnych miejsc, kukułki darły dzioby. Było zacisznie i nastrojowo.

- I skończyła nam się afera diamentowa - westchnął Iglą, ale w jego głosie nie było słycać smutku. - Odnaleźliśmy prawie sto z dwustu trzydziestu kamieni. Ale jeden nam się

chyba gdzieś zapodział?

Misia pociągnęła nosem.

- Mówisz o tym kamyczku z Zeptera Zuzy?

- Właśnie o tym.

- Mnie się nic nie zapodziało.

- Nie?

- Mam go tutaj - Misia wyjęła z torebki portfel, a tam w jednej z przegródek coś srebrzyście błysnęło. - Ale szkoda. Miałam nadzieję na kolczyki.

- Kolczyki? - Igła pocałował ją w rękę, bo Misia wydała mu się wspaniała.

Trzymała w ręku najprawdziwszy diament, ale ani przez chwilę nie pomyślała, żeby go

spieniężyć. - A pierścionek? Nie chciałabyś pierścionka? Nie, żebyśmy zamierzał się oświadczyć, bo to banalne i żalosne, i nie podoba mi się, że śpisz w dwuczęściowej piżamie, ale...

- Ale?

HAPPY END

27 stycznia 2013 r.

**Kobieta nie całkiem stateczna i rzezimieszek kradnący
diamenty? Dlaczego nie?**

**Mężczyzna potraktowany łopata, wino otwierane
młotkiem i dobra kuchnia – najnowsza komedia
kryminalna Marty Obuch to gwarancja
doskonałej zabawy!**

Michalina jest żoną mafijnego bossa. Problem w tym, że jako jedyna nie ma o tym pojęcia. Prawdę poznaje w dość dziwnych okolicznościach: zostaje przypadkowo porwana, a kiedy wraca w nocy do domu, dowiaduje się, że mąż grzeje celę w areszcie, a ona ma na stanie nieproszonego gościa. Okazuje się, że małżonek zawarł ze swoim współnikiem – Igłą – umowę: gdyby go aresztowano, Igła ma się przeprowadzić do jego domu i strzec żony. Czy w takich okolicznościach serce może zabić mocniej? Przyjaciółka Misi – Zuza – uważa, że tak. Nawet jeśli Igła jest przestępcą, zamieszanym w największą w Polsce kradzież diamentów. Przecież można odzyskać diamenty, wysłać mężowi paczki do więzienia i kochać swojego nowego lokatora, ile wlezie. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spuścić diamentowemu rzezimieszkowi tomat łopata albo podzielić mieszkanie na sektory i wymalować linie graniczne za pomocą pasty do zębów. Przynajmniej będzie wesoło!

**Wybuchowe połączenie kryminału, romansu i komedii,
niespodziewane zwroty akcji i ogromna dawka humoru!
To się czyta!**

Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-7674-263-2



9 788376 742632

www.replika.eu

lesiojot